

JESTEŚ ANIOŁEM

CZEŚĆ PIERWSZA LŚNIĄCE GWIAZDY

1.

Stał obok jednej z wielkich kamiennych kolumn, skryta w cieniu, i obserwowała walkę. Nazywała się Rosalinda Madigan. Jej nerwy napięte były do ostatecznych granic. Zaciskała dłonie i wstrzymywała oddech. Rozchyliła nieznacznie usta, a w jej oczach czaił się niepokój.

Miecze uderzały o siebie, wydając metaliczny dźwięk.

Wojownicy zmagali się zawzięcie. Walczyli na śmierć i życie. Rosalinda wiedziała, że tylko jeden z nich może zwyciężyć.

Jasne światło dobiegające z wysokich okien zamku połyskiwało na groźnych ostrzach. Gavin, niższy z przeciwników, był zwinniejszy i szybszy. Przeszedł do ataku, torując sobie drogę mieczem. Spychał rywala krok po kroku ... po kamiennej posadzce wielkiej sali. Zdawało się, że bierze górę. James, drugi z walczących, wyższy, mocniej zbudowany, lecz mniej biegły w fechtunku, zapędzony został do rogu. Za plecami miał już tylko ścianę. Na jego pobladołej twarzy malowała się wściekłość pomieszana ze strachem.

Kobiecie wydało się, iż walka zakończy się szybciej, niż tego oczekiwała.

Zdała sobie sprawę, że Gavin bliski jest zwycięstwa. Nagle, ku jej wielkiemu zdziwieniu, James zdołał wydostać się jakoś ze śmiertelnej pułapki. Podbudowany tym sukcesem rzucił się z furią naprzód. Teraz on właśnie był w natarciu. Kobieta wstrzymała oddech.

Gavin, nieco zaskoczony, znalazł się w defensywie.

Nie tak miało być - pomyślała, wpatrując się w walczących rywali. Gavin zgrabnie niczym tancerz wywinął się z chwilowej opresji.

Z wielką zręcznością odparował kolejny sztych Jamesa. James jednak nadal nie ustępował. Natarł znowu, dysząc ciężko i tnąc na oślep swym mieczem. Nie był jednak aż tak zwinny jak Gavin.

Obaj znaleźli się na środku sali, fechtując zawzięcie. Każdy atak napotykał na skuteczny blok. James zaczynał odczuwać wyczerpanie walką. Jego ruchy stawały się coraz powolniejsze. Gavin ponownie brał górę. Przeszedł do natarcia, by ostatecznie unicestwić przeciwnika.

James potknął się i upadł. Miecz wypadł mu z ręki i z brzękiem potoczył się po kamiennej posadzce.

W mgnieniu oka Gavin znalazł się przy nim. Stał nad pokonanym adwersarzem i przytknął koniec zimnego ostrza do jego gardła.

Mierzyli się wściekłymi spojrzeniami. Żaden z nich ani na moment nie odwrócił wzroku.

- Skończ z tym. Zabij mnie! - krzyknął w końcu James.

- Nie chcę pokalać swej broni twoją krwią - odrzekł Gavin zimnym, bardzo cichym głosem. -

Wystarczy, że zwyciężyłem w tej ostatniej, decydującej walce. Ciesz się, żeś uszedł z życiem, i zabieraj się z tych progów!

Cofnął się kilka kroków, a następnie schował miecz do pochwy umocowanej do pasa, odwrócił się i ruszył w kierunku szerokich schodów. Gdy dotarł do ich szczytu, rzucił jeszcze jedno krótkie

spojrzenie w kierunku Jamesa, a następnie zniknął w cieniu.

Zapadła głucha cisza.

I wówczas rozległ się głos reżysera:

- Cięcie! Doskonale, panowie!

Aktor kreujący rolę Jamesa podniósł się z posadzki. Reżyser zaczął naradzać się z operatorem. Rozległ się gwar głośnych rozmów. Ludzie rozeszli się po planie, śmiali się, żartowali, poklepywali się nawzajem po plecach.

Nie zwracając uwagi na całe to zamieszanie, Rosalinda wzięła torebkę i pobiegła ku schodom, szukając Gavina. Stał wciąż jeszcze na podeście w półmroku, w miejscu gdzie kończyły się schody. Dostrzegła, że stoi w nienaturalnej pozycji. Spoglądał zbolowanym wzrokiem, krzywiąc się wyraźnie.

- Boli cię! - powiedziała.

- Coś się stało. Czuję się tak, jakby ktoś żelazną pięścią przyłożył mi w czaszkę. Potrzebny mi mój gorset, Rosie.

Błyskawicznie odrzuciła torebkę i pomogła mu założyć wokół szyi plastikowy koblerz. Tydzień wcześniej, w Yorkshire, Gavin spadł z konia i mocno się potłukł, szczególnie mięśnie i nerwy szyjne oraz lewy bark. Od tamtej pory ból nie dawał mu spokoju.

Gdy zapinała mu gorset, popatrzył na nią z wdzięcznością i uśmiechnął się. Najwyraźniej owa "lekarska obroza" przynosiła mu ulgę. Przekonał się już, że nie może liczyć na tabletki przeciwbólowe.

- Martwiłam się o ciebie podczas filmowania ostatniej sceny - przyznała Rosie i pokręciła z niedowierzaniem głową. - Nie mam pojęcia, jakim cudem udało ci się wytrzymać do końca. - To sprawa magii ... magii aktorstwa, grania. Gdy tylko zaczęliśmy grać tę scenę, poziom adrenaliny podskoczył mi nagle i ból ustąpił. Przynajmniej nie byłem go świadomy. Wczułem się bez reszty w rolę. Stałem się postacią, którą grałem. I zawsze tak jest.

- Wiem, kochasz aktorstwo. Mimo tego niepokoiłam się o ciebie - uśmiechnęła się do niego nieznacznie. - Tak, po tylu latach powinnam już wiedzieć, że to niepotrzebne, prawda? Zawsze powtarzałam, że umiejętność koncentracji jest źródłem twoich sukcesów. - Podtrzymała go i dodała: - No, ale chodźmy już. Charlie czeka z Jamesem, Aida i całą ekipą.

Gdy Rosie z Gavinem zaczęli schodzić po schodach, rozległy się oklaski i wiwaty. Wszyscy wiedzieli, iż gwiazdor cierpi strasznie od paru dni. Podziwiali Gavina Anibroze nie tylko za jego talent, ale i za stoicyzm, z jakim znosił ból, a także całkowite poświęcenie dla pracy. Był prawdziwym profesjonalistą i miał zamiar skończyć film w terminie. Cała ekipa chciała teraz wyrazić swój podziw i uznanie.

- Byłeś świetny, Gavinie, po prostu fantastyczny - rzekł Charlie Blake, reżyser, i uściśnął Gavinowi dłoń. - Muszę przyznać, że damy sobie z tym radę w trzech podejściach.

- Szkoda, że nie w jednym - odparł Gavin sucho. - Ale dzięki, Charlie. Dziękuję, że pozwoliłeś nam powalczyć. Wyszło chyba nieźle, jak sądzisz?

- Jasne! Nie będzie potrzeby wycinać choćby jednej klatki.

- Jesteś naprawdę rewelacyjny, Gavinie - powiedziała Aida Young, producentka, występując naprzód i po matczynemu obejmując aktora, mając przy tym baczenie na jego szyję. - Nikt nie zagrałby tego lepiej od ciebie.

- Dziękuję, Aido. Cieszę się tym bardziej, że zwykle nie szafujesz komplementami.

Gavin zerknął na Jamesa Lane'a, który był jego przeciwnikiem w nakręcanym pojedynku, i uśmiechnął się.

- Moje gratulacje, Jimbo.

James odwzajemnił uśmiech.

- To tobie się one należą, kolego

- Bardzo ułatwiłeś mi zadanie - ciągnął Gavin. - Pojedynek na ogół trudno zaaranżować. A ty spisałeś się znakomicie.

- Moglibyśmy zagrać razem w jakimś westernie. Ty wziąłbyś rolę Errola Flynna - odrzekł James, puszczając przy tym oko. - Szkoda, że Kevin Costner zrobił już przeróbkę *Robin Hooda*. To film

stworzony dla nas. . Gavin roześmiał się i pokiwał głową. Potem spojrział na zaniepokojoną Aidę i dorzucił

- Nie martw się tak, moja droga. Z moją szyją już całkiem w porządku, serio. Mam nawet zamiar wydać wkrótce przyjęcie.

- To wspaniale, cieszę się - stwierdziła producentka, ale po chwili ostrzegła: - Ale staraj się nie przeszarżować.

Gavin przebiegł oczami po twarzach pozostałych ludzi.

- Dziękuję - powiedział SZCzerze. - Dzięki za wszystko. Wszyscy byliście fantastyczni. Mam ochotę uczcić to dzisiaj.

- Jasne, Gavin.

Cała ekipa zaczęła się tłoczyć, chcąc powiedzieć Gavinowi, jakim jest bombowym facetem, że nie ma lepszego aktora od niego. Wszyscy pragnęli uścisnąć jego dłoń.

Upłynęło parę chwil nim Rosie i Gavin wydostali się ze studia przerobionego na salę zamku Middleham. Znaleźli się w jednym z korytarzy na zapleczu. Na podłodze walał się istny gąszcz kabli, do sufitu umocowane były reflektory, których światło pozorować miało na planie słoneczny blask. Oboje cieszyli się, że ostatnią scenę mają już za sobą i film trafi do obróbki technicznej - oboje, lecz z różnych powodów. W milczeniu, pogrążeni we własnych myślach, szli w stronę garderoby Gavina.

- Naprawdę chcesz jechać do Nowego Jorku pod koniec tygodnia? - spytał Gavin, stając w drzwiach łazienki przylegającej do jego

garderoby. Miał na sobie biały, miękki szlafrok i uparcie wpatrywał się w Rosie.

Podniosła oczy znad notatnika i również przyjrzała mu się uważnie. - Tak - odparła po chwili i schowała notes do torebki. _ Mam spotkanie z paroma

producentami na Broadwayu. Chodzi o nowy musical. Muszę się też zobaczyć z Jan Sutton. Ona znowu myśli o *My Fair Lady*.

Gavin zaczął się śmiać.

- Przeróbka *My Fair Lady*? - zapytał, przechadzając się po pokoju. - Czy pamiętasz kostiumy zaprojektowane do oryginalnej wersji? Wszyscy je pamiętają. I nie da rady ich przebić.

- Owszem, zgadzam się - przyznała Rosie. - Tylko że właśnie dlatego to będzie prawdziwe wyzwanie. I mam zamiar je podjąć ... Zobaczymy, co z tego wyniknie - wzruszyła ramionami i prędko dodała: - Z Nowego Jorku lecę do Los Angeles spotkać się z Garrym Marshalllem. On chce, żebym zaprojektowała kostiumy do jego nowego filmu ...

- Przyjmiesz propozycję Marshalla, jak nie wyjdzie na Broadwayu?

- przerwał jej Gavin.

- O nie. Mam ochotę wziąć się za dwie rzeczy równocześnie.

- Rosie, chyba zwariowałaś? Nie szalej! Nie dasz rady odwalić takiej roboty. Posłuchaj ... W tym roku przygotowałaś już kostiumy do dwóch sztuk, no i do mojego filmu. Kosztowało cię to dużo wysiłku. Dużo ... ? Nie, mnóstwo sił. Nie masz zamiaru zwolnić tempa w przyszłym roku? Znowu trzy albo cztery projekty? Pomyśl o swoim zdrowiu, na litość boską!

- Potrzebuję pieniędzy.

- Dam ci tyle, ile zechcesz. Czy nie mówiłem ci, że wszystko, co moje, należy również do ciebie?

- Tak ... I dziękuję ci za to, Gavinie. Wiesz przecież, że naprawdę jestem wdzięczna. Ale to nie to samo ... Chodzi mi o to, że wołałabym sama zarabiać pieniądze. Poza tym nie wydaję ich na siebie. Potrzebuję ich moja rodzina. - Twoja rodzina ... ! - powtórzył charakterystycznym, zjadliwym tonem. Zerknął na nią zirytowany.

Jego wściekłość zdumiała Rosie. Musiała ugryźć się w język, by nie odpłacić mu jakąś złośliwością. Milczała, ale jej policzki poczerwieniały ze wzburzenia. Nie spodziewała się, że Gavin zareaguje w ten sposób.

Gavin obrócił się na pięcie, usiadł w fotelu przed lustrem, sięgnął po słoiczek kremu i papierowe

chusteczki i zaczął zmywać makijaż.

- Uważam ich za swoją rodzinę - odezwała się w końcu.

- Bzdura! Należysz do mnie, Nell i Kevina! - wykrzyknął, brutalnym ruchem zrzucając na podłogę swoje przybory. Nie przejęła się tym razem jego wybuchem i dodała w myślach: - I do Mikeya. On również jest członkiem rodziny, gdziekolwiek przebywał. Także Sunny.

Poczuła lekkie ukłucie w sercu i westchnęła cichutko. Tak, nie brakło powodów do zmartwień.

Po upływie krótkiej chwili podeszła do Gavina. Stała za nim i oparła dłonie na oparciu jego fotela. Spojrzała w lustro na swe odbicie: kasztanowe włosy i zielone oczy, a potem w szarobłękitne oczy Gavina.

Odpowiadając na jej nieme pytanie, odezwał się łagodniejszym już głosem:

- Powiedzieliśmy sobie, że jesteśmy rodziną, pamiętasz?

I wbił wzrok w stojącą na toalecie fotografię.

Rosie popatrzyła na nią również: na radosną chwilę utrwaloną na kliszy i oprawioną w srebrne ramki. Byli tam wszyscy razem: Nell, Gavin, Kevin, Mikey, Sunny i ona sama. Objęci, z twarzami rozpromienionymi uśmiechem, z oczami pełnymi nadziei. Od tamtego dnia minęło tak wiele czasu. Wtedy byli tacy młodzi... Łączyło ich tak wiele, lecz przede wszystkim to, że żadne z nich nie miało rodziców. Byli sierotami.

- Obiecaliśmy, że będziemy sobie pomagać nawzajem, cokolwiek by się działo, Rosie. Mówiliśmy sobie, że jesteśmy rodziną - powtórzył z naciskiem Gavin. - I byliśmy nią. Jesteśmy nadal.

- Tak, Gavinie - szepnęła.

Odegnęła od siebie falę smutnych myśli i ponurych wspomnień. O tragedii, która obróciła w niwecz ich wspólną obietnicę...

Gavin uniósł nieco głowę. Ich spojrzenia znowu spotkały się w lustrze.

Jego twarz rozjaśnił teraz szelmowski, znany wszystkim uśmieszek.

- Jeśli już tak koniecznie chcesz się zaharować na śmierć, to lepiej niech się to stanie w trakcie realizacji jednego z moich filmów. W razie czego zawsze możesz liczyć na moją pomoc. I co ty na to? Będiesz dla mnie pracować?

Rosie nagle poweselała. W jej oczach pojawił się radosny błysk i zaczęła się śmiać. Wykrzyknęła:

- Urnowa stoi, panie Arnbrose! Raz kozie śmierć!

Naraz rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Will Brenł. Will pracował jako garderobiany. Wyjaśnił szybko:

- Przyszedłem pomóc ci zdjąć kostium, Gavinie, ale widzę, że już sobie poradziłeś. Przepraszam za spóźnienie.

- Drobiazg, Will, nie przejmuj się. Zresztą nie ze wszystkiego zdołałem się wyzwolić. Nie wiem, co począć z tymi buciarami.

Gavin uśmiechnął się od ucha do ucha i wysunął obutą nogę.

- Już się robi - stwierdził Will i obiegnął fotel, w którym siedział Gavin, wyglądający cokolwiek zabawnie w szlafroku i staroświeckim obuwiu.

- Do zobaczenia na przyjęciu - powiedziała cicho Rosie, pocałowała Gavina w czubek głowy i ruszyła w stronę sofy, by wziąć stamtąd torebkę.

_ Pamiętaj, co powiedziałem, aniołku. Angażuję cię do swego następnego filmu! _ zawołał jeszcze Gavin, a potem skrzywił się i poruszył nieznacznie szyją w ortopedycznym kołnierzu.

2

Podmuch chłodnego powie"za owiał Iwan Rosie, gdy wyszła na zewnątrz. Drżąc otuliła się mocniej kurtką i spojrzała w górę.

Niebo pokryte ołowianymi chmurami wyglądało groźnie i ponuro.

Mimo wczesnego popołudnia było już mroczno i robiło się coraz ciemniej. Rosie już od dawna przywykła do takich, typowych dla Brytanii, szarych dni.

Padła drobna mżawka. Rosie zastanawiała się, co dzieci w Anglii robią, kiedy pada.

Był piąty listopada. Dzień sztucznych ogni. Aida powiedziała jej o tym tydzień temu przy lunchu.

Wyrecytowała nawet jakiś stary wierszyk, którego nauczyła się w dzieciństwie: "Ktoś gada, wciąż gada o piątym listopada, prochu armatnim, spisku i zdradach". Producentka wyjaśniła, że w 1605 roku niejaki Guy Fawkes zamierzał wysadzić w powietrze budynek parlamentu i zabić króla Jakuba 1. Ujęto go jednak, zanim zdołał poczynić poważniejsze szkody, oskarżono o zdradę i skazano. Brytyjczycy Przypominali sobie o nim zawsze piątego listopada. Nazywali ten dzień dniem Guya Fawkesa i uznali go za święto.

Tej nocy w Wielkiej Brytanii rozpalano ogniska, wrzucano w płomienie kukły Guya Fawkesa i puszczano sztuczne ognie. Tradycyjnie pieczono w popiele ziemniaki i kasztany - oczywiście, jeśli nie padało.

- Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, uwiniemy się z filmem do piątego listopada - powiedziała Aida, gdy w ubiegły wtorek jadły w restauracji w studio. - Ale obawiam się, że nie pozwolą nam zapalić ognisk. Oczywiście, ze względu na bezpieczeństwo. Możemy jednak sobie urządzić zabawę, gdy skończymy zdjęcia.

Rosie rozejrzała się wokół i pospieszyła przez opustoszały parking studia "Shepperton" w kierunku budynku, gdzie mieściło się jej biuro.

Miała tutaj swoją siedzibę przez ostatnie dziewięć miesięcy. Przywykła już do otoczenia, w którym czuła się teraz jak w domu. Lubił, także pracę z Aidą i resztą ekipy, którą stanowili sami Brytyjczycy. Czua się z nimi swobodnie już od samego początku.

Zupełnie niespodziewanie dotarło do niej, jak bardzo żyła się ze studiem i wszystkimi ludźmi związanymi z tym filmem. Nie zawsze się tak działo. Czasami doznawała ulgi, gdy kręcenie jakiegoś filmu dobiegało końca. Mogła wtedy szybko dać nogę i nie oglądać się za siebie. Jednak podczas pracy nad *Twórcą Królów* aktorzy, producenci i cała ekipa z obsługi bardzo zaprzyjaźnili się ze sobą. Podczas długich miesięcy wślóblnej pracy to przywiązanie się pogłębiło. Być może dlatego, że od samego początku kręcenie tego filmu sprawiało sporo kłopotów i w rezultacie wszyscy musieli zjednoczyć wysiłki, żeby osiągnąć cel. Rosie była przekonana, że film zyska powodzenie. Z własnego doświadczenia wiedział, że często trudne obrazy, gdy trafią w końcu na ekrany, okazują się najlepsze.

Wszyscy pracowali bardzo ciężko. Zostawali po godzinach nawet wtedy, gdy już zupełnie padali z wyczerpania. Gavin, który włożył całe serce w rolę Richarda Neville'a, hrabiego Warwick, grał doskonale. W istocie zasługiwał na Oscara. Taka była przynajmniej opinia Rosie.

Pchnęła podwójne przeszklone drzwi i poszła wąskim korytarzem do swojego biura. Zamknąwszy za sobą drzwi, oparła się o nie. Raejrzała się po pokoju: na ścianach wisiały rysunki, ukończone kostiumy na stojakach, a na wielkim stole leżała masa różnych materiałów i dodatków oraz projekty. W ciągu dziewięciu miesięcy Rosie nagromadziła niewiarygodną ilość przedmiotów. Zdała sobie sprawę, że pakowanie tego wszystkiego zajmie jej parę dni. Na szczęście miała asystę w osobach Val Horrera i Fanny Leyland, które pomagały jej katalogować rysunki, układać kostiumy, książki i fotografie potrzebne jej do pracy.

Duży projekt kostiumu dla Gavina wisiał na jednej ze ścian. Rosie podeszła bliżej i przyjrzała się swemu dziełu. Obserwowała go przez chwilę uważnie z głową przechyloną na bok. Potem przyznała sama przed sobą:

Gavin miał rację, *Twórca Królów* był bardzo trudnym przedsięwzięciem. Nie tylko z powodu rozmachu i sporych kosztów. Scenariusz zawierał także wiele elementów historycznych, opisów ceremonii, które Rosie musiała wziąć pod uwagę i które w naturalny sposób wpływały na jej projekty. Było to dla niej wyzwanie. Zwykle dobrze czuła się w takich sytuacjach; dawała wtedy z siebie wszystko. Chociaż praca okazała się ciężka i wyczerpująca, Rosie była wdzięczna, że miała okazję przyczynić się do powstania wybitnej ekranizacji.

Już na samym początku, gdy czytali scenariusz, Rosie piała z zachwytem, promieniowała radością i energią.

Szczególną uwagę poświęcała Gavinowi, który został obsadzony w głównej roli Warwick. Hrabia był najpotężniejszym człowiekiem w Anglii w połowie XV wieku. Pochodził z Yorkshire. W jego żyłach płynęła królewska krew. Był potomkiem króla Edwarda III, najbardziej wpływowym w

owych czasach magnatem Anglii i jednym z najdzielniejszych rycerzy. Nic dziwnego, że jego życie szybko obrosło legendą. To Warwick wyniósł swojego kuzyna, Edwarda na tron angielski podczas wojny domowej między rodami York i Lancaster, znanej powszechnie jako Wojna Dwóch Róż. Nazwa wzięła się stąd, iż godłem Yorków były białe róże, a ich adwersarzy - czerwone. Warwick odegrał kluczową rolę w tej wojnie. To on pokonał oddziały Lancasterów w kilku krwawych bitwach i przekazał ziemię Edwardowi Yorkowi, prawowitemu dziedzicowi korony.

Warwick miał wielki wpływ na władcę - był głównym doradcą swojego dziewiętnastoletniego protegowanego, króla Edwarda V. Dlatego też jego współcześni nazwali go Twórcą Królów. Ten przydomek przetrwał ponad czterysta lat i obecnie stał się tytułem filmu. Scenariusz napisała zdobywczyni Oscara, Vivienne Citrine. Akcja filmu zaczyna się w roku 1461, gdy Warwick miał trzydzieści trzy lata i był u szczytu kariery a kończy w dwa lata później, to jest w roku 1463.

Rosie starała się wymyślić taki kostium dla Gavina, który nie tylko odpowiadałby stylowi epoki, lecz także pasował do osobowości aktora, podkreślał jego atuty, był wygodny i nie krępował ruchów.

Jak zwykle, głównym celem Rosie było projektowanie strojów, które odpowiadałyby prawdzie historycznej. Uważała, że kostiumy i scenografia to dwie najistotniejsze sprawy w obrazach historycznych. Takie podejście stało się źródłem jej sukcesu. Powszechnie uważano, że ma talent. Zyskała uznanie w branży. Rzeczywiście, trudno było odmówić jej kunsztu kostiumologa. Jej przygotowania do *Twórcy Królów* były niezwykle drobiazgowe. Uświadomiła sobie w pewnym momencie, że zrobiła o wiele więcej niż zwykle. Powodem tego stał się Gavin. To on był pomysłodawcą filmu. Wziął na siebie rolę współproducenta, zainwestował nawet własne pieniądze. Wytwórnice z Hollywood nie chciały brać udziału w przedsięwzięciu, mimo iż Gavin był niemal tak wielką gwiazdą, jak Costner, Stallone czy Schwarzenegger. Tak jest, Gavin znalazł się w podobnej sytuacji jak Kevin Costner, gdy ten próbował nakłonić któregoś z hollywoodzkich reżyserów do *Tańczącego z wilkami*. Nikt nie wykazał zainteresowania, Costner zrobił więc film na własną rękę. Zebrał pieniądze przy pomocy Jake'a Eberta, niezależnego producenta z Europy. Pomysł *Twórcy Królów* narodził się w głowie Gavina. Zapalił się do niego tak bardzo, że swoim entuzjazmem zaraził wszystkich dookoła.

Gavin, czytając kolejną biografię Warwicka, zachwyił się dramatyzmem losów hrabiego. Pobudziło to jego wyobraźnię. Wybrał kilka najważniejszych lat z życia Warwicka, gdy jego gwiazda świeciła najjaśniej, i następnie zrobił szkic filmu. Potem wynajął Vivienne Citrine, by napisała scenariusz. Pracowali nad nim razem ponad rok, aż do chwili, gdy Gavin uznał go za doskonały.

Projekt filmu podobał się Rosie od samego początku. Rozmawiała o nim z Gavinem, kiedy spotkała się w Beverly Hills pod koniec 1988 roku. Jej radość nie miała końca, gdy dowiedziała się w zeszłym roku, że Gavinowi udało się wreszcie pokonać wszelkie trudności.

Na długo przed rozpoczęciem zdjęć w Anglii Rosie zaczęła przygotowywać się do projektowania kostiumów. Czytała biografie Warwicka i Edwarda IV, a także książki historyczne o średniowiecznej Anglii i Francji. Studiowała sztukę i architekturę, by mieć ogólny obraz tamtych czasów. Spędziła także wiele godzin w różnych londyńskich muzeach, oglądając dawne stroje. Kiedy asystent reżysera, scenograf, menażer, paru innych członków ekipy oraz sam Gavin pojechali w teren, Rosie zabrała się razem z nimi.

Udali się najpierw do położonego wśród wrzosowisk Yorkshire zamku Middleham, który niegdyś był wielką północną twierdzą Warwicka. Zamek wciąż istniał, lecz popadł w ruinę. Miał zburzone wieże i część murów, a wiatr hulał po komnatach. Jednak Gavin uważał, że warto było zobaczyć miejsce, gdzie Warwick dorastał i spędził większą część swego życia.

Rosie wraz z Gavinem przechadzała się po olbrzymim, pustym pomieszczeniu. Niegdyś była to wielka sala. Teraz brakło tu dachu, a ściany rozpadały się. Patrząc na błękitne niebo, kroczyli po kamiennej posadzce, częściowo zarośniętej trawą i wątlami polnymi kwiatkami. Mimo iż warownia

znajdowała się w oplakanym stanie, wywarła wielkie wrażenie na Rosie i Gavinie, którzy po jej zwiedzeniu wybrali się na przejażdżkę po posepnych wrzosowiskach, gdzie Warwick stoczył kilka ważnych potyczek.

Pod koniec podróży zoczyli nieco z trasy w kierunku wschodniego wybrzeża. Gavin chciał odwiedzić York Minster, wspaniałą gotycką katedrę. To tutaj Warwick i Edward IV wkroczyli niegdyś w glorii i chwale. Zanim tu dotarli, jechali równiną na osiodłanych koniach, na czele swoich potężnych zastępów. Ich jedwabne sztandary powiewały na wietrze. Byli bohaterami całej Anglii - waleczny, młody król i jego mentor - Twórca Królów. Rosie uważała, że to jedna z najbardziej barwnych i efektownych scen scenariusza. Pragnęła jak najprędzej zabrać się do dzieła. Po kilku następnych podróżach do Yorkshire i wielu godzinach spędzonych w bibliotekach i muzeach Rosie mogła wreszcie przystąpić do projektowania. Była przekonana, że wie o średniowiecznej Anglii znacznie więcej niż przeciętni ludzie.

Trudność sprawiało jej projektowanie zbroi. Przypominając sobie teraz wszystkie swoje zmartwienia i rozterki, przyjrzała się srebrzyście połyskującemu kostiumowi stojącemu w rogu pokoju i skrzywiła się. Nigdy nie zapomni ogromnego wysiłku, jaki włożyła w ten projekt.

W scenariuszu znajdowała się wielka scena batalistyczna. Mimo kłopotów, jakie przysporzyło jej nakręcenie oraz kosztów, Gavin postawił na swoim. Tak więc Rosie nie miała innego wyjścia, jak wziąć się w garść i odtworzyć wzór średniowiecznej zbroi.

W końcu zdołała się z tym uporać jedynie dzięki pomocy Briana Acklanda-Snowa. Brian był wielce utalentowanym projektantem, zdobywcą Oscara za kostiumy do filmu *Pokój z widokiem* ..

Według Rosie Brian to geniusz. Zdawała sobie sprawę jak wiele mu zawdzięcza. Poznał ją z wytwórcą kombinezonów dla pletwonurków, który potrafił skopiować jej projekt zbroi, pokrywając gumową powierzchnię srebrzystą warstwą, świetnie imitującą stal używaną w średniowieczu. Ów syntetyczny materiał ważył niewiele i nie krępował ruchów aktorów. W tym kostiumie wyglądali jak prawdziwi rycerze.

Rosie odwróciła się i podeszła do olbrzymiego stołu w drugim końcu pokoju. Wiedziała, że musi uporządkować porozkładane tam stosy papierów, przyborów i materiałów.

Stwierdziła nagle, że potrzebuje co najmniej sześciu wielkich skrzyń, żeby spakować to wszystko. Oprócz książek, szkiców i fotografii były tam bele specjalnie farbowanych materiałów: tweedy, wełny i popelina, próbki zamszu i skóry na buty, spodnie, kurtki i kubraki, kawałki futra i cała masa aksamitu i jedwabiu. W koszykach i na tacach znajdowała się fantastyczna kolekcja błyszczącej biżuterii: broszki, pierścionki, naszyjniki, kolczyki, bransolety, ozdobne guziki, pasy i pozłacane, metalowe korony - wszystkie przedmioty, których używano do kręcenia historycznych scen.

Co za film! - pomyślała Rosie z niedowierzaniem. - Kosztowny znacznie bardziej, niż się spodziewali na początku. Trzymający w napięciu. Ale pogoda i niedyspozycje niektórych aktorów opóźniły zdjęcia i połknęły nadprogramowe pieniądze. Z drugiej strony, filmowanie było naprawdę pasjonujące i dało świetne rezultaty. Powstało dzieło tak wspaniałe, iż Rosie stwierdziła, że nigdy wcześniej nie widziała czegoś podobnego i pewnie nie ujrzy też w przyszłości.

Kiedy tylko mogła, szła z Gavinem oglądać fragmenty sfilmowane dzień wcześniej i wywołane w nocy w laboratorium. Każda scena, którą oglądała na studyjnym ekranie, zapierała jej dech w piersiach, była żywa i pasjonująca. Rozgrywający się dramat wciągał widza, bo akcja toczyła się wartko.

Gavin wciąż się martwił, jak film wypadnie po zmontowaniu. Wszyscy się tym zresztą niepokoiili. Jednak podczas ostatnich ujęć Rosie czuła w głębi duszy, że naprawdę mogą sobie pogratulować. Była przekonana, że Gavin zrobił film tej samej klasy co *Zimowe lwy* i może spodziewać się Oscara.

Rosie otrząsnęła się z rozmyślań o minionych chwilach. Uświadomiła sobie, ile pracy czeka ją podczas następnych trzech dni.

Usiadła przy biurku naprzeciwko okna, przysunęła do siebie telefon i wybrała numer. Dopiero po kilku sygnałach ktoś podniósł słuchawkę.

Znajomy dziewczęcy głos powiedział:

_ Cześć, Rosie, przepraszam, że tak długo nie odbierałam. Stałam na drabinie i wkładałam pudełka'

z twoimi papierami na górną półkę.

- Skąd wiedziałaś, że to ja? - spytała Rosie rozbawiona.

- Nie udawaj, Rosalindo, przecież wiesz, że nikt inny nie zna tego numeru.

- Może i tak. Jak ci leci, Yvonne?

- Świetnie. Innym też. Collie i Lisette akurat wyszły. Chciałaś rozmawiać z Collie?

- Owszem, ale nic nie szkodzi. Miałam zamiar zawiadomić was, że wczoraj wysłałam dwa czekolady, dla ciebie i dla Collie.

- Dzięki, Rosalindo.

- Posłuchaj, kochana, wyjeżdżam do Nowego Jorku w sobotę i ...

- Powiedziałaś mi ostatnio, że lecisz w piątek! - wykrzyknęła Yvonne.

- Tak planowałam, ale mam tutaj dużo pakowania, więc postanowiłam załapać się na samolot w sobotę rano. Nawiasem mówiąc, wysłałam do ciebie parę pudeł, więc połóż je w rogu mojej pracowni, kiedy dotrą. Zajmę się nimi, gdy przyjadę.

- A kiedy się zjawisz?

Wyczuwając żalną nutę w głosie dziewczyny, Rosie odparła uspokajająco:

- W grudniu. To już niedługo.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

- Tutaj jest zupełnie inaczej, gdy ciebie nie ma. Tęsknię za tobą.

- Wiem, ja także często o tobie myślę. Ale wkrótce się zobaczymy - Rosie zawahała się przez chwilę. - Czy Guy wrócił?

- Tak. Ale nie ma go tutaj. Wyszedł z Collie i Lisette. I ze swoim ojcem.

Zaskoczona Rosie spytała:

- Dokąd poszli?

- Zobaczyć się z Kirą. Dzisiaj są jej urodziny. .

- Ach ... - Rosie przerwała na chwilę, odchrząknęła i mówiła dalej:

- Pozdrów ich ode mnie, Yvonne. Dzięki, że opiekujesz się wszystkim. Naprawdę jestem ci za to wdzięczna. Nie wiem, co bym zrobiła bez ciebie. - To nic takiego, Rosalindo, a poza tym sprawia mi przyjemność. Pożegnały się i Rosie zapatrzyła się w przestrzeń, myśląc o Guy. To dziwne, że wybrał się z dziewczętami do Kiry. To do niego niepodobne.

Rosie rzadko potrafiła go pojąć. Guy zadziwiał ją. Nie mogła go rozszyfrować. Chociaż jednej rzeczy była pewna. Zachowywał się uprzejmie wobec Kiry po to tylko, by ukryć nienawiść do niej. To oczywiste, że był zazdrosny. Rosie już dawno to zauważyła. Czuł się zazdrosny o Kirę. Drażniło go, że jego ojciec przyjaźni się z tą Rosjanką.

Rosie przeciągnęła się na krześle i spojrzała na fotografię Guy, Lisette i Collie, stojącą w rogu biurka. Sama zrobiła to zdjęcie zeszłego lata. Było w nim coś tak radosnego i beztrudnego, że kazała je powiększyć i oprawić. Jednak szczęśliwe uśmiechy całej trójki tylko maskowały rzeczywistą udękę i zmieszanie - takie przynajmniej uczucia czaiły się w oczach Guy i Collie. Rosie wiedziała o tym aż nazbyt dobrze. Pięcioletnia Lisette była wciąż zbyt mała, by zdawać sobie sprawę z bolesnych problemów. A najpoważniejszym z nich był sam Guy. Rosie nie miała co do tego wątpliwości. I nie tylko ojciec miał z nim kłopoty, lecz także inni - nie wyłączając Rosie i Collie, które Guy, nie wiedząc czemu, winił za wszystkie swoje nieszczęścia.

"Pretensjonalny gość" -tak Gavin określał Guy. Nigdy nie darzył go szczególną sympatią. Często powtarzał, że Guy powinien żyć w latach sześćdziesiątych.

- Ten włóczęga to podstarzały hipis, nigdzie nie może zagrzać miejsca i nie pasuje do naszych czasów - powiedział do Rosie cierpkim głosem któregoś dnia.

Tkwilo w tym ziarno prawdy, a może nawet coś więcej. Jednak Rosie nie mogła zrobić niczego, by zmienić Guy. Czasami zdawało się jej, że ten człowiek w końcu popełni samobójstwo.

Cokolwiek jednak Gavin twierdziłby o Guy czy innych, byli oni dla Rosie jak rodzina. Czuła się z nimi związana i martwiła się o nich. Zależało jej także na Guy, choć wiedziała, że na to nie zasłużył.

Westchnęła. Guy nie miał zbyt dobrego charakteru, nie znał się też na ludziach, choć, z drugiej

strony, nie brakowało mu bezpośredniości. Wraz z wiekiem stawał się coraz bardziej nieodpowiedzialny. Rosie zawsze uważała, że Guy jest słaby, ale ostatnio przyszło jej do głowy, iż wyrósł także na największego egoistę, jakiego kiedykolwiek spotkała.

Jej wzrok przyciągnęła inna fotografia na biurku. Taka sama jak ta na toalecie Gavina. Nawet ich oprawki były podobne. Wiele lat temu Nell podarowała im te zdjęcia na Boże Narodzenie, a jedno zatrzymała dla siebie.

Rosie nachyliła się, by przyjrzeć się drobnej twarzy Nell. Dziewczyna miała delikatne *rysy*, lśniąco złociste włosy i rozmarzone oczy, błękitne jak letnie niebo. Nell, choć niewysoka, drobna i krucha, była silna duchem - czasami Rosie wydawało się, że naj silniej szał z nich wszystkich.

Mała Nell o niezłomnej woli - pomyślała.

Ze zdjęcia uśmiechała się też piękna Sunny o włosach tak jasnych jak włosy Nell, lecz o nieco innym odcieniu. Była wyższa i mocniej zbudowana. Wyglądała jak typowa Słowianka: lekko skośne oczy w kształcie migdałów, wystające kości policzkowe i mocno zarysowana szczęka. Krzepka i zdrowa, pełna życia Sunny miała brzoskwiniową zdrową cerę i niepowtarzalnego koloru bursztynowe oczy. Jej wygląd wskazywał na wiejskie pochodzenie. Tak było w istocie. Rodzice dziewczyny wywodzili się z polskiej wsi. Biedna Sunny. Okazało się, że jest krucha jak porcelana i łatwo ją zranić. Tak, rzeczywiście, Sunny była taka zagubiona. Mieszkała w tym strasznym miejscu i wciąż uciekała myślami gdzieś daleko. Daleko od nich i od rzeczywistości.

Na fotografii obok Gavina stał Kevin. Ciemnowłosy przystojniak o czarnych oczach i łobuzerskim uśmiechu. Na swój sposób on także był dla nich stracony. Żył na krawędzi życia i śmierci, pakując się z jednego niebezpieczeństwa w drugie. Ciągłe wpadał w kłopoty. Któregoś dnia mogło zabraknąć mu szczęścia.

Między Kevina i Sunny wcisnął się Mikey, kolejna ofiara swoich czasów i następny straceniak. Na zdjęciu jego włosy barwy piasku tworzyły złocistą aureolę wokół twarzy. Rosie zawsze uważała, że Mikey ma ogromnie sympatyczne oblicze, miłe i przyjacielskie. Odznaczał się delikatną urodą i był z nich wszystkich najwyższy wzrostem. Chełpił się też swymi szerokimi ramionami.

Nikt nie wiedział, gdzie się podziewa Mikey. Zniknął gdzieś, dosłownie rozpląnął się w powietrzu, Gavin próbował go odszukać, lecz bez skutku. Nic nie wskórali także wynajęci detektywi.

Jedynie Rosie, Nell i Gavinowi udało się znaleźć miejsce w życiu i spełnić młodzięńcze marzenia, choć brat Rosie, Kevin Madigan, był zapewne odmiennego zdania. Zawsze pozował na odmieńca i robił, co chciał.

Rosalinda wzięła do ręki fotografię i przysunęła ją do oczu. Przez długą chwilę przyglądała się uważnie wszystkim po kolei. Kiedyś byli tak bardzo sobie bliscy ...

Po chwili Rosie zatrzymała wzrok na Gavinie. Jego twarz stała się sławna - wyraźnie zarysowane kości policzkowe, wcięty podbródek. Szaroniebieskie, głęboko osadzone oczy Gavina rozstawione były szeroko. Patrzyły chłodno spod długich rzęs i czarnych jak włosy brwi. Usta miał delikatne, niemal czułe i uśmiechał się w swój charakterystyczny, zagadkowy sposób. Ten uśmiech znali wszyscy.

Kobiety na całym świecie kochały się w tej twarzy, być może dlatego, że kojarzyła im się z romantyczną, pełną uniesień miłością i poezją.

Gavin przypominał nieco postaci uwieczniane na Wielu obrazach z XV wieku. Jego matka była Szkotką i wybrała mu to charakterystyczne imię, ojciec zaś urodził się we Włoszech. Gavin nosił jego nazwisko - Ambrosino aż do chwili, gdy postanowił zmienić je nieco, kiedy rozpoczął karierę aktorską.

Mimo sławy i sukcesu, jaki odniósł, Gavin Ambrose nie zmienił się zbyt wiele. Rosie wiedziała o tym. Wciąż był taki sam jak wtedy, gdy poznała go w 1977 roku. Rosie oraz jej przyjaciółka Nell miały wtedy po siedemnaście lat. Gavin był dziesiętnastolatkiem a Kevin i Mikey skończyli po dwadzieścia. Sunny była najmłodsza, zaledwie szesnastoletnia.

Zaprzyjaźnili się pewnego zwariowanego wrześniowego popołudnia podczas festiwalu sztuki włoskiej, który odbywał się przy Mulberry Street na Manhattanie.

To działo się tak dawno temu - pomyślała Rosie. - Minęło już czternaście lat. W tym czasie tak wiele się wydarzyło ...

Głośne pukanie do drzwi wyrwało Rosie z zadumy. Wyprostowała się. Nim zdążyła się odezwać, do pokoju weszła jedna z jej asystentek, Fanny Leyland.

_ Przepraszam, że nie było mnie tutaj, kiedy przysłaś! - zawołała ożywionym głosem. Podeszła do biurka, szeleszcząc długą spódnicą. Fanny była niewysoka, szczupła, wytworna i bardzo utalentowana. Cechowała ją wielka energia i niezwykła pracowitość. Szczerze i chętnie pomagała Rosalindzie.

_ Zatrzymała mnie jedna z aktorek - dodała przeproszająco. - Ale nie byłam tu na razie potrzebna, prawda?

_ Nie, lecz jutro się przydasz - odparła Rosie. - Musimy wziąć się do roboty i spakować moje manatki.

_ Nie ma problemu. Razem z Val zakaszemy rękawy i uwiniemy się z tym do wieczora.

_ Nie jestem taka pewna - odrzekła Rosie i zaczęła się śmiać.

_ Będę tęsknić za twoją roześmianą twarzą i ogromną energią, Fanny. Mam z ciebie wielką pociechę. Zżyłam się z tobą. I muszę przyznać, że mnie rozpuściłaś.

_ Skądże! Ciebie też będzie mi brakowało. Proszę, pomyśl o mnie, Rosalindo, kiedy weźmiesz się za następny film lub jakąś sztukę. Przylecę na skrzydłach, gdzie tylko zechcesz. Pojadę na koniec świata, żeby znowu z tobą pracować!

Rosie uśmiechnęła się.

_ Jasne, Fanny, możesz na to liczyć. I Val także. Jesteście najlepszymi asystentkami, jakie kiedykolwiek miałam.

_ O rany, dzięki, to wspaniałe, co mówisz! Genialnie! A wiesz dlaczego nie było mnie tutaj, gdy wróciłaś z planu? - Fanny skrzywiła się lekko. - Margaret Ellsworth chciała dostać koniecznie tę suknię, którą nosiła podczas sceny koronacji w opactwie westminsterskim. Strasznie się uparła. Zaskoczona Rosie ściągnęła brwi.

- Po co jej średniowieczna suknia, na miłość boską? Fakt, zaprojektowałam ten strój, ale to rzecz, która nie zasługuje na miano arcydzieła. - Niektóre aktorki są bardzo dziwne - mruknęła Fanny, po czym uśmiechnęła się promiennie. - Ale zdarzają się też całkiem równe babki i jest ich pewnie więcej. Maggie Ellsworth to wyjątek.

- Też tak sądzę - zgodziła się Rosie. - W każdym razie, porozmawiaj o tym lepiej z Aidą. Jeśli dział produkcji chce sprzedać tę suknię lub podarować ją Maggie, to nie będę się sprzeciwiać. Nie potrzebuję tego stroju. Może idź od razu do Aidy. Pogadaj z nią i wróć szybko. Chciałabym zacząć dziś po południu katalogować szkice.

- Dobra. Wrócę za chwilę. Val także przyjdzie zaraz z garderoby. Tak więc nie martw się. We trójkę poradzimy sobie ze wszystkim.

To mówiąc Fanny odwróciła się i wybiegła z pokoju, beztrąsko zatrząskując za sobą drzwi tak mocno, że aż okna zadrżały.

Uśmiechając się do siebie, Rosie pokręciła głową i sięgnęła po słuchawkę telefonu. Fanny miała już taki charakter. Rosie wiedziała, że będzie tęsknić za nią i Val. Otworzyła notes i znalazła numer pewnego producenta z Broadwayu, który dzwonił do niej niedawno w sprawie nowego musicalu. Zerknęła na zegarek.

Tutaj w Anglii była trzecia trzydzieści rano. Doskonała pora, by zadzwonić w interesach.

3

Na przyjęcie z okazji ukończenia filmu zostało zaproszonych prawie trzysta osób. Gdy Rosie stanęła w drzwiach, miała wrażenie, że zjawili się wszyscy spodziewani goście.

Przyszła cała ekipa - aktorzy, kierownictwo studia, a także ludzie nie związani bezpośrednio z filmem, towarzyszący swoim żonom lub znajomym, którzy rych producenci zaprosili przez grzeczność.

Z kieliszkami w dłoniach, rozmawiając z ożywieniem, tłoczyli się na największej scenie studia "Shepperton", gdzie odtworzono wielką salę zamku Middleham.

Wchodząc do m-odka, Rosie zauważyła, że miejsce wygląda trochę inaczej niż parę godzin wcześniej, gdy kończyli zdjęcia. 'Usunięto ogromne stylizowane meble, a w rogu sali niewielki zespół grał popularne melodie. Wokół rozstawiono długie, składane stoły, które przykryto białymi wykrochmalonymi obrusami. Stały na nich różne dania: wędzony łosoś, pieczone indyki i kurczaki, szynka, udka jagnięce, befsztyki, rozmaite sałatki i jarzyny, sery, a także łakocie z francuskiej cukierni oraz mus czekoladowy z bitą śmietaną do sałatek owocowych i angielskich biszkoptów. Dwa identyczne stoły złożono razem i urządzono na nich barek, który obsługiwała grupa barmanów. Kilkunastu kelnerów krążyło po sali z tacami pełnymi drinków i przekąsek. Rosie wzięła kieliszek szampana i zmieszała się z tłumem gości. Szukała Aidy oraz swoich asystentek, Fanny i Val. Po chwili dostrzegła producentkę z kimś ze studia. Aida, na widok Rosie, przeprosiła swojego rozmówcę.

Przywita ły się serdecznie.

- Wspania ły przyjęcie! - wykrzyknęła Rosie. - Gratuluję.

- Och, przecie ż nic takiego nie zrobiłam - odparła Aida. _ Zadzwoiłam tylko i zamówiłam to wszystko.

Rosie u śmiechnęła się.

- Ale ż skąd ... zorganizowałaś przyjęcie, więc nie bądź taka skromna. A propos, masz jeszcze coś w zanadru?

Aida rzuci ła zdziwione spojrzenie.

- Jak to?

- W zesz łym tygodniu przy lunchu mówiłaś mi, że myślisz o zrobieniu czegoś specjalnego ... Czegoś w rodzaju nocy sztucznych ogni.

- Mo że spalimy kukłę Margaret Ellsworth? - zaproponowała cichym głosem Fanny, która właśnie podeszła ciągnąc za sobą Val.

- Oj, nie ładnie, nieładnie - skarciła Rosie asystentkę żartobliwym tonem. Spojrzała na Aidę. - Co się stało w końcu z tą suknią? Sprzedałaś ją Maggie?

Aida pokr ęciła głową.

- Nie, podarowa łam. Ale nie mam najmniejszego pojęcia do czego, u diabła, potrzebny jej taki strój.

- Mo że zagra lady Makbet? - rzuciła Fanny. - To dla niej idealna rola.

- Albo wied żmę - dodała Val, przewracając oczami. - Do tej roli też by się świetnie nadawała.

- No, wiecie! - powiedzia ła Rosie, udając oburzenie. _ Czy to aluzja do kostiumów mojego projektu?

- Twoje kostiumy s ą wspaniałe, najwspanialsze - rzekł nagle Gavin zza pleców Rosie. Położył dłoń na jej ramieniu. Potem dodał ciszej, śmiejąc się. - Spójrz, co za kociak się zbliża.

- Wiedzia łam, że gdzieś tutaj cię znajdę, Rosie. Pewnie upijasz się szampanem? -- powiedział nagle ktoś z angielskim akcentem.

Rosie natychmiast odwr óciła się i ujrzała przed sobą Nell, pięknie umalowaną i uczesaną, w eleganckiej czarnej sukni, z perłami na szyi.

- Nelly! - wykrzykn ęła uradowana Rosie. - Jak cudownie! Przyjaciółki objęły się serdecznie. Gdy już się przywitały, Nell powiedziała: - Musiałam przyjść na to przyjęcie. To przecie ż także mój f:tlm, prawda?

- Jasne - wtr ęciła Aida, potrząsając ręką Nell. -Świetnie, że wróciłaś.

- Dzi ęki, Aido. Miło znowu widzieć was wszystkich - odparła Nell, uśmiechając się serdecznie do Fanny i Val. Je także miała na myśli.

Asystentki Rosie przywita ły ją uśmiechami i poszły w stronę barku. Aida też zamierzała ruszyć ich śladem.

- Lepiej p ójdę rzucić okiem na wszystko - wyjaśniła. - I namówię muzyków, żeby zagrali coś szybszego. A wracając do dzisiejszego święta, Rosie, rzeczywiście przygotowałam coś specjalnego.

Ale to niespodzianka. Zobaczymy się później - mówiąc te słowa, odeszła.

Gavin wziął dwa kieliszki z białym winem i podał jeden Nell. Wraz z Rosie przystanęli w rogu sali, gdzie było nieco ciszej.

Rosie czule objęła Nell ramionami.

- Świetnie, że jesteś. Kiedy przyleciałaś do Londynu?

- Przed chwilą. Z Paryża.

- Och, CQ. tam robiłaś?

- Rano miałam spotkanie w interesach. Poprzedniej nocy wraz z Johnnym Fortune przybyłam z Nowego Jorku. On planuje wiosną dać koncert w Paryżu. Francuzi go uwielbiają. Musieliśmy pogadać z jego menażerem. Gdy tylko wszystko załatwiliśmy, pojechałam na lotnisko i złapałam najbliższy samolot do Londynu.

- Jak długo zostaniesz? :- spytał Gavin.

- Tylko parę dni. Johnny przyleci w czwartek rano. W sobotę wieczorem ma koncert w Albert Hall, tak więc będę doŚ zajęta. Potem wracam do Nowego Jorku. Wcześniej muszę się jeszcze zobaczyć z ciotką Phyllis. Wyjeżdżam prawdopodobnie w poniedziałek lub wtorek.

- Miło mi to słyszeć - odparła Rosie. - Byłabym bardzo rozczarowana, gdybym nie spotkała cię tutaj. Nie widywałyśmy się ostatnio zbyt często. Cieszę się, że spędzę z tobą trochę czasu.

- Ja też, kochana. Och, zanim zapomnę, tu masz zapasowe klucze od mojego apartamentu. - Nell pogrzebała w torebce, wyciągnęła klucze i wręczyła Rosie. - Możesz czuć się tam jak u siebie w domu i nie trudź się sprzątaniami. Zostaw to Marii. Ona świetnie się wszystkim zajmie.

- Dziękuję, Nell - odrzekła Rosie, chowając klucze do torebki. Zaczęły rozmawiać o podróży do Nowego Jorku. Gavin stanął nieco z boku, by ich nie krępować.

Oparł się o ścianę i napił się wina, mając nadzieję, że wkrótce poczuje się lepiej. Nie chciał zakładać ortopedycznego kołnierza na przyjęcie, ponieważ wtedy musiałby zrezygnować z krawata. Jednak tuż przed galą poczuł ostry ból w karku, postanowił więc nie ryzykować. Ubrał się starannie, niż robił to przy podobnych okazjach. Włożył granatową jedwabną koszulę, którą rozpiął przy szyi, szare spodnie i granatową kaszmirową marynarkę. W takim ubraniu czuł się wygodnie.

Pociągając z kieliszka, obserwował ukradkiem Rosalindę Madigan, swoją najlepszą przyjaciółkę i jedyną powiernicę.

Wczesniej tego dnia zauważył, że Rosie jest bardzo blada i przemęczona. Dlatego tak się zdenerwował, gdy powiedziała mu o swoich planach, które zamierzała zrealizować zaraz po zakończeniu *Twórcy Królów*. Jednak, ku zaskoczeniu Gavina, dzisiaj Rosie wyglądała znacznie lepiej. Promieniowała energią. Znikły ciemne kręgi pod oczami, a na policzki wystąpiły rumieńce. Radował się z tej nagłej odmiany. I nagle wszystko stało się dla niego jasne.

Poszła do charakterystornii - pomyślał. - I dlatego ma teraz taką brzoskwiniową cerę.

Katie Grange, ich główna charakteryzatorka była znana ze swoich umiejętności. Potrafiła sprawić, że najbardziej zmęczony aktor wyglądał młodo i zdrowo. Z pewnością Katie użyła odpowiednich kosmetyków, które zatuszowały wszelkie oznaki przepracowania i ciągłych stresów.

Gavin, przyglądając się bacznie, stwierdził, że Rosie była z pewnością u fryzjera, bo miała pięknie ułożone włosy. Rudobrzęde gęste loki miękko układały się na jej ramionach. Widać było w tym rękę prawdziwego zawodowca, Gila Wattsa.

Gavin stwierdził z zadowoleniem, że Rosie wyglądała lepiej niż w ciągu ostatnich miesięcy. Z drugiej strony musiał przyznać, iż nie podobała mu się specjalnie jej wełniana sukienka. Była ciemnoszara i - chociaż dobrze skrojona i uszyta - o wiele za skromna dla Rosie. Historia powtarzała się od dawna - Rosie była tak bardzo pochłonięta projektowaniem strojów dla innych ludzi, że nie zwracała zbyt wiele uwagi na to, jak ubiera się sama. Gavin lubił ją najbardziej w jaskrawych kostiumach, które zwykła nosić dawniej. Najlepiej wyglądała we wszystkich odcieniach zieleni, kolorze jej dużych, wyrazistych oczu.

Gavin westchnął, rozmyślając o Rosie. Przez ostatnie lata musiała borykać się z wieloma kłopotami. Zbyt wieloma, jak na jedną osobę. Zawsze jej to powtarzał, ale go nie słuchała. Ucinała wszelkie rozmowy na ten temat. Oferował jej parokrotnie swoją pomoc. Przecież przyjaźnili się ze

sobą. Tylko że Rosie nie chciała jego pieniędzy. W ostatnich latach dużo zarobił na filmach, lecz co z tego? Rosie była taka uparta ... i dumna.

Stale odtrącała jego pomocną dłoń. Gavin w głębi duszy czuł się tym urażony, tłumiąc niechęć do tych ludzi, których Rosie wciąż nazywała swoją rodziną.

Przecież większość z nich to włóczędzy - pomyślał ze złością. Rosie była dla nich zbyt dobra. To pewne.

Rosalinda Madigan wydawała mu się najwspanialszą i najskromniejszą osobą, jaką znał. Nie miała żadnych wad. Była uprzejma, rozważna i szczodra aż do przesady. Nigdy na nikogo nie powiedziała złego słowa i zawsze starała się pomóc tym, którzy znajdowali się w dołku.

Oto główny problem - stwierdził nagle Gavin. Rosie była zbyt dobra.

Ale już od dzieciństwa przejawiała takie skłonności. Zawsze dostrzegała w ludziach to, co najlepsze. Gavin podejrzewał, że jego przyjaciółka nigdy się nie zmieni.

Rosie była typową Amerykanką, piękną jak rozwinięty kwiat, pełną życia i entuzjazmu, przyjacielską i otwartą. I w dodatku bardzo inteligentną. Cenił szczególnie jej mądrość i zapał. Mógł zwierzyć się jej ze wszystkich swoich sekretów. Zawsze doskonale go rozumiała. Nigdy nie była wobec niego złośliwa. Pomyślał z pewnym niepokojem, że może była za dobra również dla niego. W przeszłości wiele podróżowała i załatwiała sporo interesów, ale przez to nie stała się bynajmniej cyniczna ani znużona życiem. Zdobyła za to potrzebne doświadczenie i wykształciła własny styl. Gavin uważał, że w tym fascynującym, okrutnym i pełnym rywalizacji świecie show biznesu było niewielu takich ludzi.

W pewnej chwili uświadomił sobie, że zbyt uporczywie wpatruje się w Rosie i przeniósł wzrok na Nell Jeffrey.

Rosie była średniego wzrostu, mierzyła nieco ponad sto sześćdziesiąt pięć centymetrów, lecz zdawała się dużo wyższa i mocniej zbudowana, gdy stała przy kručzej i delikatnej Nell. Jasna, typowo angielska karnacja Nell i jej srebrzyście lśniące włosy sprawiały, że wyglądała jak porcelanowa laleczka. Gavin wiedział jednak dobrze, że pod tą delikatną postacią kryje się wielki upór i niezłomność. Już nieraz bystrość i trafność sądów Nell wprawiała go w zdumienie.

Niezła z niej dziewczyna - pomyślał przyglądając się jej znad okularów. Poznał ją czternaście lat temu. Przyjechała wtedy z Londynu do Nowego Jorku. Zrobiła niezwykłą karierę i stała się jedną z najbardziej znanych publicystek w Ameryce. Reprezentowała niezwykle popularnego w latach dziewięćdziesiątych piosenkarza, Johnnego Fortune, Rosie i Gavina. Poza tym współpracowała także z największymi wytwórniami filmowymi w Hollywood, znanymi gwiazdami kina, scenarzystami, reżyserami, producentami oraz wieloma znakomitymi pisarzami.

Na początku dbała o interesy kilku prestiżowych nowojorskich kompanii, gdzie nauczyła się zawodu. A potem, mając dwadzieścia siedem lat, założyła własną firmę, która w ciągu czterech lat działalności wspaniale rozkwitła. Teraz Nell dysponowała całą siecią agencji rozsianych po Stanach Zjednoczonych i Anglii.

Odnosiła sukcesy zawodowe, lecz nie znalazła szczęścia w życiu prywatnym. Podobnie jak Rosie. Gavin życzył im, by spotkały kiedyś jakichś miłych facetów i związały się z nimi na stałe.

Napił się wina. Zastanawiał się, dlaczego właściwie rozmyśla nad takimi sprawami.

Wiele lat temu Nell podkochała się w Mikeyu. Gavin wiedział o tym.

Już od dawna wydawało mu się, że dziewczyna nigdy w pełni nie doszła do siebie po tym młodzieńczym romansie. Kiedy Mikey zniknął im z oczu dwa lata temu, zupełnie dała za wygraną. W każdym razie, jeśli chodziło o mężczyzn.

Z Rosie było zupełnie inaczej.

W pewnym sensie wpadła w o wiele większe tarapaty uczuciowe niż Nell czy też on sam. Gavin jednak nie miał w tej chwili ochoty wracać myślami do tej sprawy.

Rosie ciagle pakowała się w jakieś kłopoty. Wynikało to po części z jej stylu życia. Twierdziła sama, że ma prostolinijny charakter. Gavin jednak wiedział swoje.

Słowa Nell wyrwały go z zadumy:

- Wyglądasz na bardzo przygnębionego, mój drogi. Jasne, wszyscy są trochę smutni, gdy kończy się film. Biorąc jednak pod uwagę okoliczności, powinieneś raczej czuć ulgę. Dziękować Bogu, że

masz już wszystko za sobą i o nic nie musisz się martwić, prawda? - uniosła pytająco jasne brwi.

Gavin przytaknął.

- Cieszę się, że to już koniec, Nell, wierz mi. Nie martwię się o film. . Prawdę mówiąc, myślałem właśnie o was. Dobrze by było, gdybyście przygarnęły sobie jakichś sympatycznych chłopaków ...

- Co ty, do diabła, gadasz?! - wykrzyknęła Nell, przerywając mu w pół zdania i spoglądając spode łba. - Jestem zupełnie zadowolona z obecnego życia.

- Ja tak że, Gavin - dodała Rosie - więc może oszczędź nam tych rad.

- Dobra, dobra - powiedziała ł pojednawczo. - Próbowałem zachować się tylko jak starszy brat. Nie ma co się tak unosić.

- Wiem, że miałeś najlepsze intencje - odparła Nell z uśmiechem. - Ale wyobraź sobie, że świetnie potrafimy zatroszczyć się o siebie. Jesteśmy już dorosłe. Chodźcie, napijemy się czegoś i zobaczymy, co się dzieje - Nell mrugnęła porozumiewawczo do Gavina i dodała: - Kto wie, kogo spotkamy w tym zwariowanym tłumie?

Gavin i Rosie roze śmiali się.

- Pewnie - odparł Gavin. - Przespacerujmy się trochę. Cała ekipa była naprawdę wspaniała. Chętnie napiję się z nimi. Chciałbym także podziękować im osobiście.

Przyszła pora na niespodziankę Aidy - pokaz sztucznych ogni. Impreza rozpoczęła się na tyłach studia o dziewiątej po kolacji. Wszyscy wyszli na dwór. Wykrzykiwali głośno i klaskali, gdy na ciemnym niebie pojawiały się kaskady kolorowych świateł. Ogniste fontanny, wodospady i tęcze eksplodowały jedno po drugim, oświetlając budynki studia. Ta zapierająca dech magiczna gra kolorów trwała ponad dwadzieścia minut.

Jednak najciekawsze zjawisko pozostawiono na koniec. Fajerwerki uformowały się na niebie w słowa "Twórca Królów" oraz "Gavin".

Rozległa się burza oklasków, a mocny, niski głos zaintonował piosenkę *Bo to jest r ówny chłop*. Wszyscy podchwycili ją z entuzjazmem.

Rosie spontanicznie przyłączyła się do chóru. Owacja na cześć Gavina zdawała się nie mieć końca.

- Czy nie sądzisz, że Gavin ma kłopoty małżeńskie? - spytała Nell, spoglądając bystrym wzrokiem na Rosie.

Rosie była tak zaskoczona pytaniem, że omal nie upuściła szklanki z herbatą. Milcząc wlepiła oczy w przyjaciółkę. W końcu odzyskała głos. - Skąd ci to przyszło do głowy?

Teraz z kolei Nell zamilkła na chwilę i rozsiadła się wygodniej na sofie.

Rosie patrzyła na nią, czekając na odpowiedź.

Było już późno. Minęła pierwsza w nocy. Przyjaciółki odpoczywały w apartamencie Rosie w hotelu "Athenaeum" przy Piccadilly. Przez wiele miesięcy była to siedziba większości amerykańskiej ekipy. Zatrzymała się tutaj także Nell. Zawsze, gdy odwiedzała Londyn, rezerwowała sobie pokój w tym hotelu.

Gavin odwiózł je z przyjęcia swoją limuzyną i wpadł do Rosie na drinka. Wyszedł jednak już po godzinie, tłumacząc się zmęczeniem. Rzeczywiście wyglądał na wykończonego. Jego twarz stała się nagle blada i wymizerowana. Widać było także, że przeszkadza mu plastikowy kołnierz.

- Muszę zdjąć to draństwo, wziąć tabletkę przeciwbólową i położyć się do łóżka - powiedział wychodząc.

Rosie i Nell rozmawiały dalej, dzieląc się nowinami. Po jakimś czasie Rosie poszła do małej kuchni, znajdującej się obok pokoju, i zaparzyła dzbanek herbaty.

Siedziała teraz ze szklanką w ręku, nie spuszczać wzroku z Nell. - Dlaczego tak pomyślałaś, Nell? Czemu sądzisz, że Gavin ma kłopoty z żoną? - powtórzyła.

Nell popatrzyła jej prosto w oczy i rzekła powoli niskim głosem:

- Louise nie przyszła na przyjęcie. Nigdy dotąd się to nie zdarzyło. Zawsze się zjawiała, nawet jeśli film kręcono za granicą.

- Przecie ż musiała wrócić do Kalifornii, by zrobić przedświąteczne zakupy - odparła Rosie.
- Na mi łoś boską, mamy dopiero początek listopada!
- Mo że chodziło o Święto Dziękczynienia? Nie pamiętam dokładnie .. W każdym razie spędziła tutaj dużo czasu. Bez przerwy kursowała między Londynem i Los Angeles. Jestem pewna, że wszystko jest w porządku. Poza tym Louise zajmuje się też własną karierą.

- Karier ą! Masz na myśli wysiadywanie na zebraniach instytucji charytatywnych?

Rosie spojrza ła przenikliwie na Nell. Dosłyszała kpinę w jej głosie, spytała więc:

- Dlaczego usi łujesz z niej drwić?

- Nigdy nie przepada łam za Louise Ambrose. Od samego początku, gdy zaczęła się kręcić koło Gavina. Nie mam pojęcia, co on w niej takiego widział. Louise z wiekiem robi się coraz gorsza. Moim zdaniem, ta kobieta jest po prostu głupia. Nigdy nie zrozumiem, dlaczego Gavin się z nią ożenił. Nigdy. Powinien poślubić ciebie.

- Och, przesta ń, Nell, nie zaczynaj od nowa. Dobrze wiesz, że kiedy podkochiwaliśmy się w sobie, byliśmy jeszcze parą dzieciaków ...

- On wci aż cię uwielbia.

Rosie pokr ęciła głową.

- Nonsens! On mnie ju ż nie kocha. Podobnie jak ja jego.

- Mylisz si ę. Chcesz się założyć?

- Nie.

- Boisz si ę prawdy, Rosie?

- Ani troch ę. Jednak nieco przesadziłaś, Nelly. Pracowałam z Gavinem przez ostatnie dziewięć miesięcy. Wiedziałabym raczej o jego uczuciu. Wtedy, w Nowym Jorku, gdy byliśmy tacy młodzi, durzyliśmy się tylko w sobie. Miłość to zbyt wielkie słowo na tamtą historię.

- Pos łuchaj, co ci powie twoja mała Nell. Gavin nazywa cię aniołem i zawsze mówi o tobie z wielką czułością. Poza tym znam cię dobrze i nigdy mnie nie nabierzesz. Kochałaś się w nim, Rosie, sama mi o tym mówiłaś. Pamiętam bardzo dobrze, jak ci wtedy zawrócił w głowie. Nie mogłaś nawet jasno myśleć. A Gavin odwzajemniał twoje uczucia. Kochał cię i kocha nadal.

- Nell, nie b ądz śmieszna. Przecież czułabym to.

- Nie s ądzę. Jesteś tak cholernie zajęta pracą.

- Prosz ę, daj spokój. Jestem zmęczona - odparła Rosie błagalnym tonem.

- Ja tak że. Posłuchaj ... wracając do sprawy, naprawdę myślę, że Gavin nie jest szczęśliwy z Louise.

- Przeciwnie. Wiele razy widzia łam ich razem podczas kręcenia tego filmu. Gavin wciąż adoruje Louise, podziwia ją tak jak dawniej.

- Jest przecie ż aktorem. Potrafi udawać.

Rosie zmarszczy ła czoło, lecz nie odezwała się. Po chwili odparła stanowczym głosem:

- Nadal nie da łaś mi żadnego sensownego wyjaśnienia, dlaczego myślisz, że ich małżeństwo przeżywa kryzys. Czy wiesz coś, o czym ja nie wiem?

- Nie. Dobra, zapomnijmy o tym - rzek ła Nell pospiesznie i wzruszyła ramionami, posyłając jednocześnie Rosie przeprasający uśmiech.

Zapad ła cisza.

- Pos łuchaj, Rosie - powiedziała w końcu Nell- miałam tylko takie nie jasne wrażenie. Tak jak już mówiłam, strasznie dziwne wydało mi się to, że Louise nie przyszła na przyjęcie. Zawsze czyniła wszystko, żeby przyjechać, nawet z daleka, gdy Gavin kończył jakiś film - Nell pokiwała głową. - Robiła niewiarygodne zamieszanie. Pomyślałam o niej dzisiaj, ponieważ jej nie było. Nie przesłała nawet gratulacji. A znasz ją przecie ż ... zawsze lubiła robić wszystko na pokaz. Może chciała ukarać Gavina? *Tw órca Królów* to jego najwi ększe osiągnięcie.

Rosie pokiwa ła głową.

- Tak - powiedzia ła po namyśle. - Ale to jeszcze nie powód, by twierdzić, że mają jakieś kłopoty, prawda?

Nell westchn ęła cicho.

- Jasne, że nie. Więc lepiej zmieńmy temat, Rosie. Może po prostu coś mi się ubzdurało - Nell

wstała i dodała szybko: - Chodźmy już lepiej spać. - Muszę wcześniej wstać - mruknęła Rosie, stawiając szklankę na stoliku.

Odprowadziła Nell do drzwi.

- Gavin nie ma żadnych kłopotów z Louise - zapewniła ją. - Wiedziałabym o tym.

Nie, nie wiedziałabyś - pomyślała Nell. - Gavin nigdy nie powiedziałby ci, co czuje. Nie zdobyłby się na to.

Nell pocałowała Rosie w policzek.

- Dobranoc. Zobaczymy się jutro. Jadę rano do studia "Shepperton", żeby przejrzeć zdjęcia, które wczoraj zrobił w zeszłym tygodniu. Będę tam cały dzień. Muszę przygotować projekty na okładki kilku czasopism. - Może zjemy razem lunch?

- Chętnie. No to na razie, Rosie.

- Śpij dobrze, Nell.

Rosie zamknęła drzwi i powlokła się powoli do sypialni, myśląc o tym, co mówiła Nell. Wszystko wydawało jej się takie dziwne.

4

Był piękny słoneczny dzień. Na błękitnym niebie nie widać było ani jednej chmurki. Jednak: w listopadzie słońce nie grzało już tak bardzo. Tego sobotniego poranka zdawało się wisieć nieruchomo nad Park Avenue.

Rosie szła szybkim krokiem, radując się z powrotu do Nowego Jorku.

Pogrążyła się we wspomnieniach o przyjemnych wydarzeniach w jej życiu. Dzięki nim zniknęły, przynajmniej chwilowo, drobne niepokoje. Ulotniły się w cudowny sposób, gdy postawiła stopę na amerykańskiej ziemi. Chciała nacieszyć się tymi paroma tygodniami, które miała tutaj spędzić. Nic nie mogło zepsuć jej pierwszych, po dwóch latach przerwy, odwiedzin rodzinnego miasta.

Przyleciała z Londynu concordem trzy godziny wcześniej. Lot przez Atlantyk trwał zaskakująco krótko - ledwie cztery godziny. Bilet na naddźwiękowy samolot kupił jej Gavin. Dosłownie zmusił Rosie do przyjęcia tego prezentu. Jak: zwykle wzbierała się, lecz w końcu dała się namówić. Gavin powiedział, że latanie concordem nie jest żadnym luksusem, lecz zwykłą oszczędnością cennego czasu. Rosie musiała przyznać mu rację.

Samolot wylądował o dziewiątej trzydziści. Odprawa paszportowa nie trwała zbyt długo. Już parę minut po jedenastej Rosie znalazła się w apartamencie Nell przy Park Avenue. Rozpakowała się i zrobiła świeży makijaż, a potem rozkoszowała się gorącą herbatą, którą zrobiła jej gospośnia Nell - Maria. Maria nalegała, by Rosie napiła się czegoś przed wyjściem z domu w tak chłodny dzień.

Rosie postanowiła też ubrać się cieplej. Zdjęła czarny kostium i włożyła zielone wełniane spodnie, brązowy golf oraz swoje ulubione kowbojskie buty z miękkiej ciemnobrązowej skóry. Na wierzch narzuciła długi płaszcz z peleryną. Parę lat wcześniej kupiła go w Monachium i podszyla kaszmirem, żeby był cieplejszy. Najbardziej podobała jej się jednak peleryna.

Wychodząc z domu miała zamiar złapać taksówkę, lecz na świeżym powietrzu, po paru godzinach spędzonych w samolocie, poczuła się tak dobrze, że w końcu postanowiła się przejść.

Zatrzymała się na chwilę i spojrzała na Park Avenue.

Powietrze było tak przejrzyste, że z łatwością mogła dostrzec biurowiec [mny "Pan Am". Mimo iż często przebywała w Paryżu i podziwiała to piękne, pełne uroku miasto, lecz w Nowym Jorku czuła się jak w domu. Podobnego uczucia nie zaznała w żadnym innym mieście na świecie.

Taksówkarz wiozł ją wcześniej z lotniska Kennedy'ego przez most będący przedłużeniem Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy. Opuścili Long Island i kiedy Rosie wyjrzała przez okno, wprost zaparło jej dech.

Po drugiej stronie East River ujrzała błyszczące w słońcu wieżowce, wznoszące się jak gigantyczna ściana skalna. Za nimi widać było olbrzymie biurowce Manhattanu. Wśród nich wyróżniał się Empire State oraz budynki "Chryslera" ze strzelistą wieżą. Te przeogromne drapacze chmur, sięgające wysoko ku lazurowemu niebu, tworzyły potężne kaniony ze stali, szkła i betonu. Nigdy jeszcze nie zrobiły na Rosie tak wielkiego wrażenia, jak dzisiaj. W jasnych promieniach porannego słońca Manhattan wyglądał jak ogromna rzeźba z kruszcu, jak fragment olbrzymiego,

nieziemskiego zamku.

Rosie zawsze uważyła, że Nowy Jork jest nie tylko piękny, lecz także ekscytujący. Zwłaszcza dla ludzi utalentowanych, ambitnych, no i szczęśliwych. Jej brat z kolei porównywał to miasto do Sodomy i Gomory. Może dlatego, że już w dzieciństwie poznał jego ciemne strony. Zdawał sobie sprawę, że życie tu bywa twarde i brutalne. Nie brakło tu nędzy i okrucieństwa. Obok ludzi sukcesu, pływających się w dostatku, w Nowym Jorku można było spotkać wielu bezdomnych nieszczęśliwców.

Myśląc o Kevinie, Rosie poczuła niepokój. Zaciśnęła usta. Brat nie odpowiadał na jej telefony. Była to jedyna sprawa, która zakłócała jej radość z powrotu do Nowego Jorku. Przez cały ostatni tydzień dzwoniła do niego codziennie. Zostawiła mu na automatycznej sekretarce numer swojego telefonu w Londynie, a potem, gdy zbliżała się pora wyjazdu, numer do mieszkania Nell.

Jednak Kevin nie odezwał się. To zaniepokoiło Rosie naprawdę. Przed wyjściem od Nell zadzwoniła do niego jeszcze raz i nagrała wiadomość:

"Kevin, proszę, odezwij się. Chcę dowiedzieć się, czy wszystko u ciebie w porządku. Zaczynam się martwić." Potem podała mu jeszcze raz telefon do siebie.

Pewnie da znać jeszcze dzisiaj - pomyślała, starając się w to wierzyć. Szła coraz szybciej przez park. Peleryna powiewała wokół niej jak sztandar. Włosy miedzianego koloru, błyszczące w słońcu, wyglądały z daleka jak płomień okalający jej głowę.

Wielu mężczyzn oglądało się za Rosie pożądliwie. Kilka przechodzących kobiet spojrzało na nią z podziwem. Rosie nie zdawała sobie sprawy, że jej oryginalna uroda przyciąga uwagę. Nigdy nie była próżna. Ostatnio tak bardzo pochłaniała ją praca i inne obowiązki, że nie miała czasu wystawać przed lustrem.

To Fanny wpadła na pomysł, by Rosie zrobiła się na bóstwo na ostatnie przyjęcie. Na dobrą sprawę obie asystentki siłą zaciągnęły Rosie do charakteryzatorki. Uległa im w końcu po tym, jak Val powiedziała jej, że wygląda na okropnie zmęczoną. Gavin także jej to wypominał. Nie miała ochoty wysłuchiwać jego narzekań i ciekawych uwag pod adresem Collie i Guy. Ich bowiem Gavin winił za to, że Rosie pracuje bez wytchnienia. Uważał też, że to oni są przyczyną większości jej zmartwień.

Rosie doszła do Sześćdziesiątej Ulicy, skręciła w prawo i ruszyła dalej.

Minęła hotel "Mayfair Regent", do którego często wpadała na popołudniową herbatę, i "Le Cirque", jedną z jej ulubionych restauracji, a potem skierowała się w stronę Madison Avenue.

Lubiła tę aleję tak bardzo, jak Faubourg St.-Honoré w Paryżu, Bond Street w Londynie czy Rodeo Drive w Beverly Hills. Przy Madison Avenue znajdowało się mnóstwo eleganckich sklepów i butików, pełnych modnych i szykownych strojów oraz wymyślnych dodatków, które cieszyły oko Rosie. Była przecież kostiumologiem i miała bardzo rozwinięte poczucie piękna. Tego ranka zamierzała jedynie rzucić okiem na wystawy przy tej ulicy. Planowała bowiem rozpocząć świąteczne zakupy w "Bergdorf Goodman".

Był dziewiąty listopada, lecz w mieście czuło się już atmosferę świąt Bożego Narodzenia. Sprawiały to wystawy sklepowe oraz sznury kolorowych żarówek rozwieszane nad ulicami Manhattanu.

Pięta Aleja została przyozdobiona szczególnie bogato. Rosie zauważyła to, gdy skręciła z Sześćdziesiątej Piątej Ulicy. Uśmiechnęła się pod nosem, idąc w stronę domu handlowego. Przypomniała sobie, jak bardzo cieszyła się jako dziecko, wyczuwając wokół ów specyficzny świąteczny nastrój. Matka co roku zabierała ją ze sobą na zakupy, by pokazać jej wspaniałe dekoracje.

Uwielbiała wtedy patrzeć w okna wystawowe, zwłaszcza te u "Lorda i Taylora". Dekorowano je w sposób pomysłowy i fantazyjny. Bardzo mocno działały na jej wyobraźnię. Najczęściej ustawiano sceny religijne lub bajkowe. Kolorowe postacie przyciągały wzrok dzieci i wszystkich ludzi o wrażliwych sercach. Rosie doskonale pamiętała, jak stała z nosem przyklejonym do szyby, zafascynowana tym, co widziała. Dosłownie pożerała wszystko oczami.

Co roku urzekało ją coś innego: scena narodzin Jezusa, Maria i Józef, Dzieciątko ... a także święty Mikołaj wchodzący do domów przez kominy z workiem pełnym zabawek lub jadący saniami

zaprzężonymi w renifery ... Podziwiała również sceny z baletu *Jeziro łabędzie* z poruszającymi się tancerkami i inne cuda. Uwagę małej Rosie przyciągały także sceny z jej ulubionych bajek: Kopciuszek siedzący w szklanym powozie, Śpiąca Królowna w przezroczystej trumnie oraz Jaś i Małgosia w domku z pierników.

Pamiętała to wszystko jak dziś. Jej matka zachwycała się zawsze tak jak ona. Któregoś dnia, gdy nacieszyły już oczy widokiem kolorowych cudów, matka zabrała Rosie na lunch. Chodziły najchętniej do restauracji "Birdcage", gdzie Rosie raz w roku mogła wybierać wszystko, co chciała. Poprosiła wtedy na deser o krem bananowy. Jej matka, która zawsze wszystkim powtarzała, że musi dbać o linię, także kazała sobie podać jedną porcję.

Matka zmarła, kiedy Rosie skończyła czternaście lat. Dzień po pogrzebie - a była to sobota - Rosie sama poszła na lunch do "Birdcage". Chciała zatrzymać przeszłość, sprawić, by jej matka ożyła. To dlatego pojechała wtedy na Manhattan. Jednak miała tak ściśnięte gardło, że nie była w stanie przełknąć czegokolwiek, nawet deseru. Siedziała więc, patrząc na nietknięty krem bananowy, a łzy spływały jej po policzkach - w czuła niemiłosierny ból i tęsknotę za matką.

Często o niej myślała, właściwie każdego dnia, w ciągu tych siedemnastu lat, które upłynęły od śmierci matki. Matka była częściej samej. Rosie na zawsze zachowała ją w swoim sercu. Wiedziała, że póki ona sama będzie żyła, pamięć o matce nie zginie. Zachowała we wspomnieniach wszystkie te cudowne chwile z dzieciństwa i to dodawało jej siły, gdy czuła się samotna lub przygnębiona. Dopiero teraz doceniała, jak wielkie szczęście spotkało ją i Kevina, ponieważ otrzymali w dzieciństwie tyle miłości.

Rosie zastanawiała się, gdzie Kevin spędzi święta Bożego Narodzenia.

Myślała też o Gavinie, Guy, Remi, Kirze i o swojej najdroższej przyjaciółce, Nell. Twarze ich wszystkich stały jej przed oczami, gdy przechodziła przez Pięćdziesiątą Ulicę, a potem przez mały plac naprzeciwko hotelu, by wejść do słynnego domu handlowego.

Lejąc concordem przez Atlantyki, jej siostry zrobiła listę zakupów. Miała zamiar kupić coś specjalnego dla Lisette, Collie oraz Yvonne, które mieszkały na wsi i nie bywały w eleganckich sklepach. Po godzinie kręcenia się wśród różnych stoisk wybrała kremowy jedwabny szal dla Collie, obszyty złotymi frędzlami, z wyhaftowanym pośrodku pawiem. Jego olbrzymi ogon rozpościerał się jak wachlarz i mienił połyskującymi barwami - błękitem, zielenią i złotem. Na innym stoisku Rosie znalazła niezwykłą parę kolczyków w kształcie kwiatów, ozdobionych kryształami górskimi. Kupiła je dla Yvonne. Potem wyszła od "Bergdorfa" i poszła Piątą Aleją do "Saksa". Zerknęła po drodze na wystawy, ale nie zatrzymywała się - szła jak zwykle energicznym krokiem. Gdy dotarła do sklepu, skierowała się prosto do działu dziecięcego. Minął kwadrans, nim znalazła tam elegancką sukienkę dla Lisette, uszytą z pięknego, zielonego aksamitu, z białymi, koronkowymi mankietami i kołnierzem. Suknia przypominała w stylu niektóre stroje wiktoriańskie. Rosie wiedziała, że pięcioletnia Lisette będzie w niej wyglądać uroczo. Prezent okazał się kosztowny, lecz Rosie niezbyt się tym przejęła.

Wyszła ze sklepu i zauważyła, że zrobiło się chłodniej. Wiał zimny wiatr i Rosie owinęła się peleryną. Mijając kościół Świętego Patryka poczuła nagłą chęć, by wejść do środka. przystanąła na chwilę, spoglądając na neogotyckie fasady. Jednakże rozmyśliła się. Chciała jak najszybciej skończyć zakupy i wrócić do domu. Była ciekawa, czy przypadkiem nie dzwonił Kevin.

Zamierzała jeszcze wpaść do butików "Gap" i "Banana Republic", które znajdowały się przy Lexington. Były to najlepsze magazyny z koszulkami i dżinsami. Rosie chciała sprawić Collie i Yvonne jeszcze parę niespodzianek. Sama w weekendy ubierała się w te typowo amerykańskie ciuchy. Wkładała wtedy do nich białe wełniane skarpetki i wygodne tenisówki. Collie i Yvonne chciały koniecznie ubierać się tak jak ona. Rosie nie miała czasu na zakupy, gdy była w Paryżu, postanowiła nadrobić teraz zaległości. Wyobrażała już sobie stosy pięknie zapakowanych podarunków leżących pod wielką choinką w olbrzymim domu w Montfleurie.

5

Nieco później tego popołudnia Rosie błąkała się po mieszkaniu, czekając na telefon od Kevina. Zauważyła, że niewiele zmieniło się od czasu, gdy była tutaj ostatnim razem dwa lata temu.

Właściwie wszystko wyglądało tak jak zawsze.

Pierwszy raz trafiła do tego mieszkania w 1977 roku. Wiosną tego roku Rosie poznała Nell i od razu obie przypadły sobie do gustu. Może wyczuły, że mają podobne charaktery i w równym stopniu cenią sobie niezależność. Wkrótce potem nowa przyjaciółka zaprosiła Rosie do siebie na niedzielny obiad.

Od pierwszej chwili, gdy Rosie przestąpiła próg tego dużego, pełnego zakamarków mieszkania przy Park Avenue, poczuła się jak u siebie. Poznała natychmiast, że osoba, która urządziła ten dom, znała się dobrze na antykach i miała spore doświadczenie w urządzaniu wnętrz.

Osobą tą okazała się ciotka Nell, Phyllis. Phyllis zamieszkała z dziesięcioletnią Nell i jej ojcem, gdy matka Nell, Helena Treadles Jeffrey, zmarła na raka mózgu. W sierpniu 1976 roku, kiedy Adam Jeffrey, ojciec Nell, został amerykańskim korespondentem gazety *London Morning News* i miał przenieść się do Nowego Jorku, jego siostra Phyllis postanowiła jechać razem z nim. Szybko znalazła odpowiednie mieszkanie i zaczęła je urządzać. Gdy Nell przyjechała tam w czasie Bożego Narodzenia, porzucając na dobre swoją angielską szkołę, apartament był już gotowy. Wyglądał zupełnie tak samo, jak wygodne mieszkanie, które pozostawili w Londynie.

Podczas pierwszej wizyty Rosie Nell powiedziała jej, że większość tych wspaniałych antycznych mebli i bibelotów zabrali ze swego mieszkania w Chelsea. Dodała także, że wyborem najpiękniejszych tapet, francuskich jedwabi na zasłony i angielskich obiciowych brokatów zajęła się osobiście ciotka Phyllis. W Londynie Phyllis była uznaną dekoratorką wnętrz.

W 1979 roku Adam Jeffrey zmarł nagle na atak serca, mając pięćdziesiąt dwa lata. Nell razem z ciotką pozostała w Nowym Jorku. Phyllis pracowała tutaj nadal w swoim zawodzie i zyskała dość liczną i bogatą klientelę. Gdy Nell skończyła dwadzieścia trzy lata, ciotka postanowiła w końcu wrócić do Londynu na stałe i zostawić swoją bratanicę w Stanach.

Nell znalazła dobre zajęcie w Nowym Jorku i poznała wielu przyjaciół. Nic więc dziwnego, że nie miała ochoty opuszczać Manhattanu, gdzie mieszkała już od sześciu lat. Ojciec zapisał jej w testamencie apartament przy Park Avenue. Mieszkała tam do tej pory, niewiele zmieniając w wystroju wnętrza. Miejsce podobało jej się takie, jakie było.

Najładniejsza i najbardziej przytulna wydała się Rosie mała biblioteka, którą przed laty z wielką troską zaprojektowała ciotka Phyllis. Ściany pokryte były prążkowanymi tapetami morelowego koloru. Na podłodze leżał czarno-zielono-żółty dywan, zasłony uszyto z kolorowego, kwiecistego perkalu. Tym samym materiałem była obita sofa. Przy jednej ścianie stały długie, malowane na biało regały pełne książek i stylowych figurek przedstawiających różne zwierzęta. Czasopisma i gazety leżały na kilku niewielkich stolikach.

Rosie weszła tam o piątej z filiżanką herbaty. Włączyła radio, usiadła na sofie i zatopiła się w lekturze *New York Times*. Gdy skończyła czytać, dopiła herbatę, ułożyła się wygodnie, zamknęła oczy i pograżyła w rozmyśleniach. Modliła się w duchu, żeby Kevin zadzwonił jeszcze tego dnia. Sprawdziła automatyczną sekretarkę zaraz po powrocie z zakupów. Ku jej wielkiemu rozczarowaniu nikt jednak nie nagrał żadnej wiadomości.

Ukołysana cichą muzyką płynącą z radia Rosie zapadła w drzemkę. Po jakichś dwudziestu minutach obudziła się jednak nagle, zupełnie dezorientowana. Usiadła, próbując uprzytomnić sobie, gdzie się znajduje. Dopiero po paru sekundach zdała sobie sprawę, że jest w mieszkaniu Nell w Nowym Jorku.

Otrząsnęła się ze snu i wstała. Zaniósła filiżankę i spodeczek do kuchni, umyła je i wytarła, po czym włożyła z powrotem do szafki.

Stanęła po środku obszernej, niebiesko-białej kuchni, wahając się przez chwilę. Wreszcie podeszła do lodówki i zajrzała do środka, zastanawiając się, co też Maria dla niej zostawiła. W rondelku znalazła potrawkę wołową z jarzynami przykrytą szklaną pokrywką, a na niższej półce kurczaka, różne sałatki, ciasta i rozmaite gatunki sera. Maria, która miała wolny weekend, zadbała, by Rosie nie głodowała podczas jej nieobecności. Rosie uśmiechnęła się. Nawet jeśli jej brat nie zadzwoni, nie będzie się czuła tutaj tak źle. Zamierzała posilić się nieco, a potem pooglądać telewizję.

O wpół do siódmej powrócił dawny niepokój. Już miała znowu zadzwonić do Kevina, gdy nagle

odezwał się telefon. podniosła słuchawkę, mając nadzieję, że usłyszy jego głos. Nie zawiodła się. _ Przepraszam, Rosie, ale nie mogłem zadzwonić wcześniej - wyjaśnił, gdy już się przywitani. - Nie było mnie cały tydzień. Rozumiesz ... praca. _ Jasne, Kevin _ odparła pospiesznie. Była tak szczęśliwa, że nieomal natychmiast zapomniała o nerwowym wyczekiwaniu na telefon. _ Sądzę, że się zobaczymy. Czy masz jeszcze coś do załatwienia?

Kevin zawahał się przez ułamek sekundy, zanim odpowiedział:

_ Hm ... nie. Chętnie się z tobą spotkam. Prawdę mówiąc, nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę.

_ W takim razie kiedy, Kev?

_ Może dzisiaj? Jesteś wolna?

_ Oczywiście. Gdzie się umówimy? A może masz ochotę wpaść tutaj?

_ Nie, wybierzmy się gdzieś. Spotkajmy się u Jimmy'ego, dobrze?

_ Jak. za starych dobrych czasów! - wykrzyknęła Rosie śmiejąc się.

Kevin również zdawał się rozbawiony.

_ Proponuję spotkanie o wpół do ósmej. Nie za wcześnie?

_ Ani trochę, braciszku. Do zobaczenia za godzinę.

Rosie odłożyła słuchawkę i pobiegła do sypialni poprawić makijaż i uczesać się. Kevin pewnie zbeształby ją, gdyby się zorientował, że Rosie pracuje zbyt ciężko. Wolała tego uniknąć.

6

Kevin Madigan stał oparty plecami o bar w irlandzkim pubie Jimmy'ego Neary i spoglądał na drzwi.

W takiej pozycji zastała go Rosie, gdy weszła do środka. Uśmiechnął się szeroko, kiedy do niego pomachała.

Padła mu w ramiona i oboje uściskali się serdecznie. Już od dzieciństwa czuli się sobie bliscy. Kevin zawsze ochraniał siostrę, a ona służyła mu mądrymi radami. Nawet kiedy była jeszcze małą dziewczynką, zawsze radziła mu, jak postąpić. Śmierć matki zbliżyła ich jeszcze bardziej. Czuli się ze sobą bezpieczniej.

Kevin pojechał do Londynu na zaproszenie Gavina w trakcie pracy nad *Twórcą Królów*. Podczas tego tygodnia spędzonego w Anglii często widywał się z Rosie. Od tamtego czasu minęło już jednak pół roku i oboje uświadomili sobie nagle, jak bardzo się za sobą stęsknili.

Kevin uwaźnie przyjrzał się Rosie.

- Wyglądasz wspaniale, siostrzyczko.

- Ty tak że.

- Czego się napijesz?

- Poproś się o wódkę z tonikiem - odparła i wsunęła mu rękę pod ramię.

Z radością spoglądała na jego pogodną twarz. Kamień spadł jej z serca - brat wyglądał całkiem zdrowo. Odetchnęła z ulgą. Wcześniej zamartwiała się o Kevina. Podejrzewała, że zawsze będzie on przedmiotem jej troski. Łączyły ich przecież więzy krwi.

Siedzieli przy barze popijając koktajle. Cieszyli się ze spotkania. Sam Jimmy Neary przyszedł w końcu, aby przywitać się z Rosie, której nie widział od paru lat. Po krótkiej, wesołej pogawędce zaprowadził ich do ulubionego stolika Kevina na tyłach sali.

Kiedy usiedli i zamówili kolację, Rosie utkwiała oczy w Kevinie i stwierdziła:

- Szkoda, że tego nie nuciłeś.

- Czego? - spytał zdziwiony, krojąc bułkę i smarując ją masłem.

- Szkoda, że nie przestałeś być gliną.

Kevin spojrział na nią zdumiony.

- I ty to mówisz, Rosalindo Frances Madigan? Przecież niemal wszyscy mężczyźni z naszej

rodziny pracowali w nowojorskiej policji. - I z tego powodu paru z nich rozstało się z życiem - powiedziała cicho. - Nasz ojciec także.

- Wiem, wiem, ale ja należą do czwartego pokolenia tej irlandzko-amerykańskiej rodziny gliniarzy. Nie ma siły żebym zrezygnował z tej roboty, Rosie. Nie wiedziałbym co ze sobą robić. Widać ta profesja już mi pisana.

- Och, Kevinie, nie wiem, czy wyraziłam się jasno. Nie chciałam mówić, żebyś wystąpił z policji. Nie powinieneś tylko pracować jako tajniak. To takie niebezpieczne.

- Samo życie jest niebezpieczne, siostrzyczko. Mogę zginąć przechodząc przez ulicę, jadąc samochodem czy lecąc samolotem. Albo zakrztusić się jedzeniem, zachorować lub umrzeć na atak serca ... - Kevin umilkł nagle. Popatrzył na Rosie wymownie i wruszył szerokimi ramionami nieomal nonszalancko. - Wiele ludzi ginie każdego dnia, Rosie. Nie tylko tajniacy. Teraz nawet dzieciaki bawią się prawdziwą bronią i strzelają, gdzie popadnie. Wiem, że kochasz to miasto podobnie jak ja, ale ono jest chore. Coraz więcej tutaj gwałtu i przemocy.

- Nie chcę, żebyś zginął tak jak ojciec - upierała się Rosie.

- Wiem ... On był tylko zwykłym detektywem i wykonywał czarną robotę. Można powiedzieć, że działał na własną rękę. Wplątał się w paskudną historię. Nadepnął na odcisk tym z ...

- ... z mafii? - dokończyła Rosie.

- Mów ciszej - rzucił Kevin, ostrożnie rozglądając się wokół, chociaż wiedział, że nie ma większych powodów do obaw. Znajdowali się przecież w bezpiecznym rejonie East Side, niedaleko Pierwszej Alei, o rzut kamieniem od placu Sutton. Jednak Kevin miał już swoje nawyki i nic na to nie umiał poradzić. Przez trzynaście lat pracy w policji zrobił się wyjątkowo ostrożny. To dlatego zawsze siadał przy ścianie twarzą do drzwi, gdy znajdował się w miejscach publicznych. Nie mógł pozwolić na to, by ktoś zaskoczył go od tyłu.

Pochylił się nad świeczką stojącą na szklanej, czerwonej podstawie i szepnął:

- Być może ojca dopadła mafia, ale nigdy tego nie udowodniono. Sam do tej pory nie jestem tego pewien, ani nikt inny, nawet jego współpracownik, Jerry Shaw; Jednak mafiosi nie mają zwyczaju strzelać do glin, na miłość boską! To nie leży w ich interesie. Chyba mnie rozumiesz? Wolą ich przekupić i mieć na swoje zawołanie. Mądrzy faceci wolą szastać gotówką niż strzelać do ludzi.

- Pewnie masz rację - odparła Rosie z ociąganiem. - Nieuczciwy policjant jest dla nich więcej wart niż martwy ... Ale to marna pociecha. - To prawda.

- Wci aż myślę, że lepiej by było, gdybyś nie włóczył się tyle po ulicach. Czy nie mógłbyś wziąć jakiejś papierkowej roboty?

Kevin odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem, najwyraźniej wielce ubawiony jej sugestią.

- Och, Rosie, Rosie - wykrztusił wreszcie zachrypłym głosem, gdy się uspokoił. - Mógłbym, ale nie zrobię tego. Uczciwie ci mówię ... Nie mam na to ochoty. Uwielbiam swoje dotychczasowe zajęcie. O rany, Rosie, to przecież całe moje życie.

- Całe dni spędzasz tropiąc morderców, oszustów, kryminalistów i handlarzy narkotyków. To cholernie niebezpieczne i brutalne typy. I to nazywasz ciekawym życiem?

Kevin milczał.

- Odpowiedz, proszę - nalegała.

- Jasne, to banda pieprzonych łajdaków. Dobrze wiesz, że naprawdę tak sądzę! - rzekł Kevin ostrym głosem, starając się jednak nie ściągać na siebie uwagi. - Po chwili ciszy dodał: - Posłuchaj mnie, Rosie. Obecnie większość przestępstw dotyczy narkotyków. Nienawidzę handlarzy ... tak jak inni gliniarze. Te sukinsyny wciągają w ścianie nawet małe dzieci, byle tylko zarobić. Sprzedają heroinę i kokainę przed szkołami, namawiając siedmiolatki. Rozumiesz, Rosie? Siedmioletnie dzieci! Nie mają żadnych skrupułów! Moja praca polega na tym, by zniszczyć tych szakali. Chcę postawić ich przed sądem i wpakować za kratki. Dostają po pięć lat, czasami więcej, w zależności od przestępstwa. I na szczęście nie mają prawa do zwolnień warunkowych. Dzięki Bogu. Osobiście żałuję, że nie możemy ich zamknąć na zawsze. - Usta Kevina zacisnęły się, a twarz nabrała

surowego wyrazu. Wyglądał w tej chwili o wiele poważniej. - Ta praca jest dla mnie czymś bardzo ważnym, Rosie. Mam nadzieję, że zrobię coś dobrego dla świata. W każdym razie, to jedyny sposób, ale nie zwariował - zakończył. Wyciągnął rękę i uściśnął szczupłą dłoń siostry.

Rosie pochyliła głowę, wiedząc dobrze, co Kevin miał na myśli. Jak mogła się spodziewać, że Kevin zmieni pracę? To niemądre z jej strony. Kevin był taki sam jak ojciec. Żył swoją pracą. W ciągu ostatnich sześciu lat przecierpiał wiele. A wszystko przez Sunny.

Ta piękna złotowłosa dziewczyna stała się ofiarą narkotyków, które zżarły jej mózg. Dlatego znalazła się w szpitalu psychiatrycznym pogrążona w katatonii. Biedna, zagubiona dusza. Stracona dla wszystkich - dla Rosie i dla Kevina, który tak bardzo ją kochał.

Sunny nigdy już nie dojdzie do siebie, nigdy nie będzie taka jak dawniej. Stała się wegetującą rośliną, przykutą do łóżka w domu w New Heaven, gdzie opiekowały się nią dwie siostry i brat. Trzymanie jej u siebie kosztowało majątek. PoWiedzieli kiedyś Rosie, że nie mogli znieść myśli, że Sunny pozostanie na zawsze odcięta od świata w jakimś koszmarnym szpitalu dla obłąkanych.

Rosie zawsze sądziła, że Kevin i Sunny pobiorą się. I pewnie tak by się stało, gdyby narkotyki nie zmieniły Sunny w upiora. Nikt nie wiedział, jak się w to wpakowała. Kiedy spróbowała pierwszy raz? Jak to się stało, że wpadła w uzależnienie? A potem już zrobiło się za późno, by ją uratować. Lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte były erą narkotyków, która pochłonęła wiele ofiar. Na każdym kroku sprzedawano haszysz, heroinę, kokainę albo inne prochy. Szaleńcy mieszała ćpanie z alkoholem. To najczęściej kończyło się śmiercią.

Może stałoby się lepiej, gdyby Sunny Polański zmarła, niż egzystowała w tak beznadziejny sposób - pomyślała Rosie i poczuła jak przebiega ją dreszcz.

Samej Rosie nigdy nie cięgnęło do narkotyków. Tylko raz wiele lat temu spróbowała zaciągnąć się parę razy trawką i natychmiast dostała rozstroju żołądka. Gavin okropnie się wtedy zdenerwował - rzecz miała miejsce na przyjęciu, na które przyszli razem. Potem przez wiele dni prawil jej kazania o pladze narkomanii. Wiedziała zresztą, że Gavin ma rację. A biedna Sunny nie przeczuła w porę zagrożenia.

- My ślisz o Sunny, prawda? - spytał Kevin cicho, jakby czytał w jej myślach.

- Tak - przyznała Rosie. Zawahała się przez moment i zadała pytanie: - Kiedy widziałeś ją ostatni raz, Kev? ~ Trzy miesiące temu.

- Jak się czuje?

- Ci się tak samo. Nic się nie zmieniło.

- Pomyślałam, że mogłabym pojechać do New Heaven, zanim wrócę do Europy ...

- Nie! - krzyknął Kevin trochę zbyt ostro, a potem smutno pokręcił głową. - Przepraszam, nie chcę cię do niczego zmuszać, ale nie powinnaś jechać do Sunny. Ona cię nawet nie pozna, Rosie. Załamiesz się tylko. To nie ma sensu.

Rosie nie odpowiedziała, wiedząc, że lepiej nie sprzeczać się z Kevinem. Może rzeczywiście lepiej, żeby nie jechała do Sunny? Jakie znaczenie miałyby jej odwiedziny dla tej biednej istoty? Sunny była zupełnie otepiąta. Dla niej odwiedziny dawnej przyjaciółki nie miałyby żadnego znaczenia, jedynie Rosie martwiłaby się bez końca, gdyby zobaczyła ją w tak żalnym stanie. Stałaby twarzą w twarz z kolejnym problemem, którego nie potrafiła rozwiązać. A już i tak miała ich zbyt dużo.

Napiła się wody, wyprostowała na krześle i posłała Kevinowi słaby uśmiech. On także się uśmiechnął. Jednak w jego oczach czaił się ból i smutek.

Rosie wiedziała, że jej brat dźwiga ogromny ciężar. Stłumiła westchnienie, żałując, że nie może mu pomóc.

Kevin był mocny i odważny. Nie poddawał się przeciwnościom losu. Przyglądając mu się uważnie, Rosie doszła do wniosku, że tragiczne przejścia z Sunny nie odbiły się źle na jego wyglądzie. Miał wYStarczająco dużo siły, by pracować jako tajny agent. Byłjednym najprzystojniejszych mężczyzn, jakich znała. Mocno zbudowany i bardzo męski, o urodzie gwiazdora filmowego.

Tego wieczora mogła wyraźnie zauważyć jego podobieństwo do matki. Moira Madigan jako młoda dziewczyna przyjechała z Dublina do Nowego Jorku. Jej panieńskie nazwisko brzmiało:

Costello. "Jestem czarnowłosą Irlandką" -powtarzała wciąż dzieciom, dumna ze swojego pochodzenia. Zdaniem matki, rod Costello wywodził się od hiszpańskich żeglarzy, którzy rozbili się u wybrzeży Irlandii w czasach panowania Elżbiety I z dynastii Tudorów, to znaczy w czasach, kiedy król hiszpański Filip wysłał flotę wojenną, by zaatakować Anglię. Kilka hiszpańskich galeonów zatoneło u skalistych wybrzeży Zielonej Wypsy podczas gwałtownego sztormu. Irlandcy rybacy zdołali uratować niektórych członków załogi. Wielu ocalonych osiedliło się na wyspie. Wśród nich znajdował się żeglarz, Jose Costello, który założył tam rodzinę. W każdym razie tak twierdziła Moira, a Rosie i Kevin uwierzyli w tę historię. Z czasem uznali ją za ważny element rodzinnej tradycji.

Z pewno ściami nikt nie mógł zaprzeczyć, że Kevin Madigan był czarnowłosym Irlandczykiem o błyszczących czarnych oczach.

- Umilk łasz, Rosie. Ciekawe, o czym myślisz?

- O tym, jak bardzo przypominasz mi mamę.

- Mama by łaby bardzo dumna z ciebie. I z tego, że stał się znanym kostiumologiem. Ojciec także by się cieszył. Pamiętam, jak mama zachęcała cię do rysowania i szycia, kiedy byłaś mała.

- Tak - odpar ł Rosie. - Myślę, że byliby dumni z nas obojga. Jesteśmy zdrowi, dobrze nam się wiedzie, robimy to, co chcemy, i osiągamy sukcesy. Oni tego właśnie nam życzyli. Ojciec czułby się dumny zwłaszcza z ciebie, Kevinie. Podtrzymałaś rodzinną tradycję i zostałeś policjantem.

Zastanawiam się, czy następne pokolenia pójda w twoje ślady? Jeśli doczekasz się potomków ...

- Co masz na my śli?

Rosie przez chwil ę przyglądała mu się w zadumie, a następnie odparła:

- Czy nie nadszed ł czas, żebyś pomyślał o założeniu rodziny? O dzieciach?

- Kt óra mnie zechce? - odpar ł lekko rozbawiony. - Niewiele mogę zaoferować kobiecie, biorąc pod uwagę moją pracę i związany z tym styl życia. - Nie masz żadnej dziewczyny, Kevinie?

- Raczej nie.

- Chcia łabym, żeby było inaczej.

- I kto to m ówi? A co z tobą? Od tylu lat prowadzisz takie nie ustabilizowane życie. Gavin ma rację. Powinnaś się ustatkować.

- Gavin tak powiedzia ł? Naprawdę? - spytała Rosie, patrząc na brata przenikliwie.

Kevin przytakn ął.

- Pewnie. Gavin twierdzi, że marnujesz uważam. Przeprowadź się, wróć do Stanów. jakiegoś odpowiedniego chłopaka?

- Skoro mowa o Francji - przerwała mu stanowczo. _ Przyjedziesz do mnie na święta? Obiecałeś.

- Owszem, dałem słowo, ale nie wiem czy będę mógł... _ odpar ł Kevin niepewnie.

Nie wiedział, jak się z tego wykręcić. Z niezręcznej sytuacji wybawiła go kelnerka, która podeszła do stolika. Przyniosła tacę z porcjami duszonej baraniny z kartoflami i cebulą. Kevin zerknął na dziewczynę i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Co za cudowna panienka pnyniosła nam kolację _ powiedział czarującym głosem, któremu nie opar łaby się żadna kobieta.

Jak ten chłopak się marnuje - pomyślała Rosie, spoglądając na brata.

7

Bar nazywał się "Ouzo-Ouzo" i majdował się *pnym* Bowery, niedaleko Houston Street.

Okolica była trochę nie szczególna, ale Kevin Madigan w ciągu czterech lat pracy w policji *pnym*wykł do bywania w podejrzanym miejscach. Zdawało mu się, że połowę życia spędził w mrocznych zaułkach takich jak ten, podążając śladami jakichś ciemnych typów, by uzyskać potrzebne mu informacje.

Rozmyślał o swojej sytuacji, popijając piwo w rogu małej greckiej knajpy *pnym* Greenwich Village.

Tneba *pnym*znać, że podobne miejsca wprawiały go w *pnym*gnębienie. Z drugiej strony, musiał odwiedzać takie miejsca, bo gdzie mógłby spotkać opryszków, z którymi *pnym*szło mu prowadzić wojnę?

Minął właśnie tydzień od dnia, gdy Rosie poprosiła go, żeby *pnym*stał włóczyć się po ulicach i zajął

się jakąś papierkową robotą. Roześmiał się wtedy na całe gardło, lecz teraz zastanawiał się, czy przypadkiem nie miała racji. Musiał najpierw wszystko gruntownie przemyśleć. Pracą *pony* biurku zanudziłby się na śmierć.

Gdy chodził ulicami, adrenalina zaczynała krążyć w jego żyłach. Czuł w sobie siłę, gotowość, by zmierzyć się z kimkolwiek lub czymkolwiek, co stanęłoby mu na drodze. Wiedział, że każda inna praca unicestwiłaby w nim tę moc i nawet jego siostra nie mogłaby mu wtedy pomóc.

Być może jednak istotnie powinien zmienić coś w swoim życiu. Między innymi dlatego siedział teraz, w sobotni wieczór, w tej knajpie, czekając na Neila O'Connora.

Neil był jego starym kumplem, który już przestał pracować jako tajniak. Nadal siedział w nowojorskiej policji, lecz teraz w Wydziale do spraw Wykrywania Zorganizowanej Przystępczości.

Parę dni wcześniej Neil nieoczekiwanie zadzwonił do Kevina i spytał go, czy nie miałby ochoty przenieść się do jego wydziału.

Ku swojemu własnemu zaskoczeniu Kevin odparł twierdząco i zgodził się spotkać z Neilem, aby obgadać całą sprawę. Przez ostatnich parę lat współpracował ściśle z FBI i DBA, tropiąc handlarzy narkotyków z Kolumbii i Azji. W pracy odnosił znaczące sukcesy. Wpakował za kratki na długie lata wielu znanych szefów gangów narkotykowych.

Kevin zerknął na zegarek. Kątem oka zobaczył Neila wchodzącego do baru i pomachał do niego na przywitanie. Neil kiwnął głową i ruszył w jego stronę.

Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną o płowych włosach i jasnych, błękitnych oczach. Na szerokiej, typowo irlandzkiej twarzy miał mnóstwo piegów.

Kevin wstał, gdy Neil podszedł do stolika. Podali sobie ręce, pokleпали jeden drugiego po plecach jak dobrzy starzy kumple, którzy *wiele* razem przeszli. Potem Neil zerknął na wypity do połowy kufel piwa Swojego przyjaciela.

- Łykiesz jeszcze jednego, Kevin? A może coś mocniejszego?

- Wystarczy piwo, dzięki - odparł Kevin i usiadł.

Neil podszedł do baru i po chwili wrócił z pełnymi kuflami. Postawił je na stole, zdjął płaszcz, rzucił go na wolne krzesło i usiadł obok Kevina. Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko, po czym przeszedł do sedna sprawy:

- Chciałbym mieć cię w swojej ekipie, Kevin. Jesteś mi cholemię potrzebny. I to natychmiast. Jeśli się zgodzisz, jeszcze dzisiaj załatwię ci przeniesienie.

Neil pochylił się *lekko* i spojrzał przenikliwie w oczy Kevina.

- Dobieramy się do skóry tym z mafli. To gra warta świeczki. Wyzwanie, jakie lubisz. Mówię ci, będziemy mieć mnóstwo takich spraw. Co ty na to?

Kevin nie odpowiadał przez chwilę. Siedział i patrzył na Neila, rozważając jego propozycję. Potem pochylił głowę w stronę przyjaciela i rzekł półgłosem:

- Nie podałeś mi przez telefon żadnych szczegółów, Neil.

- Co tu można wyjaśniać? - Neil rzucił na Kevina zdziwione spojrzenie, uniósł brwi i dodał: - Wiesz przecież, czym się zajmujemy, stary - westchnął. - Tropimy szajki i usiłujemy je likwidować.

- Rozumiem. Zastanawiałem się tylko, czy pracowałbym jako tajniak. Kim się ostatnio zajmujecie?

- Odpowiadając na twoje pierwsze pytanie ... nie musisz chodzić bez munduru, jeśli nie chcesz, ale wolałbym, żebyś nie rzucał się w oczy. Jesteś najlepszym z najlepszych. A druga sprawa ... - rozpracowujemy wszystkie gangi w Nowym Jorku. Obecnie chcemy rozbić Rudolfów.

Kevin cicho gwizdnął. W mieście działało sześć dobrze zorganizowanych sycylijskich rodzin: Gambino, Colombo, Genovese, Lucchese, Bonanno i Rudolfo. Salvatore Rudolfo stał na czele najpotężniejszej z nich. Był uważany zarówno przez swoich koleżków po fachu, jak i przez policję za najważniejszą osobistość świata przestępczego. Uważano go za *capo di tutti capi*, szefa szefów, któremu kłaniali się inni mafiosi z całego Wschodniego Wybrzeża.

Kevin wykrzyknął:

- Chryste, Neil, to chłemie gruba sprawa! Rodzina Rudolfo wydawała się nie do ruszenia przez całe lata. Nigdy niczego nie można było im udowodnić, trzymali się razem. Ryzykowna sprawa.

- Może nie aż tak bardzo, jak myślisz - przerwał Neil. - Zrobiliśmy pierwszy krok. Jednemu z naszych ludzi udało się wkroczyć w to towarzystwo. Potrzebujemy także ciebie, Kev. Będziesz udawał, że prowadzisz z nimi interesy. Znasz się przecież na handlu narkotykami. Nasz człowiek

przedstawi cię im i poręczy za ciebie. Oczywiście, jeśli zgodzisz się pracować z nami.

- Rudolfo zawsze zaprzeczał, że ma do czynienia z narkotykami. Będzie wypierał się nadal.
- To bzdura, Kevin. Wszyscy mafiosi handlują tym towarem. Wiesz o tym tak dobrze, jak ja. Rudolfo nie jest wyjątkiem - powiedział Neil i spojrzął na Kevina. - Jesteś specjalistą od narkotyków. Zjadłeś zęby na tropieniu handlarzy. Potrzebne mi twoje doświadczenie. Znasz "kontakty i umiesz poruszać się w tym środowisku. No więc, powiedz, czy ci to pasuje.

Kevin milczał.

- Miałem wrażenie - mówił dalej Neil - że twoja praca wynika z osobistego przekonania. Zależało ci na tym, żeby zrobić porządek z tą bandą łobuzów. Teraz miałbyś szansę dobrać się do tyłka tym, którzy naprawdę kręcą tym interesem i narażają tysiące ludzi na śmierć. Zarabiają miliony dolarów. Miliardy, jeśli weźmiesz pod uwagę, ile wszystkie klany zgarniają na ulicach w ciągu roku.

- Dobra, Neil, wchodzę w to - Kevin podjął nagle decyzję. Zapadła chwila ciszy. Kevin podniósł kufel, napił się piwa i dodał po namyśle:

- I mogę pracować jako tajniak, skoro tak chcesz.

- Wiedziałem, że mogę liczyć na ciebie - rzekł Neil z wyraźną ulgą. - Pogadam z Eddiem LaSalle w poniedziałek i natychmiast zajmę się formalnościami. Eddie mówił wcześniej, że mogę z tobą pogadać, tak że nie zdziwi się, gdy usłyszy, że zgodziłeś się do nas przenieść.

Neil odstawił pusty kufel i odsunął nieco swoje krzesło.

- Może teraz masz ochotę na coś mocniejszego? - spytał i podniósł się.

- W porządku, Neil, ale tylko jednego na drogę. Spieszę się na randkę. I pozwól, że ja postawię - mówiąc to, Kevin wstał.

Neil pokręcił głową.

- Nie ma mowy, stary. Ja zamówię - uśmiechnął się szeroko. - Pewnie umówiłeś się z tą elegantką? Chyba wpadła ci w oko.

- Zgadłeś w obu przypadkach.

Parę minut później stuknęli się kieliszkami i wzniesli toast, życząc sobie nawzajem sukcesów we wspólnej pracy.

Zaległa cisza.

Neil zapalił papierosa i zamyślił się, wypuszczając kłąb dymu. Popijając whisky, Kevin przyglądał się ukradkiem przyjacielowi,

zastanawiając się, nad czym ten tak rozmyśla i z czym za chwilę wyskoczy. Neil zawsze był trochę nieobliczalny. Tym razem Kevin miał nadzieję, że skończy się na jednym drinku. Korciło go, żeby już wyjść, opuścić ten mroczny bar i pojechać do willowej dzielnicy, gdzie miał randkę. Chciał zrzucić skórę policjanta, zrelaksować się przez weekend, poczuć się wreszcie zwykłym, normalnym mężczyzną. Życie nie było łatwe, tak jak i jego praca. Dziewczyna, z którą miał się spotkać, stała się dla niego jedynym promykiem radości. Nie pozwalał zwykle na siebie czekać, zawsze starał się przychodzić punktualnie. Martwiła się, gdy się spóźniał. Obawiała, że wpadł w łapy jakichś kryminalistów.

Parę tygodni wcześniej powiedziała mu, że z nim zerwie, jeśli zawsze będzie musiała się tak niepokoić. Kevin nie zareagował wtedy, ale ogarnęło go niespodziewanie, nie znane mu dotąd uczucie paniki. Nie miał pojęcia, co by się stało, gdyby naprawdę go opuściła. Nie wiedział, co by bez niej począł ..

Neil przerwał milczenie.

_ Może przemyślałbyś pomysł wyskoczenia na parę dni za miasto; Odprężyłbyś się, nabrał nowych sił, zaczerpnął świeżego powietrza. Co o tym sądzisz?

_ Masz rację. Nie mam teraz na tapecie żadnej specjalnej roboty. Kombinowaliśmy coś razem z Joe Harveyem. posłuchaj, powiem Eddiemu, że potrzebuję tygodnia urlopu, zanim przeniosę się do waszego wydziału. To prawda, muszę trochę odpocząć.

_ Jasne. Zrób to teraz. U nas będziesz miał pełne ręce roboty. Jak ci mówiłem, mamy masę spraw na głowie. Dlatego potrzebujemy cię jak diabli. Czasami pracujemy dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Kevin pokiwał głową ze zrozumieniem.

_ Miejmy nadzieję, że uda nam się przyskrzynić Rudolfo i jego ludzi raz na zawsze. Teraz jest dogodny moment. Klan Colombo rozpada się, a Gambino wpadł w poważne tarapaty. Ktoś wreszcie pękł i zgodził się obciążyć go swoimi zeznaniami.

Neil zaczął chichotać.

_ Masz rację, stary. John Gotti, który nosi garnitury za dwa tysiące dolarów, wdepnął w gówno.

Sammy Gravano, czyli Byk jest głównym świadkiem oskarżenia. Tego jeszcze nie było. Pomyśl tylko, Kevin, święte braterstwo uświęcone krwią i winem zostanie złamane dzięki jednej, głupiej kasecie ... policja nagrała pewną bardzo znaczącą rozmowę. Wystarczy, żeby ich oskarżyć _ Neil uśmiechnął się od ucha do ucha. - Gotti zostanie zapuszkowany na długie lata.

_ Półświatek pewnie już trzęsie portkami.

_ Nie musisz mi mówić! Moi ludzie maczali w tym palce. Zrozum, współpraca Gravano z policją to jak do tej pory największa wsypa w kręgach mam, zwłaszcza że klan Gambino jest najpotężniejszy i ma znaczne wpływy, a Gravano był prawą ręką Gottiego - Neil pokręcił głową z niedowierzaniem. - Zdziwiłem się, że złamał przysięgę. Wszyscy mafiosi bardzo poważnie traktują przysięgę milczenia. Ale Gravano miał to widocznie gdzieś. Sypnął najlepszego kumpla. Dziwne, co? - Nie czekając na odpowiedź Kevina, Neil mówił dalej: - Co jak co, ale Gravano i Gotti zaczęli razem. Wystartowali od zera, mając tylko głowy na karkach i parę dolców w kieszeni. Niewiarygodne, że zdołali zająć tak wysoko. - Neil wzruszył ramionami. - Jednakże Gravano chcąc uratować swoją skórę, pluł na wszystkie Przysięgi i śpiewał jak ptaszek.

Kevin skinął głową.

- Proces Gottiego w Brooklynie będzie niezłym przedstawieniem, zobaczysz - stwierdził i zerknął na zegarek. - Do licha, jest później, niż myślałem! Muszę lecieć.

- Ja też. Moja staruszka na mnie czeka. Mieliśmy dzisiaj wyjść razem pierwszy raz od wielu miesięcy, a ja jestem SPÓźniony. Ona mnie chyba zabije.

Chwycili swoje płaszcze i wyszli z baru.

8

Dwaj detektywi stali jeszcze przez chwilę na chodniku, rozmawiając, po czym Neil uściśniętą ramię Kevina.

- Chodź, stary. Odprowadzę cię kawałek. przy Houston możesz złapać taksówkę. Twoja dziewczyna wścieknie się na ciebie, co?

Kevin pokręcił głową; dorównując kroku Neilowi.

- Nie - odparł. - Przywykła do tego, że spóźniam się czasami. Co prawda, nie lubi czekać, ale pewnie się ucieszy, kiedy powiem jej, że przenoszę się do waszego wydziału.

Neil posłał mu ?dziwione spojrzenie.

- To także niebezpieczna praca.

- Ty to wiesz, Neil. I ja. Ale nie ona ani moja siostra, Rosie. Ostatnio obie na mnie napadły. Chciały, żebym zmienił robotę. Jestem przekonany, że ucieszą się, kiedy usłyszą nowiny. Pomyślą pewnie, że wyląduję za biurkiem ..

- Możliwe.

Kevin zadrzał z zimna, postawił kołnierz płaszcza i wsadził ręce do kieszeni.

- Cholera, chłodno dzisiaj i jak zwykle nie ma taksówek, gdy są potrzebne.

- To samo ludzie często gadają o glinach - zauważył Neil i roześmiał się.

- Dlaczego, u licha, wybrałeś bar w tej okolicy?

- A dlaczego nie? W Queens jest jeszcze gorzej - wyjaśnił prostodusznie Neil.

- Nie powiem, żebym się nie ucieszył, że stąd spadamy - wyznał Kevin. - I dzięki Bogu nie muszę tu wracać. Zbrzyło mi to miejsce. Pomyśleć, że trzydzieści lat temu ta mała kantyna była typowym irlandzkim barem, pełnym fajnych ludzi, którzy godzinami gadali o dobrych starych czasach.

Jednak Irlandczycy uciekli dawno temu, przenieśli się do W oodside, tak samo jak my. Aleja Roosevelta straciła dawny urok. Kiedyś były tam eleganckie kluby i knajpy z muzyką jazzową, gdzie studolarowe rachunki i goście w drogich garniturach nie były czymś nadzwyczajnym.

- I gdzie wciąż wybuchały strzelaniny, tak jak w "Cali", "Medellin" i "Bogocie" - stwierdził Neil. - Po co ci to mówię? Przecież sam o tym wiesz - westchnął pod nosem. - To straszne, Kev, Nowy Jork to miasto, gdzie prawie wszyscy mają broń, a wielu wariuje od narkotyków.

- Żyjemy w paszczy lwa, Neil. Widzimy to wszystko codziennie ... bezdomnych, głodnych, zdesperowanych, a także obłąkanych, żebraków, kryminalistów. I wiemy, że to cena za luksus, w jakim pływają się inni. Większość ludzi tego nie dostrzega lub nie chce widzieć, zamykając na to oczy. Straszne, ale obawiam się, że tak jest.

Neil zatrzymał się, odwrócił i chwycił Kevina za ramię. W świetle ulicznych lamp twarz starszego policjanta nabrała nagle twardych rysów.

- Piętnaście minut jazdy z Manhattanu przez most Queensborough i prawie jakbyś znalazł się w

Ameryce Południowej. Ryzykujesz życie, obracasz się wśród handlarzy, ćpunów i masy innych podejrzanych typów. Cholernie się cieszę, że przenosisz się do mnie, naprawdę, stary.

- Ja także ... Pewnie gdybym dalej włóczył się po ulicach, trafiłaby mnie w końcu jakaś kulka ... Neil pokiwał głową i podjął swój temat:

- Jest jeszcze "Bushwick", parszywa mordownia z bandą narkomanów pompujących sobie w żyły białe gówno. Takie zakazane typy mogą cię obrobić i zamordować, żeby tylko dostać swoją działkę. Przyprawia mnie to o mdłości.

- To prawda, stary, wszystko to prawda - zgodził się cicho Kevin, szturchając Neila łokciem i dając mu do zrozumienia, żeby przyspieszyli kroku.

- I tak wyglądają Stany Zjednoczone - rzekł Neil zmęczonym głosem. - Najbogatszy i najpotężniejszy kraj na świecie! To przecież koszmar! Co stało się z naszą piękną Ameryką? Z naszym amerykańskim snem?

Kevin otworzył własnym kluczem drzwi do mieszkania dziewczyny i zatrzymał się w przedpokoju, czekając aż jego ukochana przyjdzie się z nim przywitać. Zwykle tak robiła.

Jednak teraz nie pojawiła się.

Powiesił płaszcz na wieszaku, zdjął kaburę z rewolwerem i ostrożnie schował do szafy.

Wystarczyło, że dziewczyna zdawała sobie sprawę, iż Kevin na co dzień ma do czynienia ze światem przestępczym. Nie było potrzeby niepokoić jej widokiem broni. Kevin wolał trzymać swoją wybranekę z daleka od spraw zawodowych. Zaskoczony ciszą w mieszkaniu nadstawił ucha. Nasłuchiwał. Zastanawiał się, co się stało.

Z głębi apartamentu nie dobiegał żaden dźwięk. Jednak, gdy wszedł do kuchni, usłyszał cicho grające radio. Ktoś musiał być w domu.

Zajrzał do salonu. Świeciła się tam mała lampka, a na kominku dogasał ogień. Poza tym - żywej duszy.

Nękany niepokojem, Kevin ruszył korytarzem w stronę sypialni. Drzwi były uchylone. Pchnął je i wszedł do środka. Nocna lampa rzucała słabe światło. Na łóżku, skulona spała jego dziewczyna. A może tylko drzemała? Nie był tego pewien.

Podchodząc bliżej, zauważył stos folderów rozłożonych na kołdrze. Najwyraźniej pracowała do późna, zmęczyła się i zasnęła, czekając na niego. Kevin pochylił się, wyszeptał jej imię i delikatnie dotknął kruchej twarzy.

Natychmiast otworzyła oczy. Na jej obliczu pojawiła się radość i ulga, gdy zobaczyła Kevina.

_ To ty _ westchnęła. - Och, Boże, przepraszam, musiałam się zdrzemnąć.

_ Nic nie szkodzi, kochanie - odparł, klękając obok łóżka. - To ja powinienem przeprosić cię za spóźnienie. Zasiedziałem się z Neilem O'Connorem. Pamiętasz go? poznałaś go w zeszłym roku. Chciał się ze mną spotkać i miał czas tylko dzisiaj. To była pilna sprawa.

_ Wszystko w porządku, Kevinie, naprawdę.

Spojrzał jej prosto w oczy i wyjaśnił:

_ Neil prosił mnie, żebym przeniósł się do jego wydziału. Zgodziłem się.

Zdziwiona tym oświadczeniem zamrugła powiekami.

_ Co to za wydział?

_ Och ... jego nazwa niewiele ci powie ...

_ Czy to praca za biurkiem?

_ Częściowo tak - skłamał, nie chcąc jej martwić.

- A częściowo nie, prawda? - spytała, przyglądając mu się uważnie żywymi, inteligentnymi oczami.

- Oczywiście, będę musiał czasami ruszać w teren, ale ta robota jest o wiele mniej niebezpieczna niż poprzednia. Naprawdę ... _ Kevin przerwał i uśmiechnął się czarująco. - I w dodatku będę miał więcej wolnego czasu.

- Cieszę się - odrzekła.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka, uśmiechając się. Uwielbiał, jak się śmiała. Wyglądała wtedy jak słodkie, niewinne

dziecko. Dosłownie promieniowała radością. Wziął ją w ramiona, przytulił i delikatnie pocałował. Natychmiast objęła rękami jego szyję i żarliwie odwzajemniała pocałunki, które stawały się coraz bardziej namiętne. Całowali się aż do utraty tchu.

W końcu Kevin odchylił głowę. Odpiął kilka guzików satynowej sukienki koloru brzoskwini i zsunął z jej ramion. Dziewczyna miała pod spodem halkę na cienkich ramiączkach. Kevin bez trudu wsunął ręce pod koronkowy stanik i pochylił się. Wziął w usta jeden z sutków i pieścił tak

długo, aż zaczęła lekko pojękiwać.

Kevin przerwał pieszczoty i rozpiął sukienkę do końca. Jego dłoń powędrowała w dół. Pochylił się znowu i całował jej piersi. Potem uniósł głowę i spojrzał jej w oczy. Powieki miała PrzYmknięte, a usta lekko rozchylone, oddychała szybko. Wiedział, że jest już gotowa na miłość. Ekstacyjny wyraz jej twarzy rozpalał Kevina coraz bardziej. Uniósł do góry halkę i wsunął rękę między uda dziewczyny. Po chwili jego palce odnalazły delikatne, ciepłe miejsce. Gdy poruszył palcami, rozchyliła lekko nogi. Kevin poczuł nagle wilgoć, żar wypływający z jej ciała.

- Och, Kevinie - wyszeptała i otworzyła oczy.

Uniósł ciemną brew.

- Co, kochanie?

- Nie przestawaj mnie pieścić.

- Dobrze. Nie miałem wcale takiego zamiaru - odparł, pochylając głowę.

Zanurzył twarz między jej udami. Obsypując ją pocałunkami, wsunął palce do środka. Znał dobrze jej ciało. Kochali się już ze sobą od roku. Wiedział, że jest bliska orgazmu i pragnął doprowadzić ją do rozkoszy. Jednak ona nieoczekiwanie usiadła. Obejmując go za ramiona, wyszeptała ochryplym głosem:

- Kevinie, proszę cię, rozbierz się i chodź do łóżka. Chcę cię poczuć w sobie.

- Pragnę najpierw sprawić ci przyjemność w inny sposób.

- Wiem, ja chcę tego samego dla ciebie. Proszę, zdejmij ubranie.

Kevin wstał, rzucił kurtkę na krzesło i zdjął buty. Potem rozpiął spodnie i zsunął je.

Zgarnęła foldery rozłożone na łóżku, zrzuciła je na podłogę i zdjęła sukienkę. Po chwili wszedł do łóżka. Wziął ukochaną w ramiona i zaczął muskać językiem jej szyję. Po paru minutach odwrócił się i sięgnął do szuflady po prezerwatywę. Cholerna rzecz! Nie znosił tego. Z drugiej strony, dobrze zdawał sobie sprawę, że w tych czasach to konieczność. Po tym jak Sunny zniknęła z jego życia, od czasu do czasu miewał do czynienia z jakimiś kobietami, chociaż nie angażował się zbyt poważnie w te związki. Podejrzewał, że jest zdrowy, ale wolał zachowywać się ostrożnie ze względu na swoją dziewczynę. Przelknął ślinę. Żyli w czasach AIDS, tej współczesnej dżumy. Seks i śmierć szły ze sobą ramię w ramię.

Dziewczyna głaskała go po plecach, gdy rozpakowywał pakiecik. Zaczęła całować go między łopatkami, szeptała namiętnie jego imię, mówiła mu, jak bardzo go pragnie. Kevin poczuł, że jest już gotowy.

Odwrócił się do niej i pocałował w usta. Potem znowu pochylił głowę nad jej odsłoniętymi, nabrzmiałymi piersiami. Jej sutki były napięte, a w jego ustach stały się jeszcze twardsze, co przyprawiało go o dreszcze. Gładził jej smukłe ciało przez zniewalającą w dotyku, cienką, jedwabistą halkę. Gładkość materiału pobudzała zmysły Kevina. Pragnął całować brzuch ukochanej przez cienką tkaninę.

Potem niecierpliwym ruchem odsunął halkę. I kiedy dziewczyna usiadła, pomógł jej rozebrać się zupełnie. Spoglądała na niego oczyma pełnymi pożądania. Położyła się, a Kevin delektował się widokiem jej pięknego, nagiego ciała, podziwiając delikatność jasnej skóry, gładkiej tak jak satynowa halka.

Wiedział, że pragnie, by jej dotykał. Jego palce zagłębiły się w wilgotnym i tajemniczym miejscu jej ciała. Najpierw poruszał nimi delikatnie i powoli, potem stopniowo coraz mocniej i szybciej, aż poczuł, że drży. Pochylił się, wsunął język między jej uda i zaczął całować, wsuwając palce głęboko do środka. Po chwili zeszywniała i silny spazm wstrząsnął jej całym ciałem. Z gardła wydobył się jęk, a ciało drżało z rozkoszy.

- Kevinie - wydusiła w końcu ledwo słyszalnym głosem. - Och, Kevinie, kochanie ...

Kevin położył się na łóżku i oparł głowę na poduszce.

- Dobrze ci było? - spytał szeptem.

- Zawsze jest mi z tobą cudownie. Od samego początku. Nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak ty.

Uklękła i spojrzała mu prosto w oczy. Dotknęła palcem jego czarnych brwi, potem ust i uśmiechając się lekko, schyliła się i czule pocałowała.

Pragnąc jej rozpaczliwie, Kevin niemal brutalnie przyciągnął ją do siebie. Odwzajemniał namiętne pocałunki i zmysłowo pieścił jej piersi. Nagle dziewczyna uniosła się, usiadła na jego biodrach i zaczęła muskać językiem jego pierś, a potem brzuch. Kevin czuł, że niedługo eksploduje.

Położył dziewczynę obok siebie i objął ją mocno. Wszedł w nią energicznie, zaciskając dłonie wokół jej talii. Objęła nogami jego plecy, przycisnęła mocno do siebie i zaczęła poruszać biodrami.

- Już, maleńka, już - wydusił obok jej ucha.

- Nie - wyszeptwała. - Czekam na ciebie.

Po niedługiej chwili znowu ogarnął ją dreszcz rozkoszy. Jej mięśnie pulsowały, gdy powietrze rozdarł przeciągły krzyk:

- Kevin!

Jej ekstaza zawsze podniecała Kevina. Zaczął poruszać się w niej coraz szybciej. Nie mógł już dłużej wytrzymać.

- Och, Boże, Nell, kochana - wykrzyknął. - Och, Nell! Och, Nell!

Leżała w jego ramionach. Jej jasne włosy łaskotały jego piersi. Zamknęła oczy i oddychała równo i spokojnie.

Kevin spojrzął na nią i uśmiechnął się do siebie. Tak samo uwielbiał kochać się z Nell, a potem leżeć obok niej, odpoczywając w półmroku. Czuł się swobodnie, podobnie jak ona, zrelaksowany i pełen radości. Być może działało się tak dlatego, że znał Nell od czternastu lat. Była rówieśniczką jego siostry, Rosie. Wyglądała w tej chwili o wiele młodziej, jak dwudziesto, paroletnia kobieta. Miała dziewczęcą figurę, świeżą skórę i twarz bez zmarszczek.

Nell Jeffrey stała się dla Kevina kimś bardzo ważnym. Zawsze kiedy spotykał się z nią, czuł się tak młodo. Codzienna praca bardzo go męczyła. Jednak obecność Nell przywracała mu siły, znowu zaczynał być sobą.

W pewnym sensie Kevin zatracił się w Nell. Jego kłopoty zniknęły gdzieś, a ból po utracie Sunny ustawał. Czuł wtedy, że Sunny na dobre odeszła z jego świata, a on został i przecież musiał jakoś żyć. Zrozumiał to w ciągu ostatniego roku. Właśnie dzięki Nell.

Coraz rzadziej myślał o Sunny. Minęło już prawie sześć lat. Od dziewięciu miesięcy prawie nie jeździł do New Heaven. Właściwie to siostra Sunny, Helena, poradziła mu, żeby przestał je odwiedzać. Pewnego niedzielnego popołudnia stwierdziła, że łatwiej poradzą sobie z chorą, jeśli Kevin nie będzie tak często przyjeżdżać. Sunny po jego wizytach stawała się nadmiernie pobudzona. Prawdopodobnie gdzieś w głębi jej zaburzonej świadomości tkwiła niejasna pamięć o Kevinie. Może przypominała sobie, że kiedyś coś ich łączyło i wspomnienie tego wprowadzało dodatkowy chaos do jej chorego myśłu.

Trzy miesiące temu Kevin skończył z wizytami w New Heaven. Zdawało się, że rodzina Sunny przyjęła to z ulgą. Po pewnym czasie Kevin odkrył, że on także poczuł się swobodniej.

Jednak czasem zastanawiał się, czy przypadkiem nie postąpił jak tchórz. Kiedy zwierzył się Nell ze swoich rozterek, zapewniła go żywo, że nie tylko zachował się właściwie, ale zrobił jedyną rzecz, jaka powinno się zrobić na jego miejscu.

„Nie możesz jej pomóc - powiedziała wtedy Nell. - Rozdrapujesz tylko rany. Poza tym ona ciąży ci jak kamień u szyi. powinieneś zostawić ją w spokoju dla własnego dobra. Ty przecież musisz normalnie żyć, na miłość boską!

Te kategoryczne słowa pomogły Kevinowi. Potem uświadomił sobie, jakie brzemienie dźwigał. Nell miała rację, Sunny należała do przeszłości. Kevin musiał zapomnieć o tej nieszczęsnej dziewczynie i uporządkować swoje życie.

Postanowił zapamiętać Sunny taką, jaka była, gdy poznali się jako dzieci. Nie chciał, by w jego wspomnieniach pojawiała się jako odurzona narkomanka, myśląca tylko o tym, jak zdobyć kolejną dawkę. Po jakimś czasie musiał przyznać sam przed sobą, że wszystko idzie ku lepszemu. Dzięki Nell.

Kevin zatopił teraz twarz w jej włosach. Były miękkie i jedwabiste, pachniały olejkiem cytrynowym, podobnie jak każda część jej ciała. Nabrał głęboko powietrza, by poczuć słodki zapach perfum. Pozwalało mu to zapomnieć o fetorze miasta, który wciąż wypełniał jego nozdrza. Nell wrosła tak bardzo w jego życie, że nie potrafił wyobrazić sobie istnienia bez niej. Jednak to dziwne, że zostali kochankami. Ostatecznie znali się już od czternastu lat.

Rok wcześniej, w październiku, do Nowego Jorku przyjechał Gavin, aby spotkać się z Nell w interesach. Wybierał się później do Londynu, gdzie miał rozpocząć prace nad *Twórcą Królów*. Dawna przyjaciółka zadzwoniła wtedy do Kevina i zaprosiła go na kolację z Gavinem. Tego wieczora Kevin nie miał akurat niczego do roboty i chętnie przyjął zaproszenie. Nie widział Nell ani Gavina od ponad roku. Spotkanie okazało się udane, pełne żartów, śmiechu i wspomnień z dawnych lat.

Jedli kolację w apartamencie Gavina w hotelu "Carlyle", a potem Kevin postanowił odprowadzić Nell do domu. Mimo chłodnej nocy zdecydowali się na spacer. Gdy dotarli do domu przy Park Avenue, Nell zaprosiła Kevina na drinka.

Napełniła kieliszki martini, a Kevin rozpałił ogień w kominku. Potem usiedli razem na sofie,

sączyli trunek i rozmawiali o życiu.

Kevin do tej pory nie wiedział, jak to się stało, że Nell nagle znalazła się w jego ramionach. Całowali się gorąco. Skończyło się na tym, że kochali się ze sobą namiętnie na dywaniku przed kominkiem.

Działo się to w piątkową noc. Kevin nie miał w sobotę dyżuru, mógł więc zostać u Nell przez cały weekend. Zauroczeni sobą, siedzieli w jej przytulnym, pięknym mieszkaniu. Zapomnieli o całym świecie, o swoich troskach i niepokojach.

Podczas tych dwóch dni spędzonych razem rozmawiali między innymi o Mikeyu, który rok wcześniej przestał się pokazywać w towarzystwie. Wszyscy byli zaskoczeni jego tajemniczym zniknięciem, zwłaszcza Nell. Łączył ją niegdyś z Mikeyem młodzieńczy romans, potem pozostali dobrymi przyjaciółmi. Może nawet stali się sobie bliżsi niż dawniej. Zwierzali się sobie ze swoich sekretów.

Tej nocy, gdy Kevin kochał się z Nell pierwszy raz, powiedziała mu, dlaczego tak bardzo martwi się o Mikeya. Mikey tak często zwierzał się jej ze swoich osobistych spraw. Nie mogła pojąć, czemu postanowił wyjechać bez pożegnania i bez wyjaśnień z Nowego Jorku.

Kevin pomyślał tamtego wieczora, choć nie powiedział tego głośno, że Mikey prawdopodobnie nie miał szansy, żeby się z nią skontaktować. Nikt naprawdę nie wiedział, co się z nim stało, nawet jego współlokator. Mikey po prostu rozplynał się w powietrzu.

Kevin czasem przypuszczał, że Mikey stał się ofiarą jakiejś nieczystej gry. Jako policjant Kevin znał dobrze przerażające statystyki: każdego roku setki tysięcy Amerykanów zniknęło bez śladu. Niewielu z nich udawało się odnaleźć. Lista osób zaginionych w samym tylko Nowym Jorku była zastraszająco długa.

Teraz Nell obróciła się w jego ramionach.

Spojrzał na nią, a ona otworzyła oczy i popatrzyła mu prosto w twarz.

_ Masz strasznie poważną minę, kochany. Czy coś cię trapi?

Chociaż nigdy nie mieli przed sobą żadnych tajemnic, Kevin postanowił nie wspominać w tej chwili o Mikeyu. Czuł, że nie jest to odpowiedni moment.

_ Myślę o nas, Nell _ odparł. - Spotykamy się od roku i nikomu o tym nie powiedzieliśmy.

_ Neil O'Connor z pewnością wie - odparła i roześmiała się.

_ Miałem na myśli nasze rodziny i starych przyjaciół.

_ Nie wspominałeś o tym Gavinowi?

_ Właściwie nie widywałem się z nim zbyt często w tym roku. Jedynie podczas tych paru dni w Londynie, gdy kręcił film. poza tym wiesz, że nie jestem facetem, który lubi się przechwalać. Ty także nie powiedziałaś o tym Rosie. Inaczej wspomniałaby mi o tym.

_ Nie mam pojęcia, dlaczego do tej pory jej tego nie wyznałam, Kev, i dlaczego właściwie trzymamy nasz związek w tajemnicy. - Nell przysunęła się bliżej do Kevina i objęła go mocno ramionami. Po chwili dodała: _ Chyba jednak powinnam jej powiedzieć. Jesteśmy przecież najlepszymi przyjaciółkami.

_ Myślę, że się ucieszy ... z tego, że się spotykamy.

_ Och, tak, z pewnością! - zawołała Nell, odchylając głowę do tyłu i spoglądając na Kevina kokieteryjnie. - Rosie na pewno da nam swoje błogosławieństwo.

_ Kiedy wraca z Los Angeles?

_ Na Boga, Kevinie, przecież dopiero co wyjechała. Myślę, że wróci razem ze mną.

- Jak to?

_ Sama wybieram się na Zachodnie Wybrzeże ...

_ Kiedy? - spytał nieco zbyt ostro, patrząc na Nell zdziwionym wzrokiem.

_ We wtorek lub środę.

_ A ja właśnie planowałem wziąć tydzień urlopu przed przeniesieniem do nowego wydziału. Miałem nadzieję, że spędzimy trochę czasu razem.

Zasmucona Nell przygryzła wargi.

- Szkoda, że nie wiedziałam o tym wcześniej, Kevinie. Ale umówiłam się już i naprawdę miałabym trudności, żeby zmienić plany. Muszę spotkać się z Gavinem, który wybiera się na tydzień do Los Angeles. Mam także kilka spotkań z innymi klientami.

- Rozumiem.

- Strasznie mi przykro, naprawdę ... Ale mam świetny pomysł! Może wybierzesz się ze mną?

Byłoby cudownie. Spotkalibyśmy się z Rosie i z Gavinem - twarz Nell rozpromieniła się nagle. _

Och, Kevin, jedź ze mną! Proszę, zgódź się!

Kevin zawahał się.

- Nie wiem ... - odparł niepewnym głosem.

Nell usiadła, pocałowała go kokieteryjnie w nos, wstała z łóżka i poszła do łazienki. W drzwiach zatrzymała się.

- W każdym razie pomyśl o tym - powiedziała.

- Już to zrobiłem. I myślę, że będzie lepiej, jeśli zostanę.

- Ale dlaczego?

- Będziesz zajęta swoimi sprawami. A ja? Umrę z nudów. Poza tym mam tutaj sporo rzeczy do załatwienia. No wiesz, jakieś tam cholerne formalności, których okropnie nie lubię.

Nell skinęła głową i weszła do łazienki. Gdy wróciła po chwili, miała na sobie aksamitny szlafrok, a drugi trzymała w ręku.

- Włóż to i pójdziemy coś zjeść. Mam kolację w kuchni.

- Myślałem, że gdzieś wyjdziemy, maleńka.

Nell uśmiechnęła się.

- Zostańmy w domu. Przygotowałam potrawkę z kurczaka. Już od dawna jest w piecyku, ale mam nadzieję, że jeszcze nadaje się do jedzenia. Jeśli nie, to możemy iść na hamburgera albo zrobić sobie jajecznicę.

Kevin włożył szlafrok i wyszedł za Nell z sypialni.

- Jestem diabelnie głodny, Nell - powiedział i roześmiał się _ ale nie pogardzę też lampką wina.

Potrawka okazała się pyszna. Jedli przy kuchennym stole, popijając dobre wino "Beaujolais Village", które Kevin otworzył wcześniej. Stuknęli się kieliszkami.

- I kto by pomyślał - rzekł Kevin - że nasza mała Nell stanie się kobietą interesu i zrobi taką oszałamiającą karierę, że będzie jeździć po całym świecie i prowadzić własną firmę.

- Już dawno o tym marzyłam - odrzekła i mrugnęła do niego. W jej oczach tkwiło rozbawienie.

Kevin uśmiechnął się z podziwem.

- Jestem z Ciebie dumny. Wiesz, że Rosie także.

- Powinieneś być dumny ze swojej siostry - odparła Nell, nagle poważniejąc. - Jej kostiumy do *Twórcy Królów* są wprost niezwykle. Zobaczysz, jak film wejdzie na ekrany. Rosie w niedalekiej przyszłości dostanie następnego Oscara.

- Nie żartuj! To wspaniale! Mówiła mi coś o kolejnym filmie Gavina. Czy zamierza z nim pracować dalej?

- Nie wiem - Nell lekko wzruszyła ramionami i pokręciła głową. - Gavin nie zdradził swoich planów. Może sam jeszcze ich nie zna? W każdym razie, za cokolwiek się weźmie, zawsze robi świetną rzecz.

- Może nie zrozumiałem dobrze Rosie. Myślałem, że pojechała do Los Angeles w sprawie nowego filmu Gavina.

- Niezupełnie. Chciała zobaczyć się tam z Garrym Marshall'em, aby pogadać o jego pomysły ... jakiejś współczesnej, romantycznej komedii. Garry bardzo ją ceni.

- Nie dziwię się - odparł Kevin. - Warto pracować z facetem, który wyreżyserował tak wspaniałe dzieła jak *Beaches* czy *Pretty woman*. Mam nadzieję, że współpraca dobrze się im ułoży. - Kevin napił się wina i spytał: - Jak długo obie zamierzacie tam zostać?

- Parę dni, najwyżej tydzień. To zależy od Johnny'ego Fortune.

- Tak ... ? - Kevin rzucił zdziwione spojrzenie.

- Mam się z nim spotkać w sprawie jego koncertu w Nowym Jorku w przyszłym roku. Wystąpi pewnie znowu w Madison Square Garden. Mamy masę rzeczy do obgadania.

- Zrobiłaś z niego wielką gwiazdę, Nelly. Zaprzeczyła ruchem głowy.

- To nieprawda, Kev. On sam na to zasłużył. Ma wspaniały głos. Jego wdzięk i uroda rzucają kobiety na kolana.

Kevin wyglądał na rozbawionego.

- Jesteście z Rosie tak podobne do siebie - zauważył po chwili.

- Obie staracie się być skromne. Wierz mi, z pewnością pomogłaś Johnny'emu wejść na szczyt.

- Niezupełnie, kochanie. Nie jesteś obiektywny.

- On jest trochę tajemniczym człowiekiem, prawda?

- Kto? Johnny? Wcale nie - Nell zmarszczyła czoło. _ Co to znaczy "tajemniczy"?
- Przyszedł nie wiadomo skąd, nagrał parę płyt i zawrócił w głowie kobietom. Potem zjawiała się ty, zaczęłaś o nim pisać, zajęłaś się jego interesami i niemal w ciągu jednej nocy stał się wielkim gwiazdorem.
- Gdyby to było takie łatwe ... Niestety, wygląda to troszkę inaczej. Johnny przez całe lata pracował w Vegas i Atlantic City, śpiewał w różnych nocnych klubach. Krążył po Los Angeles, Chicago, Bostonie, New Jersey, Filadelfri i Nowym Jorku. Wymień jakiś lokal, nawet najbardziej obskurny, a okaże się, że Johnny tam występował.
- Mimo wszystko uważam, że to ty zrobiłaś z niego amerykańską wersję Julia. Nell wybuchnęła śmiechem i pokręciła głową.
- Nic podobnego. Jest tylko jeden Julio Iglesias. Teraz Iglesias rzeczywiście jest znany na całym świecie. Wydaje mi się zresztą, że to jeden z najmilszych facetów, jakich znam. A jeśli chodzi o Johnny' ego Fortune, to myślę, że ma w sobie cechy takich piosenkarzy, jak Perry Como, Vic Damone i Julio. Właśnie dlatego wszyscy kochają Johnny'ego. Przypomina im ich ulubionych piosenkarzy. Kevin zaśmiał się.
- Nie ma nikogo takiego jak ty, Nell. Johnny jednak nie powinien tego słyszeć. Pomyślałby, że posądzasz go o brak własnego stylu.
- Wiemie naśladowuje innych, ale oczywiście ma też swój oryginalny sposób śpiewania. No i ciekawy głos.
- Trzeba to jeszcze sprzedać.
- Właśnie to robię - rzuciła, pochyliła się i pocałowała Kevina w policzek. - Przynajmniej staram się.

9

Dom znajdował się na wysokim, gęsto zalesionym stoku w Benedict Canyon ponad Bel-Air. Był to stary budynek pochodzący z lat trzydziestych, kiedy to Hollywood stawał się modny. Został zbudowany w hiszpańskim kolonialnym stylu, lecz w latach pięćdziesiątych pewien legendarny producent filmowy i jego żona, aktorka, przebudowali i odnowili wnętrza. Urządzili to wygodne, przestronne domostwo według swojego gustu. Kazali obić ściany drewnianą boazerią, wybudować kilka przepięknych kominków i wstawić wielkie okna sięgające od podłogi do sufitu. Sprawiały one, że prześliczne otoczenie domu stało się częścią jego wnętrza.

Dla Johnny' ego Fortune owa rezydencja na wzgórzu była szczególnym miejscem. Do niczego innego nie czuł się tak bardzo przywiązany. Może z Wyjątkiem gitary, którą dostał od swojego wuja, gdy był chłopcem. Dom wyróżniał się wielką elegancją i wytwornością, lecz nie był przy tym ani trochę pretensjonalny. Przestronne, jasne pokoje miały piękne proporcje i niemal w każdym z nich znajdował się kominek. Ogień można było rozpalić nawet w pomieszczeniu, gdzie znajdował się basen.

Johnny'emu podobało się zwłaszcza to, że dom zachował się w takim stanie, w jakim pozostawiono go w latach pięćdziesiątych. Wszystkie przeróbki dokonane przez sławnego producenta i jego żonę przetrwały próbę czasu. Oznaczały się niezrównanym smakiem. Poprzedni właściciele potrafili wyeksponować urok tego miejsca.

Za każdym razem, kiedy Johnny przyjeżdżał do rezydencji na wzgórzu, doświadczał wielkiej radości. Czuł się szczęśliwy. Przyczyniało się do tego wiele rzeczy: piękno tego domu, wygoda i luksus, a także świadomość jego historycznej wartości. Poprzedni mieszkańcy zaliczali się do wielkich sław kina. Mieszkała tutaj kiedyś nawet Greta Garbo. Bycie właścicielem takiej niezwyklej rezydencji przynosiło Johnny'emu wiele satysfakcji.

Nigdy nawet w najśmielszych snach nie marzył, że zamieszka kiedyś w takim domu. Niegdyś był przecież nic nie znaczącym człowiekiem.

Urodził się w 1953 roku jako Gianni Fortunato. Dzieciństwo spędził na zatłoczonych ulicach Manhattanu. Mieszkał razem z wujem i ciotką, Vitem i Angeliną Carmello, w ciasnym i ponurym mieszkaniu przy Mulberry Street.

Johnny nigdy nie poznał swojego ojca, Roberta Fortunato, a matkę, Ginę, ledwie pamiętał. Jego

ciotka zmarła, gdy miał pięć lat. Wtedy wuj Vito, brat jego matki, zajął się chłopcem. Opiekował się nim do chwili, gdy piętnastoletni Johnny skończył szkołę. Chłopiec nie miał zamiaru iść do college'u.

Ulice Nowego Jorku, na których się wychował, stały się dlań szkołą. Od najmłodszych lat nauczył troszczyć się sam o siebie. Zawsze był rozważny i ostrożny, w pełni świadom wszystkiego, co działo się wokół.

Jednak Johnny nigdy nie stał się typowym dzieckiem ulicy, zuchwałym i źle wychowanym. Nigdy nie był także opryskliwym, zwariowanym buntownikiem, stale popadającym w konflikt z prawem. Zadbał o to wuj Vito.

Johnny miał szczęście. Wyróżniał się spośród innych dzieci. Posiadał coś, co stawiało go ponad tłumem i w pewien sposób dawało mu ochronę. Tą szczególną rzeczą był jego głos. Słodki i melodyjny, tak czysty i mocny, że aż zapierał dech. Znajomi wuja słuchali Johnny'ego wniebowzięci, niemal z uwielbieniem. Klaskali głośno, gdy kończył śpiewać, i szczerze obdarowywali go dolarami.

Wszyscy bez wyjątku mówili mu, że śpiewa jak anioł. Wuj Vito stwierdził, że głos Johnny'ego jest darem Boga i chłopiec powinien traktować swój talent z wielką troską i wdzięcznością.

Przez jakiś czas młody Gianni chciał nazywać się tak samo jak popularny piosenkarz - Johnny Angel. W końcu jednak postanowił podpisywać się Johnny Fortune, bo było angielską wersją jego własnego imienia i nazwiska. Miał nadzieję, że to przyniesie mu szczęście. Nie pomylił się, choć zdobycie majątku i sławy zabrało mu wiele lat.

Tego chłodnego listopadowego wieczora Johnny nie miał jednak ochoty na rozpamiętywanie przeszłości. Myślał o tym, co go czeka w przyszłym

roku. Ten rok spędzony na zagranicznych koncertach i długich sesjach nagraniowych minął błyskawicznie. Johnny uświadomił sobie niedawno, że brak mu zupełnie wolnego czasu.

Następne dwanaście miesięcy miało to potwierdzić.

Zdał sobie sprawę, że im bardziej staje się sławny, tym mniej czasu ma dla siebie. Pracował jednak bez wytchnienia, dążąc do rozgłosu i bogactwa. Osiągnął to, czego pragnął. Spełniły się wszystkie jego marzenia.

Nucąc pod nosem i lekko się uśmiechając, przebiegał długimi, wypielegnowanymi palcami po klawiszach fortepianu. Grał swoją ulubioną piosenkę, która stała się jego wielkim przebojem.

Słowa i muzykę do utworu *Ty i ja* napisali Carole Bayer Sager i Peter Allen.

Johnny przestał nagle grać, powoli okręcił się na stołku i znieruchomiał, patrząc na pokój. Jak zwykle wpadał w zachwyt. Mimo że mieszkał już tutaj od czterech lat, wciąż z wielką przyjemnością podziwiał wystrój wewnątrz.

Pokój, na który patrzył, był piękny i urządzone z gustem. Dominowały w nim jasne i ciemne barwy drewna. Całość ożywiały kolory wiszących na ścianach obrazów, okładek książek stojących na półkach i wielkie bukiety świeżych kwiatów w kryształowych wazonach.

Na ciemnej wypolerowanej podłodze przed kominkiem leżał kremowy dywanik. podobnej barwy były dwie wygodne, luksusowe sofy stojące naprzeciwko siebie przy antycznym chińskim stoliku do kawy, wykonanym z mahoni. Przy kominku stały francuskie fotele z czasów Ludwika XV, pokryte kremowym prążkowanym jedwabiem. Na długim stoliku znajdowała się rzeźba autorstwa Brancusiego i czarny bazaltowy wazon z bukietem kwiatów. Całość skąpana była w łagodnym świetle, płynącym z porcelanowych lamp o jedwabnych abażurach.

Na ścianach wisiało kilka przyciągających uwagę obrazów: krajobraz Sisleya nad kominkiem i Rouaulta oraz Cezanne' a na przeciwległej ścianie, a także dwa wczesne dzieła van Gogha wiszące obok fortepianu.

Pokój urządzone z wielkim smakiem. Jednak to nie Johnny przyczynił się do tego, tylko Nell z pomocą dekoratora wewnątrz. To Nell znalazła ten dom i dopilnowała jego wystroju. Stworzyła w nim nastrój i niepowtarzalną, osobliwą atmosferę.

Wszystko, na co Johnny spojrział, nosiło na sobie ślad ręki Nell. To ona pomagała mu dokonywać zakupów. Cały dom został urządzone według jej gustu, lecz Johnny nie miał nic przeciwko temu. W rzeczywistości przyjął styl Nell za swój własny.

Cieszyło go, że potrafi teraz rozpoznawać cenne rzeczy. Odrzucał wyroby pośledniego gatunku.

Wysoko sobie cenił dobrą jakość i styl, nie tylko w sztuce i umeblowaniu, lecz także we wszystkim innym. Był dumny ze swojej nowo nabytej wiedzy.

Odkąd poznał Nell, zaczął się nawet inaczej ubierać. Podobał się sobie teraz w bardziej tradycyjnych i eleganckich strojach. To Nell stworzyła jego wizerunek.

Johnny wstał, przeszedł przez pokój i stanął tyłem do kominka. Przyszło mu do głowy, że jedyną rzeczą, jaką zawdzięczał tylko sobie, był talent. Każdy musiał przyznać, iż gust muzyczny Johnny'ego nie miał sobie równych.

Nic dziwnego, że nie znał się wcześniej na sztuce i antykach, nie miał przecież z nimi do czynienia. Jego ciotka, Angelina, ozdobiła małe mieszkanie przy Mulberry Street krzykliwymi obrazkami, przedstawiającymi Jezusa i świętych, krucyfikami i gipsowymi figurkami jaskrawo pomalowanymi. Gdy umarła, wuj Vito z szacunku i miłości dla swojej żony nie zmienił w domu niczego.

Kiedy Johnny wyprowadził się od wuja, przemieszkował w tanich przydrożnych motelach i obskurnych hotelikach w Hollywood, Vegas, Chicago czy Atlantic City. Nie sprzyjało to zbyt jego edukacji artystycznej.

Johnny zaśmiał się pod nosem, przechodząc przez wielki hol w stronę jadalni. Myślał o wuju Vito, który prawdopodobnie uciekłby z tego eleganckiego apartamentu, gdyby go zobaczył. Wyniosłby się pewnie do najbliższego motelu.

Cztery lata wcześniej, zaraz po przeprowadzce, Johnny zaprosił do siebie wuja, lecz on odmówił. Johnny nie nalegał ani też nie ponawiał zaproszenia. Wiedział, że wuj Vito mógłby czuć się nieswojo w jego wytwornej rezydencji i nie chciał wprawiać go w zakłopotanie. Może i wuj nie wywiązywał się najlepiej z roli opiekuna, ale przecież robił wszystko, co mógł. Johnny doskonale zdawał sobie sprawę, że Vito zawsze kochał go jak własnego syna, którego nigdy się nie doczekał. Jadalnia, do której wszedł, urządzona została w pastelowych kolorach.

Pośrodku stał wielki, zrobiony z cisowego drewna stół. Otaczały go rzeźbione krzesła z drzewa wiśniowego z wysokimi oparciami. Naprzeciwko siebie, przy przeciwległych ścianach, stały: elegancki kredens i szafa, także wykonane z wiśniowego drzewa. Nad kredensem wisiały obrazy angielskiego akwarelisty, sir Williama Russella Flinta.

Tego wieczora nakryto już do stołu. Zastawę stanowiły stare angielskie srebra, najlepsza porcelana i kryształowe kieliszki. Bukiet słodko pachnących herbacianych róż w pełnym rozkwicie stał w srebrnym wazonie pomiędzy czterema lichtarzami, w których tkwiły jasnożółte świece. Obok znajdowały się dwie deserowe patery.

Stół nakryto na trzy osoby. Johnny odczuwał niejaki niepokój z tego powodu. Wolałby, żeby Nell przyszła w odwiedziny sama, tak jak początkowo zamierzali. Ona jednakże postanowiła przyprowadzić ze sobą przyjaciółkę. Miał tak dużo spraw do przedyskutowania z Nell - chodziło głównie o plany na przyszły rok. Miał wrażenie, że w obecności obcej osoby będzie musiał się streszczać.

Perspektywa poznania przyjaciółki Nell burzyła jego pogodny nastrój.

Jednak wczoraj podczas lunchu zgodził się, gdy Nell spytała, czy może kogoś ze sobą przyprowadzić. Sam sobie był więc winny. Nie pozostało mu nic innego niż zachować dobrą minę do złej gry.

Johnny odwrócił się w progu, przeszedł przez wielki hol i lekko wbiegł na schody, kierując się do sypialni. Pokój był duży i jasno oświetlony, podobnie jak pomieszczenia na parterze. Olbrzymie okna ukazywały przepiękny widok. Krajobraz 'stanowił niezwykle tło.

Umeblowanie sypialni składało się z francuskich antyków wykonanych z wiśni i drewna pochodzącego z innych drzew owocowych. Odcienie koloru kremowego, kawowego oraz jasnożółtego mieszały się tutaj z jasnoseledynowym i różowym. Wszystkie te barwy powtórzone zostały na wspaniałym dywanie leżącym na podłodze. Johnny uwielbiał tę oryginalną perską robotę.

Zdjął niebieskie dżinsy, sportową koszulkę oraz zamszowe buty i udał się do łazienki, aby wziąć prysznic. Kilka minut później wyszedł z zaparowanej kabiny, chwycił ręcznik i owinał się nim wokół bioder. Innym ręcznikiem wytarł włosy.

Miał trzydzieści osiem lat i smukłe, gibkie ciało utrzymane w doskonałej formie. Dużo pływał i gimnastykował się, kiedy tylko mógł. Przestrzegał też diety. Na jego wrażliwej twarzy o wyrazistych rysach często pojawiały się ślady zmęczenia. Wyglądał wtedy starzej. Przyglądając się teraz sobie w lustrze, stwierdził, że mimo opalenizny wygląda okropnie.

Wysuszył dokładnie włosy, zaczesał je do tyłu, zbliżył głowę do lustra i skrzywił się. Szaleństwa ostatniej nocy wyraźnie odmalowały się na jego obliczu. Miał sine kręgi pod oczami i z pewnością wyglądał tak, jakby nie przespał nocy. Odpowiadało to prawdziwe. Pierwszy raz od wielu lat trochę przesadził. Wypił zbyt dużo czerwonego wina ze swoim przyjacielem Harrym Palomą w restauracji "La Dolce Vita".

Co gorsza, poszedł do łóżka z jedną z fanek, która wciąż tropiła go po lokalnych knajpach. Nigdy

nie przyprowadzał dziewczyn do domu, który uważał za świętość. W razie potrzeby wynajmował apartament w pewnym hotelu. Było to doskonałe miejsce na spotkania z panienkami. Jednak ostatnio pozwalał sobie na to niezbyt często. W każdym razie Johnny nie do końca stracił rozum. W ostatniej chwili przypomniał sobie o prezerwatywie. Jego aranżer, Gordy Lanhan, zmarł niedawno na AIDS i widmo tej śmiertelnej choroby nie dawało Johnny'emu spokoju.

Odłożył ręcznik i przeszedł przez sypialnię do sporej garderoby znajdującej się obok.

Pomieszczenie było tej samej wielkości, co sypialnia. Na wieszakach wisiało pełno drogich strojów, wspaniale uszytych przez najlepszych krawców z Londynu, Paryża i Rzymu. Szuflady mieściły mnóstwo koszul, wełnianych i kaszmirowych swetrów i pulowerów na wszystkie możliwe okazje. Na specjalnych podstawkach pod rzędem garniturów i kurtek stały pary wypolerowanych butów zrobionych ze skór najlepszego gatunku. Na wieszaku przymocowanym do jednej ze ścian wisiała kolekcja jedwabnych krawatów.

Po paru minutach Johnny dokonał wyboru. Postanowił włożyć ciemnoszare spodnie, czarną kaszmirową marynarkę oraz błękitną koszulę, niebieski krawat oraz parę czarnych półbutów. Ubrał się szybko. Na koniec wsunął jedwabną chusteczkę do kieszonki marynarki.

Po chwili zbiegł na dół. Nell Jeffrey mogła zjawić się lada moment.

10

Przyjaciółka Nell nie przypadła Johnny'emu do gustu. Próbował ją polubić, ale nie wychodziło mu to. Było w niej coś, co go drażniło. Za każdym razem, gdy się odzywała, Johnny czuł straszliwą pokusę, by sprzeciwić się jej zdaniu. Wiele wysiłku kosztowało go, aby zachowywać się wobec mej uprzejmie.

Rosalinda Madigan wzbudzała w nim najgorsze emocje. Przede wszystkim dlatego, żeby był człowiekiem trochę niepewnym siebie, chociaż nigdy nie przyznałby się do tego. Dusił ten fakt w podświadomości. Wolał nie myśleć o Rosie. Miał o niej jak naj gorszą opinię. Uważał, że jest kobietą

prostą i zarozumiałą a do tego snobką.

Rosie oczywiście była zupełnie inna. Johnny, patrząc na nią, czuł instynktownie, że bardzo różni się ona od kobiet, z którymi się zwykle stykał. Nie miał najmniejszego pojęcia, jak postępować z kobietami tej klasy, co Rosie. Drażniło go to. Starał się więc poniżyć ją w swoich oczach, a jej zalety uznać za wady. Nie chciał widzieć jej taką, jaka była naprawdę. Rosie nie miała w sobie niczego z prostactwa, lubiła jedynie ubierać się w tradycyjny sposób. Nie pyszniła się, lecz zachowywała dobre maniery. I z pewnością nie była snobką. Czuła się jedynie trochę onieśmielona w obecności Johnny'ego ..

Przyglądając się jej kątem oka, pomyślał, że wygląda okropnie ponuro. Nie znosił poważnych kobiet - budziły jego niechęć. Miał słabość do tych błyskotliwych, czarujących, pełnych uroku dziewcząt, dlatego też tak bardzo pociągała go Nell Jeffrey. Chociaż łączyły ich jedynie interesy, znajdował wielką przyjemność w samym patrzeniu na Nell. Jego zdaniem, była pełna wdzięku i kobiecości. Johnny czuł się dumny, że to ona właśnie go reprezentuje.

Popijał wino, słuchając, jak obie przyjaciółki rozmawiają o swoim wspólnym znajomym, Gavinie Ambrose, wielkim gwiazdorce filmowym. W pewnej chwili Johnny coś sobie uświadomił.

Niespodziewanie przyszło mu do głowy, że denerwuje go inteligencja Rosie.

Mądre kobiety zawsze przerażały Johnny'ego. Czuł się przy nich jak nieuk, ponieważ sam nie ukończył college'u.

Nell także była inteligentna, ale wyglądała przy tym tak niewinnie i kobieco, że Johnny nie czuł się zagrożony. Podziwiał jej bystry umysł, zwłaszcza gdy wykorzystywała go dla pomyślnego rozwijania jego własnych interesów. Nell nie tylko wypowiadała się publicznie w jego imieniu, lecz była dla Johnny'ego czymś więcej niż doradcą w interesach. W pełni doceniał jej talenty, które uważał za niezwykle. To właśnie Nell całkowicie zmieniła jego życie, odkąd zajęła się jego karierą piosenkarską.

Zrozumiawszy powody swojej niechęci do Rosie, Johnny poczuł się o wiele lepiej. Chwycił widelec i nabrał sporą porcję spaghetti.

Siedzieli we trójce przy stole i jedli pierwsze danie, jakie przygotował kucharz Johnny'ego -

Giovanni. Żona Giovanniego, Sophia, podała właśnie pyszny makaron z sosem i przyprawami, a Arthur, główny lokaj, nalewał schłodzone białe wino do wytwornych kryształowych kieliszków. W pokoju przez parę minut panowała cisza. Wszyscy rozkoszowali się aromatycznym daniem. Pierwsza odezwała się Nell:

- Przepyszne! Najlepsze spaghetti, jakie jadłam od lat. Smakuje ci, Rosie?
- Bardzo - odparła i zerknęła na Johnny'ego. - Lepsze niż u "Alfreda" w Rzymie.
- Giovanni jest genialnym kucharzem - stwierdził Johnny niemal zgryźliwie, po czym zwrócił się do Nell i spytał przyciszonym głosem: - I co z tymi koncertami w przyszłym roku? Nie wiem, czy nie będą wynosić mnie ze sceny na noszach pod koniec trasy.

Nell popatrzyła mu w oczy i postanowiła powiedzieć to, co miała już na końcu języka wczoraj, gdy dyskutowali oboje o nadchodzącym światowym tournee Johnny'ego.

- Myślę, że nie będzie tak źle. Możesz zrezygnować z paru koncertów - powiedziała ostrożnie. - Bierzesz na siebie za dużo zobowiązań. Musiałbyś odwiedzić wiele odległych od siebie krajów. Moim zdaniem, powinieneś pojechać tylko do Los Angeles, Nowego Jorku, Londynu, Paryża i Madrytu. A potem odpocząć.

Johnny, zaskoczony tym oświadczeniem, zaniemówił.

- Nell- podjął po chwili - to wspaniały pomysł, lecz nie wiem, czy mój agent się zgodzi. Rozpoczął już pertraktacje w sprawie światowego tournee.

- Ale nie dograł jeszcze wszystkiego do końca i z pewnością może się wycofać.

- Skąd o tym wiesz? - spytał.

- Rozmawiałam z nim wczoraj. Przyszło mi do głowy, że długa trasa koncertowa będzie dla ciebie zbyt wyczerpująca i może wpędzić cię w chorobę. Musiałbyś przemieszczać się z kontynentu na kontynent. Niemal cały rok spędziłbyś poza domem, mieszkając w hotelach i podróżując samolotami. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Długie trasy wyjąławiają artystów. Naprawdę uważam, że w przyszłym roku powinieneś wystąpić tylko w Stanach i Europie. Japonię oraz inne kraje Dalekiego Wschodu i Australię możesz zostawić na później.

- To brzmi sensownie - rozpromienił się Johnny. - Mam nadzieję, że Jeff się zgodzi.

- Na pewno, jeśli tylko odpowiednio go podejźmiemy. A może sama pogadam z nim jutro. Powtórzę mu, do jakich wniosków doszliśmy. Nie możemy też zapomnieć o sesjach nagraniowych do nowej płyty. Zabiorą ci parę miesięcy i będą dla ciebie dużym obciążeniem. Sam wiesz, jakim jesteś perfekcjonistą. Nie uważasz, że o tym także powinnam wspomnieć Jeffowi?

Johnny popatrzył na Nell z podziwem.

- Jesteś cudowna, najwspanialsza! Uwielbiam, kiedy się tak o mnie troszczysz. Zgadzam się na wszystkie twoje pomysły, choć Jeffa ta zmiana planów pewnie wkurzy. Ty przyjmiesz na siebie jego gniew, a kiedy wszystko ucichnie, zaproszę was oboje na kolację - Johnny uśmiechnął się. - Uda się. Jeff bardzo cię ceni, Nell. Na pewno razem świetnie wszystko zaaranżujecie.

- Dzięki za zaufanie, Johnny, i za miłe słowa, ale ... - Nell przerwała nagle.

- Ale co? - dopytywał się Johnny.

- Och, nic takiego, naprawdę - zawahała się, nie chcąc wyrażać na głos myśli, jaką podzielił się z nią agent Johnny'ego, Jeff Smiles. Zamiast tego rzekła: - Chciałam powiedzieć ... to znaczy wydaje mi się, że na tym etapie kariery nie powinieneś dawać zbyt wielu koncertów.

- Ale przecież występy na żywo pomagają w sprzedaży płyt.

- Owszem. Myślę jednak, że mógłbyś trochę zwolnić obroty, nie pokazywać się tak często publicznie. To wcale nie zaszkodzi twojej pozycji. Na dłuższą metę będzie dla ciebie wręcz korzystniejsze.

Johnny mruknął coś niezrozumiale pod nosem i zamilkł. Zamyślony patrzył na kieliszek z winem. Chwilę później uniósł głowę i stwierdził: - Julio wrócił właśnie ze światowego tournee. W ostatnich latach kilka razy objechał z koncertami całą kulę ziemską i wcale mu to nie zaszkodziło. - To prawda. Z drugiej strony, Barbra Streisand od sześciu lat nie śpiewała na żywo, a sprzedaje wciąż bardzo dużo płyt.

- Barbra występuje także w filmach - zauważył Johnny.

- Ale nie zawsze w nich śpiewa - odparowała Nell i roześmiała się.

Pogadamy o tym jutro. Możemy nawet spotkać się jeszcze raz w sobotę, jeśli chcesz. Wyjeżdżam z Los Angeles dopiero w niedzielę.

- Fantastycznie.

Chcąc zmienić temat i odwrócić uwagę Johnny'ego od spraw zawodowych, Nell zaczęła z innej beczki:

- Kostiumy Rosie do nowego filmu Gavina *Twórcy Królów*, są rewelacyjne, Johnny. Szkoda, że ich nie widziałeś. Mam nadzieję, że przyjedziesz na premierę w przyszłym roku. Rosie chyba dostanie następnego Oscara.

Szyję i policzki Rosie oblał rumieniec.

- Naprawdę, Nell, nie przesadzaj - zaprotestowała. _ Znajdą się też inni kandydaci do nagrody ...

- Przewidywania Nell zwykle się sprawdzają. Nie ma co się jej sprzeciwiać - rzekł Johnny chłodnym tonem, patrząc Rosie prosto w oczy.

Rosie milczała. Podniosła kieliszek i napiła się wina, zastanawiając się, dlaczego ten człowiek tak bardzo jej nie lubi. Już w pierwszej chwili, gdy przekroczyła próg tego domu, odczuła niechęć Johnny'ego. Na próżno silił się na uprzejmość. Rosie żałowała, że dała namówić się Nell na to spotkanie. Byłoby o wiele lepiej, gdyby zjadła samotnie kolację w hotelu.

Nell także się nie odzywała. Zauważyła rezerwę w głosie Johnny'ego i podobnie jak Rosie poczuła się zakłopotana. Johnny zachowywał się dziwnie, a jego wyraźna antypatia do Rosie wydawała się niezrozumiała. Westchnęła. Chciała załagodzić sytuację i przerwać niezręczne milczenie.

Już miała zagadnąć Johnny'ego o jego nową płytę compactową, która właśnie znalazła się na liście przebojów. Nie musiała jednak się wysilać. Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Sophia. Gospodyni zaczęła zbierać opróżnione naczynia. Tuż za nią podążał Arthur i stawiał na stole czyste talerze. Po paru minutach podali *frutti di mare*, zapiekane z ziołami i różnymi warzywami.

Johnny odstawił kieliszek i zwrócił się do Nell.

- Co będziesz robić w przyszły czwartek, w Święto Dziękczynienia?

- Ugotuję coś dobrego dla Kevina - odparła Nell, zaskoczona własnymi słowami - i dla Rosie, oczywiście - dodała szybko.

- Kevin? Kto to jest? - spytał Johnny, unosząc brwi.

- Mój przyjaciel - odrzekła Nell, decydując się w końcu wyjawić prawdę - i brat Rosie.

Napotkawszy zdumione spojrzenie wstrząśniętej przyjaciółki, lekko się zasepiła. - Zamierzam przyrządzić coś pysznego dla dwojga moich najbliższych przyjaciół. Przygotuję tradycyjną świąteczną kolację: pieczonego indyka, sos żurawinowy, słodkie ziemniaki i chleb z kukurydzy. Urządzą wspaniałe Święto Dziękczynienia, Johnny. Mniejsza o to, że urodziłam się nie tu, a w Anglii.

- Jesteś teraz bardziej amerykańska niż placek z jabłkami - odparł Johnny ze śmiechem i dodał poważniej: - Zazdroszczę ci tych planów. - Może wpadłbyś do mnie? - zaproponowała Nell. - Będziesz w tym czasie w Nowym Jorku, chętnie się z tobą zobaczę.

- Nie mogę. Obiecałem wujowi, że spędzę święta z nim i jego ... przyjaciółmi. Ale dziękuję za zaproszenie - wziął na widelec kawałek ryby. - No, no, masz przyjaciela! Nie wspomniałaś mi o nim do tej pory - dodał.

Ani mnie - pomyślała Rosie, spoglądając wymownie na Nell. Przyjaciółka przygryzła wargi.

Dobrze rozumiała zdziwienie i zmieszanie Rosie. Odwróciła głowę. Roześmiała się tylko, słysząc uwagę Johnny'ego. Potem wbiła wzrok w swój talerz.

Po chwili Johnny znowu zaczął dyskutować z Nell o swojej karierze, o tym, co go martwiło, a także o planach na przyszły rok. Nell wiedziała, że Johnny nie da jej spokoju, dopóki wszystkiego nie uzgodni. Poświęciła mu więc uwagę, starając się udzielać możliwie najlepszych rad.

Rosie pogrążyła się w rozmyślaniach o Nell i Kevinie. Naturalnie, zżerała ją ciekawość, lecz żeby poznać nowiny, musiała poczekać na chwilę, gdy znajdzie się z Nell sam na sam. A może to wcale nienową sprawą? Może Kevin spotykał się z Nell już od dawna? Jeśli tak, to dlaczego oboje trzymali to w tajemnicy? Poczuła się zawiedziona. Po chwili jednak ogarnęły ją ciepłe uczucia. Tak naprawdę to ucieszyła się ze związku Nell i Kevina, ponieważ wierzyła, że będą razem szczęśliwi. Radowała się zwłaszcza ze względu na brata. Jego życie było tak pełne niebezpieczeństw, że potrzebował wytchnienia u boku mądrej i ciepłej kobiety.

Rosie zaczęła wyobrażać sobie święta Bożego Narodzenia w Monttleurie.

Myślała o pięknym domu, potrawach, jakie przygotowują, pakowaniu prezentów: tych, które kupiła i innych, które zamierzała jeszcze kupić.

W końcu wróciła do teraźniejszości. Myślała o sprawach, które musiała jeszcze załatwić w Los Angeles, a zwłaszcza o mającym się odbyć nazajutrz spotkaniu z Gavinem. Mieli zjeść razem

lunch u niego w domu i pogadać o kolejnym filmie. Gavin nie zdradził jeszcze szczegółów, lecz wiedziała, że jak zwykle przypadnie jej projektowanie kostiumów.

Parę dni wcześniej spotkała się z Garrym Marshalllem. Proponował jej pracę przy kręceniu swojego nowego dzieła. Gdyby nie wcześniejsze oferty Gavina, z pewnością związałyby się z Marshalllem. Gavin zawsze jednak wydawał się Rosie ważniejszy. Odmówiła więc grzecznie Garry'emu.

Filmy Gavina stawiała na pierwszym miejscu, nie tylko z tego powodu, że Gavin był doskonałym aktorem i wybierał niebanalne tematy, lecz dlatego, że wiele dla niej znaczył.

Słyszając słowa Nell, Rosie otrząsnęła się z zadumy i uniosła głowę. - Wybaczcie, pójdę i zadzwonię teraz, żeby mieć już to z głowy - mówiąc to, Nell odsunęła krzesło i wstała.

- Dobrze - odparł Johnny. - Telefon jest w moim gabinecie.

- Dzięki - rzekła Nell i wyszła z jadalni.

Johnny rozparł się na krześle, wziął kieliszek wina i napił się, starając się nie zwracać uwagi na Rosie.

Ona zaś przyglądała mu się przez chwilę, po czym odwróciła wzrok, nie wiedząc, co powiedzieć. Antypatia, jaką Johnny żywił wobec niej, była tak oczywista. Rosie nie mogła znaleźć żadnego tematu do rozmowy, czegoś, co zainteresowałoby ich oboje.

W pokoju zaległa martwa cisza.

11

Rosie zamarała.

Siedziała zupełnie cicho, patrząc przed siebie. Nie mrugnęła nawet okiem i zdawało się, że nie oddycha. Zastanawiała się, co robić.

Od nagłego wyjścia Nell do telefonu w pokoju zapanowała przytłaczająca cisza. Rosie czuła się skons; mowana. Johnny zachowywał się nader dziwnie. Nie miała pojęcia, dlaczego. '

Wydawało się jej, że powinna przeprosić, wstać od stołu, odnaleźć Nell i powiedzieć jej, że wraca do hotelu. Nell zrozumiałaby ją. Już wcześniej tego wieczora wymieniły kilka porozumiewawczych spojrzeń. Przyjaciółkę Rosie także zaniepokoiło osobliwe zachowanie Johnny'ego.

Wzrok Rosie znowu spoczął na dwóch srebrnych paterach, stojących na stole koło lichtarzy. Przyglądała się im przez cały wieczór. Były piękne. Zdobiły je stylizowane :figurki dzikich kotów, wyciągających łapy ku kryształowej czarze pełnej owoców. Srebro pokryte było patyną. Każdy centymetr obu pater został staninnie wykończony. Rosie wiedziała, że wykonał je jakiś wybitny złotnik. Były to prawdopodobnie unikalne egzemplarze, niewątpliwie niezwykłe kosztowne.

Odwróciła wzrok od antycznych sreber i spojrzała na Johnny'ego.

Chciała podziękować mu i wyjŚĆ, jednak zamiast tego powiedziała:

- Te patery są wspaniałe. Pewnie pochodzą z czasów georgiańskich, prawda? I o ile się nie mylę, zrobił je Paul Storr.

Zaskoczony Johnny patrzył na nią długą chwilę. W końcu odparł:

- Właśnie niedawno je kupiłem. W Londynie.

Zdziwił się, że Rosie zna nazwisko złotnika. Sprawiało mu też przyjemność, że patery przypadły jej do gustu. Sam był z nich dumny. Większość sreber, które trzymał w domu, kupił osobiście w swym ulubionym sklepie przy Bond Street. Właściciele, Francis i Toni Raeymaekersowie, trzymali je specjalnie dla Johnny'ego, pewni, że mu się spodobają.

- Skąd wiesz, że wykonał je Paul Storr? - spytał Johnny prostując się nieco na krześle, by móc patrzeć Rosie prosto w oczy.

- Mam przyjaciółkę ... znawczynię sreber - odparła. _ Handlowała nimi.

- Czy nadal to robi?

- Nie, już przestała.

- Szkoda. Chętnie kupiłbym coś ciekawego - Johnny odchrząknął.

- No, ale pewnie twoja przyjaciółka nie porzuciła swoich zainteresowań. Gdyby coś wpadło jej w ręce ...

- Nie sądzę - wtrąciła Rosie. - Ona już nie pracuje.

- Czyżby przeszła na emeryturę?

- Och, nie ...

Rosie przerwała i odwróciła wzrok, myśląc o Collie i życząc jej powrotu do zdrowia. Gdyby tylko Collie mogła pracować, z pewnością wyszłoby jej to na dobre. Rosie była o tym przekonana. Ogarnął ją nagły smutek, lecz szybko się z niego otrząsnęła. Spojrzała znowu na Johnny'ego i ku swemu zaskoczeniu wyznała:

- Moja przyjaciółka, Collie, miała w zeszłym roku masę kłopotów. Jej mąż zginął w wypadku, a ona sama ciężko zachorowała. Przez długi czas nie była w stanie nic robić. Gdy w końcu wróciła do pracy, stwierdziła, że nie ma zupełnie sił na nic, więc ją rzuciła. Przynajmniej na jakiś czas. Uwielbiała wynajdywać cenne przedmioty, odnawiać je i sprzedawać. Handel miała we krwi.

- Przykro mi ... że twoja przyjaciółka chorowała _ mruknął Johnny, widząc troskę w oczach Rosie. - Czy ona mieszka w Nowym Jorku?

Rosie pokręciła głową.

- Nie, we Francji. Jest Francuzką.

- Pewnie wiele się od niej nauczyłaś na temat sreber, prawda?

- Och, tak. Często zabierała mnie na aukcje w Londynie ... _ Rosie zamilkła, przypominając sobie tamte dni.

To były naprawdę dobre lata dla niej i dla Collie. Potem wszystko zaczęło się rozpadać. Rosie westchnęła ciężko na wspomnienie minionych czasów spędzonych w Montfleurie i zamrugała szybko powiekami, otrząsając się z nagłej melancholii.

Szybko wzięła się w garść i powiedziała możliwie pogodnym głosem: - Paul Storr był wspaniałym złotnikiem, prawda? Należał do ulubieńców Collie. Collie dostałaby pewnie zawrotu głowy, gdyby zobaczyła te patery. Są naprawdę wspaniałe.

Johnny skinął głową.

- To Nell zainteresowała mnie angielskimi srebrami. Pomogła mi kupić pierwszy lichtarz i serwis do kawy. Jednak w ciągu ostatnich dwóch lat większość rzeczy nabyłem sam - Johnny lekko się uśmiechnął. - Znaleźli mi je przyjaciele, właściciele sklepu w Londynie, Toni i Francis Raeymaerkersowie. Mają wspaniały gust. Udzielili mi wielu cennych uwag. Johnny urwał. Lody zostały przełamane. Rosie już go tak nie drażniła.

Ujęło go, że dostrzegła w nim konesera. Naraz zrobiło mu się głupio, że wcześniej zachowywał się wobec niej tak chłodno i grubiańsko. Napił się wina i powiedział:

- Nell mówi, że mam dobre oko.

- Do czego? - spytała Nell, wchodząc do pokoju.

- Do sreber - odrzekł Johnny i zaśmiał się. - Rosie bardzo spodobały się te patery Paula Storra.

- Są rzeczywiście piękne - przyznała Nell i usiadła.

- Wszystko w porządku? - spytała Rosie patrząc na przyjaciółkę.

- Tak długo nie wracałaś.

- Wiem. Przepraszam was bardzo.

- Nic nie szkodzi - rzekł Johnny.

- Myślę, że wszystko da się załatwić - mówiła dalej Nell - ale obawiam się, że będę musiała po kolacji zadzwonić jeszcze do paru osób. To przykre, lecz nic na to nie poradzimy - Nell wzruszyła ramionami. - Kiedy jest się rzecznikiem prasowym nie ma się wyboru. Ciągłe trzeba trzymać rękę na pulsie. Tak więc muszę załatwić te sprawy do końca.

- Nic się nie stało. Możesz siedzieć w moim gabinecie i telefonować do woli - odparł Johnny. -

Wiesz dobrze, że możesz się czuć tutaj jak u siebie w domu. Ale najpierw zjemy deser, dobrze?

Giovanni przygotował *eros tata di mele alla crema*.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła Nell, unosząc brwi. - To brzmi wręcz nieprzyzwoicie. I założę się, że jest tuczące.

- Ty na pewno nie musisz martwić się o figurę! Od czasu do czasu można zjeść coś słodkiego.

- A potem poczuć to w biodrach? - westchnęła Nell śmiejąc się i przewracając oczami.

- Powiedźcie mi, co to takiego - poprosiła Rosie.

- Placek z jabłkami i kremem. Na pewno będzie ci smakował

- Johnny spojrzał na nią ukradkiem i dodał: - Ty także nie musisz obawiać się, że przytyjesz.

Po kolacji Nell zajęła się rozmowami telefonicznymi. Johnny zaprowadził Rosie do biblioteki na tyłach domu.

Otwierając drzwi powiedział:

- Chciałbym pokazać ci jeszcze parę innych moich skarbów.

- Chętnie je zobaczę - odparła Rosie szczerze.

Zaskoczyła ją zmiana w zachowaniu Johnny'ego. Wyczuła, że stał się wobec niej bardziej przyjazny. Odzywał się uprzejmie i zaczął się uśmiechać. Rosie zastanawiała się, skąd ta odmiana.

Czyżby wspólne zainteresowania srebrami? Czy to możliwe? Taki drobiazg zmienił jego nastawienie?

- To są lichtarze Jerzego IV, również wykonane przez Paula Storra. Pochodzą z 1815 roku - wyjaśnił Johnny, prowadząc Rosie do długiego stolika za sofą. - Wyszperałem je w tym samym sklepie przy Bond Street. Miałem szczęście.

Rosie, kiwając głową, patrzyła z podziwem na lichtarze. Potem zwróciła uwagę na wielki srebrny puchar.

- Piękny. Ale to już nie dzieło Storra, prawda? Johnny skinął głową.

- Jest starszy prawie o cały wiek. Miała go w swojej kolekcji królowa Anna. A zrobił go inny słynny angielski złotnik, William Denny.

- Masz dużo wspaniałych rzeczy. Właściwie cały twój dom jest olśniewający - powiedziała Rosie i usiadła na sofie.

- Dziękuję - odparł Johnny, podążając za nią. Spoczął na krześle stojącym obok wielkiego kamiennego kominka.

- Napijesz się czegoś? - spytał, zerkając w stronę Rosie. _ Likieru? Koniaku?

- Poproszę tylko o kawę.

W tej chwili do pokoju wszedł Arthur z tacą. Tuż za nim podążała Sophia z filiżankami i spodeczkami. Podawszy kawę, dyskretnie opuścili pomieszczenie.

Rosie i Johnny popijali gorący, aromatyczny napój.

Żadne z nich nie odzywało się, ale cisza nie ciążyła im. Niechęć Johnny'ego wobec Rosie rozplynęła się zupełnie. Wydawał się nawet okazywać umiarkowane zainteresowanie jej osobą. Żałował, że wcześniej zachowywał się tak nietaktownie. Złościł się na siebie. Kobiety na całym świecie widziały w nim uosobienie uroku. Zastanawiał się, dlaczego Rosie potraktował tak szorstko.

- Kto namalował ten obraz? - zapytała, wskazując na pejzaż wiszący nad kominkiem. Przedstawiał dwóch farmerów stojących w polu wśród falujących łąnów pszenicy. Rosie zachwyciła się tym widokiem i poczuła nagłą tęsknotę za Montfleurie.

Johnny wyprostował się na krześle i odrzekł:

- Pascal. Jeden z lokalnych artystów. Bardzo go lubię. Na górze mam więcej jego dzieł.

- Uwielbiam współcz. esnych impresjonistów ... To pole przywodzi mi na myśl Francję - stwierdziła Rosie, wciąż patrząc na obraz i myśląc o widoku, jaki roztaczał się z zamku.

- Pascal często jeździł do Francji malować w plenerze - wyjaśnił Johnny, a jego zainteresowanie osobą Rosie wzrosło.

Przyglądał jej się uważnie.

Spostrzegła to i speszyła się trochę. Popatrzyła na niego, a w jej oczach kryło się zdumienie.

Johnny nagle odstawił filiżankę, wstał i usiadł obok Rosie.

W zasadzie nigdy nie przeproszał nikogo za nic. Jednak teraz chciał uczynić wyjątek dla Rosalindy Madigan. Powiedział pospiesznie, nieco zażenowany:

- Przepraszam, że byłem wobec ciebie niegrzeczny. Nie chciałem ... - przerwał i pokręcił głową. -

Naprawdę mi przykro, nie powinienem zachowywać się tak paskudnie ... Miałem ciężki dzień, masę spraw do załatwienia ... - próbował wymyślić na poczekaniu jakieś usprawiedliwienie.

- Rozumiem - odparła Rosie. -- Mnie również zdarzają się takie dni.

- A więc wybaczysz mi?

- Oczywiście - odparła z uśmiechem.

Cała jej twarz rozpromieniła się, usta nabrały słodkiego wyrazu, a w oczach pojawił się ciepły blask. Johnny poczuł się nagle oczarowany jej wdziękiem. Siedział i wpatrywał się w nią w milczeniu.

Rosie spojrzała w jego jasne oczy, najbardziej błękitne, jakie kiedykolwiek widziała. Oparła się na sofie i przekrzywiwszy głowę, patrzyła na niego z zaciekawieniem. Wydawał się jej najdziwniejszym człowiekiem, z jakim miała do tej pory do czynienia.

Gdy poruszyła się, na jej twarz padło więcej światła.

Johnny dostrzegł nagle głęboką zieleń jej oczu i miedziany odcień włosów. Uderzyła go uroda tej kobiety. Zastanawiał się, jak mogła wydać mu się z początku nieciekawa. Przecież Rosalinda Madigan wyglądała wprost oszalamiająco.

Zmieszana i zaniepokojona osobliwym wyrazem twarzy Johnny'ego, wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni.

- Wszystko w porządku. Naprawdę. Rozumiem cię i nie mam o to żalu - powiedziała z uśmiechem. Polubiła Johnny'ego i postanowiła wybaczyć mu niestosowne zachowanie. Starła się dostrzec w nim to, co najlepsze. Zawsze podchodziła do ludzi w ten sposób. Johnny skinął głową. Chociaż jeszcze o tym nie wiedział - wpadł po same uszy.

12

Jeszcze długo po wyjściu Rosie Juhnuy czuł się skonsternowany. Przyjaciółka Nell zupełnie go rozbroiła.

Z początku poczuł do niej niechęć, ale po niedługim czasie wszystko się odmieniło. Johnny nie rozumiał sam siebie. Leżał w łóżku, rozmyślając o tym, co dzisiaj zaszło.

Ciszę przerwał dzwonek telefonu. Sięgając po słuchawkę, zerknął na zegarek stojący na szafce. Było dobrze po jedenastej. Mógł dzwonić jedynie ktoś z jego bliskich znajomych, nikomu innemu bowiem Johnny nie zdradził swego prywatnego numeru.

_ Halo? - odezwał się z pewnym niepokojem.

_ Johnny, jak się masz? - spytał ktoś nieco burkliwym głosem.

_ Wuj Vito! Na Boga, jeszcze nie śpisz? Przecież w Nowym Jorku jest już po drugiej.

_ Tak ... Nie przeszkadzam ci?

_ Nie. Jestem sam.

_ Szkoda _ westchnął stary człowiek. - Co to ja ci miałem powiedzieć ... ? Aha, czemu nie znajdziesz sobie jakiejś miłej dziewczyny, najlepiej Włoszki, i nie ożenisz się z nią? Miałbyś gromadkę ślicznych dzieciaków i żyłoby ci się szczęśliwie. posłuchasz mojej rady, Johnny?

_ Kiedyś na pewno, wujku Vito. - Obiecujesz?

- Daję słowo.

_ Byłem na wyspie na rodzinnym obiedzie. Zawsze jeżdżę tam w czwartki. W każdym razie, Wielki Człowiek przesyła ci pozdrowienia. Jesteś jego ulubieńcem, nie zapominaj o tym. Oczekuje nas w Święto Dziękczynienia. Pamiętasz o tym, Johnny, prawda?

- Oczywiście. Zawsze chętnie biorę udział w tych spotkaniach. Nigdy cię nie zawiodę. Ani

Wielkiego Człowieka. Skąd dzwonicz? - Nie martw się, to nie jest rozmowa na twój rachunek.

- Nie potrzebujesz niczego? Dobrze się czujesz?

- Wspaniale, dzieciaku. Nigdy nie miałem się lepiej _ gdzieś daleko w Nowym Jorku, stojąc w budce i drżąc z zimna, Vito Carmello zaczął się śmiać. - Innym nie wiedzie się tak dobrze, Johnny.

Zbyt wiele plotek. .. gadają za dużo. Złe rzeczy. Złe dla interesów, rozumiesz?

- Tak - odparł Johnny i też się roześmiał. - A teraz lepiej wracaj do domu. Zobaczymy się w Przyszłym tygodniu. Przyjadę w środę późnym wieczorem.

- Gdzie się zatrzymasz?

- W hotelu " Waldon" .

Śmiech wuja Vito jeszcze raz zabrzmiał w słuchawce. - Dobranoc, Johnny.

- Dobranoc, wuju Vito.

Johnny myślał o swoim wuju. Vito miał już swoje lata _ dokładnie siedemdziesiąt dziewięć i był za stary na to, co robił. Powinien wreszcie odpocząć. Jednak staruszek upierał się, nie słuchał Johnny'ego ani nie chciał brać od niego pieniędzy.

- Nie potrzebuję ich, dzieciaku. Mam ich mnóstwo. Więcej niż mogę wydać. A tobie forsa jeszcze się przyda - odpowiadał na propozycje siostrzeńca.

Wuj był dumnym Sycylińczykiem, bardzo lojalnym wobec swojego starego druha, Salvatore Rudolfo, zwanego Wielkim Człowiekiem. To dlatego wuj nie chciał się wycofać.

- Wielki Człowiek wciąż dzierży władzę - mawiał zawsze Vito do Johnny'ego, - Skończę z tym, kiedy i on skończy. Zaczynaliśmy razem i razem skończymy.

Tak więc Vito Cannello wciąż był, podobnie jak przez większość swojego życia, *caporegi me*, ważną postacią w organizacji Rudolfa.

Vito i Salvatore Przyjaźnili się od dzieciństwa. Pochodzili z Palermo.

Ich rodziny opuściły ojczyznę, gdy chłopcy mieli po osiem lat. Działo się to w 1920 roku. Obie rodziny osiedliły się w sąsiedztwie na Manhattanie. Żyły blisko siebie, podobnie jak na Sycylii. Johnny słyszał wiele historii od swojego wuja o tamtych dniach, kiedy rody Carmello i Rudolfo przybyły do wielkiej amerykańskiej metropolii.

Owe czasy nie okazały się zbyt łaskawe dla imigrantów. Rodzice chłopców wkrótce odkryli, że wcale nie żyje im się łatwiej. Nie byli ani bogatsi, ani szczęśliwsi niż w Palermo. Myśleli często o powrocie do Włoch.

Na rodzinnych spotkaniach Guido Carmello i Angelo Rudolfo nieraz użalali się nad swoim losem. Pluli sobie w brodę, że zachciało im się Ameryki, kraju dostatku, gdzie ponoć pieniądze leżały na ulicy. Rzeczywistość okazała się inna, w dobrobycie pławili się tylko wybrańcy. Obaj mężczyźni - Guido i Angelo - trudnili się wyrobem mebli, ledwo jednak wiązali koniec z końcem. Z biedą starczało im na czynsz i jedzenie.

Ich synowie jednak uwielbiali Nowy Jork. Gdy tylko poduczili się angielskiego, większość czasu zaczęli spędzać na ulicach Manhattanu. Szybko przywykli do ruchu i hałasu i zapomnieli o sennym Palermo. Szkoła ich nudziła, lecz ulice niezmiernie fascynowały - dawały im rozrywkę, dostarczały przygód, a często także pieniądze.

Gdy chłopcy skończyli trzynaście lat, zorganizowali swój własny gang uliczny - *borgata*, jak nazywano to we Włoszech. Na ten pomysł pierwszy wpadł Salvatore. Był silniejszy i sprytniejszy od Vita, poza tym wydawał się urodzonym przywódcą. I tak popełnianie drobnych przestępstw stało się ich sposobem na życie. Okradali sklepikarzy, pijaków, myszkowali po zapleczach fabryk, kradnąc, co tylko się dało. Spełniali także polecenia lokalnych mafiosów. Często przynosili do domu więcej pieniędzy niż ich uczciwi, ciężko pracujący ojcowie.

Bystry i zaradny Salvatore szybko przedzierzgnął się z szefa gangu młodzieżowego w członka mafii. Pewien *capo* dostrzegł w młodym Sycylijczyku naturalne talenty ~ przebiegłość, żelazne nerwy i wielką siłę. Salvatore wszędzie zabierał ze sobą Vita. Chwalił go przed swoim *capo* i próbował znaleźć dla przyjaciela odpowiednie miejsce. Mimo młodego wieku Salvatore niemal błyskawicznie zyskał uznanie tajnej organizacji i stał się w końcu pełnoprawnym członkiem mafii. Podobnie Vito.

Salvatore Rudolfo uważano za twardego faceta, z którym trzeba się liczyć. Wszyscy wiedzieli, że młody mafioso nie spocznie, póki nie dotrze na sam szczyt. Miał żylkę do interesów, szorstki sposób bycia i umiał nad sobą panować. Potrafił także narzucać innym swoje zdanie. Zebrał wokół siebie grupę oddanych ludzi, którzy gotowi byli zrobić dla niego wszystko. Oznaczało to, że mogli również zabić kogoś, jeśli Salvatore o to prosił, i zdarzało się to dosyć często.

Nadszedł czas, gdy Salvatore, kierowany ambicjami i żądzą władzy, podjął próbę oderwania się od grupy, w której działał. Chciał, razem z Vitem, założyć własną organizację.

To, że przedsięwzięcie im się udało, bardziej zawdzięczali szczęściu i zbiegowi okoliczności niż czemukolwiek innemu. Działo się to w 1930 roku, gdy Salvatore i Vito mieli po osiemnaście lat. W tym czasie w nowojorskiej mafii panowała szczególna, wielce korzystna dla obu przyjaciół, sytuacja.

Grupa młodych Turków, sfrustrowana i wściekła na rządzących nią szefów mafii, których nazywali pogardliwie wąsaczami, zbuntowała się przeciwko swoim ciemiężcom.

Rewolta zakończyła się w 1931 roku. Większość starych mafiosów zginęła bądź została pozbawiona wpływów. Nastąpił koniec rządów w starym stylu. Rozpoczął się okres panowania współczesnej amerykańskiej mafii. Ponieważ Salvatore przysłużył się Turkom, ci w zamian pozwolili mu realizować własne plany.

Rodzina Rudolfo szybko się rozrosła i po latach stała się dominującą grupą w "honorowym towarzystwie", braterskiej mafii, znanej także jako *La Cosa Nostra*, co po prostu znaczy "nasza sprawa". Salvatore został szefem, jego brat Charlie zastępcą, a kuzyn Anthony doradcą. Vito stał się powiernikiem szefa.

Gdy Johnny Fortune był małym chłopcem, nie wiedział zbyt dokładnie, czym zajmuje się wUj Vito. Docierało jedynie do niego niejasno, że wuj prowadzi jakieś rodzinne interesy z Salvatore, Charliem i Tonym. Dopiero później uświadomił sobie, że wszyscy oni należeli do mafii. To jednakże zbyt mało dziwiło Johnny'ego, ponieważ wychował się wśród włoskich rodzin i na co dzień stykał się z ludźmi z półświatka. O mafii nie wiedział wówczas wiele. Był tylko świadomy faktu, że do jej członków inni odnoszą się z przesadnym szacunkiem. Albo ze strachem.

Zgodnie z tradycyjnymi, włoskimi zasadami, nigdy nie rozmawiało się o interesach w domu, Johnny nie miał więc pojęcia, czym para się jego wuj. Szczerze powiedziawszy, nie obchodziło

go to za bardzo. Dla młodego Giovanniego ważne było, że wuj i jego przyjaciele kochali go, ochraniali i nie dali zginąć w nędzy i nieszczęściu.

Za każdym razem, gdy Vito potrzebował pieniędzy dla Johnny'ego na nowe ubranie, buty, lekarza czy lekcje muzyki, zawsze z pomocą przychodził wuj Salvatore. Chociaż mieszkanie przy Mulberry Street było ciasne i ponure, zadbane, dobrze odżywiony i ubrany Johnny nie narzekał na swój los.

To właśnie wuj Salvatore pierwszy poznał się na jego wielkim talencie.

Pewnego dnia orzekł, że chłopiec śpiewa jak anioł i dał mu w prezencie pięć dolarów. Gdy Johnny zaczął robić karierę, Salvatore kupił mu smoking. Zapewnił też swemu młodemu podopiecznemu możliwość występów w nocnych klubach całego kraju, które znajdowały się pod kontrolą mafii.

Od tamtej pory Salvatore w pewien sposób czuwał nad Johnnym.

Uważał utalentowanego siostrzeńca Vita za swojego protegowanego.

Mimo iż Johnny wychował się pod skrzydłami sycylijskiej mafii, nigdy do niej nie należał ani też nie miał zamiaru się z nią wiązać. Jego życiem była muzyka. Wujowie Vito i Salvatore cieszyli się z tego, dodawali Johnny'emu otuchy i pomagali mu w karierze, trzymając się przy tym od niego z daleka, by przypadkiem nie sprawić mu niepotrzebnych kłopotów.

'Nikt nie wiedział o bliskich, rodzinnych związkach Johnny'ego z "rodziną" i o to im właśnie chodziło. Nic nie mogło zepsuć wizerunku piosenkarza pnącego się na szczyt. I rzeczywiście, kariera Johnny'ego rozwijała się znakomicie.

Za swoją opiekę nad Johnnym Salvatore nigdy nie żądał niczego w zamian, z wyjątkiem tego, by siostrzeniec jego najlepszego przyjaciela przyjeżdżał na rodzinny obiad w Święto Dziękczynienia. Co roku oczekiwano Johnny'ego w domu Salvatore na State Island. W środku uroczystości zawsze proszono go, by zaśpiewał kilka ulubionych piosenek wuja. Wszyscy świetnie się wtedy bawili. Johnny myślał teraz o otrzymanym zaproszeniu. Zastanawiał się, jakie piosenki wuj Salvatore będzie chciał usłyszeć tym razem. Lubił stare pieśni, takie jak *Sorrento* czy *O sole mio*. Jednak Johnny chciał także zaprezentować kilka ostatnich przebojów, by zadowolić młodszych członków rodziny.

. Miał zamiar sprawić wszystkim radość swoją muzyką.

Uśmiechnął się do siebie. Zawsze ciepło wspominał Salvatore. Istniała między nimi szczególna więź. Było to coś trudnego do określenia, co jednak trwało już od dawna, od czasów, gdy Johnny chodził w krótkich spodenkach. Johnny czuł, że Salvatore jest mu nawet bliższy niż wuj Vito.

Kochał go i podziwiał. Rzadko kiedy w mafii nazywano kogoś "ojcem chrzestnym", ale tak właśnie Johnny często określał Salvatore w swoich myślach. Wuj był jego ojcem chrzestnym. Uważał go w pewnej mierze za wielkiego człowieka. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że tak podziwiany przez niego mężczyzna to wódz kryminalnego imperium, *capa di tutti capi* klanów mafijnych całego Wschodniego Wybrzeża. Salvatore Rudolfo był dla Johnny'ego jedynie jego ukochanym wujem.

Nucąc pod nosem, Johnny ponownie zerknął na zegarek. Potem sięgnął po pilota. Wyłączył cicho grający od pół godziny telewizor i wsunął się pod kołdrę.

Jednak tej nocy nie mógł zasnąć.

Przez długi czas leżał w ciemności rozmyślając - bynajmniej nie o Salvatore i Vito -lecz o Rosalindzie Madigan. Jej obraz wciąż miał przed oczami.

Przypominając sobie jej twarz, poczuł nagle jak opuszczają go wszystkie troski i zmartwienia. Potem nieoczekiwanie ogarnęło go uczucie ciepła i wielkiej radości. Był tym zdumiony. Po raz pierwszy w życiu tak naprawdę doznał wielkiego szczęścia i to właśnie dzięki niej. Johnny'emu wydawało się, że to jakiś cud.

Nic nie wiedział o Rosie - nie miał pojęcia, czy jest samotna, zamężna czy rozwiedziona. Lecz w sumie mało go to obchodziło. Dzięki niej doznał uczucia, które przedtem było mu obce. Chciał, żeby trwało wiecznie.

Mam nadzieję, że znowu ją zobaczę. Chcę widzieć ją znowu.

Muszę jeszcze kiedyś ją zobaczyć. Zobaczę ją znowu na pewno.

13

- No Rosie, kochana, powiedz, co takiego zrobiłaś, że on zaczął zachowywać się jak potulny baranek?

_ Co masz na myśli? - spytała Rosie nieco podniesionym głosem i spojrzała na Nell.

Nell roześmiała się, objęła Rosie ramionami i poprowadziła ją do salonu w apartamencie hotelu "Regent Beverly Wilshire", w którym mieszkały.

_ Wiesz dobrze, moja droga, więc nie udawaj. Zanim pierwszy raz wyszłam do telefonu, Johnny traktował cię jak powietrze. A może nawet gorzej ... jak największego wroga. Gdy wróciłam, zobaczyłam, że stał się trochę bardziej przyjazny. W każdym razie nie miał już takiej skwaszonej miny. Za drugim razem, gdy przyszedłam do was do biblioteki, siedzieliście oboje na sofie i rozmawialiście w najlepsze. Johnny jadł ci z ręki. No, Rosie, coś musiało się przecież zdarzyć. Nasza gwiazda zmieniła się nie do poznania.

Rosie uśmiechnęła się i odparła:

_ Nic takiego się nie stało. Rozmawiałam z nim tylko o antycznych srebrach. Ale nie zagaduj mnie, Nelly. Opowiedz mi lepiej o Kevinie. Kiedy zaczęliście się spotykać?

Nell rzuciła na krzesło pelerynę i przeszła przez pokój bez słowa. Podniosła słuchawkę telefonu i zerknęła na Rosie.

_ Masz ochotę na coś gorącego przed pójściem do łóżka?

Rosie skinęła.

- Świetny pomysł.

Nell zamówiła herbatę, opadła na sofę i ciężko westchnęła.

_ Nie mieliśmy zamiaru trzymać naszego związku w sekrecie przed tobą. Właśnie niedawno rozmawiałam o tym z Kevinem - Nell wzruszyła ramionami. - W gruncie rzeczy jeszcze nikomu do tej pory nie powiedzieliśmy, że jesteśmy razem. Chociaż nie ... to nie prawda. Neil O'Connor, kumpel Kevin z pracy, wie o nas. Ale tylko on ...

Rosie zdjęła płaszcz, usiadła obok Nell i rzekła:

- Nie jestem wcale na ciebie zła, Nelly, wprost przeciwnie. Strasznie się cieszę z tej nowiny - uśmiechając się, Rosie dotknęła ramienia przyjaciółki. - Czy to już na poważnie?

Nell spoglądała na Rosie długą chwilę. W końcu słaby cień uśmiechu przebiegł przez jej twarz.

- Nie wiem ... i może to jest powód, że nie powiedzieliśmy o tym tobie ani Gavinowi, ani nikomu innemu. Może nie chcieliśmy się tłumaczyć, analizować naszych własnych uczuć i co najważniejsze, żyć pod jakąkolwiek presją.

- Na Boga, Nell, nigdy by mi nie przyszło do głowy, żeby wywierać na was jakiś nacisk! Zapomnij o tym. Byłam tylko ciekawa. Kocham brata i ciebie i zależy mi na was. Życzę wam, abyście się związali ze sobą na dłużej, chociaż wiem, że nie powinnam się wtrącać.

- Nie oskarżam cię, Rosie. Chciałam tylko wyjaśnić. Rzadko się ostatnio spotykałyśmy ... - Nell nie dokończyła. Odwróciła wzrok i zapatrzyła się przez okno. Potem zerknęła znów na Rosie i dodała: - Gadam bez sensu. Oczywiście, że się widywałyśmy. Na przykład podczas kręcenia filmu. Co prawda, Kevin był na planie tylko raz, ale ja pojawiałam się tam częściej przez te parę miesięcy. Mogłam ci wtedy wszystko wyznać. Nie zrobiłam tego, ponieważ... nie chciałam czuć się skrupowana. Kevin pewnie odczuwał to samo. Zależało nam na tym, żeby zachować prywatność. Nie chcieliśmy, żeby zaczęto o nas gadać.

- Rozumiem - odparła Rosie, ściskając rękę przyjaciółki.

- Mam nadzieję, moja droga. Nie mieliśmy zamiaru sprawić, abyś poczuła się odrzucona. Tak jak ci mówiłam, dopiero niedawno zaczęliśmy z Kevinem o tym rozmawiać. - Nell odchrząknęła i mówiła dalej cichym głosem: - Uwielbiam Kevin. Jest wspaniałym facetem. Bardzo się przyjaźnimy, świetnie dogadujemy, lubimy te same rzeczy i dobrze nam ze sobą w łóżku. 'fo wszystko.

- Nie musisz się tłumaczyć. Cieszę się, że pasujecie do siebie.

- Ja też. Naprawdę zależy mi na nim, choć nie chcę brać z nim ślubu.

Rosie spytała po chwili zastanawienia:

- A czy Kevin pragnie się z tobą ożenić?

- Nie sądzę - Nell westchnęła, wzruszając drobnymi ramionami.

- Tak naprawdę to nie wiem. Nigdy nie wspominał o małżeństwie, ja także nie. W ogóle nie przyszło nam to do głowy. On tak ciężko pracuje, a ja przecież muszę prowadzić swoją firmę.

- Kiedy to się zaczęło? To znaczy, od jak dawna jesteście ze sobą?

- Prawie od roku. Od tej nocy, kiedy Gavin przyjechał do Nowego Jorku rozpocząć rozmowy na temat *Twórcy Królów*. Pamiętasz? Mówiłam ci przez telefon, że umówiliśmy się na kolację w hotelu

"Carlyle". Kevin odprowadził mnie do domu. Zaprosiłam go na drinka, no i stało się.

- Wspaniale! - stwierdziła Rosie. - Poradzę ci coś. Ciesz się z tego, co jest, i machnij ręką na konsekwencje. To moja nowa dewiza życiowa. - Naprawdę? - zdziwiona Nell uniosła brwi. - To największa niespodzianka tego wieczoru, oprócz, oczywiście, dziwnej metamorfozy Johnny'ego. Powiedz, co do licha, z nim zrobiłaś.

Rosie rozpromieniła się.

- Byłam przerażona jego zachowaniem. Już miałam zamiar odszukać cię i powiedzieć, że wracam do hotelu. Zamiast tego jednak uprzejmie pochwaliłam jego srebrne patery. Te wykonane przez Paula Storra.

- To wyjaśnia wszystko. Nie mogłaś wybrać lepszego tematu. Te patery są jego oczkiem w głowie. Znaleźli je przyjaciele Johnny'ego z Londynu. Gdy Johnny je zobaczył, zupełnie oszalał.

- Zdumiało mnie, że tak dużo wie o antycznych srebrach. Dziwne, co?

- Rzeczywiście. Johnny urodził się w biednej rodzinie. Wychował się w Bronxie czy też Brooklynie. Nie pobierał zbyt wielu nauk, z wyjątkiem lekcji muzyki, i niewiele miał do czynienia ze światem sztuki. Ma jednak duże wyczucie. Coś ciągnie go do królewskich sreber. Myślę, że ostatnio dużo czyta o złotnictwie. Stał się prawdziwym kolekcjonerem.

Rosie skinęła głową, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. . Rozciągał się stąd widok na Rodeo Drive. Ulicę oświetlały kolorowe żarówki i zdobiły bożonarodzeniowe dekoracje - mimo że był dopiero listopad. Rosie pomyślała o Johnnym. Zanim zdołała się powstrzymać, spytała: - Czy on jest z kimś związany?

- Z tego co wiem, nie - odparła Nell, patrząc z zaciekawieniem na Rosie. - Właściwie, jestem nawet pewna, że nie ma nikogo.

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi i Nell poszła otworzyć. Do pokoju wkroczył kelner, niosąc tacę z herbatą.

Gdy zostały same, Nell naląła gorący płyn do filiżanek.

- Dotąd Johnny nigdy nie związał się na stałe z żadną kobietą - stwierdziła. - Przynajmniej z tego, co słyszałam. A już na pewno nie

w ciągu ostatnich lat. Oczywiście, miał od czasu do czasu jakąś panienkę z licznego grona swoich wielbicielek, ale te związki nie trwały dłużej niż jedną noc.

- Jak myślisz, dlaczego nigdy się nie ożenił?

- Nie mam pojęcia - rzekła Nell, kręcąc głową. - Chodź, usiądź tutaj i napij się herbaty. Nigdy nie zastanawiałam się, dlaczego Johnny Fortune nie ma żony ani czemu nie związał się z nikim na stałe. Słyszałam czasami jakieś plotki o jego związkach z kobietami, lecz dobrze wiem, że żadnej nie potraktował do tej pory poważnie - Nell uniosła filiżankę. - Może po prostu nigdy się nie zakochał i to jest właśnie powód. .

- Całkiem sensowny - Rosie zamilkła na chwilę. - Jaki on jest naprawdę? - zapytała.

Nell uniosła brwi i spojrzała na przyjaciółkę osobliwym wzrokiem. - Ne wiem, czy mówić ci całą prawdę. Johnny nigdy nie pozwalał nikomu zbliżyć się za bardzo do siebie. Trzyma większość ludzi na dystans. - Wydaje się jednak, że jesteście przyjaciółmi.

- Znajdujemy wspólny język, ale tylko w interesach. Ciągłe się martwi o swoją karierę, jak pewnie zauważyłaś, a ja podtrzymuję go na duchu. Wiecznie się czymś zamartwia, ale jest całkiem miłym facetem, tylko trochę niepewnym siebie. Wydaje się też nieco przeczulony na swoim punkcie, ale tacy są artyści. Wiesz lepiej ode mnie, jak potiafią być kapryśni.

- Chyba nie masz na myśli Gavina? - obruszyła się Rosie.

- Oczywiście, że nie, ale on stanowi wyjątek. A wracając do Johnny'ego, to całkiem przyzwoity i sympatyczny facet. Pomijając fakt, że ...

- że co?

Nell westchnęła.

- Nie wiem, jak to określić ... Jest w nim coś dziwnego, Rosie. Czasami wydaje się, że błądzi myślami gdzieś daleko, zamyka się w sobie. Jakby ukrywał jakąś tajemnicę. Nie mówi zbyt wiele o swojej rodzinie.

- Ma jakichś krewnych?

- Starego wuja, który mieszka chyba gdzieś na Florydzie. To on razem ze swoją, nieżyjącą już żoną wychowywał Johnny'ego. Johnny mówił mi kiedyś, że jego matka zmarła, gdy był bardzo mały.

Jest jedynakiem. Właściwie z rodziny nie pozostał mu nikt oprócz wuja. Myślę, że Johnny miał smutne i samotne dzieciństwo. Chociaż, z drugiej strony, wydaje mi się, że wuj dbał o niego na swój sposób. Miałam wrażenie, że Johnny nie lubi się odkrywać i strzeże swojej prywatności. Co prawda, nie próbowałam go nigdy pociągnąć za język, a on nie okazywał skłonności do zwierzeń.

Nie ma zbyt wielu przyjaciół, odgradza się trochę od świata.

_ Polubiłam go - wyznała Rosie. - Zauważyłam to.

- Naprawdę?

- Jasne.

- Czy to się rzuca w oczy?

Nell roześmiała się.

_ Oczywiście. Nie pamiętam, by jakiś mężczyzna zaintrygował cię tak bardzo. Cały czas o niego wypytyjesz. To mówi samo za siebie. Widać, że Johnny bardzo cię zainteresował - Nell uśmiechnęła się serdecznie. _ Muszę przyznać, iż ogromnie się cieszę, że w końcu znalazł się ktoś taki.

Rosie oblała się rumieńcem.

- Chyba przesadzasz.

Nell znowu wybuchnęła śmiechem.

_ Ale to widać, Rosie! Nie możesz zaprzeczyć. I w dodatku sądzę, że ty też spodobałaś się Johnny'emu.

- Nie bądź śmieszna!

_ Zawsze tak mówisz, kiedy trafię w sedno. Mówię serio. I wiesz co? _ Nell spojrzała na Rosie, a w jej oczach pokazały się figlarne błyski.

_ Co? - zaintrygowała się Rosie.

_ Zamierzam umówić was ze sobą.

_ Nell, nie! Zwariowałaś! Proszę, nie rób tego! - wykrzyknęła Rosie, szeroko otwierając oczy.

_ Ależ oczywiście, że to zrobię - stwierdziła Nell stanowczo.

_ Zaproszę was oboje na spotkanie dzień po Święcie Dziękczynienia. Johnny wybiera się w tym czasie do Nowego Jorku w interesach i żeby spotkać się ze swoim wujem. Sam nam o tym powiedział. Możemy spotkać się we czwórkę: ty, Kevin, Johnny i ja. Czy to nie wspaniały pomysł? Myślę, że będzie cudownie.

_ Tego dnia wyjeżdżam do Paryża - oznajmiła Rosie.

_ To odwołaj rezerwację. Możesz lecieć w sobotę. Nie wykręcaj się, Rosie - prosiła Nell.

_ Nie mogę zmienić planów. Już tak długo jestem poza domem. Rozmawiałam dziś przez telefon z Yvonne. Powiedziała, że Collie nie czuje się najlepiej. Muszę wracać. Poza tym mam dużo rzeczy do załatwienia w Montfleury przed świętami.

- Ty i Montfleury! - wykrzyknęła rozdrażniona Nell. Chociaż nie chciała urazić przyjaciółki., dodała: - Co za paranoja! Dlaczego ja jestem taka głupia? Myślę, że mogłabyś zainteresować się jakimś facetem, a ty przecież jesteś zakochana w tym cholernym zamku!

Rosie wlepiła wzrok w przyjaciółkę.

- Pleciesz bzdury, Nell. Tu nie chodzi o zamek. Trochę przesadziłaś, jeśli tak sądzisz. Czuję się związana z Collie, Lisette i Yvonne. Wiem, że one mnie potrzebują. Mam wobec nich pewne zobowiązania i nie mogę im sprawić zawodu.

Nell nic nie odpowiedziała. Napiła się herbaty, a jej twarz nagle sposepniała. Wzbierała w niej złość. Czasami Rosie wyprowadzała ją z równowagi. Zwłaszcza wtedy, gdy stawiała dobro tamtych paru osób z Montfleury na pierwszym miejscu i zapominała zupełnie o sobie. Rosie była zbyt dobra. Nell miała wrażenie, że ludzie czasami to wykorzystują.

- Proszę, nie kłóćmy się, Nell - Rosie odezwała się znowu. - Tak mało czasu spędzamy ostatnio razem. Naprawdę brakowało mi Ciebie. Nie mam najmniejszej ochoty spierać się z tobą. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

Nell spojrzała na nią w milczeniu, skinęła głową i posłała jej słaby, pojednawczy uśmiech. Bez jednego słowa wstała i poszła do sypialni.

Rosie odprowadziła ją wzrokiem. Pożałowała nagle, że wspomniała w ogóle o Johnnym Fortune. Już miała pójść za przyjaciółką i pogodzić się z nią, gdy Nell naraz pojawiła się znowu w drzwiach, trzymając w dłoni kasetę. Usiadła na sofie i podała taśmę Rosie.

Były to ostatnie nagrania Johnny'ego, niedawno wydane. Na okładce kasety znajdowała się kolorowa fotografia piosenkarza oraz tytuł *Dziecko Fortuny*. Rosie przyglądała się przez chwilę ładnej, wrażliwej twarzy Johnny'ego, a potem uniosła głowę i spojrzała pytająco na Nell.

- Johnny jest utalentowanym, bogatym i naprawdę przemiłym facetem

- rzekła Nell. - A więc posłuchaj mnie, Rosie. Wiem, że bardzo się tobą

zainteresował. Zauważyłam to, kiedy piliśmy kawę. Nigdy nie widziałam, żeby się tak zachowywał.

- Jak?

- Chłonał każde twoje słowo i niemal mruczał z zadowolenia jak kot. Nie spuszczał z ciebie wzroku. Chciał nas zatrzymać, gdy wychodziłyśmy.

Założę się, że gdyby mnie tam nie było, działałby odważniej. Gdybyś była sama, pewnie próbowałby cię uwieść.

- Co ty zmyślasz, Nell!?

_ Wiem, co mówię - odparła żywo. - Dlaczego nie chcesz dać mu szansy? Pozwól, że zaproszę was na kolację albo na lunch, zanim wyjedziesz do Francji. Spotkajmy się we czwórkę po Święcie Dziękczynienia. _ Naprawdę nie wiem, Nell. Nie powinnam zawieść Collie. Ona tak bardzo mnie wyczekuje. Tak dawno nie byłam w domu. Najpierw kręciliśmy film, a potem przyjechałam do Stanów.

Ona wyraźnie się boi - pomyślała Nell. - Obawia się związać z mężczyzną. Jeszcze nie otrząsnęła się ze złych doświadczeń. Stąd te wszystkie wykręty. Rosie ukrywa się w tym dziwnym domu w Montfleurie, ponieważ tam czuje się bezpieczna. Jednak to tylko złudzenie. Montfleurie to dla Rosie najbardziej niebezpieczne miejsce na świecie. Muszę namówić ją, żeby porzuciła tamten dom raz na zawsze, nim będzie za późno. Zanim wydarzy się coś strasznego.

14

- Jestem tutaj od dwudziestu minut a ty nawet nie wspomniałeś o filmie. Nie powiedziałeś o nim ani słowa - żaliła się Rosie, patrząc na Gavina.

Siedzieli na tarasie jego domu z widokiem na ogrody Bel-Air i popijali przed lunchem białe wino. Był chłodny, lecz słoneczny dzień.

Gavin zaśmiał się.

- Rosie, kochana. Przecież nie dałaś mi nawet dojść do słowa. Opowiadałaś cały czas o swoim spotkaniu z Garrym Marshall'em oraz o Nell i Kevinie. Swoją drogą, muszę przyznać, że ta ostatnia nowina jest nader interesująca.

Rosie przytaknęła.

- Tak. Nigdy bym się nie spodziewała, że będzie z nich para.

- Ja także. Jestem wprost zdumiony. Przez długi czas myślałem, że Nell nie może dojść do siebie po romansie z Mik:eyem. Okazuje się, że się myliłem.

- A ja z kolei sądziłam, że Kevin nie może zapomnieć Sunny. Oboje wyciągaliśmy błędne wnioski - stwierdziła Rosie i roześmiała się.

- Czy oni traktują to poważnie? - spytał Gavin, prostując się na krześle i zakładając nogę na nogę.

- Nie wiem. Sama zadałam Nell to pytanie, a ona odpowiedziała dość ... enigmatycznie. To chyba najlepsze słowo.

- Udało im się tak długo utrzymać swój związek w tajemnicy.

- Wyjaśniłam to już, Gavinie. Nie chcieli, żeby ktoś się w to wtrącał czy wywierał na nich presję.

- Rozumiem. Nikt tego nie lubi.

- A wracając do filmu, Gavinie ...

- Spodoba ci się - wtrącił. - I na pewno będziesz chciała zaprojektować do niego kostiumy. - Oczywiście.

- Mam nadzieję, moja droga - odparł uśmiechając się. Wstał, przeszedł się po tarasie i przystanął, opierając się o barierkę, z twarzą zwróconą ku Rosie. - To będzie film o wielkim człowieku - zaczął. - O kim?! - wykrzyknęła zaintrygowana Rosie. - Zawsze fascynowały cię niezwykle osobowości. Czy to postać historyczna?

- Jasne. W obecnych czasach trudno o wielkich bohaterów. Być może kimś takim okaże się Gorbaczow, ale odpowie na to dopiero przyszłość. Moim zdaniem, Winston Churchill był prawdziwym bohaterem naszego wieku. Można porównać go do innych postaci historycznych ... Rosie przerwała Gavinowi w pół słowa:

- Chcesz powiedzieć, że twój nowy film poświęcisz postaci Winstona Churchilla?

Gavin zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie. Chodzi o człowieka, który żył nieco wcześniej niż Churchill i o którym napisano ponad dwa tysiące książek.

- Kto to taki?

- Napoleon.

Rosie sądziła, że się przesłyszała. Spojrzała na Gavina z niedowierzaniem. Na jej twarzy malowało się zdumienie.

- Gavin, to szaleństwo próbować przenieść na ekrany losy Napoleona! - wykrzyknęła. - Postawiłeś sobie poprzeczkę zbyt wysoko. Znacznie wyżej niż w przypadku *Twórcy Królów*.

- Tak, masz rację. Tylko że nie zamierzam robić filmu o całym jego życiu. Nie jestem taki głupi. Chcę przedstawić fragment jego biografii. Myślę, że na to starczy nam sił i pieniędzy.

- Który okres jego życia interesuje cię najbardziej? Czas, kiedy dochodził do władzy?

- Nie. Mam na myśli lata, gdy miał już władzę w swoich rękach. Gdy piął się w górę: od sławnego generała, przez pierwszego konsula do koronacji na cesarza. Według mnie, były to jego najszcześniejsze i najlepsze dni. Chciałbym nakręcić film o jego miłości i życiu rodzinnym, a nie o wielkich podbojach. Właściwie zamierzam opowiedzieć historię o mężczyźnie i kobiecie ... o Napoleonie i Józefinie. Film zaczynałby się w okresie poprzedzającym ich koronację. Ukazywałby ich związek, wielką miłość. Oczywiście, potem musiałbym zrobić przeskok, w czasie, aby przedstawić, jak doszło do tego, że Napoleon postanowił rozwieść się z Józefiną. A zrobił to dla dobra ojczyzny. Chciałbym pokazać jego wewnętrzne zmagania, gdy dochodził do wniosku, że musi porzucić ukochaną kobietę, aby uchronić swój kraj. Ten film zawierałby wątek polityczny. Napoleon dążył do scementowania sojuszu z Rosją. A co lepiej by się do tego przyczyniło niż małżeństwo? Domagał się więc ręki siostry cara Aleksandra, Anny. Pragnął, by to małżeństwo stanowiło gwarancję pokoju. Zamierzał także utrwalić pokój z innymi europejskimi mocarstwami. Poza tym często myślał o potomku. Chciał mieć syna, któremu mógłby przekazać swoje dziedzictwo: władzę, sławę i tron. W końcu, jak wiesz, ożenił się z Austriaczką.

- Tak - odparła Rosie. - Z Marią Ludwiką, córką cesarza Franciszka, która dała Napoleonowi upragnionego syna. Była bardzo młoda, prawda? Józefina miała o kilka lat więcej.

Gavin skinął głową i odszedł od barierki.

- Chodź, wejdziemy do środka. Chciałbym opowiedzieć ci jeszcze o czymś ...

Ujął Rosie za ramię, poprowadził przez jadalnię w stronę długiego korytarza, który wiódł do ulubionego pokoju Gavina. Była to jego pracownia - przestronne, jasne pomieszczenie z wysokim sufitem. Regały stojące przy ścianach uginały się od książek. Okna wychodziły na wypielęgnowany trawnik, na którym rosły lilie. W pracowni znajdował się duży mahoniowy stół, podobny do tych, używanych w salach konferencyjnych. Wokół stały wygodne krzesła i sofy obite brązową skórą.

Gavin podsunął Rosie krzesło, a sam usiadł obok. Sięgnął po notes, otworzył go i powiedział:

- Mam pewną teorię. Uważam, że porzucenie Józefiny było początkiem upadku Napoleona. Wtedy szczęście odwróciło się od niego. Rozwód z Józefiną, którą tak kochał, był moim zdaniem największym błędem, jaki popełnił w życiu. Wydaje mi się, że potem wszystko się zmieniło.

- Jest coś smutnego w tej całej historii - stwierdziła Rosie.

- Zawsze tak uważałam.

- Zgadzasz się z tobą - Gavin zerknął do notesu. - Wyobraź sobie taką scenę: Jest chłodny dzień, trzynastego listopada 1809 roku. Napoleon z Józefiną znajdują się w pałacu Tuileries. Właśnie oznajmia swojej żonie, że chce unieważnić ich małżeństwo. Mówi: "Wciąż cię kocham, lecz w sprawach politycznych nie mogę kierować się sercem, tylko rozumem". Józefina mdleje, potem błaga go, by zmienił zdanie, załamuje się i płacze. Ogarnia ją bezgraniczna rozpacz. Jednak Napoleon jest nieugięty. Musi zrealizować swoje postanowienie.

- Och, Gavinie, to straszne. Co dzieje się dalej?

- Józefina jedzie do Malmaison, domu, który przed laty kupił jej Napoleon. Wiedli tam kiedyś razem spokojne życie i byli bardzo szczęśliwi. Piętnastego grudnia, po czternastu latach małżeństwa, rozstają się. Jednak wiele dokumentów wskazuje na to, że Napoleon nigdy nie przestał kochać swojej żony. W miesiąc po rozstaniu napisał do niej i poprosił o spotkanie. Rozwód złamał serce Józefinie. Przybił też cesarza. O tym, między innymi, ma opowiadać mój film: o mężczyźnie i kobiecie, a nie tylko o wielkim wodzu. - Gavin przerwał, znowu zerknął do notesu i przerzucił kilka kartek. - Posłuchaj jeszcze tego. To list dwudziestosześcioletniego Napoleona do Józefiny, który napisał po tym, jak kochali się pierwszy raz. Ona miała wtedy trzydzieści dwa lata i nie była jeszcze tak bardzo zauroczona Napoleonem, jak on nią. Zakochała się w nim dopiero później.

Uważaj, Rosie.

- Zamieniam się w słuch.

Rosie spodziewała się, że Gavin będzie recytował z pamięci. Gdy zaczął mówić, nie zaglądał nawet na chwilę do notesu.

- "Przebudziłem się myśląc o tobie. Wizerunek twojej twarzy i wspomnienie wczorajszego wieczoru wciąż nie daje mi spokoju. Słodka cudowna Józefino, moje serce bije dla ciebie. Czyś niezadowolona? Smutna? Czy coś cię trapi? Moja dusza tęskni za tobą, nie może znaleźć ukojenia ... Gdy przypominam sobie, jaki ogień rozpałyły we mnie twoje usta, ogarnia mnie głębokie poruszenie. Ach! Ostatniej nocy uświadomiłem sobie, jaka jesteś naprawdę. Wyjeżdżasz w południe. Za trzy godziny cię zobaczę. A na razie, ma słodka miłości, posyłam ci tysiące pocałunków. Lecz ty nie całuj mnie, twoje pieszczoty bowiem ścinają we mnie krew."

Rosie siedziała i patrzyła na Gavina, nie mogąc przez chwilę wydobyć z siebie słowa. Jego głos zupełnie ją zahipnotyzował. Miała wrażenie, jakby Gavin przeobraził się w Napoleona. Czowała, że będzie doskonała w tej roli.

Gavin zaniepokoił się trochę i spytał:

- No i co o tym myślisz? Zupełnie zaniemówiłaś. Wydaje mi się, że to wspaniały list miłosny. Napisał go człowiek, którego cały świat uważał za ambitnego wodza, który miał na celu podbój Europy. Okazuje się, że rzeczywistość wyglądała trochę inaczej. Napoleon potrafił także kochać.

- Jestem bardzo poruszona, Gavinie. To dlatego zamilkłam _ Rosie spojrzała mu prosto w oczy. - Masz już scenariusz, prawda?

- Nic się przed tobą nie ukryje, mój aniele. Owszem, scenariusz jest już prawie skończony.

Wymaga tylko kilku poprawek.

- Napisała go Vivienne Citrine, tak?

- Zgadłaś.

- Cieszę się. Nikt nie zrobiłby tego lepiej.

- Spodoba ci się praca przy tym :filmie, zobaczysz. Zamierzam kręcić go we Francji, w twoim ulubionym kraju. Rozpocznę zdjęcia w Paryżu w "Billancourt Studio", a potem przeniesiemy się na prowincję, do Malmaison. Oczywiście, jeśli francuskie władze udzielą mi pozwolenia na filmowanie.

- Malmaison to cudowne miejsce, Gavinie. Jestem pewna, że obejdzie się bez kłopotliwych formalności. Być może nawet pozwolą ci :filmować wnętrza. Francuzi są na ogół gościnni.

- Wiem. W każdym razie, moi ludzie załatwią już wszystko i mam nadzieję, że po świętach Bożego Narodzenia będziesz mogła rozpocząć prace nad kostiumami. Dobrze?

- Jasne.

Gavin roześmiał się.

- Wiedziałaś, że mogę na ciebie liczyć. Chcę jednak, abyś miała na uwadze to, że Napoleon nie zachwycał się powiewnymi sukniami, jakie nosiła Józefma i inne damy.

- Naprawdę?

- Owszem. Kazał tak mocno ogrzewać dom, że wszyscy się pocili. Napoleon bez ogródek mawiał, iż pragnie, żeby nagim kobietom było ciepło.

Rosie wybuchnęła śmiechem.

- Miał cięty dowcip. W każdym razie spodobał mi się twój projekt. Nie mogę się doczekać, kiedy zaczniemy go realizować.

- Liczyłem, że to powiesz.

- Kiedy dostanę kopię scenariusza?

- Na początku stycznia. Sam ci go przywiozę. Pod koniec tego miesiąca jadę do Paryża, a potem do Londynu. Muszę jeszcze rozstrzygnąć kilka spraw związanych z *Twórcą Królów*.

- Wspaniale.

Zadzwoił telefon i Gavin podniósł się z krzesła. Rosie rozejrzała się wokoło. Stół założony był książkami, notesami i stosem map. Znajdowało się tam sporo broszur dotyczących Napoleona, Józefmy, polityki francuskiej w czasach po rewolucji. Dostrzegła także książki o ludziach z tamtych czasów - od Barrasa do Talleyranda. Wiedziała, że ci dwaj okazali się nieprzyjaciółmi Napoleona.

Wyglądało na to, że Gavin, jak zwykle, drobiazgowo przygotowywał się do kręcenia nowego filmu. Gdy odłożył słuchawkę, powiedział:

- Chodźmy na lunch, mój aniele. Miń poda go na tarasie.

Zjedli posiłek i Rosie pożegnała się z Gavinem. On natomiast wrócił do pracowni i zaczął po raz kolejny wertować stronicę scenariusza. Nagle drzwi się otworzyły.

Niezadowolony, że ktoś mu przeszkadza, Gavin uniósł głowę. Zobaczył swoją żonę, Louise, wchodzącą do pokoju.

Patrzył na nią, z trudem ukrywając rozdrażnienie.

Louise, drobna, ciemnowłosa kobieta była jak zwykle elegancko ubrana. Zauważyła zirytowaną minę Gavina.

- Wyjeżdżam - oznajmiła chłodnym tonem. Gdy nie usłyszała żadnej odpowiedzi, dodała: - Do Waszyngtonu.

- Ależ naturalnie - powiedział wreszcie Gavin cierpkim głosem.

- Gdzie indziej mogłabyś się udać?

Louise zatrzasnęła za sobą drzwi stopą obutą w elegancki pantofel i zrobiła kilka kroków. Jej twarz i szyję pokrył rumieniec, gdy wykrzyknęła: - Przynajmniej paru moich przyjaciół ucieszy się, kiedy mnie zobaczy!

W tym domu nikt nie wita mnie z radością.

- To twój dom, Louise. Proszę, przestań histeryzować. Nie wywiera to na mnie żadnego wrażenia.

Pamiętaj, że jestem aktorem. Powiedz lepiej, kiedy wracasz?

- Och, więc stać cię na odrobinę zainteresowania ... Nie wiem, kiedy wrócę.

Gavin ściągnął brwi.

- A co ze Świętem Dziękczynienia?

- Jak to co?

- Nie masz zamiaru na nie wrócić?

- A niby dlaczego?

- Ze względu na Davida.

- David nie liczy się ze mną. Wiesz o tym dobrze. Przecież sam buntowałeś go przeciwko mnie.

- Gadasz bzdury, Louise! - wykrzyknął wściekle Gavin. - Cholerne bzdury! Po co, do diabła, miałbym buntować syna przeciwko jego własnej matce?!

Potrząsnął energicznie głową. Zarzut żony zdumiał go. Nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby nastawiać Davida przeciwko Louise. Jak ona mogła tak pomyśleć?

Louise postanowiła zmienić temat.

- A na jak długo ty wyjeżdżasz? Ile czasu zabawisz w Los Angeles?

- Pod koniec listopada wybieram się z powrotem do Londynu. Wiesz przecież, że muszę załatwić jeszcze parę spraw dotyczących *Twórcy Królów*. - I wrócisz na święta Bożego Narodzenia?

- Oczywiście.

- Myślałam, że od razu zaczniesz swój nowy film. Tak bardzo jesteś ostatnio zajęty. I pewnie jak zwykle będziesz pracował za granicą. Przez ostatnie parę lat udowodniłeś, że coraz mniej zależy ci na rodzinie.

- To nieprawda, Louise, i wiesz o tym. Być może nienawidzisz moich filmów i rozgłaszasz to dookoła. Jednak z pewnością uwielbiasz wydawać pieniądze, które na nich zarabiam.

Louise zmroziła go wzrokiem, lecz nie odezwała się.

- Przygotowania do nowego filmu rozpoczną się w lutym albo w marcu - oznajmił Gavin.

- Świetnie! - zadrwiła Louise.

- Och, Louise, proszę, przestań, dobrze?

Podeszła bliżej i przyjrzała się stosom książek leżących na stole.

- Napoleon! Dobry Boże, powinnam się tego spodziewać. Następny mały człowiek z manią wielkości - powiedziała sarkastycznie, a jej stalowoniebieskie oczy rozbłyły nagle.

Próbując zignorować tę uwagę, Gavin powiedział:

- Przynajmniej nie będę musiał wysłuchiwać twoich utyskiwań, gdy pomieszkać we Francji przez pół roku.

- Pewnie - rzuciła. - Może w ogóle już tam zostaniesz?

- Co to miało znaczyć?

- Przecież twoja cudowna Rosalinda mieszka i pracuje we Francji, a ty nie możesz bez niej żyć, prawda?

- Och, przestań - zdenerwował się Gavin. - Zazdrość mąci ci rozum. I niszczy nasze małżeństwo.

- Co ty powiesz, Gavin? To ty niszczysz nasz związek. Ty i te twoje kobiety.

Gavin wiedział, że rozmowa na podobny temat może źle się skończyć. Postanowił więc jak

najszybciej ją uciąć!

- Proszę, Louise - powiedział ciszej i łagodniej. - Skończmy z tym natychmiast. Mam dużo pracy, a ty chcesz się kłócić. Baw się dobrze w Waszyngtonie i pozdrów ode mnie Allana.

Louise nieco spuściła z tonu.

- Nie lecę do Waszyngtonu, żeby zobaczyć się z Allanem. Wybieram się do państwa Mercier.

Dzisiaj są urodziny Alicji. Wydają przyjęcie i zamierzam u nich zostać.

Opowiadasz bajki. To jasne, że jedziesz spotkać się z Allanem Turnerem, pomyślał Gavin.

- W takim razie przekaż im ode mnie pozdrowienia - powiedział głośno. - Dobrej zabawy. Pewnie zobaczymy się jeszcze przed moim wyjazdem do Londynu. .

- Mam nadzieję - mruknęła pod nosem Louise, obróciła się na pięcie i wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami.

Gavin zajął się na powrót przeglądaniem scenariusza.

Jeszcze tylko parę zmian - pomyślał, chwytając pióro. - Każda scena musi się odbyć we właściwym miejscu. Niedługo już wszystko będzie gotowe.

Jednak po paru minutach Gavin stwierdził, że nie potrafi się skoncentrować.

Słowa Louise wciąż rozbrzmiewały w jego uszach. Zasugerowała - nie, powiedziała to wprost - że Gavin chce pracować we Francji, ponieważ mieszka tam Rosie. To przecież nie było prawdą.

A może jednak?

Zapomniał o scenariuszu i pograżył się w myślach.

CZĘŚĆ DRUGA

UŚWIĘCONA PRZYJAŹŃ

15.

Chociaż na ulicach Paryża panował duży ruch, Rosie udało się w ciągu pół godziny wydostać z centrum. Kiedy tylko wyjechała swoim peugeotem na drogę wiodącą w stronę Orleanu, poczuła, że się odpręża. Westchnęła z ulgą i mocniej ujęła kierownicę. Po tygodniu spędzonym w Paryżu, gdzie załatwiała kilka spraw, zmierzała wreszcie do swojego ukochanego Montfleurie.

W to piątkowe popołudnie wielu ludzi udawało się do swoich wiejskich posiadłości. Droga nie była jednak przesadnie zatłoczona. Rosie mogła spokojnie jechać ze stałą prędkością i rozmyślać o Johnnym Fortune.

Odruchowo sięgnęła po kasetę, którą dostała od Nell w Beverly Hills.

Gdy niedawno wychodziła ze swojego mieszkania przy rue del 'Universite, w Siódmej Dzielnicy, wrzuciła taśmę do płócienną torby. Wcześniej przesłuchiwała tylko część piosenek i była ciekawa reszty. Melodyjny głos Johnny'ego rozległ się we wnętrzu wozu. Rosie chwyciły nagle za serce słowa, które śpiewał: "ty i ja chcemy tego wszystkiego".

Zaskoczona odkryła, że piosenka wzrusza ją bardziej, niż się spodziewała. Nie sądziła, że muzyka może tak oddziaływać.

Kiedy słuchała śpiewu Johnny'ego, ogarnęła ją nagle dziwna melancholia i zupełnie niespodziewanie łzy napłynęły jej do oczu. Poczowała się

. zagubiona. Pomyślała o tym, jakie mogłoby być jej życie - jak bardzo różne od tego, które wiodła do tej pory. Słowa piosenki brzmiały tak przejmująco smutno i wydawały się prorocze ... Tak łatwo złamać czyjeś serce i załamać się samemu. Rosie wiedziała o tym zbyt dobrze.

Johnny zaczął śpiewać następny kawałek. Jego głos brzmiał tak słodko. Rosie przypomniała sobie ten wieczór, który spędziła w jego domu. Wydawało się jej, że wydarzyło się to tak dawno temu. A przecież minął dopiero tydzień, odkąd poznała sławnego Johnny'ego Fortune. Tak bardzo ją wtedy zaintrygował. Teraz znajdowała się w samym sercu Francji i czekało ją zupełnie inne życie. Jak bardzo różniły się od siebie te dwa światy, oddalone od siebie o tysiące mil. W Europie wszystko zdawało się bardziej uporządkowane niż w Kalifornii. Swobodny styl życia w Hollywood był całkiem odmienny od egzystencji francuskiej arystokracji. Nell dziwiła się, że Rosie potrafiła dostosować się do tego z taką łatwością. Z drugiej strony, to właśnie Nell zawsze twierdziła, że Rosie w każdej sytuacji wybornie sobie radzi.

Dzień wcześniej Nell dzwoniła z Nowego Jorku, aby powiedzieć Rosie, że jej podarki świąteczne zostały wysłane pocztą. Potem zaśmiała się i oznajmiła:

- Johnny prosił mnie o telefon do ciebie. Nie bardzo wiedziałam, co robić i w końcu dałam mu swój numer do studia w Londynie. Potem wysłałam fax do Aidy, żeby nie podawała nikomu twojego prywatnego numeru. - Nell znów zaniósła się śmiechem i dodała konspiracyjnym tonem: - Oczywiście, napisałam jej, że jest to twoja prośba i nie chcesz rozmawiać z nikim przez parę tygodni, ponieważ masz zamiar odpocząć w Montfleurie. Ale posłuchaj mnie, Rosie. Miałam rację. Johnny jest zupełnie tobą zauroczony.

Rosie uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak bardzo bawiły ją intrygi Nell. Musiała jednak przyznać przed sobą jedno - mile pojechała jej próżność wieść, iż Johnny się o nią dopytywał. Właściwie Rosie bardzo go polubiła. Uważała, że to niezwykle człowiek. Zupełnie nie przypominał mężczyzn, których знаła do tej pory. Odkryła w nim wiele ujmujących cech. Z pewnością spotkanie z Johnnym sprawiłoby Rosie radę, lecz przecież nie mogła się z nim umówić. Nie powinna także o nim myśleć ... przynajmniej nie w taki sposób. Zbyt wiele istniało przeszkód.

Nie wolno mi nawet o nim marzyć - pomyślała Rosie i wyłączyła magnetofon. Głos Johnny'ego nagle umilkł i w samochodzie zapanowała cisza.

Jechała dalej, a słowo "przeszkoda" rozbrzmiewało przez jakiś czas w jej głowie. Wydawało jej się to nawet zabawne. Wróciła myślami do czasów swojej młodości i przypomniała sobie pewien stary film, który widziała w telewizji. Został zrealizowany na podstawie słynnej książki Charlotty Bronte *Dziwne losy lane Eyre*. Rosie bardzo lubiła zarówno powieść, jak i jej ekranizację.

Jedna ze scen na zawsze utkwiła w jej pamięci: Jane i pan Rochester w wiejskim kościele. Pastor spytał, czy istnieją jakieś przeszkody w zawarciu przez nich małżeństwa. Wtedy wystąpił jakiś człowiek i ku zaskoczeniu wszystkich oznajmił, że rzeczywiście jest pewna przeszkoda. Żona. Chora umysłowo ... Kobieta, którą pan Rochester poślubił w młodości. Zamknięta w oddalonym pokoju na poddaszu. Szalona niewiasta.

Opiekowała się nią Grace Poole, ta, która paliła w piecach.

W życiu Rosie także nie brakowało trudności.

Z zadumy wyrwał ją odgłos pioruna i widok błyskawicy. Nagle zerwała się burza. Rosie włączyła wycieraczkę i skoncentrowała się na prowadzeniu wozu. Zapomniała o wszystkim. Jej samochód z trudem przedzierał się przez strugi deszczu.

Najdłuższa rzeka Francji, Loara, wypływająca z Sewennów liczy sobie ponad tysiąc kilometrów długości. Uchodzi do Atlantyku nieco na zachód od Nantes. Chociaż na pewnym jej odcinku krajobraz szpeciły słupy wysokiego napięcia i elektrownie - Francuzi często nazywali ją *fleuve nucleaire* - to jednak pozostała jej część była wciąż oszalałająco piękna.

Ten właśnie odcinek Loary rozciągał się od Orleanu do Tours i wił się pośród zielonych pejzaży doliny. To tutaj znajdowały się najwspanialsze zamki: Langeais, Amboise, Azay-les-Rideau, Clos-Luce, Chaumont, Chambord, Chivemy, Chinon oraz Chenonceau.

Nawet w zimie tereny położone nad Loarą różnią się od reszty Francji.

Ciszej tutaj i spokojniej. W każdym razie tak wydawało się Rosie. To jej najbardziej ulubione miejsce na całym świecie. Po upływie pół godziny od wyjazdu z Paryża znalazła się w tej pięknej okolicy.

Gdy spoglądała przez okno samochodu, jej twarz natychmiast rozpromieniała się. Deszcz już przestał padać, a powietrze zrobiło się krystalicznie czyste. Na błękitnym niebie świeciło zimowe słońce. Jego promienie odbijały się od ciemnoniebieskiej wstęgi rzeki i oświetlały jej piaszczyste, łagodne brzegi.

Wkrótce będę w domu - pomyślała Rosie, a jej radosny nastrój przemienił się w euforię. Liczyła kilometry, które dzieliły ją od celu.

_ Niedługo znajdę się w miejscu, do którego naprawdę należę, w Montfleurie, najbardziej czarownym ze wszystkich położonych nad Loarą zamków.

Montfleurie leżał dokładnie w centrum długiej doliny pomiędzy Orleanem i Tours, niedaleko legendarnego Chenonceau. W zamku Chenonceau mieszkał niegdyś Henryk II, jego faworyta, Diana Poitiers, żona - Katarzyna Medycejska, oraz jej syn, Franciszek II ze swoją żoną, Marią Stuart, którą nazywano *petite reinette d'Écosse* - małą królową Szkocji.

Zamek Montfleurie powstał w średniowieczu. Fortecę tę wybudował Fulk Nerra, hrabia d'Anjou, znakomity rycerz, znany jako Czarny Jastrząb, władca okolicy, założyciel linii Andegawenów oraz dynastii Plantagenetów, która później objęła tron Anglii.

Budowla była dwukrotnie trawiona przez ogień i dwa razy odrestaurowywana. Później, w ciągu trzystu lat, przebudowywano ją bardzo często. Wreszcie w XVI wieku zamek kupił potężny hrabia

Montfleurie, który pragnął objąć w posiadanie majątki nad Loarą. Położenie Chenonceau miało dla niego ważne znaczenie.

Filip de Montfleurie, *grand seigneur*, magnat i właściciel ziemski, dzierżył różne stanowiska państwowe. Był dworzaninem za czasów krótkiego panowania Franciszka II i jego małżonki. Blisko skoligacony z wujem młodej królowej, księciem Guise, Montfleurie stał się wpływową osobistością. Lubował się w politycznych intrygach. Nigdy nie omieszkał wykorzystać odpowiednio swoich rodzinnych powiązań.

W roku 1575 hrabia wprowadził w swojej siedzibie zmiany, które przetrwały do dziś. W ciągu paru lat stworzył wielką, kamienną budowlę, która wciąż wznosi się na wzgórzu ponad doliną. Nie skąpiąc złota, rozkazał rozbudować zamek i wyposażyć go we wszelkie wygody. Większość z jego innowacji przetrwała do współczesnych czasów.

Z okien budowli roztaczał się imponujący widok. A w jej wnętrzach panowała niezwykła atmosfera.

Już wcześniej Rosie zjechała z autostrady na szosę wiodącą do Tours. Potem, koło Amboise, skręciła jeszcze raz. Znalazła się na lokalnej drodze, zwolniła nieco, aż w końcu zatrzymała się. Robiła tak zawsze, gdy wracała do Montfleurie po długiej nieobecności. Siedziała przez chwilę, podziwiając zamek z oddali, chłonąc piękno jego potężnych, starych murów. Potęgę, która oparła się niszczącej sile czasu. Zabytki zawsze wywierały na Rosie wielkie wrażenie.

Zamek Montfleurie położony był nad rzeką Cher, dopływem Loary. Budulca dostarczyły okoliczne, usiane kamieniami pola. Przez wieki mury niemal całkiem straciły swą barwę, a teraz połyskiwały w świetle popołudniowego słońca. Stożkowe dachy i strzeliste wieże odcinały się wyraźnie na tle lazurowego nieba.

Serce Rosie zabiło mocniej, kiedy parę minut później wjechała przez zwodzony most na podwórze zamku. Zanim zdążyła wyłączyć silnik, otworzyły się wielkie dębowe wrota. Na schodach ujrzała Gastona, tutejszego zarządcę, który pospieszył na powitanie.

_ Madame de Montfleurie! Witamy! Witamy! Jakże mnie cieszy pani widok! - zawołał uśmiechając się i wyciągnął ręce, aby uścisnąć jej dłonie. _ Ja także się cieszę - odparła Rosie, promieniując radością. _ Uwielbiam tu wracać. Świetnie wyglądasz, Gastonie. A jak się miewa Anna?

_ Bardzo dobrze, proszę pani. Z pewnością ucieszy się z pani powrotu, *bien sur* - Gaston po chwili zmarszczył czoło i pokręcił głową. - Ale przyjechała pani wcześniej. Pan hrabia spodziewał się pani dopiero po piątej. Wyszedł gdzieś, pewnie na spacer.

- Ależ nic nie szkodzi - zapewniła Rosie.

Kątem oka ujrzała małą postać ubraną na czerwono, zbiegającą po schodach w jej kierunku. Rosie przeprosiła Gastona, wyszła naprzeciw Lisette i chwyciła ją w ramiona. Dziewczynka przytuliła się do niej mocno.

_ Ciocia Rosie! Ciocia Rosie! Myślałam, że już nigdy nie przyjedziesz! - wykrzyknęła.

Rosie czule głaskała po głowie pięcioletnią dziewczynkę. Potem spojrzała w jej jasną twarzyczkę.

_ Tęskniłam za tobą, *ma petite* - powiedziała cichym głosem i pocałowała Lisette w policzek. - Ale już jestem. Czekają nas wspaniałe święta.

_ Wiem, wiem! - zawołała Lisette podekscytowana. W drzwiach ukazała się uśmiechnięta Yvonne. Jak ona urosła przez te trzy miesiące, kiedy mnie tutaj nie było _ pomyślała Rosie - jak bardzo wydozrosła.

Osiemnastoletnia dziewczyna wyglądała teraz inaczej: kasztanowo rude włosy miała spięte na czubku głowy, usta pomalowane różową szminką, a piegowatą twarz subtelnie przypudrowaną.

_ Cześć, Yvonne, kochana - rzekła Rosie, patrząc na dziewczynę z podziwem. Chwyciła Lisette za rękę i podeszła bliżej. - Jak elegancko wyglądasz. Czy sama uszyłaś tę sukienkę?

Yvonne mocno uścisnęła Rosie i głośno pocałowała ją w oba policzki.

- Nie mogę uwierzyć, że w końcu przyjechałaś, Rosie. Tak smutno było bez ciebie, wszyscy za tobą tęskniliśmy. A tę sukienkę rzeczywiście uszyłaś sama. Wzięłam wzór z jednego z twoich kostiumów.

- Właśnie zauważyłam - roześmiała się Rosie. - Całkiem nieźle ci wyszło. Masz zadatki na świetną projektantkę.

- Naprawdę tak myślisz? To byłoby wspaniałe. Spełniłyby się moje marzenia. Ale teraz chodźmy do środka. Collie nie może się już ciebie doczekać. Liczyła dni do twojego przyjazdu.

- Podobnie jak ja. Pozwól, że wezmę jeszcze torbę. Wracam za minutę - Rosie podeszła do

samochodu i wzięwszy z przedniego siedzenia płócienną torbę, zwróciła się do Gastona, który wyjmował jej walizki z bagażnika. - Proszę, zanieś te wszystkie rzeczy do mojego pokoju. Dziękuję ci, Gastonie.

- *Oui, madame de Montfleurie.*

Rosie wróciła do Yvonne i Lisette i wszystkie trzy weszły do zamku.

Lisette szczebiotała bez ustanku. Przechodziły właśnie przez wielki marmurowy hol, gdy Rosie spojrzała w górę.

Na szczycie schodów, ubrany w strój do konnej jazdy, stał Guy de Montfleurie i przyglądał się im bacznie.

Przez chwilę poczuła się jak sparaliżowana. Stała jak skamieniała, nie mogąc uczynić najmniejszego ruchu. Guy był ostatnią osobą, którą chciałaby ujrzeć w Montfleurie.

Zszedł ze schodów i stanął przed nią, zanim zdołała dojsć do siebie. Spojrzał jej w oczy.

Usiłowała przybrać zwyczajną minę i nie okazywać emocji.

- Spodziewaliśmy się, że przyjedziesz dopiero wieczorem, Rosalindo - powiedział Guy.

- Tak. Gaston mi mówił.

Guy zrobił krok do przodu i spytał: - No i jak się czujesz, moja droga?

- Dziękuję, dobrze, a ty?

- Nie narzekam.

Nastąpiła chwila ciszy. Żadne z nich się nie odzywało. Po pewnym czasie Guy uśmiechnął się trochę złośliwie i uniósł brwi.

- Nie pocałujesz mnie na powitanie?

Rosie milczała.

Zaśmiał się, minął Rosie i przeszedł przez hol, uderzając pejczem, który trzymał w ręku o cholewy skórzanych butów. Zatrzymał się w drzwiach, odwrócił się i zawołał:

_ Zobaczymy się później, moja droga! Przypuszczam, że spotkamy się podczas posiłku.

Rosie odetchnęła ciężko.

_ Z kim innym miałabym jeść kolację, jak nie z twoim ojcem i dziewczętami?! - wykrzyknęła nieco zbyt nerwowo.

Objęła Lisette ramieniem i poprowadziła ją w stronę schodów. Yvonne szybko podążyła za nimi.

Gdy wchodziły na górę, Rosie rozglądała się po wszystkich znajomych kątach. Dostrzegła wielki, stary, kryształowy żyrandol zwisający z sufitu, siedemnastowieczne gobeliny na ścianach, portrety przodków rodu Montfleurie. Pomyślała z pewnym smutkiem o Guy. Jaka szkoda, że z niego taki trudny człowiek. Nie takim pragnął widzieć go ojciec. Guy nie czuł się odpowiedzialny za Montfleurie. Był słaby, nieudolny, samolubny i lekkomyślny. Gorzko rozczarował swojego rodzica i samą Rosie.

Osiem lat wcześniej Rosie przybyła do tego wielkiego zamczyska jako panna młoda. Bardzo kochała i podziwiała swojego wybranka, Guy de Montfleurie, spadkobiercę rodu. Jednak wszystko popsulo się między nimi i to bardzo szybko. W ciągu paru lat małżeństwa zrazili się do siebie. Teraz Rosie nie czuła już do Guy niczego oprócz żalu.

16

Rosie spojnała na Collie i rzekła cicho:

- Bardzo się zdziwiłam, gdy zobaczyłam Guy. Myślałam, że wyjechał.

- Owszem, nie było go tutaj - odparła Collie. - Dziś rano pojawił się nieoczekiwanie, bez zapowiedzi. Jak przysłowiowy zły duch _ przeIwała na chwilę i westchnęła. - Może nie powinnam tego mówić. Myślę, że to trochę niegrzeczne. Mimo wszystko Guy jest moim bratem i czuję się z nim związana. Jednak potrafi być strasznie irytujący.

- Wiem, ale pewnie nic nie można na to poradzić - wymamrotała Rosie, uśmiechając się słabo do szwagierki.

Uścisnęła serdecznie jej dłoń. Siedziały w pracowni Collie na górze. Teraz, gdy dziewczynki wyszły, mogły spokojnie porozmawiać.

Collie odwzajemniła uśmiech, po czym pokręciła głowajakby chciała otrząsnąć się z lekkiego zamroczenia.

- Zawsze starasz się dostrzegać w ludziach to, co najlepsze ...

Próbujesz ich usprawiedliwiać, ale ja niestety tego nie potrafię. A już z pewnością nie jestem w

stanie pojąć Guy. Zachowuje się zupełnie niemożliwie. A problem tkwi w tym, że sami go psuliśmy przez te wszystkie lata. Mój ojciec, ja, nawet Claude, gdy jeszcze żył, oraz matka, która rozpieszczała go do dnia swojej śmierci. I ty także, Rosie, odkąd poznałyśmy się w Paryżu wiele lat temu. Wszyscy pobłażali Guy. Zawsze. Dobrze o tym wiesz.

- To prawda, Collie. Tylko czy on naprawdę jest taki zupełnie zły?

- Nie czekając na odpowiedź, Rosie z ożywieniem mówiła dalej: - Zachowuje się jak mały chłopczyk, jak ktoś, kto nigdy nie dorósł. Chce wciąż zaspokajać swoje pragnienia, nie licząc się z innymi. Nie ma też najmniejszego poczucia odpowiedzialności za cokolwiek ...

- Lub kogokolwiek - dodała Collie, patrząc wymownie na Rosie.

- Może to ja częściowo jestem winna za rozpad naszego małżeństwa - stwierdziła otwarcie Rosie. - Matka powtarzała, że zawsze są dwie strony medalu.

- A moja matka zwykła mawiać, że istnieją opinie męża, żony oraz prawda, która leży pośrodku - odparła Collie.

Rosie zaśmiała się krótko, ale powstrzymała się od komentarza. Nie chciała w tej chwili rozstrząsać swojego nieudanego małżeństwa oraz wszystkich związanych z nim problemów.

Po minucie Collie podjęła dalszą rozmowę.

- Wkażdym razie nie tylko miałam ciebie na uwadze, gdy wspomniałam, że Guy postępuje nieodpowiedzialnie. Myślałam także o ojcu. On naprawdę potrzebuje, żeby ktoś mu tutaj pomógł, a Guy ... ma gdzieś całe Montfleurie. To chyba widać, co? Koszty utrzymania zamku są ogromne, a praca strasznie wyczerpuje ojca, mimo że od niedawna pomaga mu Francois Graingier. Ostatnio wpłynęło trochę pieniędzy, gdy ojciec usłuchał twojej rady i udostępnił zamek zwiedzającym. Gdyby tylko Guy nieco się przyłożył, ulżyłby ojcu i wszystkim innym, którzy tu mieszkają. Nie rozumiem zupełnie mojego brata.

- Moja kochana. On zawiódł także moje oczekiwania - przyznała Rosie i dodała cicho: - I naprawdę nie pojmuję, dlaczego Guy zupełnie nie interesuje się losami Montfleurie. Przecież to jego dziedzictwo i pewnego dnia zamek stanie się jego własnością - Rosie odwróciła głowę i zapatrzyła się w ogień płonący w kominku. Pograżyła się w ponurej zadumie.

Collie także milczała. Siedziała na sofie z epoki Ludwika XVI, obitej ciemnozielonym brokatem, który dawno już spłóciał. Oparła głowę i zamknęła oczy. Poczuli się kompletnie wyczerpana. W myślach przeklinała swojego brata. W ciągu ostatnich paru lat stał się jeszcze gorszy, niż był, bardziej samolubny, pobłażający sobie, uparty i wybuchowy. Collie zastanawiała się, jakie było jego życie, co robił, gdy wyjeżdżał. Docierały do niej jedynie okruchy wieści. Guy spędzał tygodnie w Indiach i na Dalekim Wschodzie, spotykając się z tymi hochsztaplerami, których nazywał swoimi guru. Medytował razem z nimi w jakimś zapadłym asramie w górach. Collie uważała tych jego guru za szarlatanów, którzy wyciągali od naiwnych Europejczyków pieniądze. Gdy Guy schodził z gór, udawał się przeważnie do Hongkongu lub całymi miesiącami włóczył się po krajach Ośntu. Dziwna była ta jego fascynacja egzotyką. A jeszcze dziwniejsze jego groteskowe zachowanie w stosunku do Rosie. Postępował jak grubianin. Collie nie mogła mu tego darować.

- Dlaczego wyszłaś za Guy? - spytała, sama zaskoczona swoimi słowami. Wyprostowała się i spojrzała na bratową.

Rosie zatrzepotała rękami. Zaskoczona tym nagłym pytaniem milczała przez chwilę. Potem wyznała powoli:

- Kochałam go ... podziwiałam ... po prostu rzucił mnie na kolana

- zawahała się przez moment, po czym zaczęła mówić dalej bardzo cichym głosem: - Wiesz, jak bardzo czarujący może być twój brat, jeśli chce: serdeczny, ujmujący, zabawny i czuły.

Przypuszczam, że ... że wtedy mnie oczarował czy też, mówiąc dokładniej, zawiązał mną.

Istniały także inne powody, dla których Rosie wyszła za Guy. Wiedziała o tym dobrze, lecz nie chciała mówić.

- Tak, Guy potrafi być miły - zgodziła się Collie. - Kobiety nigdy nie mogły mu się oprzeć, nawet wtedy, kiedy był bardzo młody. Mój Boże, te wszystkie jego miłosne podboje ... pamiętam je dobrze. Przypuszczam, że Guy nie był taki samolubny i dziwny, gdy wychodziłaś za niego - Collie spojrzała Rosie prosto w oczy i spytała. -- Dlaczego się z nim nie rozwiedziesz?

- Nie wiem - Rosie roześmiała się mimowolnie i rzekła lekko zaniepokojona. - Próbujesz się mnie pozbyć? Wyrzucić mnie z tej rodziny?

- Ależ skąd, Rosie! Nigdy! - wykrzyknęła Collie, otwierając szeroko oczy. Przysunęła się na sofie do Rosie i objęła ją. - Jak mogłaś coś takiego pomyśleć? Skąd w ogóle przyszło ci to do głowy?

Kocham cię. Wszyscy cię tutaj kochają. Jestem całkowicie po twojej stronie. Uważam, że to Guy jest niemądry.

Collie odsunęła się i przypatrzyła się bratowej. W szczerych, jasnoniebieskich oczach Collie malowało się oddanie i troska.

- Kiedy wyjeżdżasz, w Montfleuñe jest jak w grobowcu. Naprawdę, kochana. Ojciec bardzo mocno przeżywa twoja nieobecność. Podobnie jak my wszyscy. To tak jakby nagle zgasło słońce. Jesteś dla nas kimś ważnym, Rosie. Traktuję cię jak siostrę, a dla ojca jesteś jak córka. Musisz przecież o tym wiedzieć.

- Ależ tak, Collie. Czuję się z wami wspaniale i kocham was wszystkich. Jesteście mi bardzo bliscy, a Montfleuñe to mój dom. Bez was życie wyglądałoby zupełnie inaczej. Cieszę się, że mogę chociaż część swojego czasu spędzać tutaj.

Rosie pokręciła głową i posłała Collie niewyraźny uśmiech.

_ Nie rozmawiamy już o Guy. On chodzi własnymi drogami, jak dobrze wiesz. I ostatnio nie bywa tu zbyt często. Nie musimy więc tak bardzo się nim przejmować, prawda?

Collie przytaknęła i znowu wyprostowała się na sofie. Patrzyła przez chwilę na polana płonące w kominku, żałując, że jej brat akurat teraz pojawił się w domu. Ostatnio, z jakichś dziwnych, niezrozumiałych powodów zdawał się obwiniać siostrę oraz Rosie za wszystkie swoje kłopoty. Collie miała nadzieję i modliła się o to, by Guy swoimi wymaganiami i brakiem opanowania nie zepsuł wszystkim świąt. Yvonne i Lisette tak bardzo czekały na Boże Na-

rodzenie.

Rosie, jakby czytając w myślach Collie, powiedziała;

_ Spróbujmy urządzić dziewczynom radosne święta.

_ Właśnie o tym myślałam! - wykrzyknęła Collie. - Jasne, musimy to zrobić.

Chcąc zmienić temat, Rosie wyznała:

_ Kiedy zobaczyłam dzisiaj Yvonne, przekonałam się, jak bardzo wyoroślała. Wyrosła z miesiąca na miesiąc.

_ O tak. Rozkwitła prawie jak kwiat jednej nocy - Collie spojrzała na stolik przy kominku. Jej wzrok spoczął na stojącej tam, oprawionej w srebrne ramki fotografii. Zdjęcie przedstawiało jej zmarłego męża, Claude' a Duvaliera oraz jego jedyną siostrę, Yvonne, której wychowywaniem się zajmował. - Zrobiła się taka podobna do Claude'a, prawda?

_ O tak, rzeczywiście - odparła Rosie. - I ma także jego charakter: jest taka usłużna i wesoła. Pełna energii tak jak on.

_ Masz rację - przez twarz Collie przebiegł cień smutku. - To miło z twojej strony, że co miesiąc przysyłasz jej czek za tę niewielką pracę, którą dla ciebie wykonuje. To me potrzebne, Rosie, naprawdę. Yvonne robi to dla przyjemności i przy okazji uczy się od ciebie zawodu. Mnie także nie musisz przysyłać pierńędzy. Doceniam twoją troskę, ale jakoś żyję z tego, co Claude mi pozostawił.

_ Chcę wam pomagać, Collie. Uczynić wasze życie łatwiejszym. Wszyscy wiedzą, że utrzymanie tego miejsca pochłania niemal wszystkie dochody twojego ojca. Dla was niewiele już zostaje. Tak więc pozwól mi was wspomagać, póki mogę. Na Boga, przecież wcale wam dużo nie przysyłam. To prawie grosze.

- Jesteś dla nas taka dobra. Zupełnie jak anioł - wyszeptała Collie i odwróciła głowę, ponieważ nieoczekiwanie łzy napłynęły jej do oczu.

17

- Pani Colette wygląda o wiele lepiej, *n' est-ce pas!* - powiedziała gospodyni, nie unosząc głowy. Rozpakowywała właśnie ostatnią z czterech walizek Rosie.

- O, tak, Annie. Nabrała rumieńców i ma błyszczące oczy - odparła Rosie, wkładając kilka swetrów do szuflady w komodzie. - Ale jest strasznie chuda.

- *Mais oui, cest vrai* - Annie uniosła wzrok i spojrzała na Rosie, kiwając energicznie siwą głową. Potem wyjęła z walizki szlafrok, położyła go na łóżku i zamyśliła się.

Annie, podobnie jak jej mąż, Gaston, urodziła się w pobliskiej wsi i przez całe życie pracowała w zamku. Gdy miała piętnaście lat, przyjęto ją na pomoc kuchenną. Po jakimś czasie została gospożą. Teraz pięćdziesięcioletnią Annie traktowano niemal jak członka rodziny. Znała wszystkich bardzo dobrze. Radziła sobie ze złymi humorami Guy i nigdy nie zawiodła niczyjego zaufania. Mieszkańcy zamku wielce sobie cenili dyskrecję Annie. Można jej było powierzyć każdy sekret.

Zamykając walizkę, gospodyni jeszcze raz spojrzała na Rosie i stwierdziła: - Collie zawsze wyglądała szczupło. Gdy była małą dziewczynką, wołałam na nią *epouvantail*. To znaczy ... na wróble strach.

- Mówi się ... strach na wróble - poprawiła Rosie i roześmiała się rozbawiona.

Od samego początku lubiła Annie. Annie zarządzała zamkiem jak admirał wojenną armadą. Absolutnie pewna siebie i swoich sądów, panowała całkowicie nad tym, co działo się w domostwie. Nie tylko ciężko pracowała i poświęcała się dla hrabiego i jego rodziny. Okazywała także swoje współczucie i dzieliła się doświadczeniem. Potrafiła świetnie oceniać ludzi. Rosie uważała Annie za wspaniałą gospodynię i zastanawiała się, co by wszyscy bez niej poczęli.

- O, tak! - wykrzyknęła Annie. - Collie wyglądała jak strach na wróble! Miała takie szczupłe ręce i nogi... zupełnie jak chłopiec. Niezbyt się zmieniła, prawda? Ale nic się już na to nie poradzi, taka widać jej uroda. Pani hrabina, jej zmarła matka ... - Annie przerwała i przeżegnała się - niech Bóg ma ją w swojej opiece ... - odchrząknęła i mówiła dalej: - ona także była chuda i miała chłopięcą figurę. Odziedziczyła to pewnie po swojej matce, babce Collie, wielkiej Caron-Bougivals - Annie pokręciła głową i dodała dobitniej: - *Ce n' est pas important*. Zna pani przecież Collie od lat. Zawsze wyglądała jak patyk.

- Owszem - zgodziła się Rosie.

Niemniej wciąż martwiła się o bratową. Gdy zaraz po przyjeździe poszła zobaczyć się z nią w jej pracowni, doznała szoku. Przytulając Collie czuła wyraźnie pod swetrem jej wystające kości. Zdawało się, że został z niej tylko szkielet.

Annie chwyciła pustą walizkę i zaniósła ją do sąsiedniego pokoju, gdzie stały już trzy inne. Po chwili odwróciła się w stronę Rosie.

- Czy mogę jeszcze w czymś pomóc, madame de Montfleurie? Rosie zaprzeczyła.

- *Non, merci beaucoup*.

Annie obdarzyła ją ciepłym uśmiechem.

- Cieszę się, że jest pani w domu. Gaston, Dominique, Marcel i Fanny także nie mogli się już pani doczekać. Wszyscy w zamku radują się z pani przyjazdu. Teraz już sprawy potoczą się dobrze, *bien sar*.

Zastanawiając się, co też gospodyni ma na myśli, Rosie zasepiła się i spytała:

- Czy mieliście jakieś kłopoty, Annie?

- *Non, non, madame*. Właściwie nie. Tylko hrabia ... jest ostatnio taki przygnębiony, prawie się nie uśmiecha. Wygląda, jakby wечно się martwił. A pani Collie wciąż rozpacza nad swoim mężem, to widać. Ale teraz, kiedy pani przyjechała, wszystko się zmieni. *La familie est joyeuse, tres gaie. c' est vrai, madame*. Tak, tak, to prawda.

- Miło mi to słyszeć, Annie. Chciałam spytać cię jeszcze o coś innego. Kiedy parę tygodni temu byłam w Kalifornii, Yvonne powiedziała mi przez telefon, że Collie wcale nie czuje się lepiej. Czy naprawdę było z nią tak źle?

- Owszem. Ale nie myślę, żeby chorowała: Wpadła tylko w straszną melancholię. Czasami panią Collie ogarnia wielka rozpacz. To przychodzi niespodziewanie, ale po jakimś czasie mija. Ona tak bardzo kochała pana Duvaliera i teraz tęskni za nim. Och, *mon Dieu*, to był taki okropny wypadek!

- Annie zrobiła znak krzyża i zadrzała mimowolnie.

- Rozumiem - rzekła Rosie. - A więc uważasz, że to przygnębienie pogorszyło jej stan?

- *Oui*. Ale proszę, niech pani tak bardzo się o nią nie martwi. Pani Collie wydobrzeje. Znam ją od dziecka, zawsze była silna. Lepiej pójdę już do kuchni. Muszę pomóc Dominique przygotować kolację. Przyślę Marcela, żeby zabrał puste walizki.

- Dobrze, Annie. I dziękuję za pomoc.

- To nic takiego, madame de Montfleurie. Zawsze chętnie robię coś dla pani.

Kiedy Rosie została sama, Krzątała się jeszcze parę minut po sypialni, porządkując swoje rzeczy, a potem przeszła do salonu znajdującego się obok.

Okna tego przestronnego, gustownie urządzonego pokoju były szerokie i sięgały niemal pod sufit. Roztaczał się z nich panoramiczny widok na ogrody, rzekę Cher i błękitne niebo.

W pomieszczeniu dominowały kolory błękitny i kremowy. Gdzieś dało się zauważyć akcenty różu i szarości. Spłwiałe barwy świadczyły o antycznym pochodzeniu znajdujących się w salonie przedmiotów. Widać było, że ich właściciele należą do zubożałej arystokracji. Rosie czuła

się tu wyjątkowo dobrze.

Jedwabie, tafta i brokaty użyte do wystroju wnętrza dawno już straciły swoje pierwotne barwy. Dywan pochodzący z osiemnastego wieku przetań się w wielu miejscach.

Meble miały jednak sporo uroku. Najładniejsze wydawało się cisowe biurko w stylu Ludwika XVI ozdobione pozłacanym brązem, które stało pomiędzy dwoma oknami. Równie dobrze mogłoby oświetnić jakieś muzeum. Zabytkową wartość miały także: rzeźbiony stolik pod lustrem z marmurowym blatem, wygodne sofy i krzesła oraz kilka małych stolików wykonanych z drzew owocowych. Widok wszystkich tych mebli naprawdę cieszył oczy.

Swego czasu hrabia musiał wyprzedać część cennych rzeczy, by móc utrzymać posiadłość i zdobyć pieniądze na życie. Wpływy z inwestycji, które odziedziczył po swoim ojcu, okazały się niewystarczające. Rząd francuski starał się wspomagać historyczne miejsca takie jak Montfleurie, jednak dla hrabiego była to doprawdy kropla w morzu potrzeb.

Mimo wszystko stan finansowy rodziny powoli zaczął się poprawiać.

Hrabia przyjął to z wielką ulgą i przestał wywozić swoje skarby na aukcje do Paryża.

Stało się tak dlatego, że udostępnił zamek dla zwiedzających i zaczął sprzedawać najróżniejsze pamiątki. Najlepiej szły zabawki i lalki, do których Rosie zaprojektowała stylizowane średniowieczne stroje.

To nowe przedsięwzięcie jeszcze nie uczyniło hrabiego bogatym.

Jednak pieniądze zarobione na biletach wstępu, na sprzedaży broszur, zabawek i innych rzeczy stały się znaczące w domowym budżecie. W istocie dochody z minionej wiosny i lata wystarczyły na utrzymanie zamku przez sześć następných miesięcy. Hrabia nie obawiał się już, że resztę życia spędzi tonąc po uszy w długach. A wszystko to zawdzięczał Rosie.

Zawsze jej powtarzał:

- Dzięki twojej pomysłowości i zachętom wypłynąłem jakoś na powierzchnię. Nie dręczą mnie już teraz wierzycciele.

Patrząc teraz na brzydką wilgotną plamę na suficie w rogu pokoju pod oknem, Rosie znowu pomyślała o pieniądzach. Nie widziała tych zacieków, gdy była tutaj ostatnio w sierpniu.

Domyślała się, że brakuje mimo wszystko funduszy na bieżące remonty, a zwłaszcza teraz, przed świętami Bożego Narodzenia. Henri de Montfleurle miał pewnie mnóstwo innych wydatków.

Nic nie szkodzi - pomyślała Rosie. - Gdy zaciek wyschnie, sama go pomaluję. Gaston i jego brat mi pomogą. Potrzebujemy tylko trochę gipsu i białej farby. Poradzimy sobie na pewno.

Szczyliła się swoimi zdolnościami. Nauczyła się wiele od stolarzy i innych rzemieślników pracujących w atelier podczas kręcenia filmów. Drobne naprawy potrafiła wykonać samodzielnie.

Sięgnęła po płócienną torbę, postawiła ją na ławie i zaczęła wyciągać z niej notesy z zapiskami, które poczyniła ostatnio, przygotowując się do nowego filmu 'Gavina o Napoleonie. Torba pełna była drobiazgów. Wśród nich znajdowała się, oprawiona w srebrną ramkę, fotografia zrobiona dawno temu w Nowym Jorku. Rosie zawsze wozila ją ze sobą. Postawiła zdjęcie obok innych stojących na starej komodzie. Nell, Gavin, Kevin, Sunny i Mikey patrzyli na nią i uśmiechali się. Wyglądali tak młodo, pięknie i niewinnie. Nieświadomi trudów życia, które mieli napotkać.

Nasze beztrudne dzieciństwo już minęło - pomyślała Rosie. - Życie zmieniło nas. Rozczarowało, rozwiało złudzenia oraz nadzieje na spełnienie ambitnych marzeń. Być może nieodwołalnie.

Wszyscy musieli stawić czoło różnym kłopotom.

- "Dokąd mogły zawieść nas drogi, którymi nie poszliśmy"? - powiedziała Rosie na głos, przypominając sobie słowa piosenki z *Follies*, wspaniałego musicalu z wczesnych lat siedemdziesiątych. Wystąpili w nim:

Alexis Smith, John McMartin, Yvonne de Carlo oraz Gene Nelson. Za każdym razem, gdy Rosie słuchała płyty nagranej na Broadwayu, zachwycała się słowami i muzyką.

Może wcale nie wybraliśmy złego kierunku? - pomyślała po chwili.

Może mimo wszystko każdy z nas dokonał właściwego wyboru? Kierowało nami przeznaczenie ...
Chociaż, co to naprawdę znaczy?

Z pewnością Rosie, Gavin, Nell i Kevin zrealizowali swoje zawodowe plany i osiągnęli sukces.

Tylko w życiu prywatnym nie wiodło im się najlepiej. Według Nell, Gavina, podobnie jak reszta, zaplątał się w jakieś kłopoty uczuciowe.

Rosie westchnęła pod nosem i przez chwilę patrzyła na inne zdjęcie, wykonane na tarasie w Montfleurie parę lat temu, przedstawiające Colette i Claude'a.

Była to ładna barwna fotografia. Jak pięknie wyglądała Collie z opaloną twarzą i ciemnymi lokami

rozwianymi przez wiatr. Roześmiana, z błyszczącymi niebieskimi jak niebo oczami. Przystojny Claude spoglądał z podziwem na swoją młodą żonę. Collie już wtedy sprawiała wrażenie bardzo szczupłej. Annie miała rację mówiąc, że Colette całe życie wyglądała jak patyk.

Jednak Rosie wciąż niepokoiła się stanem Collie - prawdę mówiąc, była wręcz przerażona.

Collie wydaje się tak bardzo krucha - pomyślała Rosie. - Nigdy aż taka nie była. W ciągu ostatnich trzech miesięcy stała się taka wątła.

Troski Rosie rozwiąły się nieco, gdy krzątała się po pokoju, ustawiając w różnych miejscach swoje rzeczy.

W pewnej chwili przystanęła przy biurku i wyjrzała przez okno.

Zobaczyła widok tak piękny, że zapało jej dech.

Niebo było intensywnie niebieskie z białymi pierzastymi chmurkami płynącymi wolno. Rzeka w dole połyskiwała niczym srebro. Ogrody skapane w popołudniowym słońcu wyglądały jak obsypane złotem. Rosie zdawało się, że wszystko na zewnątrz migocze w nieziemskiej poświacie. żadne miejsce nie mogło się równać z Montfleurie. Rosie chwyciła pelerynę leżącą na sofie i pospiesznie wyszła z pokoju. Zrzuciła okrycie na ramiona i ruszyła długim korytarzem w stronę bocznych schodów. Modliła się w duchu, by nikogo po drodze nie spotkać.

18

Po paru minutach Rosie zatrzasnęła za sobą drzwi. wychodząc na tylne podwórze zamku, i pobiegła ścieżką w stronę rzeki. Peleryna powiewała wokół niej jak żagiel.

Zmierzała do swojego ulubionego miejsca położonego wśród rozległych ogrodów. Była to zniszczona budowla, godna raczej miana sterty gruzu, znana jako wieża Czarnego Jastrzębia. Nazwano ją tak dlatego, że postawił ją Fulk Nerra, hrabia d' Anjou, mający właśnie przydomek Czarny Jastrząb.

Wieża pełniła niegdyś funkcję strażnicy. Teraz, po latach, zostały z niej tylko ruiny. Stała na wzgórzu ponad Cher. W średniowieczu roztaczał się z niej doskonały widok na całą okolicę. W osiemnastym wieku zasadzono wokół niej drzewa. Kamienie pokryły mech i porosty. To oszłamiająco piękne miejsce, jedyne w swoim rodzaju, przywodziło na myśl odległe czasy. Stare, chylące się ku upadkowi mury i otaczające je liczne drzewa stworzyły prawdziwe ustronie .. W lecie członkowie rodziny Montfleurie często urządzali tutaj pikniki, a Rosie dawniej przychodziła robić szkice. Czasami oddawała się tu lekturze, odpoczywała lub po prostu marzyła. Rosie dyszała z wysiłku, gdy dotarła wreszcie do częściowo zburzonej, sklepionej bramy, przez którąkiedyś wchodziło się do wieży. Nie zwolniła jednak kroku, póki nie znalazła się po drugiej stronie - tam, gdzie nikt z zamku nie mógł jej dostrzec.

Usiadła na kamiennej ławce, którą setki lat wcześniej polecił umieścić tutaj któryś z przodków rodu Montfleurie, i rozejrzała się po okolicy. Patrzyła na wody Cher. Wokół panowała idealna cisza. Rosie słyszała bicie własnego serca. Powoli uspokoiła oddech.

Otuliwszy się peleryną, oparła plecami o pień drzewa i podała kojącemu działaniu cudownego otoczenia.

Jaki spokój panował tutaj, w miejscu, gdzie niegdyś toczyły się krwawe potyczki, które staczał Fulk Nerra, wielki rycerz i władca okolicznych ziem. Kurz z p61 bitewnych osiadł już dawno, dawno temu. Teraz Rosie zdawawało się, iż jest to najspokojniejsze miejsce na świecie, prawdziwa samotnia.

Pomyślała o Guy, którego poślubiła osiem lat wcześniej. Zastanawiała się nad losami ich obojga. Ostatnio rzadko się widywali, a jeśli nawet, to nie były to miłe spotkania. Po pięciu latach znoszenia niedorzecznych wymagań Guy, Rosie uznała, że ich małżeństwo nie może przetrwać. Wiedziała, że Guy czuje do niej niechęć i często rozmawiała o tym z Collie. Szwagierka uważała, że Guy zachowuje się wrogo wobec każdej z bliskich sobie osób. Z biegiem lat stał się człowiekiem, z którym nie spospb było żyć.

U słyszawszy nagle szelest zeschniętych liści i odgłos czyichś kroków, Rosie wstała i zaczęła nasłuchiwać. Ktoś się zbliżał.

Odwróciła głowę i spojrzała na ścieżkę, mając nadzieję, że to nie Guy.

Nie miała ochoty rozmawiać z nim teraz. Nie czuła się na siłach stawiać znowu czoło jego zniewagom.

Jednak, na szczęście, stwierdziła, że to nie Guy. Odetchnęła z ulgą.

Uśmiechnęła się widząc Henri, hrabiego de Montfleurie. Podniósł rękę i pomachał do niej. Jego oczy błyszczały z radości.

Rosie podbiegła do niego, objęli się serdecznie i przywitani. W końcu hrabia puścił Rosie i popatrzył uważnie w jej twarz mądrymi piwnymi oczami. Pocałował ją w oba policzki i spytał:
- Wszystko w porządku? Nie jesteś smutna, prawda? Chyba Guy nie powiedział ci nic przykrego, Rosie?

- Ależ skąd, Hem. Widziałam go tylko przelotnie, zaraz po przyjeździe.

Natknęliśmy się na siebie w holu, kiedy szedł do stajni. Oczywiście, zachowywał się trochę grubiańsko, ale taki już ostatnio ma zwyczaj.

- Owszem. W taki sam sposób odzywa się do mnie i niestety także do Collie. Nie mam pojęcia, dlaczego nie potrafi być miłszy dla swojej siostry. Wszyscy wiedzą, co przeżyła. No cóż ... - westchnął. - Obawiam się, że Guy już się nie zmieni. Myśli tylko o sobie i kpi sobie z odczuć innych.

Henri objął Rosie ramieniem i poszli oboje w stronę kamiennej ławki. Hrabia był szczupłym mężczyzną średniego wzrostu, z siwiejącymi, czarnymi włosami, o sympatycznej, a zarazem dumnej twarzy. Zdrowa cera; świadczyła o tym, że często przebywał na świeżym powietrzu. Miał sześćdziesiąt trzy lata i większość życia spędził w zamku, pomijając lata studiów na Sorbonie w Paryżu.

Zaraz po zdobyciu dyplomu powrócił do doliny nad Loarą, którą kochał całym sercem. Od dzieciństwa uczył się od swojego ojca zarządzania majątkiem. Kiedy skończył dwadzieścia cztery lata, odziedziczył w spadku Montfleurie. Rok później ożenił się z Laure Caron-Bougival, którą znał od dziecka. Jego syn, Guy, przyszedł na świat, gdy Henry miał dwadzieścia siedem lat, cztery wiosny później urodziła się Collie. Od dwunastu lat Henri był wdowcem. Mimo nalegań Colette nie chciał ożenić się powtórnie.

Miał teraz na sobie nieco znoszony tweedowy płaszcz i drżał lekko z zimna. Gdy usiadł na kamiennej ławce, podniósł kołnierz okrycia. U ścisnął dłoń Rosie i powiedział:

_ Tak się cieszę, że wróciłaś do domu. Raduję się z całej duszy, kochana.

_ Ja czuję to samo. Ujęcia do filmu trwały bardzo długo. Właściwie w ogóle nie lubię stąd wyjeżdżać, no ale cóż poradzić.

Henri pokiwał głową, znowu popatrzył Rosie głęboko w oczy i spytał:

_ Powiedz mi, jak ci się wiedzie? Niczego nie owijaj w bawełnę, bardzo cię proszę.

_ Nie jest tak źle - odparła Rosie, po czym nieoczekiwanie roześmiała się. - Przynajmniej kiedy pracuję. Sądzę, że jestem zbyt zajęta projektami, by zastanawiać się nad czymkolwiek innym. Nie wiem jednak ... _ przerwała i zamyśliła się, mimowolnie wykrzywiając usta.

Nie umknęło to uwagi hrabiego.

- Dokończ, proszę.

_ Kiedy mam wolny czas, czuję się zrozpaczona - wyznała. _ Wciąż zbiera mi się na płacz. W przeszłości nie zdarzało mi się coś takiego. Zawsze byłam wesoła. Nie potrafię ci powiedzieć, co się ze mną dzieje. Sama nie wiem.

_ Za to ja wiem - rzekł Henri, ściskając jej ramię. - Czujesz się nieszczęśliwa, Rosalindo.

Trzydziestoletnia kobieta, jaka jak ty, powinna ułożyć sobie życie inaczej. Na dobrą sprawę nie jesteś ani zamężna, ani rozwiedziona. Tak jakbyś znajdowała się w zawieszaniu, nie masz gruntu pod nogami. Naprawdę uważam, że powinnaś rozmówić się szczerze z Guyem.

- Nie ma widoków na pojednanie! - wykrzyknęła Rosie. - Już nie. Stałiśmy się sobie obcy.

- Nie myślałem o tym, żebyście się znowu zesłi. Chodziło mi raczej o separację. Na stałe.

Najlepszym rozwiązaniem byłby rozwód.

Rosie w milczeniu przypatrywała się hrabiemu.

- Czy jesteś wstrząśnięta, Rosie? Ludzie często się rozwodzą, wiesz o tym. Chociaż jesteś katoliczką, uważam, że nadszedł czas, abyś uwolniła się od mojego syna. - Nie doczekawszy się odpowiedzi, spytał: - Od pięciu lat nie żyjecie przecież ze sobą jak mąż i żona, prawda?

- Prawda ... pięć lat...? Może nawet dłużej.

- W takim razie, w czym tkwi problem?

Po dłuższej chwili Rosie wyznała szeptem: - Boję się.

Hrabia odsunął się nieco i spojrzał na nią zdumiony.

- Boisz się? Ty? Nie mogę w to uwierzyć. Czego się obawiasz? Rosie przygryzła wargę i wbiła wzrok w zaciśnięte pięści, zastanawiając

się, jak odpowiedzieć Henri. Kiedy wreszcie podniosła głowę, dostrzegła wielkie zatroskanie w jego dobrych oczach. Wiedziała, że nie ma innego wyjścia - należało wyznać mu prawdę. Hemi wiele potrafił zrozumieć.

Przełknęła ślinę i rzekła cichym, prawie niedosłyszalnym głosem:

- Boję się, że stracę ciebie, Collie i dziewczynki. Stanowicie moją rodzinę. Kocham was wszystkich tak bardzo. Nie chcę stąd odchodzić. Nie chcę zapomnieć o Montfleurie.

- Ależ, moja droga, to absurd! - zaprotestował Hemi.

- Przecież jeru rozwiódę się z Guy, przestanę należeć do rodziny - oczy Rosie zaszły łzami, które mimo wysiłków, żeby się opanować, zaczęły spływać po policzkach.

Hemi wyciągnął z kieszeni marynarki chusteczkę i podał ją Rosie bez słowa.

Gdy się uspokoiła, wyjaśnił:

- Wszyscy cię kochamy, Rosie. Polubiłem cię od samego początku, kiedy po raz pierwszy przyjechałaś tutaj z Collie. Było to, zanim jeszcze wyszłaś za Guy. Zawsze traktowałem cię jak córkę, nawet wtedy, gdy nie byłaś żoną mojego syna. Gdybyś poślubiła kogoś innego, moje uczucia do ciebie nie zmieniłyby się. Zapewniam cię. Kocham cię nie dlatego, że należysz do rodziny, lecz dlatego, że jesteś wspaniałą osobą, Rosie. Kocham cię taką jaka jesteś. I zapamiętaj na zawsze:

Montfleurie pozostanie twoim domem do końca życia, bez względu na okoliczności. - Hemi objął

Rosie ramieniem, przyciągnął do siebie i dodał innym głosem: - Nie mam pojęcia, co się dzieje z

Guy. Nie rozumiem jego postępowania. - Zamilkł na chwilę, pokiwał głową i ciągnął dalej: -

Jestem ojcem idioty. Przykro mi, ale muszę to przyznać. Mój syn to głupiec. To, jak się zachowuje wobec ciebie, przekracza ludzkie pojęcie. Nigdy go nie zrozumie. Nie pojmuję jego całkowitej obojętności wobec Montfleurie, które kiedyś odziedziczy. Boję się nawet myśleć o tym dniu. Mam nadzieję, że długo pożyję i zachowam zamek dla następnego pokolenia, bo kto wie, co się stanie, gdy Guy dostanie go w spadku. W jego rękach zamek popadłby w ruinę. Chcę temu zapobiec. Ta sprawa nie daje mi ostatnio spokoju.

_ Czemu nie możesz przekazać zamku Collie?

_ Zgodnie z Kodeksem Napoleona mógłbym to uczynić, gdyby Colette była moim jedynym dzieckiem. Według prawa francuskiego kobieta może dziedziczyć majątek. Jednak nie mogę pominąć syna i przekazać wszystkiego córce. Gdyby Guy zmarł bezpotomnie, wtedy własność i tytuł przeszłyby na Collie i jej dzieci. Wybacz mi, moja droga, że podchodzę do spraw w taki sposób ... Naprawdę traktuję cię jak swoją córkę i nic tego faktu nie zmieni. - Hemi spojrzał Rosie w twarz. - Czy zrobisz coś dla mnie?

Rosie przytaknęła.

_ Czy pójdziesz zobaczyć się z adwokatem, Herve Berthierem, kiedy wrócisz do Paryża?

Pamiętasz, poznałaś go tutaj parę lat temu podczas obiadu. To doskonały prawnik, jeden z najlepszych we Francji, a także mój dobry przyjaciel. Proszę, Rosie, porozmawiaj z nim i zrób pierwszy krok, by uwolnić się od Guy. On sprawia ci tylko kłopoty. Jeśli o mnie chodzi, masz moje pełne poparcie.

_ Dobrze, porozmawiam z Herve. Pewnie nie ma innego wyjścia. Dziękuję ci, Hemi, za miłe słowa. Jesteś dla mnie jak ojciec. Serce mi się kraje ... kiedy myślę, że mogłabym stracić ciebie i Collie.

_ Zawsze będziemy twoją rodziną, moja droga. A przy okazji, co słyhać u Kevina? Czy przyjedzie do nas na święta, tak jak obiecał?

_ Nie sądzę. Przeniósł się ostatnio do innego wydziału w nowojorskiej policji. Zajmuje się rozpracowywaniem mafti. Ostatnio chyba usiłuje dobrać się do skóry rodzinie Rudolfo, najpotężniejszej organizacji przestępczej w Nowym Jorku. Jest bardzo zajęty.

_ Niebezpieczna praca - mruknął Hemi. - Ale Kevin chyba lubi ryzyko. Pewnie martwisz się o niego?

- Tak. Wolałabym, żeby w jakiś inny sposób zarabiał na życie, ale on nie chce o tym nawet słyszeć. Kiedyś pragnął zostać prawnikiem ... - Rosie nie dokończyła zdania i skrzywiła się lekko.

Henri uśmiechnął się do niej.

- Kevin jest uparty tak samo jak ty, Rosie. Z tym nie da się już nic zrobić. A co słyhać u Nell Jeffrey? Mówiłaś mi przez telefon, że związała się z Kevinem. Może ona ma na niego jakiś wpływ? Rosie roześmiała się i zaprzeczyła ruchem głowy.

- Wątpię w to. Miałam nadzieję, że uda jej się namówić Kevina, aby przyjechał razem z nią do nas do Francji na święta. Kevin jednak musi w tym czasie pracować.

- Trudno. Może odwiedzą nas na Wielkanoc. Pięknie tu wtedy, nad naszą Loarą.

- Tak. Spróbuję porozmawiać o tym z Nell.

Zapadła cisza. Rosie i Henri siedzieli obok siebie bez ruchu.

Stado ptaków poderwało się do lotu. Tańczyły na tle białych chmur przypominając czarne

aksamitne kokardy. Ptaki wznosiły się coraz wyżej i wyżej, ponad szare wieże zamku, po czym skręciły nagle, formując wielki łuk ponad dachami, i skierowały się na południe. Chmury pędziły po ciemniejącym niebie wciąż zmieniając swe kształty i kolory. Błękit przechodził w szarość z odcieniem ametystu, purpura w płonący szafran, a wzdłuż linii odległego horyzontu w szkarłat i pomarańcz podobny do ognia. Drzewa nad rzeką stały się nagle ciemne, przybierając tajemnicze kształty. W mgiełce wczesnego wieczora promienie słońca gasły stopniowo i w końcu zapadł zupełny mrok.

- Jak tu uroczo, Rosie. Jak wszystko się zmienia - powiedział w zadumie Henri.

- Moja matka nazywała tę porę dnia zmierzchem. Hrabia uśmiechnął się, poklepał Rosie po dłoni i wstał.

- Ciesz się, że się rozumiemy. Kiedy zobaczyłem, jak biegniesz ścieżką w stronę ogrodów, pomyślałem, że nadarza się dobra okazja, aby porozmawiać na osobności. Ale teraz lepiej już chodźmy, bo robi się zimno.

Ruszyli w stronę zamku na wzgórzu. Szli ramię w ramię równym krokiem. Nie odzywali się do siebie. Ale to milczenie było bardzo wymowne. Czuli się swobodnie w swoim towarzystwie, jak para dobrych przyjaciół.

Zanim dotarli do zamku, Henri przystanął i zwrócił się do Rosie:

_ Czy wciąż jeszcze nie spotkałaś tego ... jedyne go?

- Jeszcze nie.

_ Szkoda! To źle, że jesteś samotna, moja droga. Czy myślisz, że nie wiem, jak wygląda takie życie?

_ Domyślam się, że wiesz, Henri - odparła Rosie. Zawahała się przez moment, a następnie spytała. - Co słyhać u Kiry?

Wyczuła, że hrabia zeszywniał. Zapadł już zmrok, lecz mimo to zauważyła, jak twarz mu tężeje.

_ Wszystko w porządku - odparł w końcu. - W każdym razie taką mam nadzieję. Kira wyjechała.

_ Och ... - zdziwiła się Rosie. - Ale wróci na święta, prawda?

_ Nie wiem - odparł smutno i ruszył dalej.

Rosie postanowiła nie poruszać już tego tematu i nie zadawać dalszych pytań. Pospieszyła, by dorównać kroku hrabiemu. - Nagle zaczął się śmiać i przystanął.

- Myślę, że już pora, abyś poszukała sobie przyjaciela _ stwierdził przekomarzając się - bo inaczej sam będę musiał ci kogoś znaleźć.

Rosie wybuchnęła śmiechem.

- Jesteś niepoprawny.

_ Nie zapominaj, że w moich żyłach płynie francuska krew. Mimo swojego wieku, wciąż czuję się romantykiem, podobnie jak większość moich rodaków.

_ Wcale nie jesteś taki stary. I tyle w tobie dobroci. Nie mam żadnej kobiety, która miałaby takiego wspaniałego teścia.

_ Dziękuję za komplement, Rosalindo.

Rosie cieszyła się, że hrabiemu powrócił dobry humor. Wydawało się jej jednak, że coś zaszło między nim a Kirą. Może Collie uchyli rąbka tajemnicy? Kiraprzyjainiła się z nią i obie zwierzały się sobie.

Parę minut później Rosie i hrabia weszli do zamku. Rosie otrząsnęła się z melancholii. Przyszłość nie malowała się już tak czarno.

19

Rosie wykapała się. zrobiła makijaż i włożyła swoją ulubioną czerwoną sukienkę z wełny. Była gotowa do kolacji. Wzięła z szafy małe pudełko na kapelusze i wyszła z pokoju. Przeszła na drugi koniec długiego, wyłożonego chodnikiem korytarza, stanęła przed drzwiami do sypialni Lisette i zapukała.

- To ja, ciocia Rosie! - zawołała i weszła do środka.

Yvonne, która klęczała na podłodze i zapinała guziki brązowej aksamitnej sukienki Lisette, uniosła głowę.

- Cześć, Rosie. Miałyśmy właśnie iść po ciebie.

- Wyczułam to - roześmiała się Rosie i przeszła przez pokój. Trzymała pudełko z tyłu tak, by Lisette nie mogła go zobaczyć. -Pomyślałam, że możemy zejść razem na kolację.

- Ale my musimy poczekać na mamę - powiedziała zmartwiona Lisette. - Nie możemy pójść bez niej. Ona zaraz przyjdzie, ciociu Rosie. Poszła się tylko przebrać i uczesać.

- Pewnie, że na nią zaczekamy, kochanie - odrzekła Rosie. - Nie miałam zamiaru iść bez niej - uśmiechnęła się do kuzynki. - Mam dla ciebie prezent.

Jasny uśmiech rozpromienił okrągłą, anielską twarz dziewczynki. Jej piwne oczy zabłyśły. W jakiś sposób przypominała w tej chwili swojego dziadka. - Jaki? - spytała podekscytowana. - Proszę, powiedz mi, ciociu.

- Zgadnij sama. Do trzech razy sztuka.

- Czy przywiozłaś go z Ameryki?

Rosie przytaknęła.

- *Un chapeau!* To musi być kapelusz.

- Mój Boże, jak ci się udało zgadnąć tak szybko? Mądra z ciebie dziewczynka! - wykrzyknęła

Rosie i dodała: - Pewnie już ktoś ci o tym powiedział. Może jakiś ptaszek?

- Och, nikt mi nie mówił, ciociu Rosie. Naprawdę - zapewniła Lisette, nagle poważniejąc. - Sama przecież obiecałaś, że przywiesz mi kapelusz z Ameryki. Nie pamiętasz? Mówiłaś mi o tym w sierpniu.

- Zgadza się. Obiecałam i dotrzymałam słowa - Rosie wyciągnęła pudełko zza pleców i podała dziecku.

- *Merci beaucoup! Merci beaucoup!* - zawołała Lisette. Szybko rozpakowała prezent. Wyciągnęła mały, zalotny kapelusik uszyty z ciemnozielonego filcu, przewiązany czerwonymi i zielonymi wstążkami, z kiścią wiśni przypiętą z jednej strony. - *Tres joli!* - zachwyciła się.

U ścisnęła ciotkę, a następnie podbiegła do szafy i otworzyła drzwi, na których wisiało lustro.

Włożyła kapelusz i przyjrzała się uważnie swojemu odbiciu.

- Pójdę w nim na kolację. Jest taki piękny - oznajmiła z uśmiechem.

- Rzeczywiście cudowny - wtrąciła Yvonne - ale musisz go teraz zostawić.

- Dlaczego? - spytała dziewczynka.

- Wiesz dobrze, że nie nosi się kapeluszy w domu - wyjaśniła Yvonne.

- Ja noszę - odparła Lisette.

- Nieprawda!

- Ależ tak, ależ tak! W kawiarni miałam na głowie kapelusz.

- Jadalnia w Montfleurie to nie kawiarnia - rzekła Yvonne. - Dobrze o tym wiesz, Lisette. Nie bądź niemądra.

- Ale tam też się je - upierała się dziewczynka.

Rosie stłumiła śmiech.

- Yvonne ma rację, kochanie - stwierdziła.

- Przecież miałam kapelusz w szpitalu, prawda? Mama mi mówiła.

Rosie i Yvonne wymieniły spojrzenia.

- Owszem - rzekła Rosie - i wyglądałaś bardzo uroczo, Lisette. Ale myślę, że teraz powinnaś iść na kolację z odkrytą głową. Jutro możesz włożyć kapelusz. zabiorę cię na przejażdżkę po wsi.

Pójdziemy do cukierni na lody, dobrze?

Dziewczynka skinęła głową i uśmiechnęła się. Jednak kapelusz wciąż tkwił na jej ciemnych lokach i po minie Lisette widać było, że nie ma najmniejszego zamiaru go zdjąć.

- No, Lisette - rzekła Rosie. - Dołącz kapelusz do swojej kolekcji. 'j A może pokażesz mi inne nakrycia głowy? Chętnie je zobaczę.

- Dobrze - ucieszyła się Lisette. - Mam dwa nowe.

Pobiegła do pokoju obok, gdzie trzymała swoje zabawki i książki. Na długich, ściennych półkach znajdowała się jej niezwykła kolekcja.

Lisette uwielbiała kapelusze i rzadko wychodziła na dwór z gołą głową, nawet jeśli miała bawić się tylko w piasku koło zamku.

Jej matka i Rosie doszły do wniosku, że Lisette ma to zamięłowanie po prostu we krwi. Była wcześniakiem i leżała przez osiem tygodni w inkubatorze, w paryskim szpitalu, gdzie przyszła na świat. Zakładano jej wtedy na głowę cieniutką wełnianą czapeczkę.

Kiedy Claude i Collie zabrali w końcu swoją córeczkę do paryskiego mieszkania, postanowili przede wszystkim pozbawić ją czapki. Małeństwo natychmiast zaczęło płakać i przez godzinę nie mogło się uspokoić. Wreszcie Collie domyśliła się, jaki był powód niemowlęcej rozpaczki. Nałożyła Lisette czapeczkę, a córeczka ucichła natychmiast.

Prze całe dzieciństwo Lisette nosiła coś na głowie. Gdy podrosła, jej osobliwe upodobania też się nie zmieniły. Rodzina dobrze o tym wiedziała, - nie było nigdy wahań, co wybrać na prezent dla dziewczynki. W końcu Lisette zgromadziła całkiem pokaźną kolekcję różnych kapeluszy i urządziła z nich wystawę w swoim pokoju.

- Ten dostałam od dziadziusia - rzekła do Rosie, wskazując na mały kaszkiet leżący na jednej z dolnych półek. - Znalazł go na strychu i powiedział, że kiedyś należał do babci Laurey. Jest jeszcze na mnie za duży, ale dziadek dał słowo, że będzie w sam raz, jak trochę podrosnę.

- Uroczy - przyznała Rosie. - I z pewnością bardzo, bardzo stary. Musisz się z nim obchodzić ostrożnie.

- Dobrze - odparła Lisette, odkładając delikatnie kaszkiet na półkę. Potem zdjęła kapelusz, który dostała od Rosie, położyła go obok i sięgnęła po beżowy wełniany kapturek. Zawiązała go sobie pod brodą.

- Ten też dostałam niedawno, ciociu Rosie. Zgadnij od kogo. Rosie przekrzywiła głowę na bok i udawała, że myśli intensywnie. - Niech no popatrzę ... - rzekła - to kojarzy mi się z ... kozakami... nie, z rosyjskimi bojarami. To wyjaśnia wszystko. Dostałaś go od Kiry, prawda? - Tak, zgadłaś, ciociu Rosie.

- No a teraz, kochanie, zdejmij go - poleciła Rosie, rozwiązując tasiemki. - Yvonne musi ci uczesać jeszcze włosy.

Lisette kiwnęła głową. Nagle w drzwiach ukazała się Collie. Dziewczynka ściągnęła z półki prezent od Rosie i podbiegła, by pokazać go matce.

- Prześliczny - powiedziała Collie, kiedy Rosie, Yvonne i Lisette przeszły do sypialni. - A teraz, proszę, uczesz włosy, córeczko - Collie rzuciła Rosie spojrzenie pełne wdzięczności. - Jesteś taka kochana, zawsze pamiętasz, żeby przywieźć jej jakiś prezent.

- Sprawia mi to przyjemność, moja droga. Zresztą Lisette tak już się do tego przyzwyczaiła, że nie ma mowy o niespodziance - stwierdziła Rosie ciszej.

Colette przytaknęła.

- Wiem. Trochę ją rozpieszczamy, ale to dobra dziewczynka, posłuszna i kochana. Nigdy nie sprawia kłopotów.

- Bardzo urosła, podobnie jak Yvonne - zauważyła Rosie. - Lisette wygląda poważnie jak na swój wiek. Zupełnie jakby miała siedem albo osiem lat.

- Tak. Jest wysoka i ma maniery dorosłych. Odznacza się także wyjątkową inteligencją - wyjaśniała Collie. - W szkole świetnie jej idzie. Niczego się nie boi i nigdy się nie zniechęca.

- Tak jak niegdyś jej matka - rzekła Rosie.

- Och, przesadzasz. W każdym razie ostatnio nie świeciłam Lisette najlepszym przykładem.

Uśmiech znikł z twarzy Rosie.

- Czy coś ci dolega, Collie? - spytała, podchodząc do szwagierki i obejmując ją ramieniem.

- Nie, wszystko w porządku. Naprawdę. W pewnym sensie czuję się o wiele lepiej. Tylko łatwo się męczę i nie mam siły, żeby wrócić do pracy.

- Nawet nie myśl o tym teraz. Możesz otworzyć galerię ze srebrami dopiero na wiosnę. Sezon turystyczny na razie się skończył i zamek będzie zamknięty dla zwiedzających.

- To prawda, ale ja ... tęsknię za pracą. Wiesz, jak bardzo uwielbiam antyczne srebra. Zajmowanie się nimi przez te wszystkie lata sprawiało mi nie lada przyjemność.

- O, tak. Kiedy byłam w Hollywood z Nell, poznałam pewnego piosenkarza, Johnny'ego Fortune. Poszliśmy do niego na kolację. Pokazał mi wspaniałą kolekcję. Miał dwie przepiękne patery Paula Stona. Spodobałyby ci się.

- Jestem gotowa, mam - oznajmiła Lisette, wychodząc z łazienki, gdzie Yvonne rozczesywała jej włosy.

- Chodźmy, dziadek już pewnie na nas czeka - powiedziała Colette, wyprowadzając córkę z pokoju. Odwróciła się do Rosie i dorzuciła. - Wiesz, że Paul Storr jest moim ulubionym złotnikiem. Jak wyglądały te patery?

Gdy schodziły po schodach, Rosie opowiedziała szwagierce o skarbach Johnny'ego Fortune.

- Co zaszło między twoim ojcem i !Grą? Pokłócili się? - zapytała Rosie, odciągając Collie na bok.

- To chyba za mocno powiedziane - stwierdziła Collie, kiedy podeszły do kominka znajdującego się w salonie. Yvonne i Lisette siedziały przed telewizorem w drugim "końcu pokoju. Collie zamyśliła się i dodała cichym głosem: - Myślę, że miało miejsce jakieś drobne nieporozumienie. A dlaczego pytasz? Czy ojciec coś ci powiedział?

- Zagadnęłam go o zdrowie Kiry, a on się trochę zdenerwował. Stwierdził, że wyjechała. Prawdę mówiąc, Collie, nie wiedział nawet, czy Kirawróci na święta.

- Mam nadzieję, że wróci. Ojciec zawsze ma się lepiej, kiedy ona jest w pobliżu.

- O co im poszło? - dopytywała się Rosie.

- Nie wiem do końca. To coś związanego z ... Aleksandrem - imię to Collie wymówiła szeptem. Spojrzały sobie w oczy. Przez chwilę nie odzywały się. Potem Collie przysunęła się bliżej do Rosie i rzekła cichutko: - Zawsze jest jakiś problem z Aleksandrem, ale ani ojciec, ani Kiraniczego mi nie wyjaśnili. Chciałabym, żeby się pobrali. Kirabardzo kocha ojca, wiesz o tym tak dobrze jak ja. Przez całe miesiące namawiałam go, żeby się jej oświadczył.

- Możesz przyprowadzić konia do wodopoju, ale nie zmusisz go, by się napił - rzekła Rosie. - Ja także bym chciała, żeby wzięli ślub.

- Kto taki? - spytał Guy, wchodząc do pokoju.

Rosie obejrzała się przez ramię. Wiedząc, jak bardzo Guy zazdrosny jest o Kirę i nie chcąc go rozdrażniać, skłamała:

- Kevin i Nell. Są ze sobą od roku. Mówiłam właśnie Collie, iż mam nadzieję, że się pobiorą.

- Naprawdę? To z pewnością będzie interesująca para, wielka dama i gliniarz :- powiedział Guy zgryźliwie i zaśmiał się szyderczo. Podeszedł do stolika, na którym stała taca z napojami. Wyciągnął butelkę wina z pojemnika z lodem i nalał sobie kieliszek.

Rosie obserwowała go ukradkiem. Guy wyglądał na zmęczonego, wokół oczu przybyło mu zmarszczek. Głębokie bruzdy biegingy po obu stronach jego twarzy od nosa do ust. We włosach widniały ślady siwizny. Chociaż miał dopiero trzydzieści sześć lat, wyglądał starzej. Mimo to wciąż jeszcze był przystojnym mężczyzną o sportowej sylwetce. Najwyraźniej starał się utrzymać swoje ciało w dobrej formie. Rosie wiedziała, że gorzej jest z jego stanem psychicznym. Wydawał się zagubiony i niezrównoważony emocjonalnie. Zachowywał się wciąż jak mały chłopiec, jak Piotruś Pan, który nigdy nie dorósł. Nigdy nie musiał troszczyć się o siebie i wciąż pozostawał niedojrzałym człowiekiem.

O, tak, Guy był dziecinny i zepsuty, a także leniwy. Nie chciał pracować, by zarabiać na życie, ani pomagać swojemu ojcu w utrzymaniu zamku. Uznawał to za zajęcie uciążliwe i nudne. Rosie od dawna twierdziła, iż niefortunnie się stało, że matka Guy zostawiła mu pieniądze. Mógł robić, co chciał, mimo że nie zarabiał zbyt wiele. Często gdzieś się wypuszczał. Związał się z jakąś dziwną wschodnią sektą religijną, która przyciągała ludzi słabych i zagubionych.

Gavin zawsze mawiał, że Guy nie pasuje do współczesnych czasów, i to była prawda. Lata sześćdziesiąte bardziej odpowiadały jego naturze. Guy nie radził sobie z wymaganiami, jakie stawiało przed człowiekiem ostatnie dziesięciolecie dwudziestego wieku.

Teraz podeszedł do kominka i wzniosł do góry kieliszek.

- Na zdrowie - odparła Rosie.

Collie nie zadała sobie trudu, by mu odpowiedzieć. Usiadła na krześle obok kominka, postawiła swój kieliszek na małym stoliku i wyciągnęła ręce w stronę ognia.'

- Zimno ci? - spytała Rosie. - Może pobiegnę na górę i przyniosę ci szal?

- Nie, nie trzeba. Dziękuję, Rosie.

- A więc wszyscy jesteście tutaj - rzekł Henri, wchodząc do salonu. Podeszedł do barku i nalał sobie szklaneczkę whisky. Napił się i dołączył do grupy przy ogniu. Guy, spoglądając na ojca, który oparł się o obudowę kominka, rzekł:

- To nie do końca prawda, ojczu. Wcale nie wszyscy są tutaj. Brakuje Kiry.

Zapadło głucho milczenie.

Ani Rosie, ani Collie nie ośmieliły się odezwać. Unikały też nawzajem swojego wzroku. Rosie wstrzymała oddech. Obawiała się, że hrabia wpadnie w złość.

Jednak nic takiego się nie stało. Henri zignorował syna, nie odpowiedział nawet na jego zaczepkę. Spokojnie napił się whisky.

- No więc, gdzie jest nasza piękna Kira? - mówił dalej Guy tak samo cierpkim tonem. - Już mi się zdawało, że zostanie tu na zawsze.

- Kira musiała pojechać do Strasburga odwiedzić siostrę. Anastazja nie czuje się najlepiej.

- Co zamierzasz z nią zrobić? - zapytał Guy, wlepiając w ojca czarne źrenice.
- Nie rozumiem ... Co masz na myśli? - głos Henri zmienił się. Spojrzał na syna ostrzegawczo. Guy zdawał się tego nie widzieć lub też umyślnie udawał, że nie dostrzega.
- Wiesz dobrze, o co mi chodzi, ojczu. Czy zamierzasz się z nią ożenić?
- To nie twoja sprawa - odparł Henri poirytowany.
- Ależ tak, moja - upierał się Guy, uśmiechając się wymownie.
- Uważaj, Guy, nie będę ...
- Ojczu, posłuchaj mnie przez chwilę - przerwał.

Powiedział to tak szorstkim głosem, że Rosie poczuła dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Collie siedziała na krześle i spoglądała na brata. Ona także była przerażona jego zachowaniem. Wiedziała, że ich ojciec, który zawsze przywiązywał dużą wagę do dobrych manier, poczuł się głęboko urażony.

Czy Guy tego nie widzi? - zastanawiała się Collie, zdegustowana głupotą swojego brata.

Jak gdyby nigdy nic, Guy mówił dalej:

- Kira Arnaud jest jeszcze młoda. Ma trzydzieści pięć lat i wciąż może rodzić dzieci. Przypuszczalnie. Ja pewnie nie doczekam się już potomstwa - niemądry uśmiech przebiegł przez jego twarz. Zerknął na Rosie i ciągnął dalej: - zważywszy na to, że od lat nie żyję ze swoją żoną. Mówiąc ściślej: nie będę miał dzieci z prawowitego łoża. Dlatego też mógłbym pomyśleć, że chcesz zachować ciągłość rodu Mont.fleurie, żeniąc się powtórnie. Może się zdarzyć, że będziesz miał syna z tego związku.

Henri kipiał ze złości.

- Naprawdę, Guy, jesteś bezczelny. Jak możesz się tak zachowywać? To nie jest odpowiedni czas ani miejsce na podobne dyskusje - mimo irytacji, hrabia mówił zrównoważonym głosem i całkowicie nad sobą panował. - Poza tym, jak już powiedziałem, to nie twoja sprawa - zakończył chłodno.

Bez troski Guy nie dawał jednak za wygraną.

- Oczywiście, że moja, ojczu. Jeśli umrę, ród Mont.fleurie wygaśnie.
- Niezupełnie! - wtrąciła ze złością Collie, prostując się na krześle i patrząc na brata. - Zapomniałeś o swojej siostrzyczce. Zgodnie z prawem francuskim ja także mogę dziedziczyć. Moje dziecko również.

- Ja jeszcze nie umarłem! - rzucił Henri przerażony i jednym haustem dokończył szkocką. Odwrócił się nagle, podszedł do stolika i nalał sobie następną kolejkę. Nerwy odmówiły mu posłuszeństwa.

Aby rozluźnić atmosferę, Rosie wtrąciła się, zmieniając temat: - W przyszłym roku będę pracować we Francji.

- Wspaniale, kochana! - wykrzyknęła uradowana Collie. - Jaki film zrobicie? A może planujecie wystawienie sztuki? - Gavin wziął się za następną ekranizację.
- *Naturellement* - rzekł Guy i usiadł na krześle naprzeciwko siostry.

Nie zwracając uwagi na brata, Collie spytała:

- O czym będzie to dzieło? Powiedz nam, Rosie.
- O Napoleonie - odparła. - Gavin chce ...
- *Mon Dieu!* - wtrącił Guy. - Co za pomysł! Amerykanin robiący film o Napoleonie. To po prostu śmieszne. Absurdalne. Jak on śmie! I pewnie sam zamierza grać cesarza?

- Owszem - odparła spokojnie Rosie. Guy zirytował ją już swoją rozmową z ojcem.

Teraz jego pogardliwy ton rozwścieczył ją jeszcze bardziej. Cieszyła się jednak, że udało się jej odciągnąć uwagę Guy od Kiry, postanowiła więc zachować zimną krew.

Guy zaczął się śmiać.

- Z drugiej strony Gavin Ambrose ma coś wspólnego z Napoleonem. Nitk nie zadał sobie trudu zapytać, co to takiego. Guy mimo to wyjaśnił: - Obaj są małego wzrostu. Napoleon był niski i nasz wielki gwiazdor także ma metr z kapeluszem - Guy znowu się roześmiał, najwyraźniej ubawiony swoim odkryciem.

Wszyscy pozostali milczeli z kamiennymi twarzami.

- Napoleon miał metr sześćdziesiąt pięć i to był w jego czasach przeciętny wzrost - rzekła Collie chłodno. - Dopiero w dwudziestym wieku pojawili się dwumetrowi giganci.
- Gavin ma nieco ponad metr siedemdziesiąt - wyrwało się Rosie.
- O, skąd masz takie dokładne informacje? - szydził Guy, unosząc do ust kieliszek z winem.

Henri uspokoił się trochę i wrócił na miejsce przy kominku. Jakby nie dostrzegając syna, usiadł

obok Rosie na kanapie i powiedział:

- To dobrze, moja droga, że nie będziesz w przyszłym roku tak dużo podróżować. Kiedy zaczynacie zdjęcia?

- Pewnie dopiero zajaities szeŚĆ miesięcy. Najpierw musimy poczynić wiele przygotowań. Jednak ja zaczynam pracę zaraz po Nowym Roku. Prawdę mówiąc, już zrobiłam parę szkiców.

- Gdzie będziecie kręcić? - zapytała Collie.

Odetchnęła z ulgą, słysząc że udało się odciągnąć Guy od dyskusji na temat rodu Mont.fleurie.

Ostatnio brat często powracał do tej sprawy. Wydawał się być opanowany jakąś obsesją.

- Zaczniemy w Paryżu - odparła Rosie. - W studio, a potem przeniesiemy się do Malmaison. Jeśli oczywiście władze francuskie dadzą nam pozwolenie. Przypuszczam, że będziemy filmować także w innych rejonach Francji. Czekam właśnie na scenariusz. Dowiem się więcej, kiedy go przeczytam.

- To raczej ambitne przedsięwzięcie, nawet dla takiego gwiazdora jak Gavin Ambrose, prawda? - spytał Guy swoim sarkastycznym tonem.

- Ani trochę - odrzekła Rosie stanowczo. - Gavin jest doskonałym producentem, nie tylko wspaniałym aktorem. Poradzi sobie ze wszystkim i z pewnością odniesie sukces. Jestem o tym absolutnie przekonana. Nie zamierza przedstawić całego życia Napoleona, lecz jego niewielki fragment.

- Och, naprawdę? Czy możesz zdradzić nam jaki? - spytał szczerze zainteresowany Henry.

- Okres tuż przed koronacją na cesarza i kilka lat po tym wydarzeniu.

- Mówiąc ściślej, jego samozwańczej koronacji, Rosie - wtrącił Guy.

- Taka była wola Francuzów - oświadczyła Collie i rzuciła na brata przelotne spojrzenie.

Wydawało się jej, że Guy uparł się, by tego wieczora wyprowadzić ojca z równowagi. Zupełnie nie wiedziała dlaczego. Prawdę mówiąc, Guy wszystkim działał na nerwy.

- Nie bądź taka naiwna, Collie - rzucił znowu Guy i przeszedł przez pokój. Powtórnie napełnił swój kieliszek i stwierdził. - Napoleon był tyranem, podobnym do Stalina czy Hitlera.

Zwracając się do Rosie, Henri wyjaśnił spokojnym, nieco mentorskim tonem:

- Napoleon Bonaparte to kontrowersyjna postać. Niektórzy uwielbiają go, szanują i podziwiają jego osiągnięcia. Uważają go za wybawcę Francji. Twierdzą, że gdyby nie on, nasz kraj pograżyłyby się w chaosie. Inni z kolei pogardzają nim, moim zdaniem niesłusznie, i uważają go za despotę i podżegacza wojennego. Jednak kiedy uważnie studiuje się historię tamtego okresu, można zauważyć, że Napoleon miał głównie na uwadze dobro Francji i jej mieszkańców.

- A wojny, które rozpętał? - wtrącił Guy prowokacyjnym tonem.

- Toczył głównie wojny obronne - zauważył Henri, powstrzymując gniew. - Napoleon walczył, by ocalić Francję.

- Nieprawda - zaczął znowu Guy. - Napoleon ...

- Ależ oczywiście, że mam rację - odparł stanowczo hrabia. - Możesz iść do biblioteki i przejrzeć jakąś książkę historyczną, jeśli mi nie wierzysz. Zdaje się, że zapomniałaś, czego uczyłeś się w szkole. - Henri znowu spojrzął na Rosie i ciągnął dalej: - W tamtych czasach Anglia trzymała Francję za gardło, podobnie jak większość kontynentalnej Europy. Napoleon nie miał wyboru. Musiał wojować, by obronić Francję przed inwazją nieprzyjaciół i kompletną klęską.

- Ojciec jest specjalistą od Napoleona - rzekła Collie, wtrącając się do rozmowy, zanim zdążył to zrobić Guy. - Jeden z naszych wielkich przodków, Jean-Manuel de Montfleurie, walczył wraz z Napoleonem w kampanii egipskiej. Wódz mianował go za odwagę brygadierem, a następnie, po bitwie pod Austerlitz, awansował na generała.

- Interesujące - przyznała Rosie. - Nie wiedziałam o tym.

Henri uśmiechnął się.

- No bo i skąd miałabyś wiedzieć, moja droga? Nie rozpowiadamy wokół o naszych przodkach. Każdy ród ma swe tajemnice - hrabia roześmiał się, a Rosie mu zawtórowała. Śmiech rozładował nieco napięcie. _ W naszej wielkiej bibliotece znajduje się cały zbiór książek o Napoleonie i o historii dziewiętnastowiecznej Francji. Poproszę jutro Marcela, aby przyniósł drabinę ze stodoły i zniósł te książki na dół. Zobaczysz, że są ciekawe. Może znajdziesz tam coś pożytecznego, co pomoże ci w projektowaniu kostiumów.

_ Dziękuję, Henri, chętnie je przejrzę -odparła Rosie z wdzięcznością. _ Ojciec - powiedział Guy. - Chciałbym cię o coś zapytać.

_ Tak? - Henri spojrzął na syna, który siedział na krześle przy kominku. _ Czy dziecko Kiry jest twoje? Czy Aleksander Arnaud naprawdę jest twoim synem?

Rosie zamarła. Czująk siedzący obok niej hrabia sztywnieje i wstrzymuje oddech. Nie potrafiła na niego spojrzeć - zabrakło jej odwagi.

Collie także doznała wstrząsu, siedziała nieruchomo, ledwo oddychając. Patrzyła na Płonący ogień. Czowała, że jej brat tym razem przeciągnął stnme.

Henry otworzył usta, lecz zamknął je po chwili. Spoglądał na syna w ponurym milczeniu. Wyraz jego twarzy mówił sam za siebie. Hrabia niespokojnie rozejrzał się po pokoju. Lisette i Yvonne były całkowicie pochłonięte oglądaniem telewizji. Ten widok przyniósł mu pewną ulgę.

Przynajmniej dziewczynki nie słyszały słów Guy.

Henri de Montfleurie odstawił szklankę na stolik, wstał i podszedł do Guy, który teraz jakby się skurczył. Twarz hrabiego była trupio blada, jego oczy błyszczały z wściekłości.

- Wstań - rozkazał.

Guy podniósł się niezadarnie.

Henri zrobił krok do przodu i spojrział prosto w twarz syna. Świdrował go wzrokiem. Jego głos zabrzmiał ostro:

_ Posłuchaj mnie uważnie. Nigdy więcej nie nastawaj w tym domu na honor i reputację kobiety, niezależnie od tego, czy będzie to Kim Arnaud, czy ktokolwiek inny. Nigdy też nie rozmawiaj o sprawach dorosłych w obecności dzieci. I nie próbuj przysparzać naszej rodzinie kłopotów. Jeśli nie potrafisz przestrzegać reguł dobrego wychowania i zwyczajnej uprzejmości, to najlepiej będzie, jak opuścisz ten dom raz na zawsze. I to natychmiast. Nie zamierzam tolerować twojego zachowania ani chwili

dłużej. Urodziłeś się jako arystokrata, jako dżentelmen. Zachowuj się więc jak należy lub wynoś się stąd!

- Ależ ojcz, proszę ... Nie chciałem cię rozgniewać. Nie chciałem nikomu sprawić kłopotów, tylko spokojnie porozmawiać. Pragnąłem tylko upewnić się co do przyszłości rodu Montfleurie, gdyby przypadkiem coś mi się stało. Wszystko może się przecież zdarzyć podczas zagranicznych podróży. Próbowałem ci tylko pomóc ...

Guy przerwał, słysząc głośnie pukanie do drzwi. Oczy wszystkich zwróciły się w tamtą stronę.

Drzwi otworzyły się powoli i do salonu wszedł Gaston. Skłonił lekko głowę i rzekł:

- Panie hrabio ... kolacja gotowa.

- Dziękuję, Gastonie - odparł Henri. - Już idziemy.

21

Kira Arnaud wróciła do Doliny Loary tydzień później.

Rosie natknęła się na nią raczej przez przypadek. Wczesnym rankiem w piątek wybrała się do wsi, aby załatwić dla Collie parę sprawunków. Gdy jechała z powrotem do Montfleurie, zobaczyła Kirę stojącą na tarasie swojego domu.

Zbudowany z szarych kamieni budynek znajdował się nieco dalej od drogi. Wznosił się na niewielkim wzgórzu. Widać go było wyraźnie przez otaczający go zagajnik. Kira miała naturalnie rude włosy, które połyskiwały w słońcu. O pomyłce więc nie mogło być mowy. Rosie nie miała co do tego wątpliwości.

Pojechała dalej, nie zatrzymując się. Nie chciała mącić spokoju Kiry niezapowiedzianą wizytą. Kiedy tylko dotarła do zamku, natychmiast pobiegła na górę poszukać Collie.

Ubrana w czarny sweter, szare spodnie i blezer Collie siedziała przy swoim biurku koło kominka i podpisywała karteczki do świątecznych prezentów. Uniosła głowę, gdy drzwi się otworzyły, i jej twarz rozpromieniła się na widok Rosie.

- Szybko się uwinęłaś, Rosie. Czy udało ci się kupić klej i wstążki? - spytała.

Rosie skinęła głową.

- Znalazłam także coś innego lub raczej kogoś innego. Collie spojrzała pytająco.

- Kogo?

- Widziałam Kirę Arnaud. Wróciła!

- Odwiedziłaś ją?

- Nie. Kiedy przejeżdżałam obok jej domu, zobaczyłam ją na tarasie.

- Jesteś pewna, że to była ona? W domu Kiry mieszka także jej gospodyni ze swoją córką.

- Nie mam żadnych wątpliwości - odparła Rosie stanowczo, zdejmując pelerynę i zbliżając się do

kominka. Nie można jej pomylić z nikim. Poznałam ją po rudych włosach. Niewielu ludzi ma taką płonącą czuprynę na głowie - Rosie uśmiechnęła się do Collie. - No chyba, że jej gospodyni i córka mają przypadkiem takie same włosy.

- Ależ skąd! - odparła Collie. - To rzeczywiście musiała być Kira. Ciekawe, czy ojciec wie, że wróciła.

Rosie wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

- Wątpię. Przecież posprzeczała się, kiedy wyjeżdżała.

- Może Pogodzili się przez telefon? - zasugerowała Collie. - Skąd możemy wiedzieć? Ojciec nie spowiada się nam. A do ostatniego piątku boję się przy nim wymówić nawet imienia Kiry.

- Ja też. To by podziałało jak czerwona płachta na byka. W sobotę Guy uciekł w popłochu. Tym razem posunął się za daleko.

Collie westchnęła ciężko.

- Wciąż nie mogę się otrząsnąć po tamtej dyskusji i ty pewnie też nie. Dziwię się, że ojciec tak długo zachowywał spokój ... -Collie uśmiechnęła się nagle i dodała. - Z drugiej strony, ojcu zawsze poprawia się humor, kiedy ty przyjeżdżasz. A mój brat jest chyba najgłupszym człowiekiem na tej planecie. Wciąż robi mi się słabo, gdy przypomnę sobie, co wygadywał.

- Wiem. Ale posłuchaj, Collie ... Chodźmy zobaczyć się z Kirą. Porozmawiajmy z nią. Może uda się ich pogodzić.

- Nie jestem pewna - Collie zawahała się przez chwilę. - Może poczuć się dotknięta. A poza tym ojciec będzie zły, że wtrącamy się w jego sprawy.

- Kiedy przyjechałam tutaj w sierpniu, powiedziałaś mi, że mały Aleksander bardzo przypomina LiŚette - stwierdziła Rosie. - Sama to zauważyłam i prawie jestem pewna, że w jego żyłach płynie krew rodu Montfleurie.

- Trzeba być ślepym, żeby nie widzieć podobieństwa! Ale do czego zmierzasz?

- Wydaje mi się, że twojemu ojcu bardzo zależy na Kirze. Obie uważamy, iż Aleksander jest jego synem. A teraz kiedy Jacques Arnaud rozwiódł się z Kirą, nic nie stoi na przeszkodzie, by wyszła za twojego ojca. Czy nie mam racji?

- Owszem. Sama już od dawna namawiałam ich do małżeństwa. Mówiłam ci już o tym.

- Pamiętam. W takim razie, jakie są ... przeszkody? Collie pokiwała głową.

- Nie mam najmniejszego pojęcia.

- A może twój ojciec nie chce się z nią ożenić?

- Naprawdę nie wiem, Rosie.

- Nie sądzisz, że może to Kira się wzbrania, bo na przykład, nie chce wyjść za Henri?

Collie zacisnęła usta i nie odpowiadała przez chwilę. Zastanawiała się, patrząc w przestrzeń.

- Trudno mi powiedzieć - westchnęła w końcu. - Mój ojciec jest od niej o wiele starszy.

- Nie tak znowu bardzo. Ma sześćdziesiąt trzy lata, a ona trzydzieści pięć. To nie taka wielka romca. Zresztą Hemi wygląda młodo, jest bardzo wysportowany i pełen życia.

- Wszystko to prawda, Rosie. Chociaż nie bardzo wiem, co w związku z tym chcesz zrobić.

- Posłuchaj, Collie, obie zastanawiamy się, co powstrzymuje ich od małżeństwa. Same niczego nie wymyślimy.

- Co więc proponujesz?

- Jedyńm sposobem, żeby się czegoś dowiedzieć, to porozmawiać z którymś z nich.

Collie jęknęła.

- Nie możemy pytać twojego ojca -mówiła Rosie dalej. - Przynajmniej ja bym się nie ośmieliła. A może ty?

- Och, nie, broń Boże! - wzdrygnęła się Collie.

- W takim razie, jak sama widzisz" pozostaje nam jedynie Kira - Rosie przerwała na chwilę i spojrzała na Collie. - Dlaczego tak na mnie patrzysz? Zawsze uważałam, że Kira jest otwarta i sympatyczna. W dodatku obie się przyjaźnicie, prawda?

- Tak.

- To skąd to dziwne spojrzenie?

- Przypuszczam, że jestem zbyt nieśmiała, żeby dyskutować z nią o ojcu. Czułabym się niezręcznie, rozmawiając o jego intymnych sprawach.

- To całkowicie zrozumiałe. Ale Kira jest jedyną osobą, która może nam wszystko wyjaśnić.

Collie w milczeniu pokiwała głową.

Rosie podeszła do okna i w zamyśleniu spojrzała na rzekę Cher. Po chwili odwróciła się i wróciła do kominka. Pochyliła się nad antycznym biurkiem i powiedziała:

- Porozmawiam z Kirą. Ale może poszłabyś ze mną i dotrzymała mi towarzystwa?

- Naturalnie!- zgodziła się Collie. - Musimy tylko najpierw zadzwonić i umówić się.

- Nie zamierzałam nachodzić jej bez zapowiedzi - rzekła Rosie uśmiechając się. - Chyba będzie lepiej, jak ty do niej zatelefonujesz. Myślę, że im szybciej się spotkamy tym lepiej. Może nawet dziś po południu?

- Czemu nie? - odparła Collie.

Nie chcąc tracić czasu, sięgnęła po słuchawkę i wykręciła numer.

22

W Kirze Arnaud było coś majestatycznego. Rosie uważała, iż jest to najlepsze słowo na określenie jej sposobu bycia i manier.

Jej królewskość manifestowała się dumnym noszeniem głowy, wyprostowaną sylwetką i energicznym krokiem. Była szczuplejsza i wyższa niż większość kobiet. Miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i chociaż nie odznaczała się klasyczną urodą, jej twarz przyciągała uwagę swoim dostojeństwem.

Pociągłe oblicze z wystającymi kośćmi policzkowymi, łukowatymi brwiami i wielkimi, szeroko rozstawionymi oczami wywierało na ludziach duże wrażenie.

Kira miała kręcone, gęste, o niezwykłym, rudokasztanowym kolorze włosy. Tego dnia nosiła je rozpuszczone - opadały jej luźno na ramiona i otaczały twarz jak płomień. Miała na sobie zbyt duży, długi sweter w barwach jesiennych liści, zrobiony na drutach, brązowe legginsy i zamszowe buty. Poruszała się po salonie z niezwykłą gracją i pewnością siebie, tak jak to robią wytworne kobiety.

Było sobotnie popołudnie. Kira podała właśnie Rosie i Collie gorącą cytrynową herbatę. Obie przyszły parę minut wcześniej. Nalała parujący płyn do wysokich szklanek stojących na srebrnych podstawkach i zaczęła opowiadać o swojej siostrze, Anastazji, która ostatnio chorowała.

- U sunięto jej wyrostek robaczkowy - wyjaśniła. - Ale, dzięki Bogu, wszystko jest już w porządku. Zaraz po wyjściu ze szpitala nie czuła się dobrze i dlatego pojechałam ją odwiedzić.

- Tak powiedział ojciec - odparła Collie ze współczującym wyrazem twarzy. - Cieszę się, że twoja siostra ma się lepiej.

- Ja także.

Jeszcze przez parę minut Kim rozmawiała z Collie o Anastazji i jej rodzinie oraz o swojej drugiej siostrze, Oldze, która przeniosła się niedawno do Nowego Jorku.

Rosie oparła się na krzesło i tylko jednym uchem słuchała tej rozmowy.

Zastanawiała się nad tym, w jaki sposób poruszyć temat Henri, bo przecież po to tutaj przyszła.

Collie ustaliła wczoraj termin ich wizyty, nie podając oczywiście powodu, a Kira najwidoczniej o nic nie pytała.

Poprzedniego wieczora Rosie doszła do wniosku, że nawet jeśli zapytają !Grę o jej związek z Henri, to i tak nie dowiedzą się prawdy. Collie nie zgodziła się ze zdaniem Rosie. Uważała, że Kirajest osobą szczerą i uczciwą i nikogo nie wodzi za nos.

W tle cicho słychać było jeden z mniej znanych koncertów Rachmaninowa, który Rosie jednak znała. Ta muzyka wprowadzała łagodny nastrój. Jasno oświetlony pokój był średniej wielkości. Wielkie francuskie okna wychodziły na taras i ogród. urządziła salon z pewną nonszalancją, umieszczając w nim francuskie i angielskie antyki oraz różne dziwne przedmioty kupowane podczas podróży. Pomieszczenie miało pewien specyficzny urok, było wygodne i przytulne.

Rosie zawsze lubiła !Grę Arnaud. Kiedy słuchała, z jaką miłością opowiada o swoich siostrach, poczuła do niej jeszcze większą sympatię. Wszystkie trzy były córkami rosyjskiego dyplomaty, który przyjechał na Zachód w 1971 roku, kiedy Kira miała piętnaście lat. Jej ojciec był attache rosyjskiej ambasady w Waszyngtonie. Poprosił o azyl polityczny i otrzymał go dla siebie, żony i swoich trzech córek. Rząd amerykański zaopiekował się całą rodziną. Przeprowadzili się do jednego z zachodnich stanów i mieszkali tam pod przybranym nazwiskiem.

Po śmierci ojca w 1976 roku Kirawraz z matką i dwoma siostrami przeniosła się do Francji, gdzie mieli krewnych. W wieku dwudziestu siedmiu lat Kirawyszła za Jacques'a Arnaud, znanego malarza w stylu impresjonistycznym. Małżeństwo przetrwało jednak tylko dwa lata i Kirawkrótce opuściła Paryż. W 1986 roku kupiła na wsi stary murowany dom.

Historię Kiry częściowo opowiedziała Rosie Collie, która zawsze żywiła do niej ciepłe uczucia, a częściowo sama Kira.

- No więc, wróciłam tutaj w czwartek wieczorem - powiedziała Kira.

Rosia otrząsnęła się z zamyślenia, wyprostowała na krześle i nadstawiła uszu.

- Nie wiem, ile dni jeszcze tu zostanę - ciągnęła dalej Kira - ale pewnie niezbyt długo.

- Dlaczego? - spytała zaskoczona Collie.

Kira nie odpowiedziała.

Rosie postanowiła się wtrącić:

- Chcesz powiedzieć, że nie zostaniesz na święta?

- Zgadza się - odparła IGra. - Nic tutaj po mnie ani po Aleksandrze. Będzie lepiej, jak wrócę do Strasburga, do siostry i jej rodziny. Będzie tam matka i Olga, która przyjedzie z Nowego Jorku.

- Tak bardzo chcieliśmy, żebyś wpadła do nas na święta - rzekła Collie, kładąc rękę na ramieniu Kiry. - Co roku przecież do nas przychodziłaś.

IGra pokręciła głową.

- Nie sądzę, żeby to było możliwe.

Zapadła cisza. Po chwili Rosie postanowiła ją przerwać.

- Czy masz jakieś kłopoty, IGro? To znaczy, czy coś złego wydarzyło się między tobą i Henri?

Kira znowu milczała.

- Czy dlatego chcesz wrócić do Strasburga? - dopytywała się Rosie.

- Mniej więcej - przyznała wreszcie cokolwiek enigmatycznie Kira, uśmiechając się słabo.

- Możemy w jakiś sposób pomóc?

Kira zaprzeczyła energicznym ruchem głowy.

- Dlatego właśnie chcieliśmy się z tobą zobaczyć - wyjaśniła Collie. - Stwierdziłyśmy z Rosie, że dzieje się coś niedobrego i chcieliśmy jakoś

temu zaradzić. Obie czujemy, że tobie i ojcu bardzo na sobie zależy i nie rozumiemy, czemu się nie spotykacie.

- To prawda, że się lubimy, ale nie wydaje mi się, żeby w tej sytuacji dało się coś zrobić.

- Dlaczego? - Rosie utkwiała w Kirze przenikliwe spojrzenie. - Kiedy kogoś kochasz i ktoś cię kocha, zawsze istnieje jakiś sposób, żeby się pogodzić.

- Rosie ma rację - wtrąciła Collie. - Mój ojciec czuje coś do ciebie, dobrze o tym wiem. Właściwie myślałam nawet, że ma zamiar ci się oświadczyć. Okazuje się najwidoczniej, że się myliłam.

- Niezupełnie - rzekła Kira, patrząc na Collie poważnym wzrokiem. - Twój ojciec rzeczywiście złożył mi... pewną propozycję ...

Collie spojrzała pytająco.

- Czy możesz powiedzieć, jaką?

- Stwierdził, że powinniśmy związać się ze sobą na stałe, ale nie klękał i nie oświadczył się w tradycyjny sposób. Właściwie nie użył wcale słowa "małżeństwo".

- Ale wiedziałaś z pewnością, co miał na myśli? - zapytała znowu Collie.

- Oczywiście, nie zamierzam dzielić włosa na czworo. Jednak, kiedy nie odpowiedziałam natychmiast twierdząco i nie podskoczyłam z radości, słysząc jego propozycję, twój ojciec nagle się wycofał. Powiedział, że jest dla mnie za stary, że dwadzieścia osiem lat różnicy to stanowczo zbyt wiele. Przyznał, że musiał być niemądry myśląc, iż zechcę związać się z człowiekiem w podeszłym wieku, a następnie uciekł z pokoju.

- Powinnaś była za nim pobiec, Kira - upomniła ją łagodnie Rosie. - Powiedzcie, że wyjdiesz za niego, że różnica wieklll nie ma znaczenia.

Tego przecież chyba oczekiwał?

- Pewnie masz rację - przyznała Kira nagle zmartwiona i przygryzła wargi.

- Kiedy to się stało? - spytała Collie.

- Tuż przed moim wyjazdem do Strasburga.

- Czy ta rozmowa z ojcem spowodowała, że postanowiłaś wyjechać? - odezwała się Rosie.

- Częściowo, tak. Anastazja naprawdę mnie potrzebowała, ale była przy niej także moja matka. W każdym razie miałam niezłą wymówkę. Czułam, że muszę oderwać się na jakiś czas od Henri i wszystko przemyśleć w spokoju.

- Czemu więc nie zadzwoniłaś do ojca ze Strasburga? Nie powiedziałaś mu, że chcesz go poślubić?

Kira zerknęła na Collie i pokręciła głową. Jej twarz stała się nagle martwa i bez wyrazu. Poruszyła się na sofie i zamknęła na chwilę powieki. Oddychała głęboko. Potem wstała i podeszła do okna. Patrzyła na ogród zamglonymi oczami. Poprzez lży widziała niewyraźnie nagie drzewa oraz szron na trawnikach. Pograżyła się w smutku i rozpacz. Myślała o Henrlde Montfleurie i czuła, jak coś ją ściska w gardle. Jej najgłębiej skrywane emocje szukały ujścia. Wiedziała, że Henri cierpi tak

samo jak ona. Kochali się przecież bardzo. Ale nie mogła mu pomóc. Ani sobie. Opanowawszy się westchnęła głęboko, otarła dłonią łzy, odwróciła się i podeszła z powrotem do kominka, przy którym siedziały Collie i Rosie.

- Nie zadzwoniłam do Henrl, ponieważ nie chcę wyjść za niego - skłamała.

Collie była tak zaskoczona, że aż jęzasknęła. Gdy odzyskała głos, zawołała:

- Trudno mi w to uwierzyć, Kim! Bardzo trudno. Przecież kochasz mego ojca. Sama to przyznałaś.

- Tak - odparła Kira. - To prawda, że nie jest mi obojętny. Jednak czasami miłość nie wystarcza, aby pokonać wielkie trudności.

- Czy masz na myśli różnicę wieku? - spytała Rosie.

- Nie.

- Czy w takim razie są jakieś inne ... przeszkody ... ? - Rosie popatrzyła na Kirę badawczo.

- Nie ma żadnych prawnych utrudnień. Jestem rozwiedziona z Jacques'em.

- Więc co cię powstrzymuje?

Kira zrobiła gest, jakby chciała czemuś zaprzeczyć, po czym wstała i znowu podeszła do okna. Nie wyjrzała jednak na zewnątrz, lecz zaczęła spacerować po pokoju. Twarz miała całkowicie spokojną i nieruchomą, lecz wyraz jej szarych oczu zdradzał wielkie wzruszenie.

W końcu zatrzymała się i spojrzała na Collie i Rosie. Wzięła głęboki oddech i rzekła nerwowym głosem:

- No dobrze, powiem wam prawdę. Chciałabym wyjść za Henrl, ale nie mogę. Boję się Guy. On zna pewną moją tajemnicę. Jeśli poślubię Henn, Guy wyjawia mi ją. Nie mogę na to pozwolić.

Dlatego muszę się stąd wynieść.

Collie i Rosie przyglądały się Kirze w napięciu.

- Co to za sekret? - zapytała Collie natarczywym głosem. - Co takiego Guy wie o tobie, Kiro?

Kira pragnęłaby to wyznać, ale nie mogła. Czowała, że uginają się pod nią nogi.

23

Dwie pary oczu, jedno niebieskie, a drugie zielone wpatrywały się intensywnie w Kirę. Czowała się trochę nieswojo pod tak czujną obserwacją.

Przez krótką chwilę przyglądała się Rosie i Collie, następnie odwróciła się i podeszła do kominka.

Oparła dłoń na obudowie i utkwiała wzrok w buzującym ogniu.

Nie mogła zrozumieć, co podkusiło ją, by wspomnieć o swoim sekrecie. Najlepiej było w ogóle nie poruszać tego tematu lub wymyślić na poczekaniu jakieś kłamstwo. Wszystko wydawało się lepsze od przyznania się do tego, że istnieje jakaś przeszkoda - jak to określiła Rosie.

- Twoja tajemnica nie jest pewnie taka straszna - rzekła Rosie. Przerazona Kira niemal podskoczyła.

Następnie usiłowała wziąć się jakoś w garść. Po chwili wolno odwróciła głowę i spojrzała na Rosie siedzącą na sofie. Obie kobiety patrzyły na siebie długo, nic nie mówiąc. - Owszem, jest straszna - powiedziała w końcu Kiracichym głosem.

- Proszę, powiedz nam, co takiego Guy wie o tobie, IGro - domagała

się Collie. - Nic, co powiesz, nie zmieni naszego stosunku do ciebie. Rosie i ja bardzo cię lubimy i szanujemy, a mój ojciec na pewno cię kocha.

Kira milczała. Zastanawiała się, co począć, co im powiedzieć. A może skłamać? Tak, to był dobry pomysł. Nie mogła im przecież wyznać prawdy.

Rosie pochylała się i oparła łokcie na kolanach, czekając na odpowiedź. - Cała rodzina zdaje sobie sprawę, że Guy sprawia dużo kłopotu. Nikt nie zwraca na niego większej uwagi ani też na to, co mówi.

- Myślę, że Henri zainteresowałby się akurat tą sprawą - odparła Kira.

- W każdym razie, w jaki sposób Guy dowiedział się o twojej tajemnicy? - Collie uniosła głowę i spojrzała pytająco. - Jak ją odkrył? - Sam jest w nią zaplątany - odrzekła Kira i zaraz ugryzła się w język. I tak powiedziała za dużo. Zamarła ze strachu i po chwili zaczęła się trząść. Rosie, widząc przerażenie Kiry, odezwała się głosem łagodnym i uspokajającym:

- Na twoim miejscu uprzedziłabym Guy i sama wyznała wszystko Henri. Czemu tego nie zrobisz?

- To niemożliwe! - wykrzyknęła Kira, mrugając powiekami.

- W takim razie, dlaczego nie spróbujesz powiedzieć tego nam? Przyszliśmy tutaj nie po to, żeby cię osądzać, lecz by cię wysłuchać. Może potrafimy coś poradzić. Powinnaś nam zaufać. Wyznaj nam swój sekret, Kiro, a potem zastanowimy się wspólnie, co robić dalej. Trzy głowy to nie jedna.

- O, tak. Rosie wpadła na wspólny pomysł - przyznała Collie i dodała: - Guy nie ma względów u ojca i to już od dawna, pewnie sama. o tym wiesz. Mój ojciec przestał liczyć się z jego zdaniem.

Stracił do niego szacunek wiele lat temu.

IGra stała nieruchomo i wciąż się wahała.

- Wiemy przecież, że nie zamordowałaś nikogo - stwierdziła Rosie. - Z pewnością to, co zrobiłaś, nie jest takie okropne, jak myślisz. No, Kira, wyznaj nam wszystko. Może znajdziemy jakieś rozwiązanie.

Kira spoglądała to na Rosie, to na Collie i zanim zdołała się powstrzymać, powiedziała:

- To może być dla ciebie nieprzyjemne, Rosie. Widzisz ...

- Kira przerwała nagle.

Rosie spojrzała na nią zdziwiona.

- Śmiało - zachęciła Kire.

Jestem przyparta do muru - pomyślała Kira. - Nie powinnam była zaczynać tego tematu. Jednak teraz nie ma już odwrotu. Muszę im powiedzieć. Może rzeczywiście wyjdzie to wszystkim na dobre?

- Kiedy przyjechałam tutaj w roku 1986 - rzekła ostrożnie - jedną z pierwszych osób, jakie poznałam, była twoja ciotka, Collie, Sophie Roland. Wzięła mnie pod swoje skrzydła. We wrześniu, po czterech miesiącach od mojego przyjazdu, przedstawiła mi Guy. Byliśmy razem na pewnym przyjęciu w Monte Carlo.

Kira poczuła, że zasycha jej w gardle. Przełknęła ślinę, odchrząknęła i spojrzała prosto na Rosie.

- Guy powiedział mi tamtego wieczora, że jesteście ze sobą w separacji, że opuściłaś go i przeprowadziłaś się z powrotem do Stanów ...

- Pracowałam wtedy przy kręceniu filmu w Kanadzie - wtrąciła Rosie.

- Dowiedziałam się o tym później. - Kira zmieszana się nagle i dodała pośpiesznie: - Naprawdę...

Rosie, mam nadzieję, że to, co powiem, nie sprawi ci przykrości.

- Na pewno nie, IGro. We wrześniu 1986 roku rzeczywiście byliśmy już z Guy w separacji. Ta część tej historii jest akurat prawdziwa.

Kira skinęła głową i zaczęła mówić dalej:

- Na przyjęciu Guy poprosił mnie o mój numer telefonu. Dałam mu go. Tydzień później, gdy oboje wróciliśmy na południe Francji, zadzwonił do mnie. Zaczęliśmy się spotykać. Na początku wyglądało to całkiem niewinnie. Byłam wtedy w separacji z Jacques 'em, czekałam na rozwód i czułam się bardzo samotna. Cieszyłam się, że poznałam nowych przyjaciół, takich jak Sophie czy Guy. Guy zapewniał mnie, że wasz związek się rozpadł. Oczywiście, wierzyłam mu. Nie miałam powodu mu nie ufać. Nieoczekiwanie związaliśmy się ze sobą na parę miesięcy.

- Guy nigdy nie przywiózł cię do Montfleurie! - mruknęła Collie. - Nie ośmieliłby się.

Kira przytaknęła.

- Teraz to rozumiem, ponieważ wiem, jak wszyscy kochają Rosie. Jednak wtedy wydawało mi się to dziwne. Zwłaszcza, że Guy zapewniał mnie, iż jest wolnym mężczyzną, którego porzuciła żona. Gdy wspominałam o tym, wyjaśniał, że jego ojciec jest raczej staroświecki i nie zgodzi się, by jego syn przyprowadził do zamku jakąś kobietę, zanim nie uporządkuje swoich małżeńskich spraw.

Rosie i Collie wymieniły porozumiewawcze spojrzenia, lecz się nie odezwały.

Kira zerknęła na nie, po czym szybko odwróciła wzrok. Rozejrzała się po pokoju, przełknęła ślinę i powiedziała:

- Czuliśmy się ze sobą związani coraz mocniej i wszystko stawało się coraz bardziej skomplikowane ...

- Spałaś z nim - rzekła Rosie spokojnym głosem. - To dlatego tak trudno przyszło ci o tym opowiadać, prawda, Kim? Miałaś romans z Guy.

Kira przygryzła wargi.

- Tak. Jednak nasz związek trwał krótko i tylko parę razy poszliśmy ze sobą do łóżka.

Zdziwiona Rosie uniosła brwi.

- I to właśnie ten twój wielki sekret?

- Tak.

Collie zaczęła się śmiać.

- Nie sądzę, żeby to było coś strasznego - powiedziała. - Mój ojciec z pewnością się tym nie przejmie.

- Nie wierzę - zaprzeczyła Kira.

- Ależ tak. Na mnie nie zrobiło to wrażenia, chociaż wciąż prawnie jestem żoną Guy - rzekła Rosie, uśmiechając się do Kiry zachęcająco. - Jak długo trwał wasz romans? - spytała, choć specjalnie jej to nie interesowało.

- Niezbyt długo. Jakieś trzy miesiące. Guy wkrótce przestał się mną interesować ... po tym, jak

poszliśmy do łóżka. Wyjechał do Indii, jak obie wście.

- Wrócił tylko raz, na tydzień. Poza tym nie było go przez dwa lata - powiedziała Collie. - W tym czasie poznałaś mojego ojca.

- Tak. Najpierw bardzo się ze sobą zaprzyjaźniliśmy. Łączyło nas wiele wspólnych zainteresowań, dobrze się razem czuliśmy. Po jakimś czasie zrozumieliśmy nagle, że jesteśmy w sobie zakochani. Wiedziałam, że powinnam powiedzieć mu o Guy na samym początku, ale nie zrobiłam tego. Zabrakło mi odwagi. Bałam się, że utracę Henri.

- Możesz powiedzieć mu teraz. Dzisiaj. Mogę cię całkowicie zapewnić, Kim, że nie wpłynie to w żaden sposób na mojego ojca - rzekła Collie. - Dobrze go znam. Jest inteligentny, współczujący i pełen zrozumienia. To mądry człowiek, który dużo widział i przeżył. Możesz mu zaufać. Poza tym nie znałaś jeszcze mojego ojca, gdy związałaś się z Guy.

- Nie wiem, co robić ... Boję się ... - Kira spojrzała na Collie bezradnie.

- Przypuszczasz, że Guy opowie wszystko ojcu, gdy wyjdiesz za Henri, ale przecieźrównie dobrze może milczeć - rzekła Rosie zamyślonym głosem.

- Och, daj spokój, Rosie. Założę się, że wszystko wypapla! - wykrzyknęła żywo Collie. - Znam mojego brata. Uwielbia wkładać kij w mrowisko. Nie dajmy mu tej możliwości. Proszę.

- Collie ma rację, Rosie - przyznała Kira. - Guy rzucił mnie. Kiedy jednak wrócił z Indii i zobaczył, że przyjaźnię się z jego ojcem, znowu zaczął mnie nachodzić. Pewnie sama wiesz, jaki on jest, ostatecznie to twój mąż. Guy zawsze chce tego, czego nie może dostać, tak jak trawa w innym ogrodzie zawsze wydaje się bardziej zielona. Może dlatego jest takim strasznym kobieciarzem. Szybko się nudzi i wciąż poszukuje odmiany.

Rosie pokiwała głową.

- Teraz rozumiem. Tak działo się też w pierwszym roku po naszym ślubie. Guy szybko zmęczył się mną i zaczął sypiać z innymi kobietami. Ja poświęciłam się robieniu kariery. Lubiłam swoją pracę, a poza tym potrzebowaliśmy pieniędzy. Wyjeżdżałam często i na długo, a Guy wykorzystywał moją nieobecność na skoki w bok.

- Obawiam się, że to prawda - przyznała Kira. - Guy jest dziwny i trudno pojąć jego postępowanie. Bardziej pociąga go samo uwodzenie kobiet niż wiązanie się z nimi. Nigdy nie zazna szczęścia z jedną kobietą. - No więc, chodźmy - powiedziała stanowczo Collie. - Nie mamy wątpliwości, że Guy zdradzi ojcu tajemnicę, choćby tylko po to, by mnie upokorzyć. Takajuzjego natura. Wynika z tego, Kiro, że musimy go uprzedzić. - Co masz na myśli?

- Musisz iść do ojca i sama powiedzieć mu o wszystkim. Co masz do stracenia?

- To prawda.

- A więc chodźmy - Collie wstała.

- No, Kiro, włóż płaszcz! - ponagliła Rosie.

- Teraz? Chcecie, żebym powiedziała mu teraz?

- Jasne. Będziesz miała to z głowy. Pojedziemy z tobą do zamku wesprzeć cię na duchu - rzekła Collie.

- Nie chcę natknąć się na Guy - protestowała Kira.

- Nie ma go w Montfleurie. W zeszłym tygodniu doszło do małej sprzeczki i Guy wyjechał do Paryża.

Rosie także podniosła się z sofy.

- Pojedziemy razem i odwieziemy cię z powrotem - zaproponowała. - Zrób to, co masz zrobić, póki czas. Zanim będzie za późno.

Wyszły pospiesznie z salonu. Kira opierała się jeszcze trochę, lecz jej protesty były coraz słabsze.

Trzy kobiety natknęły się na hrabiego de Montfleurie w wielkim holu w zamku. Spojrzał na nie zdumiony. Był przekonany, że Kira wciąż przebywa w Strasburgu. Po chwili jednak jego twarz rozpromienił pełen zadowolenia uśmiech.

- Kiro, moja droga - powiedział serdecznie i podszedł się przywitać.

Ujawszy dłonie Kiry, pocałował ją w oba policzki. - Cześć, Henri - powiedziała.

- Kira chce ci coś powiedzieć, ojciec - oznajmiła Collie, zdeterminowana, by całą sprawę doprowadzić jak najszybciej do końca. - Pragnie wyjaśnić, dlaczego naprawdę pojechała do Strasburga. Zostawimy was samych, a potem może napijemy się czegoś razem - zerknęła na IGrę. - I może zechcesz zostać na kolacji?

Nie czekając na odpowiedź, Rosie chwyciła Collie za ramię. - Chodź, muszę przedyskutować z tobą świąteczne menu.

- Jasne - zgodziła się Collie i obie wyszły pośpiesznie.

Henri poprowadził Kirę przez hol do swojego gabinetu, usytuowanego na tyłach zamku. Wskazał jej krzesło przy kominku i powiedział:

- Usiądź przy ogniu. Wyglądasz na przemarzniętą do szpiku kości i bardzo zmęczoną.

Kira, nie mówiąc ani słowa, z wdzięcznością zajęła wskazane miejsce.

Henri zawsze był taki uprzejmy. Nie spuszczała oczu z jego twarzy, gdy siadał naprzeciwko niej.

Oparł się i założył nogę na nogę:

- No, a teraz, moja droga, powiedz, o co chodzi. Collie i Rosie wyglądały jak konspiratorki.

Wydawały się czymś bardzo podekscytowane.

Kira doszła do wniosku, że musi jak najszybciej wyznać swoją tajemnicę Henri. Póki jeszcze nad sobą panowała. Zrobiła więc to od razu. Opowiedziała ze wszystkimi szczegółami o swoim romansie z Guy.

Potem wzięła głęboki oddech i dodała na zakończenie:

- No więc, widzisz, pojechałam do Strasburga, wymawiając się chorobą Anastazji, ponieważ wiedziałam, że jeśli wyjdę za ciebie, Guy opowie ci o naszym romansie. Nie chciałam cię zranić. Nie mogłabym tego znieść, Henri. Bałam się, że źle o mnie pomyślisz.

_ Wiedziałem już o tym wcześniej, IGro -oznajmił spokojnie Henri, uśmiechając się; - Guy powiedział mi o was cztery lata temu, kiedy wrócił z Indii i odkrył, że się zaprzyjaźniliśmy. Potem znowu wyjechał na rok.

Kira zaniemówiła na chwilę.

- Ale ... ale ... nigdy mi o tym nie mówiłeś - wydusiła w końcu.

- A po co? - spytał Henri, pochylając się i ujmując jej dłoń. - Guy oznajmił mi, że miał kiedyś z tobą przygodę. Uświadomiłem sobie, że nie ma to dla mnie znaczenia. Liczyłaś się tylko ty. Mężczyzna wie, kiedy kobieta naprawdę go kocha, Kiro. Nie miałem co do tego cienia wątpliwości. Pragnę jedynie twojej miłości. To wszystko, czego potrzebuję.

- Nie rozumiem Guy ... jesttaki ... okropny ... - głos Kiry załamał się.

- On nie może znieść, że inni ludzie są szczęśliwi - rzekł Henri.

- Stara się wszystko zepsuć. Zawsze był taki... zazdrosny, zawistny, gniewny i zgorzkniały, chociaż nie miał ku temu powodów. Dużo o nim myślałem w zeszłym tygodniu i doszedłem do wniosku, że biedny z niego człowiek - hrabia westchnął i smutno pokiwał głową. - Staraliśmy się go dobrze wychować, ale nie zdało się to na nic. Zawsze był zazdrosny o Collie oraz o mój związek z jego matką. To dlatego stale próbował ze mną rywalizować. Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Myślę, że masz rację, Henri - Kim przerwała i dodała cicho:

- Przepraszam, że cię skrzywdziłam. Proszę, wybacz mi.

- Tu nie ma nic do wybaczenia. Nigdy ile o tobie nie myślałem.

Kira długo przyglądała się Henri.

- Wiedziałam, że powinnam powiedzieć ci o Guy zaraz, jak cię poznałam. Nie zrobiłam tego i to był mój błąd. To tak jakbym skłamała ...

Henri de Montfleurie nie odpowiedział. Siedział nieruchomo, patrząc uważnie na Kirę Arnaud.

Widział w jej oczach tyle czułości. Przypomnił sobie, jak bardzo się niepokoił, gdy wyjechała na parę tygodni. Ona pewnie też musiała cierpieć katusze. Teraz nadszedł czas, by położyć temu kres. Bardzo kochał Kirę. Pragnął spędzić z nią resztę życia. Wstał i podszedł do niej.

Pochylił się i pocałował ją w usta, gdy uniosła głowę. - Wyjdiesz za mnie, Kiro?

Zostaniesz moją żoną?

- Och, tak, Henri, bardzo tego chcę.

Przez twarz Henri przebiegł uśmiech. Znowu pocałował Kirę i pomógł jej wstać.

- Chodźmy poszukać tych dwóch wspaniałych, choć wścibskich dam i wyjawić im nowinę.

Rosie i Collie siedziały w małym saloniku. Spojrzały ciekawie, gdy Henri i Kim weszli do środka. Po ich uśmiechach poznały, że wszystko jest w porządku.

- Dogadaliście się! - wykrzyknęła Rosie. - Widzę to po waszych minach.

- Zamierzacie wziąć ślub?! - zawtórowała jej Collie.

- Tak, dzięki Bogu! - odparł Henri, śmiejąc się. Pośepna mina, która ostatnio dodawała mu lat,

zniknęła bez śladu.

- Henri wiedział już o wszystkim - rzekła Kim, spoglądając to na Collie, to na Rosie. - Guy opowiedział mu o tym cztery lata temu.

Rosie i Collie wpatrywały się w nią oszołomione.

- A więc wszystkie te strachy były niepotrzebne - odparła gniewnie Collie. - Guy znowu napsuł nam sporo krwi.

- Cicho, kochanie - powiedział spokojnie Henri. - Nie zwracaj sobie głowy Guy. Nie jest tego wart. Mam dla was jeszcze jedną niespodziankę. Mały Aleksander to mój syn. Kiedy tylko pobierzemy się z Kirą, uznam go za swoje dziecko i dam nazwisko.

Collie podeszła do ojca i objęła go.

- Moja kochana córeczka - rzekł do niej. - Zawsze myślisz o mnie. Collie uśmiechnęła się.

- Ojcze, Rosie i ja wiedziałyśmy, że Aleksander to twój syn. Chociaż ma dopiero dwa lata, jest do ~iebie bardzo podobny. Od razu widać, że należy do rodu de Montfleurie.

24

Collie poczuła się zmęczona,

Nagle zrobiło jej się słabo. Odłożyła długopis na biurko. Przeciągnęła się, mając nadzieję, że wkrótce dojdzie do siebie.

Był piątkowy ranek. Do Wigilii zostało jeszcze tylko pięć dni. Collie wciąż miała tyle rzeczy do zrobienia. Święta Bożego Narodzenia znaczyły bowiem bardzo wiele dla mieszkańców Montfleurie.

Jak zwykle, Annie trzymała wszystko pod kontrolą. Przeganiała Collie, gdy ta próbowała w czymś pomóc. Collie mimo to starała się robić, co się da. Służba była nieliczna i ciągle zapracowana, a olbrzymi zamek trudny do utrzymania w porządku. Jednak w owej chwili Collie nie miała nawet siły, by zejść i zająć się dekoracjami. Tradycyjnie przygotowywała je co roku. Lubiła to robić. Tego dnia także miała ochotę zacząć przystrajać dom, lecz na przeszkodzie stanęło fatalne samopoczucie. Gaston i jego brat, Marcel, który też pracował w zamku, byli już na nogach od wielu godzin. Ustawiali w holu wielką choinkę, którą domownicy zamierzali udekorować w niedzielę. Robili stroiki, przygotowywali gałązki jemioly do wazonów i inne ozdoby, które miały stworzyć świąteczny nastrój.

Licząc, że poczuje się lepiej, Collie zdobyła się na ogromny wysiłek - wstała i podeszła do sofy stojącej naprzeciw kominka.

Nagle chwycił ją rozdzierający ból w plecach. Jęknęła głośno, chwyciła się oparcia sofy i zgięła w pół. Czekala, aż ból przejdzie. Wreszcie, gdy zelżał nieco, usiadła i oparła głowę o poduszki.

Oddychała ciężko. Nigdy dotąd nie doznała tak potwornego klucia. Przestraszyła się więc nie n,,: żarty.

Nagle ogarnęła ją panika. Czyżby to nowotwór? Nie, to chyba niemożliwe. W sierpniu lekarze w Paryżu zapewniali ją, że nie ma takiego niebezpieczeństwa, bo zahamowali rozwój choroby.

Wyleczyli raka macicy i wypuścili Collie ze szpitala, twierdząc, że jest zupełnie zdrowa. Czula się rzeczywiście o wiele lepiej niż przedtem. Ostatnio jednak znowu łatwo się męczyła. Była osłabiona, jakby uszła z niej cała energia. Straciła też tak dużo na wadze, że aż zaczęła się martwić. A teraz ten niespodziewany ból, który ją zaniepokoił. Co go spowodowało? Myśl o tym, że miałyby jeszcze raz przechodzić przez chemioterapię, przyprawiała ją o dreszcze.

Nie dałabym rady - stwierdziła zrozpaczona.

Ależ tak, poradziłabyś sobie, musiałybyś się na to zdecydować - szeptał jej jakiś cichy głos. -

Zrobiłabyś wszystko dla Lisette, twójego ukochanego dziecka. Ono cię potrzebuje. Nie ma przecież ojca.

Cudowna Lisette, mała, słodka dziewczynka.

Wzrok Collie spoczął na fotografii przedstawiającej jej pięcioletnią córeczkę. Była takim ślicznym dzieckiem, wesołym i ujmującym, o silnej osobowości. Annie zawsze twierdziła, że mała odznacza się mocnym charakterem. I pewnie się nie ~yliła.

Co stanie się z Lisette, kiedy mnie zabraknie? - zastanawiała się zaniepokojona Collie i natychmiast odpędziła od siebie te przerażające myśli. Nie zamierzała umierać. Chciała walczyć o życie ze względu na córkę.

Gdyby jednak coś złego stało się Collie, wciąż pozostawała jeszcze Kira, która wkrótce miała pobrać się z Henrl i wejść do rodziny. Świadomość tego sprawiała Collie wielką ulgę.

Dużo wysiłku kosztowało ją, by doprowadzić do pojednania Kiry i Henrl. Czula się teraz

szczęśliwa, że wszystko dobrze się skończyło, choć straciła na to mnóstwo sił.

Ale warto było - pomyślała Collie. - Mój ojciec jest nareszcie radosny, Kira cała w skowronkach, a mały Aleksander zostanie w końcu uznany przez swojego prawdziwego rodzica. Henrl zyska następnego męskiego spadkobiercę rodu, gdyby coś stało się z Guy.

Collie uświadomiła sobie, że była to kolejna sprawa, która w zeszłym tygodniu znalazła rozwiązanie. Nigdy nie chciała, by Lisette dziedziczyła zamek i ziemię oraz wszystkie związane z tym kłopoty.

Zaczęła rozmyślać o swoim bracie.

Wyrósł na tak ponurego człowieka. Od lat irytował ją i rozczarowywał. Starala się zachowywać wobec niego uprzejmie i nie tracić resztek sympatii. W końcu jednak dała spokój. Przestała wreszcie czuć do brata cokolwiek. W gruncie rzeczy, całkiem otwarcie, nie lubiła go. Miała nadzieję, że Guy nie zepsuje wszystkim świąt, chociaż z nim nigdy nic nie wiadomo. Zachowywał się nieobliczalnie. Był gruboskórny i bardzo głupi.

Piękny i głupi - mruknęła Collie pod nosem. Często zdarza się tak, że urodziwi ludzie nie grzeszą mądrością.

Guy był niegdyś ładnym dzieckiem i wyrósł na wyjątkowo przystojnego mężczyznę. Kobiety szalały za Guy i psuły go. Rozpieszczała go także rodzina, pozwalając mu na wszystko.

To my jesteśmy winni - pomyślała Collie. - My przyłożyliśmy rękę do tego, że Guy stał się potworem.

Collie miała nadzieję, choć wiedziała, że nie powinna tak myśleć, iż Guy nie wróci już więcej do Montfleurie.

Było jej szkoda Rosie, która wyszła za Guy i została przez niego zraniona tak boleśnie. Z drugiej strony, gdyby Rosie nie poślubiła go, nie stałaby się członkiem rodziny.

Jestem taka samolubna - stwierdziła Collie - myślę tylko o sobie i o ojcu, a nie o Rosie. Dzięki Bogu, że istnieje ktoś taki jak Rosalinda Madigan. Dała nam tyle miłości. Poświęca się dla nas i wspomaga nas. Na całym świecie nie ma nikogo takiego jak ona. Rosie to anioł. Spędza w Montfleurie większość czasu, kiedy tylko nie pracuje przy jakimś filmie - pomyślała Collie. - Na pewno zaopiekuje się Lisette, gdyby coś się ze mną stało.

Nie umrę.

Nie wolno mi umrzeć.

Z pewnością wyzdrowieję.

Ponownie oparła głowę na poduszce, zamknęła oczy i pograżyła się w rozmyślaniach. Postanowiła po świętach pojechać do paryskich lekarzy, którzy leczyli ją zeszłego lata. Oni będą wiedzieli, co robić. Pomogą jej. Wyleczą, gdyby się okazało, że są przerzuty.

W końcu poczuła, że odzyskała nieco sił. Wstała i podeszła do małego stolika, gdzie stała fotografia Claude' a, oprawiona w srebrną ramkę. Wzięła ją i usiadła z powrotem na sofie. Długo patrzyła z miłością na twarz zmarłego męża. Wiedziała, że na zawsze zatrzyma go w swym sercu. Zginął dwa lata temu, mając zaledwie trzydzieści wiosen - dokładnie tyle, ile Collie miała teraz. To był bezsensowny wypadek. Wydarzył się, kiedy Claude jechał z Paryża do Montfleurie. Claude nie zawinił i jako jedyny poniósł śmierć. Zginął w najlepszym okresie swojego życia. Jak na ironię, za życia pracował jako korespondent wojenny dla *Paris Match*. Wysyłano go w niebezpieczne rejony świata, lecz nigdy włos mu nie spadł z głowy.

Collie wciąż patrzyła na jego zdjęcie i serce ścisnęło jej się z żalu. Och, Claude, Claude, tak bardzo za tobą tęsknię. Nie mogę bez ciebie wytrzymać. Byłeś całym moim życiem i bez ciebie nie ma ono sensu.

Łzy napłynęły jej do oczu, tak że nie mogła ich powstrzymać. Płacz czasami sprawiał jej ulgę.

Claude to jedyny mężczyzna, którego kiedykolwiek kochała. Był całym jej życiem. Próbowwała przestać rozpaczać i radzić sobie jakoś bez niego, ale uświadomiła sobie, że nie potrafi. Claude wciąż ją nawiedzał w snach, a ona bynajmniej nie chciała o nim zapomnieć.

Wszyscy zapewniali ją, że z czasem przyjdzie do siebie, ale jej nastrój wcale się nie zmieniał.

Wiedziała, że nawet gdyby dożyła dziewięćdziesiątki, tęsknota za mężem nie osłabłaby ani na chwilę.

Jednak nie pisane było jej patrzeć na świat tak długo - pomyślała.

- Nie poznam starości.

Collie słyszała, że wielu ludzi wyleczyło się z raka i wiodło jeszcze potem długie i twórcze życie.

Ostatnio jednak z przerażeniem uzmysłowiła sobie, że jej żywot zbliża się do kresu. Nie rozumiała, skąd ta myśl przyszła jej do głowy. O dziwo, czuła, że jest w stanie to zaakceptować. Dotąd

bowiem odganiała ją od siebie, zaprzeczała jej, jednak świadomość tego, że niedługo umrze, zawsze powracała.

Nieoczekiwanie Collie ogarnął głęboki spokój. Odprężyła się i rozkoszowała dziwną błogością. Czuła się tak, jakby ktoś głaskał ją po włosach i pocieszał, przekazując bezgraniczną miłość. Chciała, by trwało to wiecznie. Zamknęła powieki. Była taka spokojna.

W pewnej chwili przypomniała sobie powiedzenie, że dobrzy ludzie umierają młodo. Jej matka zmarła na raka także w kwiecie wieku. Claude miał zaledwie trzydziestkę, gdy zginął tragicznie w płonącym samochodzie.

Jeśli moim przeznaczeniem jest opuścić ten świat wcześniej, nie dożywając starości - pomyślała Collie - to niech tak będzie. Zaakceptuję swój los, ponieważ zdaję sobie doskonale sprawę, że nie mogę niczego zmienić. Znajduję się w rękach Boga. To on stworzył wszystko ... Każdy z nas przychodzi bowiem na świat z jakiegoś powodu i VI jakimś celu. Gdy już wypełni zadanie, które dostał od Boga, wtedy Stwórca wzywa go do

siebie. Cokolwiek więc stanie się ze mną, z nami wszystkimi, będzie to wolą bożą ...

- Mamusiu, zejdiesz do nas, żeby zobaczyć choinkę?

Collie pospiesznie wytarła dłonią mokre policzki i spróbowała przybrać pogodny wyraz twarzy, gdy Lisette wbiegła do pokoju. Na widok córki uśmiechnęła się serdecznie.

Lisette wyglądała uroczo w zimowym kombinezonie, który Rosie przywiozła jej kiedyś z Nowego Jorku. Miał jaskrawożółty kolor i czerwone obszycia. Dziewczynka wyglądała w nim jak z obrazka.

- Mój kochany żółty ptaszku - rzekła Collie słodkim głosem i rozpromieniła się jeszcze bardziej.

- Gaston postawił choinkę! Jest taka wielka, mamó! Największa na całym świecie. Tak powiedział Gaston - Lisette zauważyła fotografię Claude' a leżącą na sofie obok Collie i podniosła ją. - Dlaczego zdjęcie taty jest tutaj?

- Lubię patrzeć na nie, kiedy do niego mówię.

- Czy on ci odpowiada, mamó? - spytała Lisette, opierając się o kolana matki i spoglądając jej w twarz.

- Tak, kochanie.

- Ale taty tu nie ma. Jest aniołem w niebie.

. - To prawda, Lisette, lecz on naprawdę rozmawia ze mną... słyszę go ... w głębi serca.

- Przecież niebo znajduje się bardzo daleko. Jak możesz słyszeć tatusia, kiedy jest tak wysoko? -

Lisette zerknęła na sufit, po czym spojrzała na matkę pytająco. Wielkie, czarne oczy błyszczały w jej drobnej twarzyczce.

- Tak działa miłość, córeczko. Jeśli tatuś kocha ciebie i mnie, wtedy mogę słyszeć jego głos w swoim sercu. Obie kochamy tatusia, tak więc ja mogę go słyszeć, a on mnie.

- Aha - Lisette przekrzywiła głowę na bok i ściągnęła lekko brwi.

- Miłość jest najpotężniejszą siłą na świecie. Zawsze o tym pamiętaj, kochanie. Miłość może przenosić góry.

Pięciolatka kiwnęła głową i powiedziała:

- Wcale nie chciałam, żeby tatuś poszedł do nieba. Dlaczego musiał nas zostawić?

- Ponieważ taka była wola boża - odparła cicho Collie. Dziecko zamyśliło się, próbując zrozumieć słowa matki.

- Czy to też była wola Boga, kiedy kotek Annie został kocim aniołkiem?

- Pewnie tak.

- Nie lubię tego Boga! - oznajmiła nagle Lisette przenikliwym głosem, a w jej oczach pojawiła się złość.

- Mnie też się nie podoba, że Bóg zabrał nam tatusia - rzekła Collie i delikatnie dotknęła policzka córki. - Ale tak już się na tym świecie dzieje, kochanie.

Na moment zapadła cisza, a potem Lisette w zwykły dla dzieci sposób przeskoczyła na inny temat. - Razem z Yvonne będę druzną na weselu Kiry i dziadziusia. Ciocia Rosie uszyje nam czerwone, aksamitne sukienki.

- Naprawdę?

- Tak, mamó. I będziemy mieć też czerwone kapelusze ozdobione wisienkami. Ciocia Rosie powiedziała mi o tym teraz, kiedy przycinałyśmy jemiołę w kuchni. Sama je uszyje. A co ty włożysz na wesele dziadka? Też czerwoną sukienkę?

- Jeszcze nie wiem -.: Collie odgarnęła kosmyk włosów z twarzy córki. - Chodź, zejdziemy do

Rosie.

- Dobrze, ale ty z nią porozmawiasz. Ja muszę pomóc Marcelowi i Gastonowi.
- Zgoda. Zrob mi przysługę, kochanie, i postaw fotografię tatusia z powrotem na stole.
- Tak, *maman* - odparła dziewczynka i ujęła delikatnie obrazek w obie ręce.

Gdy Collie próbowała wstać, znowu poczuła ból i z wykrzywioną twarzą opadła na sofę. Lisette odwróciła się właśnie w tym momencie i spojrzała na matkę.

Widząc jej udękę, zaniepokojona podbiegła bliżej.

- Mamusiu! Mamusiu! Co ci jest? Czy coś cię boli?
- Nic takiego, kochanie. Coś mnie tylko zakłuło w krzyżu - Collie zmusiła się do uśmiechu. - Pewnie już się starzeję ... może to reumatyzm.

Lisette przytuliła się do matki.

- Nie chcę, żeby cię coś bolało, nie chcę ... mamusiu! - krzyknęła płacząco.
 - Ból zaraz przejdzie, kochanie. Muszę tylko parę minut przeczekać - rzekła Collie.
- Objęła córkę i zaczęła ją kołysać. W duchu modliła się: "Boże, błagam, nie zabieraj mnie od niej. Pozwól mi jeszcze trochę z nią pozostać".

Rosie stała na drabinie w salonie. Od dziesięciu minut próbowała zawiesić ozdobne gałązki na lustrze wiszącym nad kominkiem.

Wcześniej splotła je razem i związała drucikiem, a teraz usiłowała je jakoś ładnie rozmieścić.

Wyszło trochę krzywo. Gdy przechyliła nieco głowę, by lepiej przyjrzeć się swojemu dziełu, zadzwonił telefon. Sygnał rozbrzmiewał raz po raz. Nikt nie pofatygował się, by podnieść słuchawkę, Rosie więc, mrużąc pod nosem, zeszła z drabiny i podbiegła do aparatu.

- Zamek de Montfleurie ... słucham - powiedziała łapiąc oddech. Przez parę sekund panowała cisza, a potem odezwał się jakiś męski głos: - Czy można prosić panią Rosalindę Madigan?
- To ona - powiedział inny głos, którego Rosie nie rozpoznała.
- Rosie? Cześć! To ja, Johnny. Johnny Fortune.
- Wielkie nieba! Johnny! Jak się masz? - krzyknęła oszołomiona.
- Wspaniale. A ty?
- Też dobrze. Właśnie przygotowuję się do świąt. Skąd dzwonisz? Słysząc cię tak, jakbyś był na innej planecie.

- Bo prawie jestem ... zawitałem do Vegas.

- To u ciebie pewnie środek nocy ...

- Zgadza się, moja droga. Minęła trzecia nad ranem. Właśnie skończyłem swój nocny występ.

Pomyślałem, że zadzwonię do ciebie, zanim pójdę do łóżka. Chciałem ci życzyć wesołych świąt i powiedzieć, że wybieram się do Francji. W styczniu. Może moglibyśmy się spotkać? Zjeść razem kolację? Co o tym myślisz?

Rosie zawahała się, choć czuła, że powinna odpowiedzieć od razu. Przecież zamierzała rozwieść się z Guy, nie stanowił on więc żadnej przeszkody.

- Chętnie, Johnny - odparła w końcu. - Z przyjemnością zobaczę się z tobą.
- Wspaniale! Po prostu cudownie! Przyjadę do Paryża. Będziesz tam? A może wolisz, żeby odwiedzić cię w Montfleu ... ?
- Spotkamy się w Paryżu.
- Czy możesz podać mi swój paryski numer telefonu?
- Oczywiście. A właściwie, jak mnie znalazłeś?

- To nie było takie łatwe - zaśmiał się. - Wczoraj Nell powiedziała mi, że jesteś w Londynie, i podała telefon studia. Rozmawiałem tam z pewną miłą panią, Aida Young, która stwierdziła, że nie ma cię ani w Londynie, ani w Paryżu. Kiedy bardzo nalegałem, wyjawiała w końcu, że mogłaś pojechać do Montfleurie, ale nie wiedziała, jak się z tobą skontaktować. Prawdę mówiąc, miałem wrażenie, jakby ta Aida i Nell ukrywały coś przede mną. Zadzwoniłem do Francis Raeymaekersa, do jego sklepu w Londynie. Pamiętasz? Opowiadałem ci o tym facecie, kupuję od niego antyczne srebra. Spytałem go, czy słyszał kiedykolwiek o Montfleurie i czy wie, co to takiego. Hotel? Miasto? Wyjaśnił mi, że to jeden z wielkich zamków nad Loarą. Zdobył więc dla mnie numer telefonu i wreszcie się do ciebie dodzwoniłem.

- Przykro mi, że miałeś tak dużo kłopotów. Naprawdę.
- Dlaczego Aida Young i Nell tak broniły kontaktu z tobą, Rosie?
- Może nie było tak, jak myślisz.
- Jesteś mężatką czy co? - spytał Johnny, a jego głos stał się nagle ostry.

Rosie wzięła głęboki oddech.

- Byłam. Żyję w separacji i właśnie się rozwodzę.
- Rozumiem. Proszę, podaj mi swój paryski numer.

Rosie zrobiła, o co prosił, i powiedziała:

- Kiedy dokładnie będziesz w Paryżu?
- Jeszcze nie wiem. Mam nadzieję, że w połowie stycznia. Dam ci znać. A na razie, wesołych świąt. Tak się cieszę, że cię odnalazłem.
- Wesołych świąt. Dzięki za telefon, Johnny.

Rosie odłożyła słuchawkę i stała jeszcze przez chwilę zamyślona. W drzwiach pojawiła się nagle Collie i powiedziała:

- Nie podsłuchiwałam, Rosie, ale usłyszałam przypadkowo fragment twojej rozmowy. Czy naprawdę zamierzasz rozwieść się z Guy?
- Rosie odwróciła się i przez długi moment patrzyła na Collie. Potem wolno pokiwała głową.
- Rozmawiałam o tym z twoim ojcem w dniu przyjazdu. To on podjął ten temat. Doszłam do wniosku, że to, co powiedział, ma ręce i nogi.
- I dzięki Bogu! - Collie zrobiła parę kroków i objęła Rosie.
- Nadszedł czas, żebyś odzyskała wolność. Cieszę się, że zamierzasz uczynić pierwszy krok. Zwlekałaś z tym już zbyt długo.

- Jak myślisz, czy Guy przyjedzie na święta? - spytała Rosie z obawą.

Collie gwałtownie pokręciła głową.

- Wątpię. Nie sądzę, żeby był taki głupi. Wie, że nie jest tu mile widziany.
- Mam nadzieję, że się nie mylisz - rzekła Rosie.
- Nie przyjedzie - zapewniła Collie stanowczo.
- Pewnie będę musiała porozmawiać z Guy, powiedzieć mu że chcę się rozwieść - Rosie podeszła do drabiny.
- Czy ja wiem? Według mnie mój brat nie zasłużył na żadne względy z twojej strony. Nie traktował cię, jak należy.

- To prawda. W takim razie nie powiadomię go, tylko zacznę starania o rozwód.

- Czy Johnny, który do ciebie telefonował, to ten sławny piosenkarz?

- Tak. Wybiera się po Nowym Roku do Paryża. Chciał zaprosić mnie na kolację.

- To wspaniale, Rosie, moja kochana. *Toujours l'amour ... toujours l'amour.*

Rosie zerknęła na szwagierkę i zarumieniła się. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, gdy naraz do pokoju weszła Annie.

- Madame de Montfleury, przyszła paczka do pani. Z Kalifornii.

- Dziękuję, Annie - odparła Rosie i wzięła od niej pakunek.

Annie odwróciła się, żeby wyjść. Zatrzymała się jednak po chwili i przyjrzała się Collie.

- Tak blade pani wygląda. Dominique zrobiła doskonałą zupę na obiad ... - mówiąc te słowa, Annie wyszła.

Rosie otworzyła paczkę i wykrzyknęła:

- To od Gavina z Los Angeles! Och, cudownie ... scenariusz do *Napoleona i Józefiny!* I coś jeszcze ... - Rosie odłożyła gruby zeszyt na stół i zaczęła rozpakowywać pudełko zawinięte w niebieski papier i przewiązane złotą wstążeczką. Do pudełka dołączona była mała koperta. Rosie wyciągnęła z niej kartkę i zaczęła głośno czytać: "Dziękuję ci, Rosie, za wszystkie przepiękne kostiumy i za twoją przyjaźń. Wesołych świąt. Pozdrowienia. Gavin".

- To miło z jego strony - rzekła Collie. - Zobacz, co to za prezent, Rosie.

- Może powinnam poczekać, położyć pod choinką i otworzyć na Wigilię?

- Nie bądź niemądra. Umieram z ciekawości, co też Gavin ci przysłał. Przekonajmy się od razu.

Rosie zdarła papier i ujrzała granatowe tekturowe pudełko z inicjałami HW w dolnym prawym rogu. W środku znajdowała się kasetka z takimi samymi złotymi literami.

- HW to Harry Winston - powiedziała Rosie zaskoczona i uniosła wieko. Zajrzała do środka i wykrzyknęła: - Och, Collie, spójrz! To najpiękniejsze perły, jakie kiedykolwiek widziałam - wyciągnęła je i pokazała Collie, której aż oczy wyszły na wierzch z wrażenia.

- Prawdziwe! - zawołała szwagierka. - Muszą być prawdziwe, skoro są od Harry'ego Winstona.

Rosie przytaknęła.

- Gavin zawsze daje mi jakieś prezenty, kiedy kończymy film, ale nigdy nie dostałam od niego czegoś takiego. Zobacz, jak pięknie wyglądają w świetle dziennym - podeszła do okna, po czym podała sznur pereł Collie. - Bajeczne - wyznała Collie z podziwem. - Na pewno też bardzo

drogie.

- Tak. Muszę zadzwonić później do Gavina i mu podziękować. W Los Angeles jest teraz środek nocy. Poczekam do wieczora.

- Przypomniało mi się coś - Collie oddała Rosie perły. - Jeśli masz wolną chwilę, proszę, powiedz, co mam włożyć na wesele ojca. Lisette oznajmiła mi, że ona i Yvonne ubiorą się w czerwone aksamitne sukienki. Mam nadzieję, że ja nie.

Rosie roześmiała się.

- Oczywiście, że nie. Tylko druhny będą miały jednakowe sukienki. Rozmawiałam wczoraj o tym z Kirą. My obie możemy włożyć coś ze swojej garderoby. Prawdę mówiąc, nie dałabym rady uszyć tyłu nowych rzeczy naraz.

- Yvonne mogłaby ci pomóc.

- Już mi to proponowała. Myślę, że może spróbować uszyć kapelusze. Zamówiłam materiały u "Madame Solange" w Paryżu. Ma mi je przesłać przez kuriera. Powinny nadejść jutro. Od razu zabiorę się do pracy.

- Będziesz miała pełne ręce roboty - stwierdziła Collie, siadając na sofie. Patrzyła, jak Rosie wchodzi z powrotem na drabinę. - Do wesela zostało już tylko dziesięć dni.

- Wiem - Rosie wyprostowała przekrzywione gałązki i rzekła przez ramię: - Skończę szyć te sukienki, nawet gdybym miała siedzieć po nocach.

- Och, Rosie. Nie ma nikogo podobnego do ciebie. Jesteś cudowna!

25

Niebo nad Paryżem było szare i ponure. Ciele pokryte chmurami. Zdawało się, że lada chwila lunie deszcz.

Gavin Ambrose stał przyoknie w swoim apartamencie w hotelu "Ritz" i z markotną miną spoglądał na zewnątrz. Tego niedzielnego poranka pogoda nie nastrojała optymistycznie.

W poniedziałek Gavin wybierał się concordem do Nowego Jorku. Miał przed sobą wolny cały dzień i wieczór. Nie bardzo wiedział, co począć z tyloma wolnymi godzinami, jak je zapełnić.

Na nieszczęście Rosie wyjechała na święta nad Loarę. Oprócz niej jedynymi ludźmi, jakich Gavin znał w Paryżu, była para pracowników studia "Billancourt". Widział się z nimi w piątek i sobotę. Teraz więc nie miał pojęcia, co ze sobą robić.

Perspektywa spędzenia dnia samotnie przynębiała Gavina. Nie zdarzało mu się to często. Mimo że lubił przebywać sam, nigdy wcześniej nie narzekał na brak towarzystwa. Jednak ostatnio samotność przerażała go. Gdy był sam, miał czas na myślenie, a od paru miesięcy coś go gnębiło.

Jego życie pogrążyło się w chaosie - małżeństwo rozpadło się.

Zadowolenie dawała mu jedynie praca. Uwielbiał swoje zajęcie. Nadawało ono sens jego istnieniu.

Robił jeden film za drugim. W ten sposób nie musiał rozpamiętywać bez końca swoich kłopotów.

Zaczął uświadamiać sobie, jak żałosne, bo pozbawione uczuć, stało się jego małżeństwo. Nie czuł do żony nawet nienawiści, a jedynie obojętność. Nic już nie wiązało go z Louise. Przestali zachowywać nawet pozory, że coś ich łączy. Gavin zastanawiał się nawet, czy kiedykolwiek coś do siebie czuli.

Louise dbała jedynie o siebie i swoje potrzeby. Była zapatrzoną w siebie małą egoistką o niskiej inteligencji. Zupełnie nie rozumiała Gavina ani jego pracy. Właściwie nie interesowała się nikim oprócz siebie.

Sława nie znaczyła dla Gavina wiele. Traktował ją jako logiczne następstwo swojej pracy, lecz Louise popularność męża uderzyła do głowy, chociaż nie interesowała się już nim jako mężczyzną. Pociągali ją inni. Gavin miał to gdzieś. W pewnym sensie sam był winien takiej sytuacji, ponieważ nie palił się do Louise.

Tysiące razy pytał samego siebie, dlaczego się z nią ożenił. Wiedział, że to głupie pytanie.

Odpowiedź bowiem znał aż nazbyt dobrze. Poślubił Louise, ponieważ była w ciąży. Jej ciąża zamieniła się w koszmar, który przerodził się w straszną, rozdzierającą serce tragedię.

Dlatego Gavin pozostał z Louise. Chciał pomóc jej znieść ból fizyczny i psychiczny. Szczerze pragnął podtrzymać ją na duchu. Uświadomił sobie też, że kiedy się nią opiekował, sam miał się lepiej.

Jednak niespodziewanie Louise ponownie zaszła w ciążę. Kiedy urodził się David, Gavin pokochał ją całym sercem. Postanowił trwać w tym nieudanym małżeństwie ze względu na syna. Od tamtego czasu minęło prawie osiem lat.

Louise zaczęła go zdradzać, gdy David jeszcze raczkował. Gavin nigdy nie usiłował jej

powstrzymać. Coraz mniej go obchodziło, co robiła jego żona. W każdym razie od tamtego czasu przestali ze sobą sypiać.

Zastanawiał się, co stałoby się z Davidem, gdyby małżeństwo z Louise rozpadło się, to znaczy gdyby wzięli rozwód. Czy chłopiec padłby ofiarą przetargów między rodzicami? Gavin szybko odegnał od siebie tę ponurą wizję. Nie mógł jej po prostu znieść. W każdym razie nie teraz, nie dzisiaj. Może nigdy.

Doczekasz się - powiedział sam do siebie.

Z pewnością, gdyby czekał wystarczająco długo, Louise byłaby zmuszona wystąpić o rozwód. Może szykowała się już do tego. Gavin doskonale wiedział, jak bardzo zaangażowała się w związek z senatorem z Waszyngtonu. Bogatym wdowcem. Allan Turner był doskonałą partią dla Louise.

Tak. Gavin zdawał sobie sprawę, że powinien jeszcze trochę poczekać, a potem będzie mógł dyktować warunki. Nie miał zamiaru zabrać dziecka matce. To wydawało się nierozsądne. Chciał widywać Davida i mieć nań pewien wpływ.

Zaklął cicho pod nosem, odwrócił się od okna i wszedł do sypialni. Zerknął na zegarek. Dochodziła jedenasta.

Gavin czuł potrzebę, by wyjść i zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Chciał pospacerować i odgonić od siebie przykre myśli. Istniał jednak pewien problem. Był sławny i ludzie rozpoznawali go na ulicy.

Włożył szalik, kapelusz, kaszmirowy płaszcz i ciemne okulary. Obejrzał się w lustrze. Uśmiechnął się.

Idealny kamuflaż - pomyślał.

Przypuszczał, że uda mu się niepostrzeżenie przejść przez korytarz i dostać się na plac Vendome. Gavin nie znał zbyt dobrze Paryża. Zawsze jedllak zatrzymywał się w "Ritzu" i okolice wydawały mu się znajome. Gdy znalazł się na dworze, ruszył w kierunku placu Concorde. Szedł zważym krokiem i powoli zły nastrój zaczął go opuszczać.

Po pewnym czasie jego myśli skupiły się wokół filmu o Napoleonie.

Spoglądał na Paryż oczami reżysera. Próbował także wczuć się w cesarza, który dołożył wielu starań, by zmienić architekturę stolicy i nadać miastu taki wygląd, jaki miało dzisiaj.

Po przeczytaniu wielu historycznych książek Gavin wiedział, że Napoleon pragnął wspierać :finansowo budownictwo i rzeźbiarstwo. Zamierzał postawić cztery łuki triumfalne, aby w ten sposób upamiętnić bitwy pod Marengo i Austerlitz oraz zawarcie pokoju i przywrócenie swobód religijnych.

W końcu wznosił tylko dwa. Mniejszy upamiętniał zwycięstwo pod Austerlitz, a większy Wielką Armie, którą Napoleon miał zaszczyt dowodzić, jak sam się wyraził.

Stojąc teraz na Polach Elizejskich, Gavin spoglądał na elegancką alejkę i widniejący w oddali łuk wzniesiony w czasach Napoleona i poświęcony jego ukochanemu wojsku. Łuk Triumfalny wyglądał tak, jak pragnął tego cesarz. Napoleon polecił, by "monument upamiętniający Wielką Armie był wielki, prosty, majestatyczny i nie kojarzył się ze starożytnością".

Architekt Chalgrin zastosował się dokładnie do wskazówek wodza.

Gavin przekonał się o tym na własne oczy, gdy spacerował po Polach Elizejskich, zwrócony twarzą w kierunku budowli. Czasem zerkał też przelotnie na Święteczne dekoracje zdobiące ulicę.

Nakręcenie filmu o Napoleonie było spełnieniem dziecięcych marzeń Gavina. Jako nastolatek zachwycił się wielkimi bohaterami, a zwłaszcza słynnym wodzem Francuzów.

Gdy dorastał w Nowy Jorku, czytał wiele książek historycznych. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej o ludziach, którzy dokonali niezrównanych czynów i zostawili po sobie niezatarty ślad. Było to pasją Gavina. Zastanawiał się, co sprawiało, że ludzie ci stali się wielcy? Czym różnili się od innych? Jakie było ich życie uczuciowe? Dlaczego kochali akurat te, a nie inne kobiety? Czym kierowali się przy wyborze przyjaciół? Jaka siła wewnętrzna napędzała ich i wiodła na szczyty? Na czym polegała tajemnica ich wielkości? Mówiąc krótko, co wyносиło ich ponad siebie współczesnych?

Odkrył, ku swemu zdumieniu, że ludzie wielcy za życia - ci, którzy na zawsze zapisali się na kartach historii - byli bardzo bezpośredni i bynajmniej nie pozbawieni wad.

Dotyczyło to historycznych postaci, które Gavin uważał za bohaterów, a nie piłkarzy, koszykarzy czy gwiazd muzyki rockowej, za którymi ludzie szaleli obecnie. Oczywiście, Gavin cenił także wielce paru aktorów, a zwłaszcza Paula Newmana i Spencera Tracy.

Tracy w filmie *Czarny Dzień w Black Rock* zagrał wprost doskonale, podobnie jak Newman w *Fort*

Apache w Bronxie. Drugi z tych filmów został zrealizowany w 1981 roku. Gavin oglądał go cztery razy. Była to opowieść o życiu w Bronxie i grupie policjantów, która tam właśnie pracowała. Gra aktorów wywarła ogromne wrażenie na Gavinie.

Bronx wywoływał wspomnienia. Gavin spędził tam dzieciństwo.

Dorastał w Belmoncie, rejonie nieco spokojniejszym od południowego Bronxu, gdzie toczyła się akcja filmu.

Młodsze lata miały tak niewiele wspólnego z życiem, jakie Gavin wiódł teraz jako wielki gwiazdor.

Czasami zastanawiał się, jak to się wszystko stało.

Kiedyś był nikomu nie znanym aktorem. Cieszył się, gdy udało mu się znaleźć jakąkolwiek pracę, gdzieś na Broadwayu czy w telewizji. Naraz, w wieku dwudziestu pięciu lat; stał się gwiazdą sceny. Uznano go za największy talent od czasów gdy Brando zagrał rolę Stanleya Kowalskiego w *Tramwaju zwanym pożądaniem* w 1947 roku. Gavin niezbyt wierzył komplementom, jakimi zaczęły zasypywać go krytycy. Jednak wszyscy zgodnie go chwalili. Zastanawiał się, czy naprawdę zasłużył na tak wielkie uznanie.

Zdarzyło się to w 1983 roku, który obfitował w różne wydarzenia.

Wtedy właśnie urodził się jego syn, a Gaviniowi zaproponowano pracę w Hollywood. Przez następne parę lat przemierzał się co chwila z jednego wybrzeża na drugie, aż w końcu osiadł w Los Angeles. W palnięCI wszystkich zapisał się jednak jako wywodzący się ze Wschodniego Wybrzeża aktor, który został przypadkowo odkryty, podobnie jak Al Pacino, Robert de Niro, Dustin Hoffman i Armand Assante. Znajdował się więc w całkiem niezłym towarzystwie. Wszyscy ci aktorzy stali się sławni. Najbardziej z nich podziwiał Al Pacino, błyskotliwego, porywającego artystę najwyższej klasy.

Dziwne, lecz Gavin Ambrose nigdy nie spodziewał się, że zrobi karierę tak szybko. Został wyniesiony na szczyt tak nagle i niespodziewanie, że na początku poczuł się tym oszołomiony.

Miał wrażenie, jakby został wystrzelony z katapulty i leciał coraz wyżej i wyżej ku niebu. Na razie Gaviniowi udawało się jakoś trzymać na fali. Nie . spadł z hukiem, przynajmniej do tej pory. Gdy o tym myślał, gorzki uśmiech wykrzywił mu twarz. Gavin w pewnym sensie uważał sukces za coś ulotnego. Każdy aktor jest tak dobry, jak ostatni film, w którym gra. Szczęśliwa gwiazda w każdej chwili mogła zgasnąć.

Gavin cieszył się ze swoich sukcesów. Lubił pracę i poświęcał się jej z pasją. Doceniał też podziw i uznanie, jakimi go obdarzano. żałował jedynie, że matka i dziadek nie żyli wystarczająco długo, by wspólnie radować się jego powodzeniem. Oboje zmarli, nim Gavin skończył osiemnaście lat. Nie doczekali się więc jego występu w *Tramwaju zwanym pożądaniem*.

Tony Ambrosini, ojciec Gavina, zmarł na atak serca, gdy jego syn miał zaledwie dziewięć lat.

Matka, Adelia, przeprowadziła się potem z dzieckiem do rodziców męża. Sama nie mogła sobie poradzić, brakowało jej bowiem pieniędzy.

Starsi państwo Ambrosini przyjęli ich serdecznie. Jednak babką Gavina, Graziella, odeszła z tego świata siedem miesięcy po śmierci Tony'ego. Dziadek i Adelia pocieszali się nawzajem w smutku i wspomagali psychicznie i finansowo. Gavin stał się sensem ich życia. Skupili na nim całą swą uwagę.

Matka pracowała w sklepie, w stoisku z biżuterią, a dziadek był stolarzem artystycznym. Łączyli swoje dochody i wspólnie wychowywali Gavina i opiekowali się nim. Nie byli bogaci, ale jakoś sobie radzili. Gavin z sentymentem wspominał swoje dzieciństwo.

Matka i dziadek darzyli go wielką miłością. Często go chwalili i nie pozwalali upadać na duchu. Dom, w którym mieszkał, może nie był luksusowy, lecz z pewnością całkiem wygodny. Dziadek Giovanni rozpieszczał wnuka, jak tylko mógł. W każdą sobotę zabierał go na zakupy do ogromnego sklepu z włoską żywnością, znajdującego się przy Arthur Avenue w Bronxie. Tutaj Giovanni nabywał swe ulubione smakołyki sprowadzone z dalekiej ojczyzny, którymi częstował wnuka i Adelie.

Z kolei matka dwa razy w tygodniu zabierała syna do kina. To właśnie z oglądanych wtedy filmów Gavin czerpał swoją wiedzę o aktorstwie. Bacznie przyglądał się postaciom występującym na ekranie. Później stał się zagorzałym wielbicielem Lee Strasberga. Uczył się u niego aż do śmierci aktora w lutym 1982 roku. Jednak tak naprawdę to właśnie filmy widziane w dzieciństwie wzbudziły w Gavinie pragnienie poświęcenia się aktorstwu.

Matka była jego powiernicą, nauczycielką i krytykiem zarazem. Rozbudzała ambicję i zawsze powtarzała mu, że jest wystarczająco przystojny, by grać w filmach. Jednak Gavin nigdy jej do

końca nie wierzył. Uważał wtedy, że jest zbyt niski jak na aktora. Matka śmiała się z jego obaw. Zapewniała go, że Gavin jeszcze urośnie. Miała rację, chociaż nie urosł tak bardzo, jak chciał. Wkrótce po śmierci matki i dziadka Gavin spotkał Kevina, Rosie i Nell, a także Mikeya i Sunny. Stworzyli zgraną paczkę. Przyrzekli sobie, że będą dla siebie jak rodzina - bez względu na to, co się stanie.

Gavin zamieszkał z krewną swojego ojca i jej mężem, którzy za niewielką opłatą wynajęli mu mały pokój. Zaczął pracować w weekendy w supermarkecie, by móc im płacić. Wyprowadził się jednak stamtąd tak szybko, jak tylko mógł, i wynajął pokój w małej kamienicy w Greenwich Village. Chwytał się różnych dziwnych zajęć. Pracował nawet jako kelner w kafejce. Wciąż rozglądał się za pracą w miejscowych teatrach. Przyjmował wszystkie propozycje - grywał epizodyczne role. Matka i dziadek nie pozostawili go całkowicie bez środków do życia. Założyli mu w banku konto, lecz Gavin wołał na razie nie ruszać tych pieniędzy. Chciał przeznaczyć je na lekcje w studiwn aktorskim, które prowadził jego idol, Lee Strasberg.

Grupa przyjaciół stanowiła dla Gavina oparcie w tamtych trudnych dniach. Przyjacieli wiele dla niego znaczyła. W pierwszym roku znajomości Gavin nadał bliskim przydomki. Rosie nazwał Aniołem, ponieważ była anielsko dobra i godna podziwu. Nell ochrzcił Małą Nell, ponieważ tak nazywała się jedna z jego ulubionych postaci z powieści Karola Dickensa. Kevina, który zamierzał zostać policjantem, przezwiał Szpiclem. Na Mikeya wołali Profesor, z powodu jego zamiłowania do nauki. Sunny zaś dostała przydomek Złota Dziewczyna. Bił od niej blask, promieniowała wręcz radością. Niestety teraz wszystko się zmieniło - pomyślał smutno Gavin. Rosie też postanowiła nadać przydomki. Bez naradzania się z pozostałymi pewnego dnia oznajmiła, że będą od teraz wołać na niego Aktor. - Gavinie, jesteś jak kameleon - powiedziała wtedy. - Możesz udawać, kogo chcesz. Jesteś urodzonym aktorem.

Od samego początku coś przyciągało Gavina do Rosie. Od pierwszego wieczora, gdy poznał ją i jej brata. Związał się z nią rok później. Rosie miała wówczas osiemnaście lat, a Gavin dwadzieścia. Wtedy właśnie Rosie zaczęła chodzić na czteroletni kurs projektancki.

Młodzięczy, niedojrzały romans zakończył się po trzech latach.

Powodem rozstania stała się jakaś błaźnista. Gavin nie pamiętał już nawet, o co poszło. Miał jednak wrażenie, że była to jego wina. Zachowywał się wtedy egoistycznie i interesował się wyłącznie swoją pracą. Cóż, większość aktorów bywa trudna we współżyciu.

Gavin poznał Louise zaraz po rozstaniu z Rosie i natychmiast poszedł z nią do łóżka. Zanim się obejrzał, Louise zaszła w ciążę. Szybko wzięli ślub, ponieważ jego nowa wybranka bała się swoich wysoko postawionych rodziców, a Gavin czuł się winny i całkowicie odpowiedzialny za jej kłopotliwe położenie. Zawsze szczylił się tym, że jest człowiekiem honoru. W rezultacie prywatne życie zaczęło wymykać mu się z rąk.

Rosie rok później, w wieku dwudziestu dwu lat, ukończyła kurs w instytucie mody i wyjechała do Paryża. Tam przez swoją przyjaciółkę, Colette, poznała Guy de Montfleurie. Szybko zakochała się w nim i w rok później wyszła za mąż.

Tak się to wszystko potoczyło.

W końcu Gavin i Rosie zostali dobrymi przyjaciółmi i zaczęli razem pracować. Darzyli się szczególnymi względami i cieszyli się, iż mogą widać się nadal. W pewien sposób obecność Rosie czyniła życie Gavina znośniejszym. Dzięki niej udawało mu się jakoś znosić fochy Louise. Westchnął ciężko. Wiele wody upłynęło już od chwili, gdy mieszkał w Nowym Jorku i chodził z Rosie. Byli wtedy tacy młodzi, niewinni, niedoświadczeni i pełni optymizmu. Czternaście lat temu. Gavinowi wydawało się, że od tamtego czasu minęły całe wieki.

Louise sugerowała ostatnio, że Rosie nie jest Gavinowi obojętna. Nie myliła się. Rzeczywiście, nadal czuł coś do niej. Była jego najserdeczniejszą przyjaciółką i powiernicą. Pracowała przy wszystkich jego filmach. Sporo jej zawdzięczał. O, tak, naprawdę kochał Rosalindę Madigan, lecz była to miłość platoniczna. Łóżko przestało ich łączyć dawno temu, nawet zanim jeszcze poznał Louise.

Gavin zadrzał z zimna i podniósł kołnierz płaszcza. Zbliżył się do Łuku Triumfalnego.

Roztrząsanie przeszłości nie należało do najrozsądniejszych czynności.

Nie przynosiło żadnych korzyści. Mogło najwyżej przyprawić o ból głowy. Trzeba zawsze spoglądać przed siebie - pomyślał Gavin. Takie było jego motto. Przyszłość szykowała pewnie jeszcze wiele miłych niespodzianek. Spojrzał na wielki, imponujący Łuk Triumfalny i trójkolorową flagę powiewającą na wietrze. Sztandar Francji i Napoleona.

Ten film pochłonie masę energii - dumął Gavin - a odegranie cesarza Francuzów to największe

wyzwanie w moim życiu. Mam zgraną ekipę producentów. Oby tylko dorównali im aktorzy. Łatwiej się pracuje, kiedy czuje się wsparcie innych.

26.

Po powrocie do pokoju w hotelu. Gavin zamówił kanapkę z kurczakiem oraz herbatę z cytryną. Potem usiadł na sofie i zaczął przeglądać poprawiony scenariusz do *Napoleona i JÓzejiny*. Po chwili kelner przyniósł jedzenie. Gdy tylko Gavin się posilił, sięgnął po telefon i wybrał numer do Rosie.

- Zamek de Montfleurie, słucham - powiedział kobiecy głos. Gavin poznał go od razu.

- Cześć, Rosie, to ja.

-- Gavin! Od paru dni próbowałam się z tobą skontaktować. Dzwoniłam do Los Angeles. Od piątku! Zaraz po tym, jak przyszła paczka ze scenariuszem od ciebie. Bardzo dziękuję za perły. Są przepiękne. Ale chyba zbyt szastasz pieniędzmi.

- Ani trochę, mój aniele. Zasłużyłaś na podarunek. Pracowałaś tak ciężko podczas kręcenia f.1mu i opiekowałaś się mną po wypadku. Chciałem ci się jakoś odwdziaczyć.

- Gavinie, nie bądź niemądry. Robiłam to z czystej przyjaźni - rzekła Rosie i spytała: - Gdzie jesteś?

- W Paryżu. W "Ritzu". Spędziłem parę dni w Londynie. Musieliś~ poprawić nieco ścieżkę dźwiękową. Wiesz, jak jest, kiedy różne zbę~e dźwięki zagłuszają dialog. Nagłośniliśmy jeszcze raz kilka scen batalistycznych, w których Warwick rozmawia z Edwardem.

- Szkoda, że nie wiedziałam, iż przyjechałeś już do Europy. Mógłbyś odwiedzić mnie tutaj i zostać na tydzień, zamiast siedzieć w Paryżu. Pewnie jesteś sam? - ostatnie zdanie zabrzmiało jak pytanie.

- Zgadza się.

Gavin zamilkł na chwilę i odchrząknął.

_ Głupio z mojej strony, że nie zadzwoniłem do ciebie - podjął _ ale prawdę mówiąc, nie wiedziałem, jak długo zabawię w Londynie. Poza tym musiałem spotkać się z paroma facetami ze studia "Billancourt" .

- I jak poszło?

_ Wspaniale, Rosie! Naprawdę wspaniale! Już w lutym możemy zacząć pracę w studio. Będziemy mieć tam główną siedzibę. Aida zajmie się produkcją i myślę, że uda mi się namówić Michaela Roddingsa, żeby reżyserował. I co ty na to?

_ Lepiej być nie może - zaśmiała się Rosie. - Zapowiada się ciekawie. Cieszę się, że Aida się zgodziła. A Michael to jeden z najlepszych reżyserów, jakich znam.

_ Wiedziałem, że pomysł ci się spodoba - Gavin rozparł się na poduszkach, oparł nogi na stoliku i spytał: - Czy zdążyłaś już zajrzeć do scenariusza?

_ Przeczytałam go od deski do deski. Jest naprawdę doskonały. Bardzo poruszający i pełen dramatyzmu. Po prostu chwyta za serce. Rozgrywa się w odpowiednim tempie. Doskonale ułożyła ci się współpraca z Vivienne, jak zwykle zresztą. Wydaje mi się, że ten scenariusz nie wymaga już poprawek.

_ Też tak myślę. A co słychać w zamku? Jak czuje się Collie? Martwiłaś się o nią.

_ Dzięki Bogu, ma się o wiele lepiej. Trochę schudła, ale nie wygląda źle. Poza tym wszystko gra.

- A co z Guy?

Rosie wydało się, że głos Gavina zabrzmiał cierpko.

_ Nie ma go tutaj - odparła. - Dwa tygodnie temu pokłócił się z Henrl i wyjechał. Od tamtego czasu nie dał znaku życia. Prawdę mówiąc, mamy nadzieję, że nie wróci.

_ Moja matka mawiała: "Baba z wozu, koniom lżej". Zgadza się? _ Trafiłeś w sedno! Mam dla ciebie miłą wiadomość. Henri i Kira pobierają się.

- Nie żartuj! Jak do tego doszło?

Rosie opowiedziała mu całą historię i zakończyła:

_ Ślub odbędzie się zaraz po świętach. Tutaj w Montfleurie, w prywatnej kaplicy. Miejscowy ksiądz przyjdzie po południu odprawić ceremonię, a potem wydamy małe przyjęcie. Chcesz przyjechać?

- Żałuję, ale nie mogę. W każdym razie złożę im najlepsze życzenia.

Zawsze uważałem, że Kira to sympatyczna kobieta. - O, tak. A więc kiedy wracasz do Los Angeles?

- Jutro. Właściwie to lecę najpierw do Nowego Jorku na jeden dzień. Potem dopiero na Zachodnie Wybrzeże ... do Davida ... i Louise.

- Dobrze ci zrobi parę dni na łonie rodziny. Odpoczniesz i odprężysz się trochę - rzekła Rosie.

- Pewnie - odparł Gavin lakonicznie.

_ . Ja zaraz po Nowym Roku jadę do Paryża. Chcę zacząć przygotowania do pracy. Henrl znalazł w

bibliotece zamku parę niesamowitych książek z okresu Cesarstwa. Bardzo mnie zainspirowały.

- Rosie, ty zawsze jesteś pełna entuzjazmu - powiedział Gavin ze szczerym podziwem. - Naprawdę jesteś niezwykła.

Rosie roześmiała się, słysząc ten komplement.

- Kiedy znowu przyjedziesz do Paryża? - spytała.

- Najpierw, mniej więcej w połowie stycznia, wybieram się do Londynu, żeby przesłuchać jeszcze raz ścieżkę dźwiękową. Mam nadzieję, że zaraz potem zjawię się w Paryżu i zabiorę się za *Napoleona i Józefinę*. - Nie mogę się doczekać, kiedy zaczniemy!

- Ani ja. Życzę ci w każdym razie wesołych świąt, mój aniele.

- Wesołych świąt, Gavinie. I dużo szczęścia.

- Uważaj na siebie, Rosie.

Gavin odłożył słuchawkę. Wziął scenariusz i zaczął znowu czytać, próbując zagłuszyć swoją tęsknotę za Rosie. Czuł do niej więcej, niż mu się wydawało.

27

Mężczyzna, który daje kobiecie perły takiej wartości musi czuć się bardzo z nią związany - stwierdził Henri de Montfleurie cichym głosem, zerkając wymownie na Kirę.

Kira ściągnęła brwi. .

- Uczuciowo? - spytała.

- W każdy możliwy sposób.

- Czy sugerujesz, że Gavin Ambrose jest zakochany w Rosie?

- To bardziej niż prawdopodobne.

Kira nic nie odparła.

Odwróciła nieco głowę i spojrzała przez wielki hol na Rosie, która robiła zdjęcia Lisette, Collie i Yvonne.

Wszystkie trzy stały przed ogromną choinką, obwieszoną wielką ilością bombek oraz innych ozdób i oświetloną kolorowymi lampkami. Dziewczynki śmiały się i rozmawiały, a Collie łagodnie upominała je, żeby stały spokojnie.

Były podekscytowane, świetnie się bawiły. Zwłaszcza Collie. Kira niezmiernie się ucieszyła, widząc córkę Henri w tak doskonałym humorze. Podobnie jak Rosie, Kira martwiła się o Collie, która ostatnio strasznie schudła i osłabła. Colette wyglądała dzisiaj jak po przebyciu długiej choroby, mimo wysiłku, jaki włożyła w to, by ładnie wyglądać podczas świątecznych uroczystości. Ciemnozielona jedwabna suknia podkreślała jeszcze bardziej bladość jej twarzy. Kirze twarz Collie wydawała się prawie przezroczysta, miała jednak nadzieję, że to tylko kolor stroju wywołuje takie wrażenie.

Spojrzała znowu na Rosie i zamyśliła się głęboko. Rosie tego dnia także ubrała się elegancko.

Miała na sobie czarną aksamitną sukienkę z pięknie wyszywanymi kieszeniami, a na szyi sznur pereł, które połyskiwały na tle ciemnego materiału.

Pewnie kosztowały majątek - pomyślała Kira. - Siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów albo nawet więcej. Henri miał rację. Tak kosztownej biżuterii nie daje się komuś jedynie z wdzięczności za dobrze wykonaną pracę. A tym bardziej pereł od Harry'ego Winstona, najslawniejszego jubilera z Nowym Jorku.

Kira przypomniała coś sobie. Odwróciła się do Henri i rzekła szeptem: - Musimy pamiętać, że oni są starymi, dobrymi przyjaciółmi. Poznali się jako nastolatki i od dawna razem pracują. Może te perły są wyrazem wdzięczności za lata przyjaźni?

- Wątpię - Henri napił się szampana. - Jak wiesz, wiele razy widziałem ich oboje. Wydaje mi się, że między nimi istnieje jakaś specjalna więź, choć może nie w pełni zdają sobie z tego sprawę ... -

Henri przerwał i wzruszył ramionami. - Ale to już inna sprawa.

- Gavin jest przecież żonaty - stwierdziła Kira, pochylając się do Henri.

- Tylko oficjalnie - odparł Henri. - Wydaje mi się, że Gavin nie żyje najlepiej z żoną. Louise to bardzo trudny charakter, więc wcale się Gavinowi nie dziwię. Jest kapryśna, neurotyczna, przewrażliwiona i niezbyt inteligentna. W dodatku przeraźliwie chuda, jakby ktoś ją głodził - Henri wzdrygnął się mimowolnie i skrzywił. - Nie zauważyłaś, że jej głowa wygląda, jakby była zbyt duża i nie pasowała do jej kruchego ciała? Czemu niektóre kobiety mają taką obsesję na punkcie swojej wagi? Dlaczego pragną wyglądać jak ofiary Oświęcimia? - Henri z niesmakiem pokiwał głową. - Niewiasty tak kościste jak Louise nie są wcale kobiece ani pociągające, przypominają

raczej chłopców, przynajmniej moim zdaniem.

Kira uśmiechnęła się szeroko.

- Ciesze się, że lubisz kobiety przy kości. Inaczej wcale bym ci się nie spodobała - trąciła się z Henri kieliszkiem. - Ogromnie cię kocham, Henri de Montfleurle.

- A ja odwzajemniam twoje uczucia, kochanie - rzekł z wielką czułością i uroczyście zarazem.

- Louise Ambrose to rzeczywiście dziwna kobieta - powiedziała Kira, zerkając znów na Rosie. - Rosie i ona różnią się niczym ogień i woda. Spójrz, jak pięknie dzisiaj wygląda. Cudownie. Jak dojrzała brzoskwinia.

Henri rozbawiło to porównanie, ale nie odezwał się. Kira mówiła dalej:

- Jaka szkoda, że Gavin jest żonaty.

- A co to ma do rzeczy? - Henri uniósł brwi. - Małżeństwo nikogo nie powstrzyma. Wiesz tak dobrze jak ja, że większość ludzi kieruje się zwykle sercem. Wiązą się z takimi osobami, które pociągają ich fizycznie. Rzadko kiedy zważają na uczucia innych. Chociaż wydaje mi się, że Gavin i Rosie nie wiedzą, co naprawdę do siebie czują.

Kira spojrzała z powątpiewaniem na Henri. - Trudno mi w to uwierzyć.

- Chodzi mi o to, że prawdopodobnie Rosie nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo potrzebuje Gavina. Była zbyt uwikłana w problemy swojego nieudanego małżeństwa z Guy i za bardzo przejmowała się nami przez tyle lat. Jednak to wszystko z pewnością się zmieni.

- Jak to?

- Teraz kiedy zdecydowała się w końcu na rozwód z Guy, jej życie stanie się inne. Zupełnie inne.

- Od lat nie żyli ze sobą - jak mąż i żona, a Guy wciąż podróżował. Rosie nieczęsto go widywała. Czy naprawdę sądzisz, że rozwód tak wiele zmieni?

- Owszem. Rosie jest bardzo szczerą i uczciwą. Nie miała spokojnej głowy, dopóki czuła się legalnie związana z Guy. Nie mogła robić tego, co chciała. Przynajmniej ja tak odbierałem jej zachowanie. Podjęcie decyzji o rozwodzie spowoduje gruntowne zmiany w jej życiu.

- Jakie?

Henri myślał przez chwilę, zanim odpowiedział.

- Rosie nareszcie uwolni się od Guy. Psychicznie. Poczuje się wyzwolona. Przekonasz się, gdy tylko sprawa rozwodowa dobiegnie końca. - Mam nadzieję, Henri. Bardzo lubię Rosie i chciałabym, żeby była szczęśliwa ... - Kira zamilkła, a następnie dodała z wahaniem: - Nie chciałabym cię niepokoić ... ale czy miałeś jakieś wiadomości od Guy?

Henri przytaknął.

- Nie miałem okazji ci powiedzieć. Guy telefonował do mnie wczoraj wieczorem. Z Paryża. Nie uwierzysz, ale chciał mnie przeprosić. Oczywiście, wybaczyłem mu. Uważam, że postąpiłem słusznie. Oznajmiłem mu także, że biorę z tobą ślub i zamierzam uznać Aleksandra za swojego rodzzonego syna.

- Jak przyjął te nowiny?

- Pogratulował mi. Powiedział, że cieszy go nasza decyzja.

- Naprawdę nie mogę w to uwierzyć, Henrl.

- Ja też, choć słyszałem to na własne uszy - Henrl uściśnął ramię Kiry. - Jednak myślę, że mówił szczerze. Dziwny człowiek, ten mój syn. Zawsze potrafił pokrzyżować moje plany.

- Nie tylko twoje zresztą. Nie zapytał, czy może przyjechać na święta do Montfleurie?

- Nie miał możliwości, Kiro. Gdy wysłuchałem jego przeprosin, powiedziałem mu, że nie jestem jeszcze gotowy, aby z powrotem przyjąć go pod swój dach. Wspomniałem o przyszłym roku.

- I co on na to?

- Chyba podszedł do tego rozsądnie. Zapytał mnie, czy może rozmawiać z Rosie. Zawołałem ją do telefonu i poradziłem, by powiedziała mu, że zaraz po Nowym Roku wnosi sprawę o rozwód.

- Posłuchała cię?

- O tak, jak najbardziej. Oznajmiła mu to szczerze i otwarcie, a przy tym bardzo stanowczo.

Myślała na tyle trzeźwo, iż nie omieszkała zapytać Guy, jak długo zamierza zostać w Paryżu.

Musiałby przecież stawić się na rozprawę. Powiedział, że dopiero w marcu wyjeżdża do Hongkongu, a potem do Indonezji i innych krajów Dalekiego Wschodu.

__ Pewnie Guy się zdziwił, prawda? Henrl pokręcił głową.

- Nie sądzę. Rosie stwierdziła, że przyjął jej słowa spokojnie i nie wydawał się zaskoczony.

Podobno był nawet wobec niej miłszy niż zwykle, niemal serdeczny.

Kira zmarszczyła czoło.

- Nie podoba mi się to, Henri! Zachowanie Guy bardzo mnie niepokoi. Kaja się przed tobą, gratuluje ci, że się żenisz i bez słowa sprzeciwu przyjmuje wiadomość Rosie o rozwodzie. To nie w jego stylu.

Henri spojrzał bacznie na Kirę i się zasepił.

- A co, twoim zdaniem, byłoby w jego stylu? - spytał.

- Nie wiem. Po prostu dziwne wydaje mi się to, że Guy tak łatwo na wszystko się zgadza ... - Kira urwała.

Nie chciała zbyt jasno wyrażać swoich obaw. W jej oczach pojawiło się zatroskanie.

Henri zauważył to natychmiast i objął ją ramieniem.

- Myślę, że ponosi cię wyobraźnia, moja kochana. Zapomnij o Guy. Nie będzie już sprawiał kłopotów. Chodź, pójdziemy do dziewczyn. To niegrzecznie tak stać na boku i plotkować.

Kiedy podeszli, Henri spojrzał na choinkę sięgającą prawie sufitu.

- W tym roku przeszliśmy wszyscy samych siebie. Ta choinka prezentuje się wspaniale.

- Ciocia Rosie przywiozła te lampki z Nowego Jorku! - zawołała Lisette. - Wyglądają na choince jak małe gwiazdki na niebie.

- Jak ładnie to określiłaś, Lisette - powiedział Henri, uśmiechając się do wnuczki.

- Henri, stań, proszę, razem z dziewczynkami, zrobię zdjęcie całej rodzinie - rzekła Rosie. - I ty, Kiro, także musisz tam być.

- Rosie, ale bez ciebie to wcale nie będzie familijna fotografia

- odezwał się Henri i zwrócił się do Yvonne. - Proszę, zawołaj Gastona,

moja kochana. Powiedz mu, że chciałbym, aby nam zrobił zdjęcie. - Już lecę, wujku Henri! - zawołała Yvonne i pobiegła.

- Aty, Lisette, skocz na górę i poproś Eliane, aby przyniosła tutaj małego Aleksandra.

- Ja pójdę - wtrąciła Kim, ruszając w stronę schodów - i sama go przyniosę.

- Świetnie - odparł Henri i nalał sobie szampana.

Rosie odłożyła aparat na stół i wzięła swój kieliszek. Podeszła do Henrlego i wyznała:

- Kiedy czuję te wszystkie smakowite zapachy dolatujące z kuchni, ślina cieknie mi do ust. Czuję się głodna jak wilk.

- Ja także - przyznał Henri, ujmując Rosie za łokieć i prowadząc z powrotem w stronę choinki. - Słyszałem od Annie, że Dominique przygotowała gęś zapiekaną z orzechami i inne smakołyki. Nie mogę się doczekać, kiedy tego wszystkiego spróbujemy.

- Na deser będzie ciasto czekoladowe - wtrąciła Collie, siadając na ozdobnej ławie. - To dopiero smakołyk.

- Rozpoczniemy kolację, jak tylko Gaston zrobi nam zdjęcie - oznajmił Henri i spytał Rosie: - Jak ci idzie szycie sukienek dla druzhen?

- Doskonale, już niedługo skończę. Wiszą w mojej pracowni. Jeśli chcesz, możesz je jutro zobaczyć.

Henri roześmiał się i potrząsnął głową.

- Nie, nie, wolę, żeby to była niespodzianka.

- Kira ma piękną kreację, ojciec - rzekła Collie. - Elegancką i jednocześnie skromną. Myślę, że powinieneś podarować jej diamentową broszkę matki. Świetnie pasowałyby do stroju.

Henri przyglądał się córce przez długą chwilę. Potem podszedł i usiadł obok niej. Objął jej szczupłe ramiona i czule pocałował ją w policzek. Poczul się wzruszony. Zakasłał cicho i powiedział:

- To miło z twojej strony, Collie, że o tym pomyślałaś. Tylko ty mogłaś wpaść na tak wspaniały pomysł. Dziękuję ci. Podaruję broszkę Kirze jako prezent od nas obojga.

28

Collie zachorowała i w związku z tym Henri potrzebował pomocy. Wyłącznie o tym myślała Rosie tego chłodnego poranka, krzątając się po sypialni swojego paryskiego mieszkania i wrzucając ubrania do małej walizki.

Zbliżała się połowa stycznia. Od dwóch tygodni opracowywała wstępne projekty kostiumów do *Napoleona i J6zejiny* i robiła pierwsze szkice. Była zupełnie sama, odkąd z początkiem roku wróciła z Loary, ale cieszyła się swoją samotnością. Lubiła, kiedy nic nie przeszkadzało jej w pracy.

Gavin przebywał w Londynie, gdzie kończył realizowanie ścieżki dźwiękowej do *Twórcy Królów*. Rozmawiali ze sobą każdego dnia. Czasami o filmie, który już ukończyli, innym razem o nowym, tak bardzo ostatnio zaprzątającym ich uwagę. Spędzali całe godziny przy telefonie, przeważnie wieczorami, kiedy Gavin wracał do hotelu ze studia, a Rosie odkładała ołówek i zamykała swój

szkicownik.

Teraz również pomyślała o Gavinie, gdy zamykała walizkę i stawiała ją na podłodze. Podeszła do aparatu i wykręciła numer do studia "Shepperton" w Londynie.

Gavin podniósł słuchawkę po drugim dzwonku.

- Halo?
 - Cześć, Gavinie. To ja. Nie przeszkadzam ci? Możesz porozmawiać chwilę?
 - Stało się coś złego, Rosie? Słyszę, że jesteś zdenerwowana.
 - Collie zachorowała.
 - Och, kochana, tak mi przykro. Znowu z nią tak źle?
- Rosie przełknęła ślinę i zmusiła się, by odpowiedzieć:
- Henrl właśnie dzwonił do mnie przed chwilą. Podobno Collie od tygodnia nie czuje się dobrze. Myślę, że zaniemogła zaraz po weselu. Henrl nie chciał mnie martwić i zatelefonował dopiero dzisiaj. Ostatniej nocy Collie miała kryzys. Henrl chce, żebym przyjechała do Montfleurie. Natychmiast. Powiedział, żebym nie traciła czasu.
 - To aż tak: poważna sprawa? Nie myślisz chyba, że ona ... - Gavin nie zdobył się na to, by wyrazić swoje straszne przypuszczenie, wiedząc, jak wiele Colette znaczy dla Rosie.
 - Nie jestem pewna ... nie wiem ... - odparła drżącym głosem. Po chwili zebrała się w sobie i dodała: - Chciałam cię tylko zawiadomić, że wyjeżdżam na parę dni, gdybyś przypadkiem mnie szukał.
 - Dobrze, że zadzwoniłaś. Czy mógłbym w czymś pomóc?
 - Nie, dziękuję.
 - Czym jedziesz do Montfleurie? Pociągiem?
 - Nie, nie, samochodem. Chcę znaleźć się tam tak: szybko, jak: to możliwe.
 - Jedź ostrożnie, Rosie. Nie ryzykuj na drodze, proszę, obiecaj mi.
 - Przyrzekam, Gavinie.
 - I daj mi znać, gdybyś potrzebowała czegokolwiek.
 - Jasne. Dzięki.
 - Uważaj na siebie, aniele.
 - Dobrze - odparła Rosie i odłożyła słuchawkę.

Po niecałych trzech godzinach podróży Rosie wjechała przez zwodzony most na podwórze zamku.

Gaston zbiegł po schodach, zanim zdążyła wyłączyć silnik. Po chwili pomógł jej wysiąść z samochodu. Na jego twarzy malował się smutek. To mówiło samo za siebie.

- Hrabia czeka na panią w gabinecie - powiedział Gaston przygnębiony.
- Dziękuję, Gastonie. W bagażniku jest tylko jedna walizka -oznajmiła i nie mówiąc już więcej ani słowa, wbiegła do zamku.

W wielkim holu, w którym nie tak: dawno rozbrzmiewały wesołe śmiechy i rozmowy; było teraz cicho i smutno. Kiedy Rosie szła w kierunku gabinetu Henrl położonego na tyłach zamku, ogarnęły ją złe przeczucia.

Drzwi do pokoju były lekko uchylone. Zapukała cicho, zanim pchnęła je i weszła do środka.

Henri de Montfleurle siedział na sofie przed kominkiem. Podniósł głowę, słysząc pukanie, i wstał na widok Rosie.

— Rosie! - zawołał. - Dzięki Bogu, że już jesteś! Collie dopytuje się o ciebie od paru godzin.

Podszedł i objął Rosie ramieniem. Przywitani się serdecznie, a potem spoglądali na siebie, jakby szukając w sobie nawzajem pocieszenia.

Atmosferę przygnębienia czuło się w całym domu. Rosie gdzieś w głębi duszy wiedziała, że mimo jej gorących modlitw koniec życia jej ukochanej przyjaciółki jest już bliski.

Ciemne, podkrążone oczy Henrl wyrażały niezwykle cierpienie. Twarz miał wychudłą. Widać było, że nie sypia dobrze.

- Jak się czuje ... Collie? - spytała Rosie martwym głosem, bojąc się usłyszeć odpowiedź, którą zresztą już знаła.

Henri pokręcił głową.

- Obawiam się, że źle.

- Miałam wrażenie, że osłabła zaraz po świętach - powiedziała Rosie, starając się opanować drżenie głosu. - To stało się raczej niespodziewanie, czyż nie?

— Niezupełnie. Collie zaczęła czuć okropne bóle w plecach jeszcze przed świętami, ale nikomu nie mówiła - Henrl popatrzył smutno. — Na początku roku, zaraz po twoim wyjeździe, ataki stały się nie do zniesienia. Collie pojechała więc do doktora Junota do Tours. Ów doktor chciał, żeby

wybrała się do Paryża do specjalistów, którzy leczyli ją ostatniego lata, ponieważ był przekonany, że pojawiły się przerzuty. Collie postanowiła zastosować się do rad Junota i zaczęła przygotowywać się do podróży. Jednak nagle całkowicie opadła z sił ... _ Henri zamilkł. Odwrócił się i wyciągnął chusteczkę z kieszeni. Kiedy wytarł nos i uspokoił się trochę, rzekł cicho: - Ona tak: bardzo chciała się z tobą zobaczyć, Rosie. Chodźmy do niej, nie traćmy czasu.

_ Czekałam na ciebie, Rosie. Czekałam, aż przyjedziesz - powiedziała Collie słabym głosem i utkwiała wzrok w przyjaciółce. - Jestem już tutaj, Collie, moja kochana.

- Zdaje się, że wybieram się w bardzo daleką podróż.

Rosie usiadła na stołku przy łóżku i tylko lekko skinęła głową. Ujęła drobną, chłodną dłoń Collie i zaczęła ją głaskać. Tak bardzo chciała pocieszyć Colette.

- Chociaż odejdę daleko, zawsze będę przy tobie, Rosie. W twoim sercu. Będę żyła tak długo jak ty, ponieważ wiem, że zachowasz mnie w swojej pamięci aż do śmierci.

- Och, Collie. Nie mogę pozwolić ci odejść. Musisz walczyć o życie. Wyjdiesz z tego - po twarzy Rosie zaczęły płynąć łzy. Otarła je szybko. - Proszę, nie opuszczaj nas.

- Będę wolna, Rosie. Wolna od bólu, od cierpienia. Połączę się z Claude'em. On na mnie czeka ... - Oczy Collie stały się bardziej niebieskie i jaśniejsze niż zwykle. Utkwiła je nieruchomo w twarzy Rosie. Wypełniły się dziwnym blaskiem. - Istnieje życie po śmierci, prawda, Rosie?

- Tak.

- Dusza żyje nadal?

- Na pewno, moja kochana.

Na ustach Collie pojawił się uśmiech.

- Kiedyś, bardzo dawno temu, mama powiedziała mi coś, o czym nigdy nie zapomniałam. Mówiła, że dobre rzeczy nigdy nie umierają. Trwają wiecznie. Moja miłość do Lisette, ojca i ciebie jest czymś dobrym, prawda, Rosie?

- O tak! -jwyduziła Rosie z trudem.

- A więc moja miłość przeżyje, prawda?

- Tak, Collie.

- Czy możesz mi coś obiecać?

- Co tylko zechcesz.

- Nie pozwól Lisette zapomnieć o mnie, dobrze?

- Oczywiście.

- Chcę, żeby zapamiętała mnie i Claude'a. Nie wolno jej zapomnieć o swoim ojcu. Rosie, błagam, zadbaj o to!

- Obiecuję ci - odparła Rosie ze ściśniętym sercem i znowu otarła łzy. Starła się panować nad sobą z uwagi na Collie, tak dzielnej w obliczu śmierci.

- Moją małą dziewczynką zaopiekuje się ojciec i Kira, ale ty także miej na nią oko ...

- Wiesz dobrze, że będę się troszczyć o Lisette, ponieważ bardzo ją kocham.

- Rosie, dziękuję ci za wszystko, co dla nas zrobiłaś.

- Proszę, nie mów tak ... Nie uczyniłam nic specjalnego.

- Ależ tak. Bardzo nam pomogłaś. Cieszę się, że w końcu uwolnisz się od Guy. Musisz zacząć nowe życie. Pewnego dnia spotkasz kogoś miłego. Zaznasz szczęścia takiego, jakiego ja zaznałam z Claude'em. To jedyna rzecz, która czyni życie znośnym ... prawdziwa, głęboka miłość.

Rosie skinęła głową.

Collie uśmiechnęła się nagle, a jej źrenice lekko się rozszerzyły.

- Bardzo się cieszę, że spotkałyśmy się przed laty w Paryżu, kiedy byłyśmy takie młode ... i weszłaś do naszej rodziny - Collie zamknęła oczy, a jej oddech nagle się zmienił. Z trudem łapała powietrze.

Rosie pochyliła się nad łóżkiem. Collie uświadomiła sobie niepokój Rosie i uniosła powieki.

_ W porządku - wyszeptwała. - Chciałabym, żeby przyszli tu wszyscy ... mój ojciec, Lisette, Yvonne i Kira. I Jego Wielbność Longueville. Pewnie czeka już tutaj od wielu godzin.

Rosie zdołała jedynie skinąć głową. Collie uścisnęła jej dłoń. - Pocałuj mnie, Rosie. Pocałuj mnie na pożegnanie.

Po twarzy Rosie spływały łzy, gdy dotknęła ustami policzka Collie.

Pocałowała ją kilka razy i objęła czule ramionami. Tuląc Collie do siebie, wyszeptwała jej do ucha:

_ Zawsze cię kochałam, Collie, i nigdy nie przestanę. Nigdy o tobie nie zapomnę. Na zawsze

pozostaniesz w mym sercu.

- Nie płacz, Rosie, moja kochana. Znajdę się w bezpiecznym miejscu. Spotkam Claude'a i swoją matkę - rzekła Collie i zdobyła się na słaby uśmiech.

W końcu Rosie wstała i podeszła do drzwi sypialni.

Reszta rodziny zebrała się na korytarzu i czekała, by po raz ostatni porozmawiać z Collie. Rosie zawołała ich do środka.

Powoli weszli do pokoju. Wystraszona Lisette trzymała dziadka za rękę.

Była wciąż jeszcze małym dzieckiem. Młody ksiądz, który niedawno udzielił ślubu Henrl i Kirze, wszedł na samym końcu i stanął przy drzwiach. Gdy Collie pożegnała się ze wszystkimi, udzielił jej ostatniego namaszczenia.

Collie odnajdzie spokój - pomyślała Rosie. - Będziemy za nią tęsknić. Jest zbyt młoda, by umierać.

CZEŚĆ TRZECIA

NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI

29

- Robisz postępy, Kevinie, oaprawdę -powiedział Neil. - Tylko nie przeginaj pały, na miłość boską, i nie rób żadnych nieprzemyślanych ruchów.

Kevin skinął głową.

- Nie martw się, jestem tak ostrożny, jak tylko mogę. I uważam na siebie. Obawiam się o Tony'ego. On traci spokój. Pracuje jako tajniak w kręgach mafli i to zżera mu nerwy. Każdy na jego miejscu trząsłby portkami. To piekielna robota. Cieszę się, że nie robię tego, co on i mogę przyglądać się z zewnątrz, co dzieje się tam, w środku.

- Powiedziałbym raczej, że znajdujesz się w samym centrum, nie sądzisz?

Kevin uśmiechnął się lekko. - Tylko częściowo.

- Może i prawda, ale posłuchaj, Kev. Z Tonim wszystko w porządku. Kiedy należy się do trzeciego pokolenia Włochów urodzonych w Ameryce, wie się, jak radzić sobie z tymi ludźmi, bo przejrzało się ich gierki. Tony zna ich żargon; nie zapominaj, że zdobył doświadczenie, kiedy dorastał we wschodnich dzielnicach Nowego Jorku. To cholerne okolice, piekielnie niebezpieczne. Tony wychował się w samym centrum działalności mafli.

Neil pokiwał głową, jakby przytakując samemu sobie, i stwierdził cicho: - Tony to równy gość, naprawdę w porządku facet. Podobny do ciebie.

Potrafi zachować zimną krew. Inaczej już dawno dobraliby mu się do tyłka. Ty też wpadłbyś w kłopoty, gdybyś zrobił jeden fatalny krok. .. - Neil napił się piwa. - Wiesz co? Nie było sposobu, żeby ktoś zdekonspirował mojego starego kumpla, Anthony'ego Rigante. Zawsze pracował jako tajniak, od samego początku. To stało się jego drugą naturą.

- Tak, zdarza się. Jednak taka robota jest cholernie trudna, zwłaszcza kiedy współpracuje się z gangsterami i udaje się jednego z nich.

Neil popatrzył na Kevina wymownie, lecz się nie odezwał.

Siedzieli przy stoliku w rogu małego baru koło Pierwszej Alei.

Knajpa była zatłoczona, mimo że była dopiero piąta po południu. Zewsząd dochodziła kakofonia dźwięków. Głośne rozmowy mieszały się ze śmiechem, brzękiem szklanek i muzyką płynącą z grającej szafy. Odpowiadało to Kevinowi i Neilowi. Nikt nie mógł usłyszeć z ich rozmowy ani słowa.

Mimo wszystko Kevin przysunął się bliżej do Neila i ściszył głos: - Zabrało to około miesiąca, ale wreszcie rzeczy zaczynają wychodzić na wierzch. Tony w końcu wprowadził mnie do niższych kręgów rodziny Rudolfo. Poznałem paru facetów. I powiem ci, Neil, miałeś rację. Organizacja Rudolfa jest zanurzona po pachy w handlu narkotykami. Każdego tygodnia zgarnia miliony dolarów, sprzedając największe gówna, od heroiny po kokainę. Właściwie handluje, czym tylko się da.

- Zajmuje się także lichwą i oszustwami bankowymi, czerpie zyski z hazardu i domów publicznych. Zaplątana jest we wszystkie możliwe przestępstwa. Ta banda łajdaków zbyt długo cieszy się wolnością, ale wkrótce dobierzemy się im do skóry, Kev - Neil uśmiechnął się nagle zadowolony z siebie i dokończył z satysfakcją: - Załatwimy ich tak jak Gottiego.

- Wiem, Neil. Wszystko idzie dobrze, potrzebujemy tylko jeszcze trochę czasu. Nie możemy dobrać im się do tyłka teraz. Musimy poczekać. - Dobra, dobra. Dam wam trochę czasu, ale nie za dużo.

Im dłużej ciągniecie tę sprawę, tym bardziej się narażacie.

- Nie bój się o nas. Podobnie jak Tony, pracuję już jako tajniak zbyt długo, żeby głupio wpaść.

- Wiem, wiem. Uważaj tylko na siebie, dobra?

Kevin skinął głową. Dokończył piwo, odsunął krzesło i wstał.

- Napijesz się jeszcze czegoś? Na drogę. A może coś mocniejszego?

- Niech będzie piwo. Dzięki.

Neil zgasił papierosa i zaraz wyciągnął następnego. Chciał rzucić palenie, ale nie mógł. Myślał, że jeśli nie dopadnie go jakaś kulka, to pewnie umrze na raka płuc albo atak serca. Ale co tam, przecież samo życie było i tak już wystarczająco ryzykowne. Neil zapalił papierosa i roześmiał się cynicznie.

Kevin wrócił z dwoma kuflami piwa i usiadł.

_ Na zdrowie - powiedział i upił duży łyk. Nad jego górną wargą pozostała piana. Wylał ją wierzchem dłoni i uśmiechnął się do Neila. _ A więc Gotti znalazł się w tarapatkach ... no, no.

Neil roześmiał się.

_ Czytałeś *Daily News*? Nazwali go Al Caponem lat dziewięćdziesiątych.

_ Tak. To śmieszne, ale rozprawa Gottiego odbędzie się w Brooklynie ... Jego poprzednik musiał się tam gęsto tłumaczyć.

_ Gottiego czeka to samo. Mam nadzieję, że zapuszczają go na dłużej _ odparł Neil, opierając się na stole. - Słyszałem, że większość półświatka uważa, iż tym razem nie uda mu się wykręcić.

Przycisnęliśmy skurczybyka. Tak ... szefunio w końcu beknie. Dobiegły cię podobne słuchy?

_ Pewnie. Nasz dział zrobił cholernie dobrą robotę. Stanęliśmy na głowie, żeby go dopaść. Nie wierzę jednak, żeby Gotti okazał się tak głupi...

Czy zacznie sypać?

_ Moim zdaniem, ten facet to wariat. Z drugiej strony, docierają do niego jakieś przecieki. I nie miał żadnych wątpliwości, że adwokaci wyciągną go z bagna. No tak, trzeba przyznać, że Bruce Cutler zna się na swoim fachu. Ale mówił o wszystkim: o morderstwach i mafii, nawet o siedzibie Cosa Nostra, prawdziwym gnieździe węży. Na litość boską, dziwię się, jakim cudem jeszcze go nie poszatkowali kulami!

_ Podobno wspominał, że ktoś go próbował załatwić.

Neil skinął głową.

_ Posłuchaj, jestem święcie przekonany, że facet w końcu trafi za kratki i spędzi w pudle resztę życia. Mamy już na niego bardzo dużo obciążających materiałów, Kevin. Za całą mafią już wlecze się niezły smród. Powiem ci więcej: Colombo i inne rodzinki skaczą sobie nawzajem do gardeł.

_ Niektórzy biorą stronę Percisco, inni stają za Vicem areną. Doszły mnie słuchy, że Orena chce na wszystkim położyć łapę, póki Percisco siedzi. _ Cholerni gangsterzy! Zobaczysz, poleje się krew.

_ Głównie we włoskiej dzielnicy i innych podejrzanych częściach miasta - stwierdził Kevin i trącił Neila w ramię. - Nie łam się. Prawo i porządek zaczynają brać górę. Prokuratura właśnie zamierza wnieść oskarżenie przeciwko braciom Gambino. Obaj mają nóż na gardle. Łatwo im udowodnić paskudne machlojki. Czerpali zyski, biorąc haracz od firm produkujących odzież.

- Też o tym słyszałem - rzekł Neil i zerknął na zegarek. - Muszę już lecieć, chłopie. Cieszę się z naszego spotkania. Zobaczmy się w następnym tygodniu o tej samej porze, dobra?

- Jasne, Neil. Daj mi tylko znać, gdzie.

Wzięli płaszcze i razem wyszli z baru. Gdy znaleźli się na chodniku, Kevin rzucił:

- Ja walę tędy - i skinął w kierunku Czternastej Ulicy.

- Kapuję. Randka z dziewczyną, co? - Neil cmoknął i puścił oko.

- Nie, ona akurat wyjechała. Chcę pogadać z jednym starym kumplem.

- W porządku, Kev. Tylko pamiętaj, uważaj na siebie. Cały czas.

- Spokojna głowa, Neil. Ty też się pilnuj.

- Jasne, chłopie.

Kevin machnął na taksówkę, wsiadł do niej i kazał kierowcy jechać na Czterdziątą Piątą Ulicę.

Tam zapłacił za kurs i przesiadł się do innej taryfy. Tym razem polecił zawieźć się na Pięćdziesiątą Ósmą. Przeszedł potem jezdnię szybkim krokiem i wszedł do hotelu "Wyndham". Skierował się do hotelowej restauracji, a następnie rozejrzawszy się wokół, udał się do męskiej toalety.

Po upływie pięciu minut znalazł się ponownie w taksówce. Szofer ruszył w kierunku Pięćdziesiątej Drugiej. Kevin uregulował rachunek, wysiadł z wozu i ruszył dalej piechotą. Oglądał się co chwila za siebie. Chciał się upewnić, że nikt go nie śledzi.

Wreszcie wszedł do "Tromp Tower" i skierował kroki ku recepcjonistce.

- Chciałem rozmawiać z Gavinem Ambrose.

- Pańskie nazwisko ... ?

- Kevin Madigan.

Recepcjonista wybrał trzycyfrowy numer. Po chwili odłożył słuchawkę i rzekł:

- Może pan iść. Szesnaste piętro.

- Dziękuję.

Kevin odwrócił się i ruszył w stronę windy.

- Ależ masz tu widoki! - wykrzyknął Kevin, spacerując po przestronnym saloniku w apartamencie Gavina. - Jezu, nie miałem pojęcia, że Nowy Jork jest z góry taki piękny! Niebo i drapacze chmur ... Kręci mi się w głowie. Nigdy nie byłem tak wysoko.

_ Bujasz. Pamiętam, że kiedyś wspieiliśmy się razem na szczyt Empire State - powiedział z uśmiechem Gavin i podał gościowi kieliszek z winem. _ Lepiej odejdz od tego okna i tyknij sobie na kanapie.

_ Dzięki - rzekł Kevin, biorąc kieliszek. Obszedł spory chiński stolik do kawy, wykonany z ciemnego drewna i zdobiony kwiatami z macicy perłowej. Wreszcie zajął miejsce na sofie.

_ Powiedz, co ty tu właściwie porabiasz? - spytał. - Nie obraż się, ale to miejsce kojarzy mi się z drogim burdelem.

_ I co jeszcze? Poza tym skąd niby wiesz, jak wyglądają drogie burdele? _ Pełno w nich pluszu i zbytku. Mnóstwo zbytku. Hej, do kogo właściwie należy to gniazdko, Gav?

_ Nie wiem, szczerze. Znalazł je mój agent. Pewnie do jakiegoś miliardera, który bawi w Europie. Wynająłem ten apartament na parę miesięcy. _ Rozumiem - Kevin spojrzał twardo na Gavina i uniósł brew.

- Znudziło ci się w domu?

Gavin zaśmiał się.

_ Może tak, a może nie. Stare kłopoty z Louise, pod tym względem niewiele się zmieniło. Poza tym pracuję tu obecnie i tutaj też jestem najbardziej popularny. Tak więc pomyślałem sobie, czemu nie poszukać jakiegoś lokum w Nowym Jorku?

_ W porządku, Gav. Cieszę się, że tu jesteś. Jak za dawnych lat. A co z Paryżem? Rosie powiedziała mi, że przygotowujesz się do *Napoleona i JÓzejiny*. Sama pracuje nad kostiumami do tego filmu.

_ Zgadza się. Na razie szlifuję *Twórcę Królów*. Trzeba dokręcić kilka drobnych scen. Nie ma sensu, żebym z całą ekipą ruszał do Europy. Po wszystkim zabiorę się za *Napoleona*. Przenieś się wtedy do Paryża na co najmniej pół roku.

- A co stanie się z tym mieszkaniem?

_ Będziesz mógł je zająć, jeżeli zechcesz, Kev. - Chyba żartujesz?

- Nie.

- Co miałbym robić w takim apartamencie?

_ Mieszkać, na przykład - Gavin wybuchnął śmiechem. - Chyba tu przyjemniej niż na Dziewięćdziesiątej Czwartej, co?

_ Owszem - odparł Kevin. - Tylko że ostatnio nie jestem u siebie. Przenieśliem się do Village.

Mieszkam tam pod zmienionym nazwiskiem, rzecz jasna. Działam jako ... tajniak.

- Jak zwykle?

Kevin dosłyszał subtelną zmianę w tonie Gavina. Delikatne echo dezaprobaty. I smutek w chłodnych szarych oczach Gava. Z oczu Gavina zawsze wiele można było wyczytać. Kevin nie odpowiedział, upił nieco wina, rozparł się wygodnie na sofie i założył nogę na nogę.

- Kev, twoje zajęcie odbija się na tobie - odezwał się po chwili Gavin. - To zaczyna być widoczne.

Kevin zwykle spał się, gdy rozmowy schodziły na ten temat. Miał zamiar rzec, że nie wie, o co Gavinowi chodzi, ale ugryzł się w język. Nie było sensu zgrywać idioty przed facetem, którego kochał niczym brata. Powoli pokiwał głową.

- Ostatnio miałem mnóstwo roboty - przyznał Kevin krzywiąc się.

- Poza tym rzeczywiście ... policjant wystawiony jest na różne niebezpieczeństwa.

- Naturalnie. I to bardzo poważne.

- Dzisiaj na całym świecie jest niebezpiecznie, Gav.
- Wiem. Ale ty jesteś w centrum tego wszystkiego. W oku cyklonu. Stykasz się z przestępcami. Skąd wiesz, czy nie trafi cię kiedyś zabłąkana kula?

Kevin wzruszył ramionami.

- Może mnie jakoś ominie - odparł.

Gavin uśmiechnął się na ten ponury dowcip. Musiał przyznać, że Kev był niezły w robieniu dobrej miny do złej gry. Upił łyk wina i pospiesznie podjął:

- Rosie niepokoi się o ciebie. I Nell także, podobnie jak wszyscy twoi przyjaciele. Nie chcesz z tym skończyć, Kevin?

- A ty? Czy potrafiłbyś zrezygnować z zawodu aktora?

- Nie.

- No to masz odpowiedź.

- Tylko że ja nie ryzykuję życia ...

- Bzdura! Wypadki zdarzają się również na planie filmowym. Na świecie pełno jest złoczyńców. Należy z nimi walczyć.

Gavin pokręcił głową.

- Jesteś niepoprawny. Widzę jednak, że się nie zmienisz.

- Racja, kolego.

Gavin przesunął dłonią po białej wełnianej poduszce i mruknął:

- Daj spokój, Kevin. Rzuć to. Ja dam ci inną pracę.

- Jaka?

- Zostaniesz moim asystentem.

- Cholera, Gavin, nie musisz się dla mnie poświęcać! - krzyknął powodowany nagłą złością Kevin.

- Nie mam takiego zamiaru. Naprawdę. Serio potrzebuję kogoś, kto potrafiłby utrzymać w ryzach moją ekipę.

- A sekretarz ... ?

- Mam sekretarza, ale on zajmuje się innymi sprawami. Potrzebny mi asystent. Człowiek, któremu mógłbym zaufać. Postawię rzecz jasno. Znamy się obaj od bardzo dawna. Jesteśmy prawie jak bracia.

- Wspominałeś już o tym Nell?

- Nie ... Skądże znowu! Ale z pewnością ucieszyłaby ją wieść, że zmieniłeś zajęcie.

- To nie dla mnie. Dzięki, Gav, wiem, że chcesz jak najlepiej, ale taka robota mnie nie nęci.

- W każdym razie podtrzymuję ofertę. Nie musisz decydować teraz.

Kevin westchnął.

- Dzięki raz jeszcze. Wiem, że gadam jak prostak. Złożyłeś mi wspianiałą, wielkoduszną propozycję. Jestem jednak gliną z krwi i kości, tak jak mój dziad i pradziad. I nie sądzę żebym potrafił odnaleźć się w innym zawodzie.

- Zdaje się, że masz rację ... Powinienem o tym wiedzieć ...

A swoją drogą, co jest między tobą a Nell? Chcecie związać się na stałe?

Kevin spojrzał przenikliwie w oczy przyjaciela. Długo milczał, aż wreszcie odpowiedział:

- Ostatnio sporo się nad tym zastanawiałem. Mówiąc szczerze, już ją poprosiłem o rękę ...

Powiedziała, że musi najpierw wszystko rozważyć ... Jak na razie nie padło z jej ust "tak".

- To szkoda. Jesteście dla siebie stworzeni.

- Przekonaj o tym Nell.

- Zrobię to.. jeśli mi pozwolisz.

- Jasne, nie krępuj się. Tak na marginesie... Wcześniej jakoś nie chciałeś mówić o sobie. Co jest właściwie między tobą a Louise?

- Nic specjalnego. Louise ... jakby to powiedzieć ... Ta kobieta mieszka w moim domu, wydaje moją forszę i pieprzy się na dodatek z jakimś senatorem z Waszyngtonu - Gavin z irytacją wzruszył ramionami. - Gdyby żył mój dziadek, to wyzwałby mnie od osłów.

- A mój od baranów.

Uśmiechnęli się do siebie.

- Chcesz zostać z Louise? Co w ogóle zamierzasz zrobić? - spytał Kevin.

- Na razie nie mam ochoty na drastyczne zmiany ...

- A powrót do Ameryki nie był właśnie taką zmianą?

- Och, i tak zwykle jestem w rozjazdach. Po prostu wynajęłam mieszkanie w Nowym Jorku, swoim rodzinnym mieście, aby ukończyć produkcję filmu ... Przez kilka miesięcy będę bardzo zajęty.

Sądzę, że Louise w końcu sama odcepi się ode mnie. Mogę na to poczekać. Nie spieszy mi się.

- Nie masz nikogo ... ? Gevin zaprzeczył gestem. - żadna słodka i śliczna dama nie koi mnie do snu ... Pozostała mi praca. I wystarczy.
- Spotkasz jakąś pewnego dnia.
- Może ...
- Zatrudniasz tu kucharkę albo jakąś pomoc? - zapytał niespodziewanie Kevin.
- Nie. A czemu pytasz?
- To gdzie jadasz obiady? Wiem, że nie znosisz restauracji... Tam ludzie zwracają na ciebie uwagę.
- Kev, nie gań mnie za. to, że nie przepadam za pu blicznymi miejscami.
- No, widzisz - podjął triumfalnie Kevin. - Zastanów się, co gorsze. Mnie gangsterzy mogą poczęstować kulką, a ciebie rozszalałe wielbicielek porozrywać na kawałki.
- Ach, wszystko jedno - Gavin machnął dłonią z rezygnacją.

Po chwili wstał i przeszedł się po pokoju. Naraz raptownie zwrócił się do Kevina.

- Właściwie to wyjdziemy dzisiaj - stwierdził.
- Tak. Dokąd?
- Pojedziemy do centrum. Do studia, którego właścicielem jest Robert De Niro. Wyświetle specjalnie dla ciebie *Twórcę Królów* i tam na miejscu coś zjemy.
- Brzmi to nieźle. I mam nadzieję, że będziemy tam bezpieczni. Obaj.
- Jasne jak słońce. Masz moje słowo, Kevin.

30

Panowało przenikliwe zimno. Deszcz i !oieg oblepiały przednią szybę samochodu.

_ Paskudny wieczór - stwierdził ponuro swfer, włączając wycieraczki.

- Trudno będzie dojechać na State Island.

_ Tu w środku jest przecież sucho, Carlo - odparł lodowatym głosem Vito. - I ciepło. Nie marudź więc. Lepiej wrzuć jakąś kasetę. Z piosenkami Johnny'ego. Jego ostatnią płytę ... No wiesz, *Fortune's Child*.

_ Już się robi - odparł Carlo i spełnił życzenie Vito.

I zaraz aksamitny tenor Johnny' ego Fortune rozległ się w samochodzie.

Vito odprężył się, rozparł wygodniej na tylnym siedzeniu i uśmiechnął się do siebie. Rozkoszował się dźwiękami piosenki *You And Me, We Wanted It Ali*, wykonywanej przez Johnny'ego.

Vito był bardzo dumny ze swego wychowanka, który wyrósł na wielkiego gwiazdora. Johnny obecnie przerósł konkurencję. Dorównywał najslawniejszym piosenkarzom z przeszłości. W wieku trzydziestu ośmiu lat wspiął się na sam szczyt. Stał się ulubieńcem nie tylko Ameryki, ale i całego świata.

Vito przymknął na chwilę powieki, upajając się śpiewem Johnny'ego.

Westchnął i pomyślał: Tak, mój drogi Johnny ma doprawdy anielski głos.

Był 23 stycznia 1992 roku. Jak w każdy czwartek Vito miał spotkać się z Salvatore na cotygodniowej rodzinnej kolacji. Od sześciu lat familia zbiepła się właśnie w czwartki - stało się to już rodzajem rytuału. Vito wspominał lata swjej młodości: świętej pamięci Angelinę i Salvatore z Theresą.

Upłynęło tyle czasu. Rozmyślał, ile jeszcze pozostało tych czwartkowych kolacji. Obaj z Salvatore zbliżali się już do osiemdziesiątki, mimo to Vito trzymał się całkiem dobrze. Dokuczał mu jedynie artretyzm i miał nieco nadwagi. Nie wyglądał na swój wiek, wiedział o tym. Podobnie Salvatore. Owszem, włosy im posiwiały, na twarzach pojawiły się głębokie zmarszczki ... lecz umysły pracowały sprawnie jak za dawnych lat.

Salvatore nadal trzymał wszystko pewną ręką. Był panem Wschodniego Wybrzeża. *Capo di tutti capi*. Vito odczuwał dumę z faktu, że łączyła go przyjaźń z Salvatore. I naturalnie szczycił się Johnnym.

Bardzo podobała mu się piosenka, którą śpiewał Johnny.

You And Me, We Wanted /t All- "Ty i ja ... pragnęliśmy wszystkiego" . Czyż w tym tytule nie kryła się głęboka życiowa prawda? Vito

i Salvatore też chcieli wszystkiego. I dopięli celu. Gdy było trzeba - siłą. Niektórzy nazywali ich niebezpiecznymi, brutalnymi, bezwzględными ludźmi. Ale to nieprawda. Obaj po prostu byli konsekwentni i pracowici. W młodości, jako emigranci nie znający angielskiego, z marnymi

widokami na sukces, zaznali nędzy. Zdarzało się, że cierpieli głód. Musieli uciekać się do wszelkich środków, by przetrwać.

Vito znów uśmiechnął się pod nosem. Pomyślny los padł na ich karty.

Zahartowali się w codziennych bojach, żadna przeszkoda ich nie przerażała. Przez ponad sześćdziesiąt lat udało im się nie wejść w otwarty konflikt z wymiarem sprawiedliwości. Być może mieli szczęście. Salvatore często dawał łapówki skorumpowanym policjantom. Lecz cóż za uszczerbek stanowiło dla niego tych kilka kopert wypchanych gotówką? Obaj mogli sobie na to pozwolić. W ten sposób kupowało się spokój.

Nikt nie jest do końca święty - pomyślał Vito i wybuchnął głośnym śmiechem. - Każdego można przekupić. To tylko kwestia ceny. Jednych pieniędzmi, innych specjalnymi przysługami. Wielu facetów było łasych na dziwki. Preferowali ich usługi od forszy ... Ludzie są zepsuci do cna -dumał Vito. - A cały świat pełen jest gówna. Postęp ludzkości... toż to wierutna brednia! Należy się trzymać starych, sprawdzonych wartości. Papugi z gazet wieszają psy na członkach mafii, ale to tylko dowód czystej hipokryzji. Mafiosi to ludzie jak inni - pomyślał - ani lepsi ani gorsi. Przestępstwa popełnia się na każdym kroku. A już najgorsi są politycy. Wszyscy mają coś na sumieniu ... No i artyści. Z wyjątkiem Johnny'ego.

- Ja i Salvatore działaliśmy po swojemu - Vito szepnął do siebie.

- Stworzyliśmy własne prawa, własne reguły. Łączyło nas i łączy prawdziwe braterstwo.

Uśmiechnął się na wspomnienie przyjemnych, minionych chwil. Johnny Fortune.

Wielki gwiazdor.

Jego duma i radość.

Jego wychowanek.

Vito kochał go niczym rodzzonego syna.

Johnny w tym tygodniu odwiedził Nowy Jork. Miał dziś zjawić się na rodzinnej kolacji.

Przyjechał limuzyną z Manhattanu. Vito był bardzo szczęśliwy. zapowiadał się wielki wieczór.

Dom Salvatore Rudolfo stał z dala od szosy, otoczony wysokim murem z cegieł, w którym znajdowała się solidna, żeliwna brama; posesji strzegło

wielu uzbrojonych ludzi.

Vito wiedział, że pełno tu strażników, czuł po prostu ich obecność, choć

ich nie widział - z wyjątkiem dwóch, którzy jakby spod Ziemi zjawili się przy bramie, gdy zajechał samochód.

Strażnicy upewnili się, kto to, i powoli rozwarli wrota. Carlo wjechał czarnym cadillakiem na parking przed frontowymi drzwiami, a potem pomógł Vito wyjść z wozu. Carlo naturalnie również należał do organizacji.

Vito rzucił jeszcze na niego okiem i wszedł na schody.

Gdy znalazł się w holu i zdjął płaszcz, zorientował się, że dziś wszystko tu wygląda jakoś inaczej. Zwykle w czwartki obecni byli jedynie najbliżsi krewni i przyjaciele Salvatore. Obecnie zauważył kilka innych grubych ryb z mafli. Naraz otworzyły się drzwi do gabinetu Salvatore i stanął w nich Anthony Rudolfo, kuzyn i doradca szefa. Podeszedł do Vito, pocałował go w oba policzki i powiedział:

_ Salvatore pragnie z tobą porozmawiać, Vito, nim rozpocznie się kolacja.

Vito skinął głową i podążył niezwłocznie do gabinetu przyjaciela. Zmarszczył czoło. Coś tu nie grało.

Salvatore siedział w fotelu koło kominka. Na widok Vito wstał i podeszedł się przywitać. Dwaj mężczyźni, druhowie z Palermo, objęli się i wycelowali, jak na prawdziwych Sycylijczyków przystało.

_ Wspaniale wyglądasz, Salvatore - rzekł Vito. - Jak na sędziwego człowieka.

Salvatore roześmiał się i odpowiedział:

- I ty też, stary kamracie.

Drgnął ledwo dostrzegalnie i dodał:

- Zimną mamy noc, Vito. Nawet diabłu zmarzłby dzisiaj ogon - zarechotał gardłowo. - Pamiętasz, jak trzęśliśmy się z chłodu jako dzieciaki w naszych cienkich łachmanach? Jak próbowaliśmy się ogrzać w tych szczurzych norach na Manhattanie, które nazywaliśmy domami? Tak to bywało ...

- Jasne, że pamiętam. Nie zapomniałem niczego, Salvatore. Szef objął Vito ramieniem i poprowadził go w stronę kominka.

- Dawne czasy ... Dziś to już tylko wspomnienie. Ale zestarzeliliśmy się obaj i zimno znowu nam

doskwiera. A więc usiądźmy i rozkoszujmy się ciepłem ognia. Mówiąc to, wyjął z barku butelkę czerwonego wina i nalał trunku do dwóch kielichów aż po brzegi.

- Ogień ogrzeje twoje ciało - stwierdził - zaś wino krew. Tracili się szkłem i cicho wzniesli toast:

- Za braterstwo.

Wziąwszy spory łyk, przez chwilę delektowali się jego smakiem. To była już jedna z nielicznych przyjemności życia, jakie im zostały. Usiedli w fotelach i przyglądali się sobie przez dłuższą chwilę.

Wreszcie Vito rzekł:

- Po co wezwałeś ich dzisiaj? Spodziewasz się jakichś kłopotów? Salvatore Rudolfo potrząsnął głową.

- Tylko na wszelki wypadek. Nie lubię paskudnych niespodzianek.

Trzeba zachować ostrożność. To przecież jedna z naszych starych zasad, Vito. A niby czemu je zmieniać?

- Do czego zmierzasz? - zapytał Vito, mrużąc oczy.

- Mamy kłopoty z innymi rodzinami. Gambinowie są w trudnym położeniu. Sammy za dużo wyśpiewał - syknął. - Przeklęty tchórz! Natomiast Colombowie zwariowali, skaczą sobie do gardeł, zabijają się nawzajem. Mam nadzieję, że nie będą prowadzić wojny między rodzinami. Jak w przeszłości.

- Nie sądzę, by do tego doszło.

- Kto wie? Kto wie? - Salvatore uniósł ręce w geście bezradności i wzruszył ramionami. - Ktoś w Nowym Jorku może wykorzystać sytuację i zająć miejsce Gambinów i Colombów. Pachnie mi wojną. Tak ... lepiej się przygotować na poważne kłopoty.

- Racja, Salvatore. Trzeba się zabezpieczyć.

Salvatore pochylił się. W jego przymglonych oczach rozbłysła nagle iskra młodzieńczego wigoru. Wbił spojrzenie w swego starego przyjaciela

i powiernika.

_ Może powinienem zwołać zebranie wszystkich rodzin ... Ściągnąć ludzi ...

- Tak jak w 1957? - spytał Vito.

_ Właśnie. Zrobić konferencję. Zdecyduję jeszcze, co zrobić. Zaczynają nam za bardzo patrzeć na ręce ... Gliniarze, federalni, dziennikarze ... Robi się gorąco. - westchnął. - Biorą nas na widelec, a to niedobrze. Pojmujesz?

- Tak. Możesz na mnie liczyć.

- I jeszcze Joey Fingers - dodał Salvatore.

- Co z nim?

_ Uderzyło mu do głowy i za szybko naciska na spust. Ma z nami związki, a więc stał się dla nas groźny. Ludzi trzeba mieć na oku, Vito, zawsze to powtarzałem. A za wiele hałasu nie jest dla nas korzystne. _ Salvatore urwał i choć był. we własnym domu, na wszelki wypadek dodał chrapliwym szeptem: - Dla nas i całej Cosa Nostry.

Vito przytaknął i uściśnił dłoń Salvatore na znak, że go zrozumiał.

Po upływie chwili zapytał:

- Kto zajmie się Joeyem Fingersem?

_ Na razie nikt. Poczekamy. Zobaczymy, co robi - Salvatore westchnął głęboko i smutno pokręcił głową. - Już nie jest tak jak dawniej, przyjacielu. Czasy się zmieniły.

Vito nie odpowiedział i na moment pogrążył się w myślach. Salvatore to nie szef od parady. Wie, co robi i nie zmyśla, ot, tak sobie. Vito przyglądał

mu się przez chwilę. Tak, Salvatore był mocno zbudowanym mężczyzną - wysokim, bez grama tłuszczu. Twarz miał poraną bruzdami, jednak wciąż ze śladami męskiej urody. Orli nos, gęste brwi i bardzo wyraziste oczy - błękitne niby Morze Śródziemne wokół Sycylii, raz dobre i ciepłe, to znów zimne niczym sopel lodu.

Z zadumy wyrwał go głos Salvatore:

- A gdzie Johnny?

_ Przyjedzie, Salvatore, przybędzie lada chwila. Nie martw się - Vito wstał i podszedł do okna,

wyrzął przez nie i po chwili krzyknął: - Och, już tu jest! Dobry chłopak - zerknął na zegarek. - Nie spóźnił się.

Teresa Rudolfo, żona Salvatore, siedziała u szczytu stołu. Była wysoką, szczupłą, stateczną kobietą po siedemdziesiątce. Miała zupełnie siwe włosy i bystre oczy. Jak zwykle miała na sobie czarną suknię, do której włożyła trzy długie sznury prawdziwych pereł. Z jej postaci biły duma i godność. Stół nakryty był białym obrusem, wyszywanym złotą nicią. Zastawa składała się z porcelanowych naczyń i srebrnych sztućców niebotycznej wartości. W wazonie stały świeże kwiaty, a obok świece w srebrnych kandelabrach.

Przy stole prócz Teresy i gospodarza zasiadło czworo dorosłych dzieci:

Maria, Sophia, Frankie oraz Alfredo, a także brat Salvatore, Charlie, i kuzyn Anthony wraz z małżonką.

Vito zajął miejsce po prawej ręce Teresy.

Johnny natomiast siadł tam, gdzie zawsze - po prawicy głowy rodu. Podano sałatki z kapusty, ziemniaków, oliwek i pokrajanej w talarki

cebuli, smażone ryby, makaron z sosem pomidorowym i kurczęta z rożna. Czerwone wino nalewał do kieliszków Alfredo. Przy każdym talerzu leżały kromki sprowadzanego z Włoch chleba.

Wszyscy żartowali i śmiali się.

Wszyscy, z wyjątkiem Teresy. Tylko ona była spokojna jak głaz, ograniczając się do słuchania i przypatrywania się zgromadzonemu.

Czasem tylko rzuciła słowo lub dwa do swych córek, które pomagały jej w nakładaniu jedzenia na talerze mężczyznom i wносиły do kuchni opróżnione naczynia.

Johnny obserwował ją ukradkiem. Ona jest niezadowolona z mojej wizyty - myślał sobie. - Nie lubi mnie. To spostrzeżenie uderzyło go. Ciotka Teresa nigdy za nim nie przepadała. Zdało mu się nawet, że pogardzała nim. Zapytał siebie, dlaczego. Odpowiedź mogła być tylko jedna: ponieważ faworyzował go Salvatore. Była po prostu zazdrosna o uczucia swego męża. Salvatore bowiem nigdy nie ukrywał przywiązania, jakim darzył Johnny'ego.

Vito nawiedziły podobne myśli. Jednak stary człowiek szybko odpędził je od siebie. Teresa przecież zbliżała się do kresu swoich dni. Nie była tak zjadliwa jak kiedyś, nie liczyła się już tak w rodzinie. Nie zwracano uwagi na jej dąsy. W każdym razie nie Salvatore, który nigdy jej nie kochał.

Po kolacji Salvatore wziął Johnny'ego i Vito do swojego sanktuarium i zamknął za sobą drzwi.

_ Napij się, Johnny - zachęcił, nalewając trunek do smukłych kieliszków. - Ty też, Vito.

Vito skłonił się nieznacznie, a Johnny wziął kieliszek i podziękował.

Trzej mężczyźni trącili się szkłem i usiedli w pobliżu kominka, w którym płonął ogień.

_ Moje gratulacje-Salvatore zwrócił się z uśmiechem do Johnny'ego.

_ Miałeś wspaniały koncert w Madison Square Garden w zeszłą sobotę. Bardzo nam się podobał.

_ Wyprzedano wszystkie bilety na wiele dni wcześniej - stwierdził piosenkarz. - Jak dotychczas to mój największy sukces.

_ Jesteśmy z ciebie dumni, Johnny. Stałeś się gwiazdorem. I dokonałeś tego sam.

_ Och, daj spokój, wuju Salvatore! Wiem, ile zawdzięczam tobie i wujowi Vito.

- Wszystko jest twoją własną zasługą.

Zdezorientowany Johnny gapił się na Salvatore, a potem przeniósł wzrok na Vito, który lekko skinął głową, dając do zrozumienia, że szef mówi prawdę. Salvatore wyjaśnił:

_ Załatwiliśmy ci koncerty w paru klubach w kraju i szepnęliśmy słówko kilku facetom w Vegas, nic poza tym. Pragnęliśmy, żebyś przebył trudną drogę na szczyty samodzielnie, jak w przeszłości wszyscy z rodziny.

Johnny, szczerze zdumiony, zapytał:

- Ale dlaczego?

_ Nie chcieliśmy cię mieszać w nasze sprawy. Miałeś pozostać czysty - odpowiedział cicho Salvatore.

_ Inaczej mógł paść na ciebie cień, Johnny - dodał Vito. - Lepiej, żeby nie kojarzano cię z ...

organizacją. Woleliśmy więc działać zakulisowo. _ Cóż ... Tak czy owak, dziękuję - odparł Johnny i uśmiechnął się do obu mężczyzn. - A ja sądziłem, że jestem pod waszą ochroną.

_ I nie myliłeś się - stwierdził Salvatore. - Byłeś i jesteś. Zawsze. Pozwoliliśmy ci jednak walczyć o sławę samodzielnie. No i... - tu uśmiechnął się do Johnny'ego - nie zawiodłeś nas. Spotkało nas z twojej strony tylko jedno rozczarowanie.

Johnny spojrzał na niego ze zdziwieniem i pewnym niepokojem.

- Jakże?

_ Nie ożeniłeś się, Johnny. Byłoby lepiej, gdybyś znalazł sobie jakąś miłą Włoszkę - Salvatore z zadumą pokiwał głową. - Mężczyzna potrzebuje kobiety, żony.

- Zgadzasz się z tobą, wuju Salvatore, ale dotąd nie spotkałem właściwej dziewczyny.

- Jaka szkoda! - rzekł Salvatore. - Cóż, jesteś młody, masz jeszcze czas. - Zamoczył usta w alkoholu i zapadła krótka chwila ciszy. Wreszcie Salvatore zwrócił się ponownie do Johnny'ego. - A więc wybierasz się do Europy? Opowiedz mi o tej planowanej podróży ... Dokąd się udasz?

Johnny ochoczo zaczął rozprawiać o szczegółach przygotowywanej krótkiej trasy koncertowej.

Salvatore słuchał uważnie. Od czasu do czasu kiwał głową i zadawał jakieś pytanie.

Vito nie odzywał się przez ten czas, pogrążywszy się w rozmyślaniach. Tak ... - dumął - upłynęły dziesiątki lat.

Uległ złudzeniu, że oto widzi przed sobą trzydziestoletniego Salvatore Rudolfo. Bardzo przystojnego, tak przystojnego jak Johnny obecnie. Kobiety szalały za Salvatore, ale on nie zwracał na nie większej uwagi. Był pruderyjny, w każdym razie bywał, i to często.

Vito westchnął. Zabawne to życie, pełne dziwnych, absurdalnych zdarzeń. On sam wołał logikę i porządek. I miał nadzieję, że Salvatore również. Przymknął oczy zatopiony w rozmyślaniach, rozkoszując się ciepłem płynącym z kominka, wybornym aromatem trunku, atmosferą rodzinnego spotkania. Był ukontentowany. Zapadł w drzemkę.

- Dam znać, gdy znajdę się w Londynie, wuju Salvatore - powiedział głośniejszym głosem Johnny i Vito drgnął.

- Proszę? Co mówiłeś? - spytał Johnny'ego, mrugając powiekami. Salvatore wybuchnął jowialnym śmiechem.

- Spałeś, stary repie.

Vito uśmiechnął się. Zaprzeczając zrobiłby z siebie głupca, więc nie powiedział ani słowa.

Podszedł do niego Johnny i pomógł mu podnieść się z fotela.

Wycalowali się w policzki i uścisnęli serdecznie.

Potem Johnny pożegnał się równie wylewnie z Salvatore i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Obaj starsi mężczyźni ponownie zajęli miejsce przy kominku. Patrząc na siebie, porozumiewali się bez zbytecznych słów.

Wreszcie Vito rzekł: - Nie spałem.

Salvatore zarechotał na to.

_ Naprawdę - zapewnił go Vito. - Śniłem ... Marzyłem.

- O czym, druhu?

_ O przeszłości - Vito westchnął głęboko, a na jego obliczu zawitał uśmiech. - Wspomniałem, jak byłeś w wieku Johnny'ego, Salvatore. Byłeś urodziwy, zupełnie jak on teraz. Miałeś takie same włosy, takie oczy, podobną twarz ...

Salvatore wyprostował się w fotelu, nie skomentował jednak słów przyjaciela. Zwyczajnym gestem uniósł kieliszek do ust. Vito podjął:

_ . Jest takie zdjęcie ... w albumie Angeliny. Zrobione w 1946 roku. Ty, ja, Teresa i ona. Miałeś wówczas trzydzieści osiem lat. Gdyby ktoś spojrzał na tę fotografię, to mógłby pomylić Johnny'ego z tobą.

Salvatore nadal się nie odzywał.

_ Nie mam pojęcia, dlaczego dotychczas nikt nie zwrócił uwagi na podobieństwo między wami.

Salvatore odchrząknął, a Vito dodał:

_ Jedynie Teresa ... - urwał na moment. - Ona zawsze wiedziała.

_ Możliwe - stwierdził lakonicznie Salvatore.

_ Dlaczego nigdy nie powiedziałaś Johnny'emu?

- Uznałem, że tak będzie lepiej.

_ Gina, moja siostra, kochała cię, Salvatore. Byłeś dla niej wszystkim po śmierci Roberto. Chciała, by Johnny dowiedział się, że jesteś jego ojcem. Pragnęła, by poznał prawdę.

_ Nie - odrzekł Salvatore cichym, lecz bardzo stanowczym głosem, odstawiając kieliszek. Pochylił się ku Vito, wbił weń twarde spojrzenie i dorzucił: - On nie może o tym wiedzieć. To powinno

pozostać między nami.

- Dlaczego?

_ Głupie pytanie, Vito - Salvatore pokręcił głową. - Chyba się zestarzałeś.

Vito zignorował tę uszczypliwą uwagę:

_ Cóż złego wynikłoby z tego, że on ... ?

_ Nie! -powtórzył Salvatore. -Będzie tak, jak ja chcę. Na niego nie padnie żaden cień: Mój syn Johnny ma pozostać czysty - spojrzął na Vito przenikliwie i zapytał: - Jasne?

31

Po śmierci Collie w połowie stycznia Rosie wróciła z Montfleurie do Paryża i zajęła się pracą. Poświęcała jej wiele godzin każdego dnia. Wyszukiwała sobie różne zajęcia, ponieważ już dawno odkryła, że praca pomaga zagłuszyć ból.

I teraz pozwalała jej, choć na chwilę, zapomnieć o smutku. Rosie bardzo rozpaczała po odejściu Collie, z którą przyjaźniła się, od kiedy się poznały w 1982 roku.

Collie często powtarzała, że była to "miłość od pierwszego wejrzenia" .

Rosie czuła podobnie. Od samego początku przypadły sobie do serca. Potem Rosie wyszła za Guy. Jej małżeńskie problemy nie zmieniły nastawienia do Collie. Właściwie nawet stały się sobie bliższe. Collie zawsze stawiała po stronie Rosie, pocieszała ją i pomagała przetrwać trudne chwile. Teraz Rosie boleśnie odczuwała utratę przyjaciółki i wiedziała, że zawsze będzie za nią tęsknić.

Tak więc intensywne prace przynosiła ulgę. Rosie czuła, że robi postępy w projektowaniu. Zdjęcia do filmu miały rozpocząć się już niedługo.

Gavin wciąż siedział w Nowym Jorku. Natrafił na trudności w końcowych pracach nad *Twórcą Królów*. Ściągnął do siebie do pomocy Aidę. Poprosił ją także, by przesunęła termin rozpoczęcia zdjęć w studio "Billancourt" . Aida miała przyjechać do Paryża wraz z resztą ekipy dopiero w marcu. Wtedy też do Paryża wybierał się Gavin.

Rosie wiedziała jednak, że mimo opóźnienia i tak będzie miała pełne ręce roboty. Czekają ją wielkie zadanie. Musiała odtworzyć kostiumy historyczne, co było o wiele bardziej skomplikowane niż projektowanie współczesnej odzieży.

Tego jasnego, słonecznego poranka Rosie stała na środku swojej pracowni i przyglądała się paru szkicom. Był początek lutego. Ów przestronny pokój znajdował się na tyłach apartamentu Rosie przy rue de l'Universite w Siódmej Dzielnicy. Z olbrzymich okien sięgających od podłogi do sufitu roztaczał się wspaniały widok.

Rosie ukończyła pierwszych sześć szkiców. Opracowała je z największym pietyzmem. U stawiała je teraz rzędem na półce, specjalnie przed laty zbudowanej po to, by przeglądać na niej rysunki.

Półka rozciągała się na całą długość ściany. Szkice rzeczywiście były z niej doskonale widoczne. Wszystkie mieniły się różnymi kolorami. Trzy przedstawiały stroje Napoleona, którego miał grać Gavin Ambrose, a pozostałe trzy suknie Józefmy. Nie było jeszcze wiadomo, kto odtworzy postać cesarzowej.

Rosie przypatrzyła się pierwszemu ze swych dzieł - strojowi Napoleona.

Gavin miał go nosić podczas sceny koronacji. Kostium był wyszukany i dosyć skomplikowany. Koszulę z białego jedwabiu zdobiły złote hafty, płaszcz miał być z futer sobóli. Do tego złoty wieniec, stylizowany na diadem rzymskich cesarów.

Rosie zamierzała stworzyć dokładną replikę prawdziwego stroju Napoleona. Jak zwykle, bardzo zależało jej na wrażeniu autentyczności.

Drugi szkic był projektem jednego z mundurów wodza. Strój składał się z pary białych obcisłych spodni, czarnych butów z cholewami, płaszcz w takim samym kolorze ozdobiony złotymi naszytami oraz trójgraniastego kapelusza. Trzeci rysunek ukazywał codzienne ubranie Napoleona. Siegające kolan bryczesy, płaszcz, białe jedwabne pończochy oraz czarne pantofle ze złotymi sprzączkami.

Rosie przyglądała się szkicom przez parę minut, a potem podeszła do rysunków przedstawiających stroje Józefmy. Suknia koronacyjna była bardzo wymyślna, podobnie jak ubiór Napoleona zaprojektowany na tę okazję. Miała zostać uszyta z wielu metrów białego jedwabiu przetykanego złotą nicią. Filmową Józefmę winna zdobić także wspaniała biżuteria i brylantowy diadem. Jednak nie ten kostium przyciągał w owej chwili uwagę Rosie. Przyglądała się wieczorowej sukni wiszącej na modelu krawieckim, którą sama skroiła. Stanowiła ona wzorzec, z którego korzystały potem krawcowe. Rosie zaczęła jeszcze raz upinać materiał. Suknia miała podniesioną talię,

głęboki dekolt i krótkie bufiaste rękawy. Uszyto ją ze srebrzystego jedwabiu oraz jasnoniebieskiego szyfonu. Szyfon ozdobił stanik sukni oraz rękawy. Rosie wyciągnęła teraz kilka szpilek, wbiła je w poduszczykę przymocowaną do ramienia i ujęła materiał w dłoń. Probowwała zmarszczyć go i upiąć tak, jak trzeba. Minęło prawie dziesięć minut, zanim osiągnęła zadawalający rezultat.

Układanie fałd było wielką sztuką, lecz Rosie szło to tak łatwo jak szkicowanie. Nauczyła się drapować w pracowniach Trigere, znanej amerykańskiej krawcowej urodzonej we Francji. Poznała ją dzięki swojej ciotce, Kathleen, siostrze ojca, która zmarła dwa lata wcześniej. Kathleen Madigan była jedną z kierowniczek działu zakupów w sklepie "Bergdorf Goodman". Załatwiła bratanicy wakacyjną pracę w pracowni krawieckiej, gdy Rosie studiowała w Instytucie Mody.

Rosie zawsze twierdziła, że nauczyła się układać fałdy u samej mistrzyni. Paulina Trigere była bowiem znana ze swych umiejętności w tej dziedzinie. Drapowała tkaniny w taki sposób, jak rzeźbiarz modeluje glinę. Projektowała stroje, upinając od razu materiał na modelu krawieckim, nie zaś szkicując najpierw ołówkiem na papierze.

Rosie zrobiła jeszcze kilka fałdek z tyłu i zręcznie spięła je szpilkami. Potem odeszła parę kroków, przekrzywiła głowę i przyjrzała się swojemu dziełu. Nie wyglądało jeszcze tak, jak chciała. Aby odświeżyć nieco pamięć, Rosie otworzyła książkę zawierającą model sukni. Tom ten podarował jej Henr de Montfleurie. Był to ilustrowany album o Napoleonie. Znajdowały się tam ryciny ukazujące cesarza, jego żonę, ich orszak, miejsca, w których mieszkali, oraz pola bitewne. Rosie zatrzymała się przy portrecie Józefmy w srebrzystej sukni i długo mu się przyglądała. Następnie znowu zaczęła układać materiał.

Pół godziny później usłyszała dzwonek do drzwi. W pierwszej chwili przestraszyła się. Spojrzała na zegarek stojący na biurku i ku swojemu zdziwieniu stwierdziła, że dochodziła już pierwsza. Odpięła z ramienia poduszczykę na igły, zdjęła biały fartuch i poszła do przedpokoju. Spodziewała się Nell, którą zaprosiła na lunch. Przyjaciółka przyjechała niedawno do Paryża. Rosie otworzyła drzwi i obie rzuciły się sobie w ramiona. Przywitały się serdecznie, mówiąc jedna przez drugą, jak bardzo się cieszą ze spotkania.

Rosie wciągnęła Nell do środka i zamknęła drzwi. Zrobiwszy krok do tyłu, przyjrzała się przyjaciółce z podziwem.

- Wyglądasz wspaniale, Nell. Pewnie dobrze układa ci się z moim bratem?

Nell roześmiała się i przytaknęła.

- W zasadzie tak - odparła.

Rosie nie podjęła dalej tematu. Pomogła Nell zdjąć futro z nerek i zaprowadziła ją do biblioteki. Był to niewielki, przytulny pokój, urządzonej w stylu *belle epoque*. Płonął tam ogień na kominku, silnie pachniała mimoza i inne kwiaty.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła Nell. - Gdzie udało ci się znaleźć mimozę o tej porze roku?

- Dostałam od Johnny'ego. Kupił ją w "Lachaume". To najbardziej ekskluzywna kwiaciarnia w Paryżu. Mają tam cieplarnię i hodują wiele rzadkich kwiatów.

- Coś podobnego! - rzekła Nell i uśmiechnęła się do Rosie.

- Powiedziałaś mi, że lubisz róże i fiołki.

- Także je przysłał. Są w salonie.

- Poszedł na całość - stwierdziła Nell, pochyliła się nad wazonem i powąchała mimozę. - Pachnie bosko. - Wyprostowała się, podeszła do kominka i zaczęła przyglądać się Rosie, która właśnie otwierała butelkę z białym winem, dopiero co wyciągniętą z lodu. - To widać jak na dłoni, że on na ciebie leci, Rosie. Zdecydowanie postanowił cię uwieść.

Rosie uśmiechnęła się lekko, wyciągając korek z butelki.

- Coś takiego też mi przyszło do głowy, Nelly. Wspomniałam ci kiedyś, że zadzwonił do mnie w grudniu do Montfleurie. W zeszłym tygodniu powiedział, że wybiera się do Paryża przez Londyn. Nell usiadła na krześle, oparła się i założyła nogę na nogę.

- Nie musisz się tłumaczyć. Nie potępiam cię. Wprost przeciwnie. Myślę, że przydałby ci się jakiś romans. Trochę rozrywki i miłości. Zwłaszcza po tylu latach kłopotów z Guy. A przy okazji, co z twoim rozwodem?

- Jest w toku. Guy nie sprzeciwia się. Podpisał wszystkie papiery.

- Ile cię to będzie kosztować?

Rosie spojrzała na przyjaciółkę.

- Skąd wiesz, że w ogóle będę ponosić jakieś koszty?

- Och, Rosie, Rosie - Nell pokiwała głową. - Jak myślisz, gdzie ja mam oczy? Guy de Montfleurie wygląda na niezłego drania. Wystarczy na niego spojrzeć. Na pewno coś z ciebie wyciągnął. No, ile

mu dałaś?

- Kupiłam bilet na Daleki Wschód i wręczyłam dwa tysiące dolarów.

Chciał więcej, ale odmówiłam. Prawdę mówiąc, nie miałam zbyt wiele odłożonych pieniędzy. Guy zadowolili się tym, co dostał.

- Nie rozumiem, czemu w ogóle mu coś dałaś! - wykrzyknęła oburzona Nell.

- Opłacało się, uwierz mi. Chciałam mieć go z głowy i zależało mi na tym, żeby przestał nękać Hemi. Nie ufam Guy. Obawiałam się, że może wrócić do Montfleurie i znowu narobić wszystkim kłopotów. Gdy tylko podpisał potrzebne dokumenty, wysłałam go do Hongkongu. Przynajmniej tutaj nie będzie wchodził nikomu w drogę.

Nell wzięła od Rosie wino. Trąciły się kieliszkami.

- Jeśli nie masz nic przeciwko, Nell- powiedziała Rosie - możemy zjeść tutaj. Nie chce mi się wychodzić. Mam masę roboty.

- Dobrze. Jak ci idzie projektowanie?

- Świetnie. Kostiumy są doŚC skomplikowane, jak pewnie wiesz.

Cieszę się jednak, że mogę pracować. Pomaga mi to odzyskać równowagę po śmierci Collie.

- Wyobrażam sobie, przez co przeszłaś. Ona była taka młoda - Nell pochyliła głowę.

- Dziękuję, że dzwoniłaś do mnie tak często, Nell. Naprawdę przyniosło mi to ulgę.

- Wiem, jak Collie dużo dla ciebie znaczyła.

Rosie zmusiła się do uśmiechu i postanowiła zmienić temat.

- Co u Kevina? - spytała.

- Doskonale. Cudownie. Chociaż ...

- No ... dokończ.

Nell patrzyła przez chwilę na ogień. Jej twarz posmutniała nagle, oczy zaszyły mgłą. Przeniosła wzrok na Rosie i odparła bardzo cicho:

- Uwielbiam Kevina, wiesz o tym, ale nie znoszę tej jego pracy.

Ciągle naraża się na niebezpieczeństwo. Boję się, że coś mu się stanie. Żyję dosłownie dzień i noc na pograniczu rozstroju nerwowego.

- To dlatego, że tak bardzo go kochasz, Nell.

- Tak?

- Oczywiście. Przynajmniej ja tak myślę. Gdybyś go nie kochała, nie przejmowałabyś się nim tak bardzo, nie martwiłabyś się o niego cały czas.

- Pewnie masz rację - przyznała Nell.

- Dlaczego się nie pobierzecie?

Nell spojrzała na Rosie, lecz nie odpowiedziała.

- Wiem, że ci się oświadczył. Mówił mi o tym przez telefon w zeszłym tygodniu - rzekła Rosie.

- To prawda, ale ja ... no... nie sądzę, żebym była na to gotowa. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Podoba mi się tak, jak jest. Nie chcę na razie niczego zmieniać.

- Kevin szaleje za tobą, Nell. Gavin mówił mi o tym któregoś dnia. - Mój Boże! Te rozmowy telefoniczne! Chyba wszyscy uwzieliście się na mnie! A ty obiecałaś, że nie będziesz wywierać na mnie żadnego nacisku. Nie mogę teraz wyjść za Kevina. Mam na głowie masę spraw, spotkań z klientami. Przypomniał mi się właśnie Johnny Fortune. Przyjechałam z nim tutaj, aby uzgodnić ostatnie szczegóły jego występów latem w Paryżu. Potem wracam do Londynu. Muszę załatwić tam parę spraw w różnych urzędach. Johnny jednak zostanie tutaj. Ma na ciebie chętkę, więc ostrzegam cię, Rosie.

Rosie wybuchnęła śmiechem.

- To zabrzmiało trochę złowieszczo. Parę minut temu byłaś zadowolona, że Johnny interesuje się mną:

- Wciąż się z tego cieszę. Chciałam cię tylko uprzedzić, że Johnny nie jedzie jutro ze mną do Londynu, że ...

- Wiem przecież o tym - przerwała Rosie. - Johnny dzwoni do mnie codziennie, odkąd przyjechaliście. Mówiłam ci, że idę z nim dzisiaj na kolację.

- Tak, pamiętam, ale nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że Johnny zostanie w Paryżu dłużej, może nawet cały tydzień. - Tak przypuszczałam.

Przez twarz Nell przebiegł uśmiech.

- Moja ciotka Phyllis powiedziałaaby, że wyglądasz, jak kot, który złapał wróbla.

- Nic podobnego! - zaprotestowała Rosie i oblała się rumieńcem. - Ależ tak, Rosalindo! -

odparowała Nell i ku zaskoczeniu Rosie wybuchnęła śmiechem. - Ale to cudownie, że tak wyglądasz, moja kochana! Masz się z czego cieszyć. Johnny to równy facet. Właściwie mam wrażenie, że zupełnie stracił dla ciebie głowę. Wtedy w listopadzie, w Kalifornii, mówiłam ci, że

mogłaś trafić gorzej. A Johnny jest inteligentny, przystojny, seksowny, sławny i bogaty. To ulubieniec milionów kobiet i naprawdę miły gość. Wydaje mi się, że byłby z niego doskonały mąż.

- No, no, nie zapędzaj się, Nelly! - wykrzyknęła Rosie. - Nie poszłam z nim jeszcze na randkę, a ty już mówisz o małżeństwie!

- To nie taki głupi pomysł. Mogę być twoją druhną.

- Wracając do mojego brata ... jakie masz wobec niego zamiary? Powiedz mi szczerze i nie wykręcaj się sianem.

Nell przygryzła wargi. Po chwili namysłu spojrzała Rosie prosto w oczy i rzekła cichym głosem:

- Jeśli chcesz znać prawdę ...

- Jasne, zdradź mi ją - zachęciła Rosie.

- Dobrze. No więc, słuchaj ... Kevin dostał teraz specjalne zadanie. Pewnie ci o tym wspominał, prawda?

Rosie skinęła głową.

- Tak. Jego wydział tropi mafię. Zajmują się rozpracowaniem konkretnej grupy. Kevin siedzi w tym po uszy.

- No właśnie. Spodziewał się, że szybko uporają się z tą sprawą. Wspominał o tym tego dnia, kiedy wyjeżdżałam z Nowego Jorku. Powiedział, że za miesiąc lub dwa doprowadzą swoje zadanie do końca. Kazałam mu obiecać, że potem pojedzie ze mną na urlop. Mam zamiar coś mu wtedy zaproponować.

Nell nie paliła się do wyjaśniania szczegółów, Rosie spytała więc niecierpliwie:

- Co takiego?

- Mówiąc krótko, chcę przedstawić mu ofertę nie do odrzucenia

- Nell uśmiechnęła się przebiegle. - Powiem, że zamierzam odsprzedać firmę i chciałabym, żeby on rzucił swoją pracę. Moglibyśmy razem rozkręcić jakiś interes.

- Czy naprawdę chcesz sprzedać firmę? - spytała zdziwiona Rosie.

- Owszem - odparła Nell stanowczo.

Rosie milczała. Dobrze wiedziała, że jej brat nie zechce odejść z policji. - Och, Nell, doprawdy nie wiem ... - powiedziała po chwili zatroskanym

głosem. - Kevin może się nie zgodzić tak łatwo. Mężczyźni z naszej rodziny od wielu pokoleń pracowali jako policjanci, a mój brat uwielbia to zajęcie.

- Mam nadzieję, że mnie kocha bardziej. Jeśli ja poświęcę dla niego własną firmę, on także powinien zdobyć się na jakieś ustępstwa.

- Nell, odziedziczyłaś pokaźny majątek. Kevin może nie uznać twojego posunięcia za zbyt wielkie poświęcenie, ponieważ wcale nie musisz zarabiać pieniędzy na życie, jeśli nie chcesz.

- Och, Rosie! Kocham swoją pracę, włożyłam w nią całe serce. Porzucenie kariery to dla mnie olbrzymia ofiara. - Zdaje sobie z tego sprawę

- Kevin też.

- Mój brat jest bardzo dumny - stwierdziła Rosie.

Nell wstała i przechadzała się przez chwilę po pokoju. W końcu wyznała:

- Rosie, nie wiem co innego mogę zrobić! Sądziłam, że wpadłam na dobry pomysł. A ty rozwiałaś moje nadzieje. Do diabła, czy musiałam zakochać się akurat w policjancie?

- On nie jest jakimś zwykłym gliną. To Kevin Madigan.

- W tym cały problem. Kevin to cudowny facet. Tak wspomniały, że wprost nie mogę w to uwierzyć.

- Mogę cię pocieszyć - powiedziała Rosie.

- Jak?

- Kevin kiedyś odejdzie na emeryturę

- Nie wydaje mi się, żebyin mogła czekać tak długo - odrzekła Nell.

32

Johnny Fortune stał przed lustrem w swojej sypialni w hotelu "Plaza-Athenee" i spoglądał na siebie krytycznie. Jego pociągła, opalona twarz wyrażała zadumę. Po chwili odwrócił się nagle i przeszedł przez pokój.

Dziś wieczorem przebierał się już trzy razy i nie zamierzał robić tego bez końca. Uznał wreszcie, że szare spodnie, kaszmirowa marynarka, biała koszula i biało-czarny krawat w kropki doskonale nadają się, by iść w nich na kolację do "Voltaire'a".

Rosie zaproponowała, żeby wybrali się właśnie tam. Wyjaśniła przez telefon, że jest to elegancka, lecz bezpretensjonalna restauracja położona na lewym brzegu Sekwany, gdzie podają wspinałe

jedzenie. Johnny zgodził się na propozycję Rosie, a ona zaofiarowała się, że zarezerwuje dla nich stół.

Johnny wziął z krzesła czarny kaszmirowy płaszcz, wyszedł na korytarz i skierował się do windy. Parę minut później wsiadł do czekającego przed hotelem samochodu.

Gdy kierowca ruszył i wjechał w aleję prowadzącą w kierunku lewego nabrzeża, Johnny uśmiechnął się do siebie półgębkiem. Śmiał się sam z siebie. Od lat nie zwracał tak wielkiej uwagi na to, w co się ubiera. W każdym razie nie przebierał się tyle razy, szykując się na umówione spotkanie. Owszem, stroił się czasami przed jakimś koncertem lub sesją zdjęciową, ale nigdy nie robił tego ze względu na kobietę. Jednak do tej pory nie spotkał jeszcze kogoś takiego jak Rosie. Nigdy wcześniej też się nie zakochał. Aż do chwili gdy spotkał Rosie. Pokochał ją tamtego wieczora, gdy Nell przyprowadziła ją na kolację do jego domu w Benedict Canyon.

Często, kiedy przypominał sobie swoją początkową niechęć do niej, śmiał się z siebie. Od owego spotkania Johnny wciąż myślał o Rosie. W zasadzie nie zapominał o niej ani na moment. Przez dwa miesiące widział jej twarz dzień i noc. Teraz, gdy jechał przez Paryż, by się z nią zobaczyć, był niezwykle zdenerwowany. I bardzo niecierpliwy.

Powstrzymał pokusę, żeby podzielić się myślami ze swoim kierowcą, Alainem. Oparł się na tylnym siedzeniu i próbował jakoś się uspokoić.

Och, tak, z pewnością zakochał się w Rosie. Chciał się z nią kochać. I stanowczo pragnął się z nią ożenić.

Rosalinda Madigan była odpowiednią kobietą dla niego. Jediną kobietą.

Pierwszą, która sprawiła, że zaczął myśleć o ślubie.

Tydzień wcześniej, na Staten Island Johnny bardzo musiał się kontrolować.

Kiedy wuj Salvatore zaczął narnawiać go do małżeństwa, Johnny miał ochotę wyrzucić z siebie wszystko i opowiedzieć o Rosie. Do tej pory nie wiedział, jak udało mu się utrzymać język za zębami.

Rosie miała stanowić niespodziankę dla obu wujów. Na początku kwietnia Johnny zamierzał wrócić do Nowego Jorku i zaprosić ich obu na kolację do dobrej restauracji na Manhattanie. Chciał wtedy poznać ich z Rosie. Nie miał najmniej szych wątpliwości, że polubiliby ją od samego początku.

Johnny stłumił śmiech, wyobrażając sobie to spotkanie i miny wujów.

Rosie rozbroiłaby ich. Jego cudowna Rosalinda. Powtarzał w myślach jej imię. Podobało mu się.

Rosalinda Madigan. Rosalinda Fortune. To brzmiało całkiem niezłe.

Nagle ogarnął go dziwny lęk. Poczłł niemal panikę. Nieoczekiwanie wystraszył się spotkania z Rosie, związania się z nią. A co będzie, jeśli ją rozczaruje? Jeśli ona zawiedzie jego oczekiwania? Od dwóch miesięcy o niej marzył, wyobrażał sobie ją w każdych możliwych sytuacjach, kochał się z nią w myślach. Z jej powodu wystrzegał się innych kobiet. Może stworzył sobie w głowie nieprawdziwy obraz tej kobiety. Rzeczywistość mogła okazać się inna.

Czuł jednak, że naprawdę kocha Rosie i zależy mu na niej. Było to dla Johnny'ego zupełnie nowe doświadczenie. Oprócz Vito i Salvatore jeszcze nikt nie znaczył dla niego tak wiele. Nawet ciotka Angelina, żona Vito, która zawsze miło traktowała Johnny'ego. Naturalnie, kochał swoją matkę, lecz zmarła wcześniej. Niewiele wtedy rozumiał i ledwo ją pamiętał.

Dwaj starzy wujowie byli jedynymi istotami, do których Johnny czuł cokolwiek aż do chwili, kiedy poznał Rosie. W stosunku do innych kobiet odczuwał jedynie pożądanie.

Zasepiony spoglądał przez okno i zastanawiał się, kiedy wreszcie dotrą narue de l'Universite. Był tak zdenerwowany, że prawie trzęsły mu się ręce.

Po paru sekundach, gdy już miał zapytać Alaina, gdzie się znajdują, kierowca zwolnił i zatrzymał samochód.

- Dojechaliśmy, proszę pana - oznajmił Alain, zerkając przez ramię i uśmiechając się. Wysiadł z samochodu i otworzył przed Johnnym drzwi. - Dziękuję, Alainie - powiedział Johnny. Wziął głęboki oddech i ruszył w kierunku budynku, w którym mieszkała Rosie.

Gdy tylko Rosie otworzyła drzwi i uśmiechnęła się, Johnny poczuł, że panika go opuszcza.

Radośnie odwzajemnił jej uśmiech.

Rosie wyciągnęła rękę, chwyciła jego dłoń i wciągnęła go do środka. Stali w przedpokoju, patrząc na siebie i wciąż trzymając się za ręce. żadne z nich nie powiedziało ani słowa.

W końcu Johnny zrobił krok do przodu, przyciągnął Rosie do siebie i pocałował w oba policzki.

- Cieszę się, że cię widzę, Rosie - powiedział wreszcie.

- Ja także, Johnny - odparła śmiejąc się.

Jego jasne, błękitne oczy patrzyły na nią z uwagą. Johnny aż drżał z pożądania. Pragnął całować Rosie, zedrzeć z niej ubranie i kochać się z nią namiętnie i długo.

Chciał opowiedzieć jej o wszystkim, o czym myślał, odkąd ją poznał, zwierzyć się z najskrytszych pragnień, wyznać, jak bardzo ją kocha i poprosić, by jak najszybciej wyszła za niego. Pragnął zrobić to teraz. Natychmiast. Chciał, by Rosie została z nim na zawsze.

Wiedział jednak, że nie może powiedzieć jej o tym wszystkim od razu. Powoli, powoli, poczekaj trochę - upominał się w duchu.

Odetchnął i w końcu udało mu się opanować jakoś emocje. Czekał na swoją jedyną wybrankę całe swoje życie. Mógł więc poczekać jeszcze trochę, by osiąść ją całkowicie. Należała przecież do niego. 0

_ Daj mi swój płaszcz - rzekła Rosie, wyciągając rękę.

_ Ach ... tak ... - mruknął, uświadamiając sobie, że nieprzytomnie wlepił w nią oczy.

Ściągnął płaszcz i podał jej w milczeniu.

Rosie powiesiła okrycie na wieszaku, znowu uśmiechnęła się do Johnny'ego i wzięwszy go za rękę, zaprowadziła do salonu.

_ Mam szampana i białe wino w lodówce, ale może wolisz coś innego? _ Och, wszystko jedno - odparł, uśmiechając się lekko. - A ty, co

pijesz?

_ Szampana, ale wybór należy do ciebie, Johnny.

Och, kochana, tak bardzo cię pragnę - pomyślał, pozerając ją oczami. Gdy uświadomił sobie, jak silne jest jego pożądanie, odwrócił wzrok.

Podszedł do kominka i powiedział:

- Chętnie wypiję kieliszek szampana.

_ Przepraszam, wrócę za chwilę - rzekła Rosie i zniknęła, zanim zdążył zaoferować jej pomoc w otwieraniu butelki.

Zaciekawiony gustem Rosie rozejrzał się dookoła. Od razu przekonał się, że nuala niezwykley smak.

Salon był dość przestronny, lecz nie zagracony. Ściany miały kolor kremowy. Podłogę pokrywał wypolerowany parkiet z dywanem na środku. Johnny przyjrzał mu się bliżej. Dywan był gdzieś przetarty i nieco wyblakły, ale z pewnością bardzo stary i cenny. W pokoju znajdowało się kilka pięknych antycznych stolików oraz sofy i krzesła pokryte żółtym jedwabiem. Na ścianach wisiało parę gustownych obrazów. Obracając się dookoła, Johnny rozglądał się po wszystkich kątach. W wazonach stały kwiaty, które przysłał Rosie. Piękne naczynia z porcelany zdobiły wnękę obok kominka. Podziwiał też antyczne kryształowe lampy z abażurami z kremowego jedwabiu.

Salon sprawiał niezwykle przyjemne wrażenie i Johnny czuł się w nim dobrze. Pianino stojące w pobliżu okna aż kusiło, by na nim zagrać. Ruszył w jego kierunku, lecz zatrzymał się na chwilę, by przyjrzeć się kolekcji fotografii na niewielkim stoliku. Zastanawiał się, kim są ci wszyscy ludzie. Postanowił zapytać o to Rosie. Chciał wiedzieć o niej jak najwięcej.

Usiadł przy pianinie i podniósł klawisz. Przebiegł palcami po klawiszach. Zawsze go ciągnęło do instrumentu. Zaczął grać utwór Cole'a Porter'a, jednego ze swoich ulubionych kompozytorów. Nie mógł się powstrzymać i zanucił kilka pierwszych linijek piosenki *You Do Something To Me*.

- Johnny, to wspaniałe! - wykrzyknęła Rosie, stając w drzwiach. Uniósł głowę. Rosie niosła tacę z szampanem i kieliszkami. Zerwał się na nogi, aby jej pomóc, ale nie pozwoliła mu.

- Poradzę sobie sama, naprawdę - powiedziała i postawiła ostrożnie tacę na stoliku do kawy, stojącym przed kominkiem.

Nalała szampana do kryształowych kieliszków.

- Szkoda, że przerwałeś. Uwielbiam twój głos. I bardzo lubię cię słuchać, Johnny. Proszę, zanuć coś jeszcze. Och, a może nie powinnam nalegać, jak myślisz? Przecież to twoja praca ... robisz to cały czas. Nie przyjechałeś do Paryża po to, żeby śpiewać, lecz by odpocząć parę dni przed występami w Wielkiej Brytanii.

Johnny wziął od Rosie szampana. Powiedziała, że uwielbia jego głos. To wspaniałe. Było to dla niego niezwykle ważne. Cieszył się, że go doceniała. - Kiedy widzę pianino, nie mogę się oprzeć, by nie zagrać. Zaśpiewam dla ciebie, gdy tylko zechcesz, ale nie teraz. Dzisiaj chciałbym z tobą porozmawiać.

Uniósł szkło i powiedział:

- Twoje zdrowie, Rosie. Jesteś najpiękniejszą kobietą w Paryżu. Zerknęła na Johnny'ego i oblała się

rumieńcem, czując na sobie jego uważne spojrzenie. Potrząsnęła głową. Chciała odwrócić wzrok i przestać patrzeć w błękitne oczy, które przeszywały ją na wskroś, ale nie mogła. Znowu pokiwała głową, roześmiała się lekko i rzekła:

- Z pewnością nie jestem najpiękniejszą kobietą w Paryżu, ale dziękuję za komplement - stuknęła się kieliszkami. - Witaj w moim mieście, Johnny. Witaj w moim domu.

- Dla mnie jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie - powiedział cicho, patrząc na nią rozmarzony. Nagle odwrócił wzrok, rozejrzał się po pokoju i pośpiesznie zmienił temat. - Masz piękny apartament, Rosie. Długo tutaj mieszkasz?

- Około pięciu lat. Znalazłam go przypadkowo i od razu mi się spodobał. Johnny podszedł do stolika pokrytego pluszem i pochylił się nad fotografiami.

- Jesteś tutaj razem z Nell. Rozpoznaję też młodego Gavina Ambrose. Ale kim są pozostali? - Johnny wyprostował się i spojrzał pytająco.

Rosie podeszła do niego.

Gdy przechodziła przez pokój, Johnny zauważył jej piękne nogi. Nie zwrócił na nie wcześniej uwagi. Widział przecież Rosie tylko raz. Zupełnie o tym zapomniał. W wyobraźni kochał się z nią już tyle razy. Miał wrażenie, że zna ją na wylot. Jednak tak naprawdę nie znał jej wcale.

Rosie stała obok niego. Czuł woń jej ciała. Była to oszałamiająca mieszanina zapachu konwalii, szamponu, mydła, wody toaletowej i młodej skóry. Johnny zdawał sobie sprawę, że tego wieczora Rosie doprowadzi go do szaleństwa. Działała na niego porażająco.

Wziął do ręki zdjęcie w srebrnej ramce, pokazał je Rosie i spytał:

_ Może jestem zbyt ciekawski, ale kim są te dzieciaki? Ta jasnowłosa dziewczyna?

_ To Sunny. Należała do naszej paczki.

_ Wspaniała. Powinna grać w filmach. Czy jest aktorką?

Rosie zaprzeczyła ruchem głowy, a wyraz jej twarzy nieco się zmienił.

_ Leży przykuta do łóżka w New Haven. Parę lat temu uzależniła się od narkotyków. Pewnej nocy ktoś sprzedał jej zanieczyszczony towar i wysiadł jej mózg. Nie wyjdzie już z tego do końca życia. Biedna Sunny. _ O, Boże! To straszne! - wykrzyknął Johnny i zadrżał. - Widziałem kilku swoich znajomych powalonych przez narkotyki ...

_ To Mikey - objaśniała dalej Rosie. - Miły był z niego chłopak. Może powinnam powiedzieć, że jest, ale niestety nie wiemy, co się z nim stało. Zniknął dwa lata temu. Gavin próbował go odnaleźć, lecz mu się nie udało. Wynajmował nawet prywatnych detektywów.

_ Jeżeli ktoś chce zatrzeć za sobą ślady, to czasami nie jest to takie trudne - zauważył Johnny i wskazał palcem inną postać na fotografii. _ A kim jest ten przystojniak o uśmiechu Clarka Gable'a?

- To mój brat.

- Przyjaciel Nell?

- Tak.

_ Niezły facet. Też nadaje się do filmu. Ale pewnie zajmuje się czymś innym, prawda?

_ Księgowością - odparła Rosie. Tak samo w podobnych sytuacjach odpowiadali Nell oraz Gavin.

Nikt nie powinien wiedzieć, że Kevin pracuje jako tajniak w nowojorskiej policji.

_ Dorastaliście wszyscy razem w Nowym Jorku, prawda? - zapytał Johnny.

_ Poznaliśmy się jakieś piętnaście lat temu. Od tamtej pory bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Wszyscy byliśmy sierotami i staliśmy się dla siebie rodziną. Teraz została nas tylko czwórka. Sunny i Mikey ... odpadli.

Johnny pokiwał głową i odłożył fotografię na miejsce. Inne zdjęcie przyciągnęło jego uwagę. Zanim spytał, rzucił szybkie spojrzenie na Rosie. - Pewnie znowu pomyślisz, że jestem wścibski, ale kim jest ta śliczna, mała dziewczynka?

- To Lisette, moja kuzynka. Obok stoi jej matka, Collie. Pamiętasz, wspominałam d o niej tego wieczora, kiedy się poznaliśmy. Specjalistka od antycznych sreber.

- Och, tak. Przypominam sobie. Jak ona się czuje?

- Collie ... umarła - odparła Rosie i poczuła, jak zaciska się jej gardło. Szybko jednak opanowała się i dodała: - Chorowała na raka. Myśleliśmy, że wyzdrowiała, ale po świętach jej stan bardzo się pogorszył. Zmarła trzy tygodnie temu.

- Tak mi przykro, Rosie. Nie wiedziałem. Nie powinienem tak męczyć Cię pytaniami! Przepraszam!

- Powiedział zażenowany. Zrobiło mu się głupio, że popełnił gafę.

- Och, nic się nie stało, Johnny, naprawdę - zapewniła Rosie i dotknęła jego ramienia. - Collie była

moją szwagierką. Tutaj na fotografl widać jej brata, Guy. Wysłałam kiedyś za niego, a teraz się rozwodzę.

Johnny poczuł mocne ukłucie zazdrości. Chciał spytać Rosie, kiedy zakończy się sprawa rozwodowa, ale stracił odwagę. Bał się poruszać kolejny drażliwy temat. Zapytał więc tylko:

- A ten budynek w tle? Czy to właśnie Montfleurie?

- Tak.

Johnny poczuł, że nareszcie porusza się po pewnym gruncie.

- Słyszałem, że to jeden z wielkich zamków nad Loarą.

- Zgadza się. To dla mnie jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie. Uwielbiam ten zamek. Ojej, Johnny, twój kieliszek jest pusty. Pozwól, że doleję ci jeszcze szampana.

Rosie podeszła do stolika i wyjęła butelkę z lodu, a Johnny podążył za nią. - Mówiłaś mi przez telefon, że projektujesz w domu. Gdzie znajduje się twoja pracownia?

- Chcesz ją zobaczyć? Chodź, pokażę ci. Musimy przejść do drugiej części mieszkania.

Wyszli z salonu i ruszyli korytarzem. Po drodze Johnny zauważył małą bibliotekę z wielką liczbą książek. Stały tam krzesła obite czerwono-zielonym materiałem oraz sofa. Tam także Rosie umieściła część kwiatów otrzymanych od Johnny'ego. Gdy mijali sypialnię, Johnny szybko odwrócił wzrok i nie ośmielił się zajrzeć do środka. Patrzył prosto przed siebie i szedł powoli w pewnej odległości za Rosie.

- To tutaj - rzekła, otwierając drzwi. Odwróciła się, ujęła go za rękę i wprowadziła do pracowni. - Ten pokój świetnie nadaje się do pracy, ponieważ wpada tutaj dużo dziennego światła.

Johnny od razu podszedł do półki, na której stały szkice.

- Wspaniałe! - wykrzyknął z podziwem. - Masz wielki talent. Nell wspominała mi o tym wiele razy, a teraz mogę przekonać się na własne oczy. - To projekty kostiumów do nowego filmu Gavina *Napoleon i Józefina* - wyjaśniła Rosie.

- Interesujące. Opowiedz mi o tym.

- Chętnie, ale myślę, że lepiej będzie, jeśli opowiem ci o tym przy kolacji w restauracji "Voltaire". Robi się późno. Nie chcę, żeby zajęli nasz stół.

- Chodźmy więc - rzekł Johnny. - Samochód czeka na dole.

33

O dziwo, Johnny poczuł ulgę, gdy znalazł się z Rosie w publicznym miejscu. Przez cały czas, kiedy byli w jej apartamencie, walczył z pokusą, by wziąć ją w ramiona, całować namiętnie i potem kochać się z nią.

Teraz musiał zachowywać się przyzwoicie. Siedział więc spokojnie na krześle i cieszył się z towarzystwa Rosie. Zerknął na nią od czasu do czasu. Musiał przyznać, że stanowią atrakcyjną parę. On był wielkim gwiazdorem. Największą sławą w show biznesie. A ona piękną kobietą, z której każdy mężczyzna byłby dumny.

Ludzie w restauracji najwyraźniej rozpoznali Johnny'ego i rzucali dyskretne spojrzenia w jego kierunku. W Europie zachowywano się z większym dystansem. Nikt się nie narzucał. Wszyscy tylko patrzyli.

Rosie nie była aż tak popularna. W każdym razie nie w Paryżu. W Hollywood większość ludzi znało jej twarz. Ceniono ją jako znakomitego kostiumologa i często fotografowano razem z Gavinem Ambrose.

Hollywood! - pomyślał Johnny. Jaką sensację wywołaliby tam razem.

Nigdy wcześniej nie zależało mu na czymś takim. Teraz wszystko się zmieniło z powodu Rosie.

Chciał pochwalić się nią przed ludźmi. Zaraz po ślubie wydałby wielkie przyjęcie w swoim domu. Tego też nigdy wcześniej nie robił. Uświadomił sobie nagle, że ma ochotę popisać się także swoim domem, którego Rosie byłaby z pewnością ozdobą.

Podszedł kelner i przerwał jego rozmyślenia, pytając, czego się napiją. Johnny spojrzał na Rosie.

- Masz ochotę na szampana?

Skinęła głową i uśmiechnęła się.

- Poprosimy butelkę Dom Perignon - powiedział Johnny do kelnera i z powrotem przeniósł wzrok na Rosie, która wzięwszy do ręki kartę dań, pochylała głowę i zaczęła ją studiować. Johnny rozglądał się po sali. U "Voltaire'a" panowała szczególna atmosfera, sprawiająca wrażenie intymności. Podkreślały to ściany wybite boazerią i sączące się z lamp przyćmione światło. Mimo

licznych gości, panował tu spokój. W istocie miejsce świetnie nadawało się na kolację z dobrym winem. Zachowano tutaj umiar w dekoracjach, a obsługa okazała się doskonała.

Rosie uniosła głowę i powiedziała:

- Nigdy nie wiem, na co się zdecydować. Wszystko wydaje się takie apetyczne.

- Proszę, wybierz coś dla mnie. Znam się tylko na włoskim jedzeniu. _ Chętnie, ale najpierw napijmy się - zaproponowała, gdy do stolika wrócił kelner z szampanem.

Wzniesli toast, po czym Johnny odstawił kieliszek i znowu zapatrzył się na Rosie. Nie mógł wprost oderwać od niej wzroku.,

Miała na sobie szkarłatną wełnianą sukienkę z owalnym dekoltem i długimi rękawami. Raczej skromną, lecz starannie uszytą i dopasowaną do figury. Kolor stroju podkreślał zieleń wielkich, wyrazistych oczu.

_ Przyglądasz mi się przez cały wieczór, Johnny - rzekła cicho, pochylając się nad stołem. - Dlaczego? Ubrudziłam się czy co?

_ Ależ skąd? Myślę właśnie o tym, jak pięknie wyglądasz i podziwiam twoje perły.

- Piękne, prawda? Dostałam je od Gavina na święta.

Po raz drugi tego wieczora Johnny poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku. Wiedział, że zżera go zazdrość, chociaż nigdy wcześniej nie doświadczył tego uczucia. Nie przypominał sobie, by w przeszłości ktoś wzbudzał w nim takie doznania.

Nie odzywał się przez długą chwilę, zaskoczony swoją reakcją. Był zazdrosny o Gavina Ambrose. Niewiarygodne. W końcu zdobył się na słaby uśmiech i powiedział:

_ Udany prezent. Bardzo ci do twarzy w tych perłach.

_ Dziękuję. Gavin zawsze obdarowuje mnie czymś na zakończenie filmu. Johnny napił się szampana i usiłował odegnać nieprzyjemne myśli. - Kiedy zabieracie się za nowy film? - zapytał.

_ Przygotowania rozpoczynamy w marcu. Będzie to duże i kosztowne przedsięwzięcie, ponieważ chcemy nakręcić kilka scen batalistycznych. Wstępne prace potrwać pięć miesięcy, a może nawet dłużej. Gavin jednak ma nadzieję, że na dobre zaczniemy kręcić dopiero w sierpniu. Planuje najpierw zdjęcia w plenerze, jeśli dopisze pogoda. Dużo zależy także od obsady. Zdarza się, że jakiś aktor zostaje zaangażowany tylko na miesiąc i w tym czasie trzeba zrobić wszystkie sceny, w których występuje - Rosie sięgnęła po kieliszek i uśmiechnęła się do Johnny'ego. Zanim się napiła, dodała: - Moim zdaniem, praca nad tym filmem zajmie dużo czasu.

Wyglądało na to, że Rosie będzie bardzo zajęta do końca roku. Johnny posmutniał.

- Kiedy skończysz projektowanie kostiumów? - spytał.

- Prawdopodobnie pod koniec kwietnia, najpóźniej na początku maja. Dużo już zrobiłam, a za parę tygodni przyjadą z Londynu dwie moje asystentki. Będą mi pomagać. Zajmą się mniej ważnymi kostiumami.

- Widziałem w twojej pracowni różne stroje na manekinach. Kto je szyje?

- Na szczęście nie ja - odparła Rosie śmiejąc się. - Ani moje asystentki. Mam kilka dobrych szwaczek tutaj, w Paryżu. Kostiumy dla statystów grających żołnierzy Napoleona wypożyczamy z teatrów w Paryżu i Londynie. Podobnie stroje kobiece. Gdybyśmy chcieli szyć je sami, zabrałoby to wieczność. Ja przygotowuję kostiumy tylko dla głównych postaci.

Chociaż Johnny'emu nie spodobało się, że Rosie będzie zajęta przez długie miesiące, nadal okazywał zainteresowanie jej pracą.

- Gdzie zamierzacie filmować?

- W różnych regionach Francji - odparła. - Także w Paryżu

i w okolicy. Naszą stałą siedzibą będzie studio "Billancourt". Brian Ackland Snow, jeden z naszych scenografów, przygotowuje kilka planów, ale wykorzystamy także parę prawdziwych zamków i domów. I oczywiście nakręcimy też sceny w Malmaison. Władze francuskie udzieliły nam już pozwolenia.

- Malmaison? - Johnny ściągnął brwi. - Co to takiego?

- To zamek, który Napoleon kupił Józefinie. Mieszkali tam razem - wyjaśniła. - W Rueil nad Sekwaną, jakieś piętnaście kilometrów od

Paryża. Teraz znajduje się tam bardzo piękne muzeum. Czy chciałbyś je zobaczyć, Johnny?

Johnny niezbyt przepadał za muzeami. Z drugiej strony poszedłby wszędzie, żeby tylko spędzić trochę czasu w towarzystwie Rosie. Przytaknął więc skwapliwie.

- Kiedy chcesz mnie tam zabrać? Jutro?

- Jeśli ci pasuje.
- Jasne, Rosie. Możemy też zjeść razem lunch, dobrze?
- Pewnie. A teraz może lepiej zamówmy kolację. Już nieco szumi mi w głowie od tego szampana.
- Jak sobie życzysz, kochanie.
- Czy możemy wziąć pasztet na przystawkę, a potem zamówić pieczoną rybę?
- Oczywiście.

Gdy podano gorące potrawy, Rosie powiedziała:

- Nell mówiła, że przyjechałeś do Paryża w towarzystwie paru osób.
- Tak. Jest ze mną mój osobisty asystent, Joe Anton, a także Kenny Crossland, który gra w zespole na instrumentach klawiszowych, oraz mój menażer, Jeff Smiles - Johnny uśmiechnął się. - Reszta grupy została w Londynie.
- A gdzie spędzają dzisiaj wieczór Joe, Kenny i Jeff?
- Wybrali się na miasto odwiedzić kilka klubów jazzowych.
- Założę się, że poszli na me de la Huchette. Przy tej ulicy znajduje się kilka interesujących miejsc, a także w całej okolicy wokół boul Mich.

Johnny spojrzał na Rosie i uniósł pytająco brwi.

- Chodzi o bulwar Saint-Michel- wyjaśniła. Pokiwał głową i sięgnął po kieliszek.

- Czy byłaś kiedyś na moim koncercie, Rosie? - spytał.
- Niestety, nie. Bardzo żałuję. Mówiłam ci wcześniej, jak bardzo podoba mi się twój głos.
- A może przyjechałabyś do Londynu w przyszłym tygodniu? Daję koncert na Wembley.

Rosie zawahała się i nic nie odparła. Johnny dodał:

- Możesz lecieć z nami w poniedziałek rano. Albo przyślę po ciebie samolot w tygodniu, jeśli chcesz. Zgódź się, Rosie. Będzie wesoło, zobaczysz. To ma być wielki koncert.
- Dobrze. W takim razie pojedę - odparła z promiennym uśmiechem. Radość Rosie rozbroiła go. Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń spoczywającą na stole.
- Nic się nie martw. Biuro Nell zarezerwuje ci pokój w moim hotelu, "Dorchester" '. Obiecuję, że będziesz się dobrze bawić.
- Nie mam co do tego wątpliwości, Johnny - rzekła i pomyślała: "Cieszę się, że mnie zaprosił. Naprawdę. Od lat brakowało mi rozrywek".

W głębi duszy Rosie wiedziała, że Johnny staje się jej coraz bliższy.

34

Rosie zdawało się, że Johnny Fortune całkowicie zawładnął jej życiem. Sama jednak mu na to pozwoliła i cieszyła się z jego towarzystwa.

Od kolacji, którą zjedli razem u "Voltaire'a" we wtorek, spotykali się codziennie. W środowe popołudnie wybrali się do Malmaison. Gdy wracali Johnny poprosił, by Rosie pokazała mu te rejony Paryża, których nie poznał do tej pory. Przyjeżdżał tutaj dotychczas tylko na koncerty i nigdy nie miał czasu na zwiedzanie.

Rosie wysiliła swoją wyobraźnię i wybrała miejsca, które mogłyby go zainteresować. Spędzili razem kilka cudownych dni, zwiedzając stolicę Francji. Rosie знаła tutaj niemal każdy zakątek. Jedli obiady w małych barach, a kolacje w pięciogwiazdkowych restauracjach, takich jak "Taillevent" czy "Tour d'Argent" . Śmiali się i dużo rozmawiali. Zawiązywała się między nimi nie przyjaźni.

Jednak w piątek koło południa, gdy Rosie siedziała naprzeciwko Johnny'ego w restauracji "Relais Plaza" , zauważyła w nim dziwną zmianę. Wydawał się chłodny, zdystansowany i roztargniony. Może nawet smutny. Prawie się nie odzywał.

- Czy coś się stało? - spytała w końcu, spoglądając na Johnny'a z niepokojem.
- Nie - odparł cicho.

Przysunęła się do niego bliżej i powiedziała prawie szeptem:

- Posłuchaj, Johnny. Wiem, że coś cię gnębi. Proszę, wyznaj mi, co to takiego.

Ale on tylko pokręcił głową i nadal się nie odzywał.

- Może uraziłam cię w jakiś sposób?
- Oczywiście, że nie - uśmiechnął się słabo, jakby chciał zapewnić ją, że mówi prawdę.
- Wydajesz się taki przygnębiony. Milcząc odwrócił wzrok.

- Nie zjadłeś ani kęsa - zauważyła, próbując przyciągnąć jego uwagę. Musiała dowiedzieć się, o co mu chodzi.

- Nie jestem głodny, Rosie.

Spojrzała na swój talerz z jajecznicą, którą sama ledwo tknęła, i mruknęła pod nosem:

- Ani ja.

Johnny zerknął na stół. Potem długo przyglądał się Rosie. Nagle zauważył, że jest dziwnie blada.

Ujął jej dłoń i ścisnął tak mocno, że aż zbieleły mu kostki. Wolno pokiwał głową, jakby niespodziewanie coś nasunęło mu się na myśl.

- Czy możemy pójść do mojego apartamentu ... na kawę? - zaproponował.

- Tak - odparła, unosząc wzrok.

Gdy znaleźli się w pokoju hotelowym, Johnny wziął od Rosie płaszcz. Ich dłonie zetknęły się.

Spojrzeni na siebie. Johnny pośpiesznie odłożył

okrycie na najbliższe krzesło. To samo zrobiła Rosie z torebką i rękawiczkami.

Nie spuszczał z niej oka.

- Nie chce mi się jeść, ponieważ nie mogę już dłużej znieść tych tortur ...

- Wiem, Johnny - wtrąciła Rosie cichym głosem. - Ja nie jestem głodna z tego samego powodu.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Padli sobie w ramiona i przyłgnęli mocno do siebie.

Johnny odnalazł usta Rosie i wpił się w nie. Całował ją jak oszalały. Wsunął język między wargi

Rosie i szukał nim jej języka. Jego dłonie wślizgnęły się pod sweter Rosie. Rozpiął stanik.

Podciągnął go razem ze swetrem do góry. Ujrzał piękne, pełne piersi. Pochylił głowę i po kolei zaczął ssać jej sutki. Ujął piersi w obie dłonie i pieścił, a potem uklęknął przed Rosie.

Rozpiął spódnicę, która opadła na podłogę wokół jej stóp. Rosie zdjęła buty i stanęła obok nieruchomo. Miała na sobie tylko rajstopy. Ciemny

trójkąt na jej łonie był widoczny przez przezroczystą, delikatną tkaninę. Johnny oparł głowę o jej brzuch, zamknął oczy i chłonał jej zapach - podniecającą woń kobiety gotowej do miłości. Zaczął całować ją przez materiał, pieszcząc jej pośladki. Nagle usłyszał westchnienie, które wydobyło się z gardła Rosie.

Otworzył oczy, wstał i przycisnął ją do siebie. Wyciągnął rękę i zamknął drzwi na klucz. Następnie ruszył w stronę sypialni.

Zatrzymał się przy wejściu i pocałował Rosie w usta. Nagle ujął ją pod uda, podciągnął je do góry i zaplótł sobie wokół pasa. Rosie objęła go za szyję. Trzymając ją w ten sposób, zaniósł do łóżka.

Położył na poduszkach i zdjął jej rajstopy.

Rosie sama ściągnęła z siebie sweter i leżała patrząc, jak Johnny zdejmuje marynarkę i rozwiązuje krawat. Odrzucił je niecierpliwie na krzesło. Potem rozpiął koszulę, podchodząc z powrotem do łóżka.

Przystanął i zaczął przyglądać się Rosie. Miała szczupłe ciało, co sprawiało, że jej gładkie piersi wydawały się większe. Johnny był nimi oczarowany. Nigdy nie widział tak pięknego biustu, z którego sterczały niewielkie sutki. Pragnął wessać się w nie i pieścić bez' końca.

Gdy Johnny pozbył się reszty ubrania, wyciągnął ręce do Rosie i pomógł jej wstać. Wziąwszy ją w ramiona, jedną dłoń położył na jej biodrach i przyciągnął do siebie, by mogła go poczuć. Miał niewiarygodnie silną erekcję i chciał, żeby Rosie przekonała się, jak bardzo jej pragnie. Płonął z pożądania już od wielu dni. Chęć, by kochać się z Rosie, stawała się nie do wytrzymania. Czuł, że zaraz eksploduje. Całował jej usta, szyję, oraz zagłębienie między piersiami.

Rosie drżała w jego ramionach. Kiedy Johnny ocierał się o nią, gładka i obsypywał pocałunkami, poczuła, że uginają się pod nią nogi. Rozkoszne ciepło rozchodziło się po lędźwiach. Było to niesamowite doznanie, którego nie doświadczyła od bardzo dawna, od czasu kiedy zaczęło rozpadać się jej małżeństwo. Myślała, że już nigdy nie przeżyje takiej rozkoszy. Jednak teraz omdlewała ze szczęścia w ramionach Johnny'ego Fortune. Był przystojny i czuły. Pragnęła go tak bardzo, jak on jej. Już od chwili, gdy jedli razem kolację u "Voltaire' a", właściwie czekała tylko, aż on zrobi pierwszy ruch. Pragnęła, by ją całował i kochał się z nią.

Johnny stawał się coraz bardziej podniecony i to bardzo działało na Rosie. Położyła dłonie na jego pośladkach, gładka je delikatnie, a potem coraz mocniej. Odsunął twarz od jej piersi i zaczął namiętnie całować jej usta, wnikając językiem głęboko. Rosie gładziła go po plecach, karku i szyi, potem zanurzyła palce w jego włosach. Nie odrywali od siebie ust.

Parę minut później Johnny odsunął kołdrę i położył Rosie na prześcieradle. Pochylił się nad nią,

szepnął:

- Poczekaj chwilę - i zniknął w łazience.

Rosie leżała bez ruchu, czekając, aż Johnny wróci. Wszystkie jej zmysły zostały rozbudzone do ostatecznych granic. Czowała, jak płonie.

U słyszała jakiś dźwięk.

Otworzyła oczy i zobaczyła, jak Johnny zasuwa zasłony. Kiedy odwrócił się i podszedł znowu do łóżka przekonała się jak bardzo jest męski, i zadrżała mimowolnie. Domyślała się, że Johnny udał się do łazienki po prezerwatywę i nie pomyliła się.

Dotknął lekko jej twarzy i uśmiechnąwszy się, położył się obok. Objął ją ramionami i zaczął całować. Jego dłonie wędrowały po całym ciele Rosie, pieściły ją i poznawały jej sekrety. Powoli i delikatnie wsunął dłoń pomiędzy jej uda. Odnalazł czułe, wilgotne miejsce i zagłębił w nim palce. Nieoczekiwanie położył się na niej i wszedł w nią szybko, niemal brutalnie. Rosie przeszedł dreszcz. Jęknęła, próbując stłumić krzyk.

Johnny wcisnął dłonie pod jej pośladki, przyciągnął ją mocniej do siebie i zaczął zagłębiać się w niej coraz bardziej. Rosie przyłgnęła do niego i poddała się rytmowi jego ciała. Poruszali się coraz szybciej, rozpaczliwie pragnąc zaspokoić nawzajem swoje żądze.

Rosie czuła, że staje się coraz bardziej wilgotna. Otwierała się dla Johnny'ego i przyjmowała go. Nagle zaczął poruszać się w niej jeszcze gwałtowniej. Wykrzyknął jej imię, przyprawiając ją tym prawie o ekstazę. Poczwała falę oszalałej rozkoszy, gdy w jednej chwili zatopili się w sobie. Johnny opadł na nią ciężko. Leżał tak przez chwilę.

Nagle z jego gardła wydobył się śmiech. Zaczął podrygiwać.

- Co się stało? - spytała Rosie zaniepokojona, dotykając lekko jego ramienia.

Uniósł twarz i wciąż się śmiejąc, wyjaśnił:

- Nie wiedziałem, że to tak będzie, kochanie. No, wiesz ... pierwszy raz i tak dobrze ... - Johnny pokręcił głową. - Mieliśmy się najpierw dobrze poznać, moja maleńka.

Rosie także się roześmiała. Odgarnęła jasny kosmyk włosów z jego czoła, ale nie odezwała się.

Johnny zszedł z niej ostrożnie, mrużąc pod nosem:

- Muszę pozbyć się tego ...

Zniknął w łazience.

Kiedy wrócił do łóżka, wyciągnął się obok Rosie. Podparłszy się na łokciu, spojrzał jej w oczy i pocałował w nos.

_. Dobrze nam ze sobą, Rosie. Naprawdę wspaniale. Mam nadzieję, że nieprędka znikniesz mi z oczu.

- Oczywiście, że nie. Muszę się najpierw tobą nacieszyć.

- Chciałbym, żebyś została ze mną ... na dłużej - Johnny miał zamiar powiedzieć "na zawsze", ale nie ośmielił się. Przynajmniej na razie. Zdawał sobie sprawę, że powinien postępować z Rosie ostrożnie. Znał się na tym. Wiedział, jak postępować z tymi, którzy go podziwiali.

Rosie uśmiechnęła się do niego.

-- Bądź spokojny. Ale teraz ... jestem spragniona, Johnny. Wiesz chyba, czego najbardziej pragnie kobieta?

- Tak. Dla ciebie, Rosie, zrobię wszystko - pochylił się nad nią i delikatnie pocałował ją w usta, spoglądając głęboko w oczy.

Na jego twarzy malowało się uwielbienie. A ,gdy odgarniał kosmyk włosów z jej czoła, uczynił to gestem pełnym szacunku.

- Nigdy wcześniej nie czułem czegoś takiego, Rosie - wyznał. - Nie znałem nikogo takiego jak ty. Od chwili, gdy spotkaliśmy się w listopadzie, myślałem o tobie przez cały czas.

Rosie milczała. Wyciągnęła rękę i przesunęła palcem po jego policzku.

- Powiedz coś - wyszeptał. - Jak się czujesz?

- Cudownie - odparła.

Sprawiło to Johnny'emu przyjemność, ale chciał usłyszeć coś więcej.

- Czy w ogóle myślałaś o mnie, zanim zadzwoniłem do ciebie? Skinęła głową.

- Tak, często.

- O czym myślałaś?

- O tym, że chciałabym się znowu z tobą zobaczyć. Cieszyłam się na to spotkanie i...

- I co?

- Od wtorkowego wieczoru pragnęłam cię, marzyłam o tym, żeby się z tobą kochać, a także ...

Rosie znowu zamilkła.

- No, nie bądź nieśmiała. Powiedz mi. Chcę wiedzieć.

Lekki uśmiezek zawitał na jej wargach.

- Chciałam, żebyśmy znaleźli się razem w łóżku, ale także obawiałam się tego trochę.

- Dlaczego? - zapytał zdziwiony. - Czego się bałaś?

- Może to niewłaściwe słowo. Po prostu byłam trochę zdenerwowana.

Johnny zasepił się i nie rzekł ani słowa. Rosie odezwała się niemal szeptem:

- Moje małżeństwo rozpadło się pięć lat temu. Właściwie nawet wcześniej. Chodzi mi o to, że nie ... nie spałam z nikim od tamtego czasu. Pewnie dlatego tak się denerwowałam.

Johnny'ego ucieszyło to, że Rosie od dłuższego czasu nie miała żadnego mężczyzny i wybrała w końcu jego. Był jej pierwszym kochankiem od pięciu lat. Czuł się niemal tak, jakby kochał się z dziewczyną. To radowało go i jednocześnie przerażało.

- Rozczarowałam cię? - spytał.

- Co za niemądre pytanie, Johnny. Oczywiście, że nie. Próbowałam ci tylko wyjaśnić, dlaczego się denerwowałam. Naprawdę dosyć długo żyłam w celibacie.

Figlarnie iskierki zabłyśły w jego oczach, gdy powiedział:

- Kochanie się jest jak jazda na rowerze. Nigdy się tego nie zapomina. Rosie roześmiała się.

- Pewnie masz rację, Johnny, ale moja matka mawiała, że praktyka czyni mistrza.

- Ty mimo wszystko wydajesz się doskonała.

Johnny przysunął się bliżej, pocałował Rosie w usta, a potem uklęknął obok. Pochylił się nad nią i zaczął muskać wargami jej skórę. Ramiona, piersi, każde zaokrąglenie jej ciała. Całował jej nogi i stopy, następnie znowu skierował się ku górze. Jego spojrzenie wyrażało czułość i oddanie. Był zauroczonej nią całkowicie.

- Podniecasz mnie tak bardzo - szepnęła Rosie.

- Właśnie, o to mi chodziło. Chciałbym posiąść cię całą, Rosie. Och, Boże, nie masz pojęcia, jak na mnie działasz.

Rosie usiadła nagle, zarzuciła mu ramiona na plecy i przytuliła go mocno.

- Zamówmy jakieś kanapki - zaproponowała. - Umieram z głodu.

- Dobrze. Ale zamierzam z powrotem zaciągnąć cię do łóżka, jak tylko zjemy.

35

Johnny czekał na Rosie w jej apartamencie w hotelu "Dorchester" gdy przyjechała tydzień później z lotniska Heathrow.

Kiedy weszła do środka, prowadzona przez boy'a, który dźwigał jej walizkę, Johnny zerwał się z sofy na powitanie.

Objął czule Rosie i szepnął jej do ucha: - Chryste! Jak ja za tobą tęskniłem!

Dał napiwek bagażowemu i zamknął za nim drzwi. Potem pomógł Rosie zdjąć płaszcz i odłożywszy go na krzesło, zaciągnął ukochaną na sofę. Pocałował ją namiętnie.

Odwzajemniał jej pocałunki z równą żarliwością. Ona także bardzo cieszyła się ze spotkania.

- Rosie, dni bez ciebie były koszmarem! - rzekł Johnny, gdy oderwał od niej usta. - Czułem się taki nieszczęśliwy.

- Jestem już tutaj - odparła. - Cała twoja.

Johnny podniósł się, wziął Rosie za rękę i pomógł jej wstać.

- Chodź, pokażę ci apartament. Wygląda na całkiem elegancki. Wcześniej, gdy tylko Rosie weszła do salonu, zauważyła jak pięknie został urządzony. Wszędzie stały wazony pełne herbacianych róż.

- Dzięki, Johnny, za kwiaty. To jedno z moich ulubionych - powiedziała, gdy oprowadzał ją po pokoju - Są cudowne.

- Tak jak ty- odparł, otwierając drzwi do innego pomieszczenia. - To sypialnia. Ładna, prawda? A obok łazienka. Po prawej stronie garderoba. Wszystko możesz sobie później obejrzeć. Czy chcesz, żebym wezwał pokojówkę, aby pomogła ci rozpakować bagaże?

Rosie pokręciła głową.

- Nie, nie trzeba, dziękuję - kiedy podeszli do łóżka, Rosie zobaczyła bukietek fiołków stojący w małym wazoniku na szafce nocnej. Uścisnęła ramię Johnny'ego i pocałowała go w policzek. - Jesteś taki kochany.

Uśmiechnął się.

- Dostyc już pieszczot, bo znajdziemy się za chwilę w łóżku - zażartował. - Muszę zachować siły na wieczorny koncert.

Wrócili do salonu. Johnny podszedł do drzwi i otworzył je.

- Tędy wchodzi się do mojego apartamentu. Jeśli będziesz mnie potrzebować, wystarczy zawołać. Rosie uśmiechnęła się nieznacznie i usiadła na sofie.

Johnny stanął przy kominku i oparłszy się o obudowę utkwiał wzrok w Rosie.

- Znowu robisz to samo, Johnny.

- Co takiego?

- Patrzysz na mnie.

- Nie mogę się powstrzymać. Jesteś taka piękna, Rosie. Chcę się nasycić twoim widokiem.

- W taki sposób po tygodniu będziesz miał mnie dostyc.

- Niemożliwe - odparł i dodał: - Wiesz, jaki jest dzisiaj dzień?

Rosie ściągnęła brwi.

- No ... oczywiście ... Dzisiaj jest pierwszy dzień twoich występów w Wielkiej Brytanii, początek tournée.

- To prawda, ale dziś jest także piątek, czternastego lutego. Dzień Świętego Walentego.

- Ojej, zupełnie zapomniałam.

- Ale ja nie - sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął małe, ładnie zapakowane pudełeczko. - To dla ciebie, Rosie.

Spojrzała na niego i wolno pokiwała głową. Zmarkotniała. Uśmiechnęła się słabo i powiedziała:

- Ajanie mam niczego dla ciebie. Czuję się okropnie, naprawdę, Johnny.

- Nie masz powodu. Przyjechałaś tutaj, prawda? Jesteś naj cudowniejszym prezentem. A teraz proszę, otwórz to.

Rosie odwiązała jedwabną wstążkę, zdjęła papier i znalazła w środku małe czerwone pudełeczko ze złoceniami. Podniosła wieczko i aż otworzyła usta ze zdumienia. Wewnątrz, na czarnym aksamicie leżał błyszczący brylantowy pierścionek. Rosie popatrzyła na Johnny'ego, nie wiedząc, co powiedzieć.

Stał obok i czekał, aż Rosie się odezwie. Ona jednak nie rzekła ani słowa.

- Nie podoba ci się? - spytał w końcu. - Nie jest wystarczająco ładny?

- Ależ skąd, Johnny! Nie widziałam nigdy czegoś równie pięknego. Naprawdę. Ale nie mogę go przyjąć! - rzekła czując, jakkręć się w głowie. - Dlaczego?

- Po prostu nie mogę wziąć czegoś tak bardzo kosztownego.

- To nie jest zwykły pierścionek, tylko zaręczynowy.

- Och, Johnny ...

- Kocham cię, Rosie.

Spoglądała na niego oszołomiona i gryzła nerwowo wargi.

- Chcę, żebyśmy się zaręczyli - powiedział Johnny - i pobrali. Pragnę spędzić z tobą resztę życia.

Mówiłem ci tydzień temu, że żadnej kobiety nie kochałem tak jak ciebie. Tylko z tobą mógłbym się ożenić - patrzył na Rosie uważnie swymi błękitnymi oczami. Wyglądał bardzo poważnie. Nie było wątpliwości, że mówi serio.

_ Och, Johnny, ujęły mnie twoje słowa, ale nie mogę teraz przyjąć tego pierścionka ani zaręczyć się z tobą. Wciąż jestem zamężna.

- Przecież się rozwodzisz.

- Tak, ale to potrwa całe miesiące, może nawet rok ...

- Nie obchodzi mnie, jak długo - przerwał stanowczo, patrząc na Rosie twardym wzrokiem. -

Poczekam. I tak będziemy ze sobą, zanim weźmiemy ślub - odetchnął i powiedział ciszej: - Proszę, weź pierścionek. No, kochanie, pozwól, że włożę ci go na palec.

Johnny zrobił krok do przodu i uśmiechnął się.

- Nie, Johnny, nie mogę! - wykrzyknęła i uświadomiła sobie z żalem, że zrobiła to o wiele za głośno i niemal ze złością. Zrozpaczona pokręciła głową i dodała ciszej: - Po prostu nie mogę.

Johnny znieruchomiał.

- Nie patrz tak na mnie.

- Jak?

- Z takim wyrzutem. Nie chciałam cię zranić.

- Nie czujesz tego samego, co ja, prawda? - spytał.

_ Nie wiem - odparła. - Według mnie to wszystko dzieje się zbyt szybko. - Zmusiła się do uśmiechu i mówiła dalej łagodniejszym tonem: _ Posłuchaj, po prostu muszę się trochę zastanowić. Życie

ciężko mnie doświadczyło, dlatego boję się popełnić kolejny błąd. To zbyt bolesne. Rozpadające się małżeństwo to istne piekło. Uwierz mi.

- Nie jestem taki jak Guy de Montfleurie. Mówiłaś mi, że cię zdradzał. Ja nie potrzebuję innych kobiet. Tylko ciebie.

- Wiem, co czujesz, ale nie o to mi chodzi... Nie wątpię w ciebie, Johnny. Próbuję tylko postępować rozsądnie dla dobra nas obojga. Nigdy nie byłeś żonaty, więc nie wiesz, jak to jest, kiedy związek się rozpada. To koszmar, naprawdę.

- My się nie rozstaniemy - zapewnił. - Kocham cię tak bardzo. Ignorując jego słowa, Rosie ciągnęła dalej:

- Wyszłam za Guya zbyt szybko. Ledwo go znałam. My także prawie się nie znamy. Nie możesz temu zaprzeczyć. Jesteśmy ze sobą dopiero od tygodnia.

- Dokładnie dziesięć dni - odrzekł. - Zdążyłem dowiedzieć się, jaka jesteś - przerwał i spojrzał na nią ostrożnie, lekko ściągając brwi. - Posłuchaj, możesz przeżyć z kimś pięćdziesiąt lat i nigdy go nie poznać. I równie dobrze spotkać kogoś i od razu wiedzieć, że to bratnia dusza. To się czuje intuicyjnie. Tak właśnie jest z nami, pasujemy do siebie, Rosie. Kocham cię i podziwiam.

Nie odezwała się.

- Czy nic do mnie nie czujesz? - spytał.

- Oczywiście, że czuję! - krzyknęła, prostując się na sofie. - Także cię uwielbiam. Szaleję za tobą, Johnny! Jesteś taki kochany i czuły.

Twarz Johnny'ego rozpromieniła się. Uradowały go jej słowa. Pomyślał, że wreszcie doszli do porozumienia.

- W takim razie, dlaczego nie chcesz przyjąć pierścionka?

- Proszę, Johnny. Powoli. Nie zapędzajmy się.

- Co to za różnica, czy będziesz go nosić na prawej ręce, czy na lewej?

Rosie spuściła głowę.

- Nie mówmy już o tym. Poczekajmy przynajmniej do czasu, aż będę zupełnie wolna - zamknęła pudełeczko i odłożyła je na stół. - Chcę jednak, żebyś wiedział, że to najpiękniejszy pierścionek, jaki kiedykolwiek widziałam.

Johnny usiadł obok Rosie i objął ją ramieniem. Pocałował ją czule.

Potem odsunął lekko od siebie i zajął jej w oczy.

- Pragnę cię przez cały czas, skarbie. Chcę, żebyś została ze mną na zawsze jako moja żona.

- Och, Johnny, Johnny ... - westchnęła i oparła głowę na jego ramieniu. Poczuł, jak Rosie się rozluźnia. Wiedział, że nie jest jej obojętny.

Nie mogąc się powstrzymać, znowu zaczął ją całować. Położył Rosie na poduszkach i gładził palcami jej włosy, a ona przywarła do niego i objęła go

mocno.

Nieoczekiwanie Johnny oderwał się od jej ust i powiedział:

__ Przepraszam, kochanie. Nie powinienem zaczynać. Nie mamy teraz czasu - westchnął ciężko. - Widzisz, co ze mną robisz? Doprowadzasz

mnie do szaleństwa.

__ Podobnie ty działasz na mnie - wyszeptwała. Ujął jej twarz w dłonie i spojrzał głęboko w oczy. - A więc na czym skończyliśmy? - spytał.

__ Johnny, nic się nie zmieniło od czasu, kiedy widzieliśmy się w Paryżu. Inaczej nie przyjechałabym tutaj. Chcę być z tobą. Mówiłam ci już. Szaleję za tobą.

__ Dajesz mi więc nadzieję? - Johnny opuścił rękę i przybrał poważną minę.

- Oczywiście, że tak.

__ Myślałaś przynajmniej o tym, żeby wyjść za, mnie?

- Tak.

__ Czyż nie jest nam cudownie w łóżku?

Rosie uśmiechnęła się.

- Wiesz przecież.

- Sama mi to powiedz.

__ Jest nam wspaniale ze sobą. Po prostu bosko.

__ A w ogóle, czy czujemy się dobrze razem?

- Pewnie, że tak.

Na ustach Johnny'ego zawitał pełen zadowolenia uśmiech.

__ Tak więc wszystko w porządku. Dogadaliśmy się. Zaręczymy się zaraz po twoim rozwodzie i następnego dnia weźmiemy ślub.

Rosie znowu się wystraszyła i spojrzała na Johnny'ego z obawą:

- Nic takiego nie powiedziałam!

Nie zwracając uwagi na jej słowa, Johnny podniósł się z sofy.

_ Muszę iść, kochanie. Niedługo przyjdzie Nell i zabierze cię na koncert - otworzył drzwi prowadzące do jego apartamentu.

Rosie chwyciła pudełko z pierścionkiem, wstała i podbiegła do Johnny'ego.

Pokręcił głową.

_ Kupiłem go dla ciebie. Jest twój. Zatrzymaj go.

- Nie mogę. Musisz go zabrać. Boję się, że go zgubię. Proszę, Johnny, weź go i schowaj gdzieś w bezpiecznym miejscu.

- Dobrze - odparł niechętnie i schował pudełko do kieszeni marynarki. Zbliżył się do Rosie i pocałował ją w nos. - Wyjdiesz za mnie, Rosie. To zostało zapisane w kartach. Nie unikniemy naszego przeznaczenia. *Que sera, sera*.

Rosie patrzyła na Johnny'ego bez słowa. Kładąc rękę na klamce, powiedział:

- Kilku facetów może kręcić się po moim pokoju. Nie wejdą tutaj nieproszeni, ale zamknij drzwi na klucz, jeśli chcesz.

- Dobrze.

- Pojedziesz ze mną w trasę, prawda?

- Jeśli myślisz, że puszcze cię samego, to się mylisz - odparła Rosie ze śmiechem. Oczywiście, że wybiorę się z tobą.

- Nie zapomnij, że udamy się także do Szkocji. Odwiedzimy Glasgow, Edynburg, Manchester, Leeds i Birmingham. Do zobaczenia, maleńka - puścił oko do Rosie i zamknął za sobą drzwi.

36

Godzinę później Rosie stanęła przed Nelli na środku sypialni i spytała:

- No i jak wyglądam?

- Doskonale - odparła Nell. - Elegancko, wytwornie. Wprost olśniewająco. Świetnie pasujesz do Johnny'ego. Nie zapominaj, że jesteś jego kobietą.

Rosie spojrzała na Nell i zaczęła się śmiać.

- Jego kobietą? Jak to dziwnie brzmi.

- Johnny tak cię określa: "Rosie, moja kobieta". W taki sposób mówi o tobie. Jest bardzo z ciebie dumny. Chwali się przed wszystkimi - Nell przyjrzała się uważnie Rosie, ściągając brwi. - Przeszkadza ci to?

- Nie, niezupełnie, tylko bawi.

- Taki już jest nasz Johnny. Brak mu kindersztuby.

- Nell, to trochę niegrzeczne.

- Nie miałam nic złego na myśli. Wiesz, jak bardzo lubię Johnny'ego. Właściwie kocham go na swój sposób. To porządny facet. W show biznesie niewielu takich można spotkać - Nell zrobiła krok do tyłu. Przechyliła głowę na bok i przyjrzała się Rosie krytycznie. - Odwróć się - poleciła. - Muszę zobaczyć cię z tyłu.

- Tak jest, madam - odparła Rosie, salutując. Potem odwróciła się powoli. Miała na sobie czarny aksamitny kostium, składający się z wąskich spodni i wdzianka z długimi rękawami i szerokim kołnierzem uszytym z wzorzystego jedwabiu w kolorach czerwonym, pomarańczowym, szkarłatnym i żółtym. Kołnierz ozdobiły czarne trójkąty. Na wierzch Rosie włożyła sięgający do kostek płaszcz bez rękawów, pozbawiony zapięć z przodu.

- Wyglądasz naprawdę cudownie - oznajmiła Nell, kiwając głową z podziwem, - ale gdzie masz pierścionek?

Rosie obróciła się szybko z powrotem. - Wiesz o pierścionku?

- Oczywiście. Jak myślisz, kto chodził z Johnnym we wtorek po sklepach? Przyleciałam z Nowego Jorku dzień wcześniej. Byłam zupełnie wykończona.

- Kupił go we wtorek?

- Tak. Chciał, żebym pomogła mu wybrać. Ten spodobał mu się od razu. To dziesięciokaratowe cacko. Kamień świetnie oszlifowany. No, Rosie, gdzie go masz?

- Oddałam Johnny'emu. Nell, wiesz dobrze, że nie mogłam przyjąć tego pierścionka. Johnny i ja ledwie się znamy. Jesteśmy ze sobą dopiero od paru dni. Poza tym jeszcze się nie rozwiodłam. Więc

jak mogłabym się zareczyć?

- Czemu nie? Nie widzę żadnej przeszkody.
- Och, Nellie, bądź rozsądna. Jesteśmy przecież dorosłe.

Nell roześmiała się i wzruszyła ramionami.

- Możesz nosić ten pierścionek na prawej ręce.
- To niemądre.
- Dlaczego?

Rosie przyglądała się bacznie Nell. Nie wiedziała, czy przyjaciółka żartuje, czy nie. Jednak oblicze Nell było nieprzeniknione.

- Nie sądziłaś chyba, że przyjmę ten pierścionek, prawda?
- Mówiąc szczerze, nie. Ale Johnny mnie nie słuchał. Uparł się, żeby go kupić. Musiałam zgodzić się i zrobić to, o co prosił.

Nell podeszła do łóżka, usiadła, a potem oparła się na łokciu. Leżała tak w milczeniu przez jakiś czas z zamyślonym wyrazem twarzy.

Rosie zerknęła na nią. Następnie poszła do garderoby, założyła trzy wąskie złote bransoletki i złote kolczyki w kształcie kółek. Skropiła się peñumami i wróciła do sypialni. U siadła w nogach łóżka naprzeciwko Nell. - Cieszę się, że związałaś się z Johnnym - powiedziała Nell. - Tego właśnie ci brakowało, Rosie. Johnny jest dla ciebie miły, prawda? To znaczy, chodzi mi o to, czy jest dobry w łóżku?

- Fantastyczny!
- Nie ma hopla na jakimś punkcie?

Rosie zaprzeczyła ruchem głowy i roześmiała się.

- Dzięki Bogu, nie. Chociaż wydaje się trochę nienasycony. Kiedy przyjechałam, omal nie wylądowaliśmy od razu w sypialni. Muszę przyznać, że ciągnie nas do siebie.

Nell uśmiechnęła się.

- Wiedziałam, że go potrzebujesz! Po prostu wiedziałam! Spójrz na siebie. Nabrałaś rumieńców. Masz brzoskwińnię, gładką cerę i błyszczące oczy.

- Och, Nell, jesteś niemożliwa. A teraz powiedz mi, co słyhać u Kevina?

- Wszystko w porządku. Niedawno spędziliśmy razem wspaniały weekend. Chociaż muszę przyznać, że latanie w tę i z powrotem nad Atlantykiem, nawet concordem, trochę mnie męczy. W każdym razie Kevin przesyła ci pozdrowienia. Myślałam, że mówiłam ci już o tym przez telefon.

- Nie - odparła Rosie. - Wczoraj rozmawialiśmy tylko o Johnnym. Nell spojrzała na Rosie rozmarzonym wzrokiem i ~estchnęła.

- Kto wie, może zostanę twoją szwagierką, moja droga.
- Mam nadzieję. A przy okazji, czy wspominałaś Kevinowi o Johnnym?
- Nie. Na wszelki wypadek nie powiedziałam niczego. Poza tym nie lubię się wtrącać. To twoja sprawa - Nell usiadła i utkwiała oczy w przyjaciółce. - A teraz wyznaj mi coś. Co czujesz do naszego uroczego piosenkarza?

- Szaleję za nim. Naprawdę jest cudowny. Bardzo czuły i kochający. Czuję się zupełnie oczarowana.

- Nie jesteś w nim zakochana? - Nell uniosła jasne brwi i rzuciła Rosie pytające spojrzenie.

- Wiesz, Nellie, że jestem teraz bardzo ostrożna. Popełniłam już jeden życiowy błąd, wychodząc za Guya.

- Och, znowu ten okropny Guy. Musiał okazać się wielkim łajdakiem. Rozumiem, że masz teraz uraz. Może dobrze, że dmuchasz na zimne. Rozumiem, że robisz karierę i masz prywatne sprawy nie związane z Johnnym. A on może okazać się bardzo wymagający.

- Co masz na myśli?

- Johnny to gwiazdor i ma swoje kaprysy.

- Gavin też jest sławny, a nie sądzę, żeby był trudny we współżyciu.

- Gavin to aktor i w dodatku z Nowego Jorku. Z Johnnym jest inaczej. To piosenkarz, największa gwiazda naszych czasów. Często występuje.

Środowisko muzyczne zupełnie różni się od ludzi skupionych wokół filmu czy teatru. Tutaj w grę wchodzi naprawdę olbrzymie pieniądze. Wszystko to jest w pewien sposób zwariowane. Na Johnny'ego rzucają się tłumy ludzi, chcą go dotykać. Kobiety padają przed nim na kolana. Całe gromady d~iewczyn jeżdżą za nim. Johnny przywykł do tego, że ludzie go podziwiają, schlebiają

mu, dają wszystko, czego zapragnie. No, wiesz, w pewnym sensie to bagno. Johnny przyzwyczał się do tego, by rzeczy działały tak, jak on sobie tego życzy. Był zupełnie niemożliwy z tym pierścieniem. Nie słuchał mnie. Chciał kupić ci zaręczynowy pierścionek i koniec. Kropka. Zrobiłby to bez względu na wszystko - Nell westchnęła. - Mówiłam mu, że się nie zgodzisz na zaręczyny, ale nie chciał wierzyć. Zamierzałam cię tylko ostrzec, że Johnny zwykł zaspakajać wszystkie swoje pragnienia.

- Rozumiem - Rosie odwróciła się, zaniepokojona nagle swoim związkiem z Johnnym.

Nie była pewna, czy sobie z tym poradzi. Uparci ludzie przerażali ją. Często zachowywali się nierozsądnie i sprawiali trudności.

- Nie załamuj się, Rosie. Mimo wszystko Johnny to cudowny facet. Od lat ci to powtarzałam, czyż nie?

- Owszem, pamiętam.

- Jest hojny, uprzejmy. Chociaż często upiera się przy swoim, nie wydaje się taki znowu straszny. Wiedzie porządne życie.

- Co to znaczy?

- Nie zażywa narkotyków ani środków nasennych, nie pali, pije niewiele. Strzeże swojej prywatności. Nie włącza się po wszystkich możliwych przyjęciach. Prowadzi się całkiem dobrze.

- Właśnie takie zrobił na mnie wrażenie - uśmiechnęła się Rosie. - I wcale tak bardzo się nie załamuję.

- Wiesz co, Rosie - Nell zerknęła na swój zegarek wysadzany brylantami - musimy już lecieć. Minęło wpół do szóstej.

- Koncert zaczyna się dopiero o ósmej.

- Wiem, ale dojazd do Wembley zabierze nam przynajmniej godzinę, może nawet więcej. A Johnny chciał, żebyśmy przyszły do jego garderoby przed występem.

- Wezmę torebkę.

Gdy Rosie wróciła, Nell stała przed lustrem i poprawiała swoje błyszczące włosy.

- Wyglądasz wspaniale, Nellie - rzekła Rosie, podchodząc do przyjaciółki. - Do twarzy ci w tym czerwonym kostiumie.

- Dziękuję. Dobrze, że uzgodniłyśmy wcześniej, w co się ubieramy. Chciałam włożyć czarny aksamitny kostium, prawie taki sam jak twój. Wyglądałybyśmy jak dziewczyny z wodewilu - roześmiała się. - Chodźmy już. Nie pozwólmy, aby nasz gwiazdor się denerwował.

Rosie podążyła za przyjaciółką. Kiedy kroczyły korytarzem, Nell powiedziała:

- Samochód czeka na dole. Johnny zostawił nam też Butcha, żeby się nami opiekował.

- Butch? Kto to taki?

- Jeden z jego ochroniarzy. Pozostali, Andy i Jack, pojechali z Johnnym na Wembley.

- Rozumiem. Właściwie dlaczego Johnny wybrał się tam tak wcześniej? - spytała Rosie, gdy zatrzymały się przy windzie. - Wyjechał o wpół do piątej.

- Mówiłam ci, że dojazd zajmuje dobrą godzinę. Johnny prawdopodobnie obawiał się korków w godzinach szczytu. W każdym razie zawsze potrzebuje około godziny na uczesanie się i zrobienie makijażu. Dużo czasu zajmuje mu też rozgrzewka.

- Tak się cieszę, że zobaczę jego występ.

- Myślałam, że już zaprezentował ci swoje możliwości - rzekła Nell przewrotnie, puszczając oko do Rosie.

- Och, Nell! Jesteś paskudna i zepsuta!

- Dokładnie to samo powiedział mi twój brat.

Garderoba Jonny'ego była pełna ludzi. Rosie nie mogła go dostrzec.

- Czy tutaj zawsze tak tłoczno? - zwróciła się do Nell.

- Tak, ale oni niedługo sobie stąd pójdą. Johnny ze swoim fryzjerem i charakteryzatorkami znajduje się w pokoju obok. Chodź tędy.

Nell otworzyła jakieś drzwi i chwyciła Rosie za ramię.

- Johnny siedzi tam w kącie. Rozmawia z Kennym, który gra w zespole na instrumentach klawiszowych, i z Joe, swoim osobistym asystentem.

- Podobno wspominał im o mnie, ale czy naprawdę uważasz, że możemy im przeszkadzać?

- Nie żartuj, Rosie! - roześmiała się Nell, popychając ją przed sobą. - Założę się, że Jołummy nie może się doczekać, kiedy cię z nimi pozna. Od tygodnia bez przerwy o tobie opowiada. Uważa cię

za ósmy cud świata.

- Och, Nell, co ty wygadujesz?! - zachnęła się Rosie. Po chwili dostrzegła Jołumy'ego.

Odwrócił się nagle od Kenny'ego i Joe. Wyglądał na rozdrażnionego. Rosie widziała to po jego twarzy. Jego niebieskie oczy błyszczały. Zaciśnął usta. Odwrócił się z powrotem do dwóch mężczyzn, którzy mieli skruszone miny. Rzucił parę ostrych słów i odszedł do innej części pokoju.

- Wygląda na zdenerwowanego - powiedziała Rosie cicho.

- Pewnie poszło o jakiś drobiazg - odparła szeptem Nell. - Poza tym wydaje mi się, że wszystko w porządku. Jołumy jest w ogóle trochę nerwowy. Zwłaszcza przed tak poważnymi występami jak ten.

- Może powinniśmy stąd wyjść. Pozwolić na trochę prywatności.

- Prywatności? Z tymi wszystkimi ludźmi wokół? Chyba oszalałaś! Johnny na nas czeka. Chodź. Allie pewnie kończy charakteryzację. Teraz Maury zabierze się do czesania. Potem Johnny jeszcze się przebierze.

- Dobrze, Nell, ty tutaj rządzisz i pewnie znasz Johnny'ego lepiej niż ja.

- Nie powiedziałabym - rzekła żartobliwie, mrużąc figlarnie oczy i zanim Rosie zorientowała się, popchnęła ją w stronę Jołumy'ego.

- Cześć, Johnny! - zawołała Nell. - Nie przeszkadzamy? Może chcesz się najpierw uczesać? Jołumy siedział na wysokim krześle przed olbrzymim lustrem. Zobaczył w nim Nell i Rosie i podniósł rękę na przywitanie. Potem odwrócił się i spojrzał przez ramię.

- Proszę, chodźcie - powiedział, uśmiechając się promiennie. - Rosie, poznaj Allie i Maury'ego, którzy próbują doprowadzić mnie do porządku.

Rosie uśmiechnęła się także. Jołumy wyglądał teraz zupełnie normalnie. Z jego twarzy zniknęły ślady złości. Przedstawił Rosie także swojego menażera, Jeffa Smaileasa, który akurat pojawił się w pobliżu. Potem usiadł z powrotem na krześle i pozwolił dokończyć makijaż.

- Rosie, usiądź koło Jołumy'ego. Ja postoję tutaj.

- Dziękuję.

Rosie spoczęła na krześle. Przyjęła od kogoś kieliszek szampana i zaczęła przyglądać się charakteryzacji. Delikatny makijaż jeszcze bardziej uwydatnił urodę Jołumy'ego. Dostrzegła ledwo widoczne, niebieskie cienie na jego powiekach. Wyglądał teraz wprost oszalamiająco.

W pewnej chwili spojrzał w lustro na Rosie i uśmiechnął się do niej zniewalająco. Potem pozwolił Allie uszminować sobie usta. Wytarł je lekko papierową chusteczką i oblizał parę razy. Następnie przyjrzał się bacznie swojemu odbiciu.

_ W porządku, mistrzu - powiedział Maury. - Weźmy się teraz za włosy. Czas ucieka - mówiąc to, zaczął czesać jasne loki Jołumy'ego.

_ Nie dawaj zbyt dużo lakieru, Maury - powiedział Johnny. Po piętnastu minutach wstał. - Muszę iść się przebrać, kochanie. Poczekaj tutaj - rzekł do Rosie i spojrzał na Maury'ego. - To moja najdroższa ... Czyż nie jest wspaniała? - powiedział z dumą i wyszedł.

Do Rosie zbliżyła się Nell, niosąc krzesło.

_ Poczekamy, aż Jołumy się ubierze, a potem będzie lepiej, jak pójdziemy zająć miejsca.

- Dobrze, skoro tak uważasz.

- Chodzi mi o to, że Johnny zawsze staje się strasznie podenerwowany tuż przed wyjściem na scenę ... - Nell przerwała, gdy Jołumy się pojawił.

_ Zarezerwowałem wam miejsca w pierwszym rzędzie - powiedział, podchodząc do nich. Miał na sobie czarne spodnie, wykrochmaloną białą koszulę, rozpiętą przy szyi. W dłoni trzymał czarną marynarkę. Podeszedł do Rosie, uściśnął jej ramię i spojrzał w lustro. Przyglądził włosy, otarł usta chusteczką i napił się wody ze szklanki.

Potem odwrócił się i zaczął spacerować po pokoju. Zatrzymał się na chwilę, wręczył swoją marynarkę Jeffowi i ruszył dalej, pochylając głowę i przygryzając usta. Od czasu do czasu przystawał, spoglądał w sufit i poruszając bezgłośnie wargami, powtarzał w duchu słowa piosenek. Z pokoju obok doleciał nagle głośny śmiech. Johnny otworzył szeroko oczy i powiedział szorstkim głosem:

- Jeff, wyrzuć ich wszystkich stamtąd! Muszę się skoncentrować. Znowu zaczął się przechadzać.

Najego twarzy pojawiły się krople potu.

Napił się wody i dalej chodził tam i z powrotem.

Rosie wydawało się, że Johnny nie dostrzega zupełnie jej ani Nell. Znała wielu artystów i doskonale rozumiała, jaki stres przeżywają przed występem. Chwyła Nell za ramię i szepnęła:

- Chodźmy. Zostawmy go samego.

Nell skinęła głową.

Wymknęły się niepostrzeżenie z garderoby. Johnny wciąż przemierzał pokój wielkimi krokami. Miał na wpół przymknięte powieki i poruszał bezgłośnie wargami.

Gdy przechodziły przez zewnętrzne pomieszczenie, Rosie spostrzegła, że opustoszało ono zupełnie. Nell ujęła ją za łokieć i wskazała drogę do wyjścia. Przy drzwiach czekał na nie Butch, by zaprowadzić je na salę.

Gdy usiadły na swoich miejscach, Rosie rozejrzała się wokoło. Nigdy nie widziała naraz tak wielu ludzi. Hałas ogłuszał ją zupełnie.

- Tutaj jest wiele tysięcy osób - powiedziała do Nell! - Nic dziwnego, że Johnny tak bardzo się denerwuje. Kto odważyłby się wyjść i zaśpiewać przed takim tłumem?

- Taka gwiazda jak Johnny - odparła Nell, spoglądając na boki. - Ale zgadzam się z tobą. Taki występ z pewnością nadweręży nerwy. Nikt nie zniósłby tego spokojnie.

- Wszyscy tutaj są jego fanami. Mój Boże, Nell, to rzeczywiście dużo mówi o Johnnym.

- Jasne. Wiesz, wspominał mi, że wybierasz się z nim w trasę i pojedziesz aż do Szkocji.

- Podczas ostatniego weekendu w Paryżu bardzo mnie namawiał.

- Ja także się wybieram. Może być całkiem zabawnie - rzekła Nell.

- Cieszę się, że spędzimy razem parę dni. Czy lecisz z Johnnym do Australii pod koniec miesiąca?

- Tylko na tydzień. Dojadę tam na początku marca. Czemu pytasz?

- Johnny chciał, żebym mu towarzyszyła - rzekła Rosie - ale powiedziałam, że nie mogę. Mam dużo pracy. Ostatnio musiałam wstawać o czwartej rano, żeby ze wszystkim nadążyć i móc przyjechać tutaj.

Nell spojrzała na nią uważnie.

- Johnny zawsze część roku spędza w trasie, wiesz o tym.

- Tak, zdaję sobie sprawę.

Obie zamilkły na chwilę. Siedziały pogrążone we własnych myślach. Nagle światła przygasły.

Kapela Johnny'ego zaczęła grać. Kolorowe

reflektory skupiły się na scenie, tworząc specyficzną atmosferę.

Po paru minutach na podium wyszedł Johnny.

Rosie zdawało się, jakby miejsca, na których siedziały, naraz uniosły się w górę. Tysiące ludzi zaczęło skakać, wiwatować i wykrzykiwać imię Johnny'ego. Wszyscy oszaleli.

Rosie nigdy wcześniej nie widziała czegoś takiego.

Zadrżała mimowolnie. Klaskała w dłonie, lecz poczuła się nagle niespokojna. Wrzeszczący tłum przerażał ją. Uwielbienie dla Johnny'ego miało w sobie coś chorego. Zastanawiała się, co by się stało, gdyby taki tłum ludzi natarł na niego. Mogliby go z łatwością stratować. Dreszcz znowu przeszedł jej po plecach. Spięta przywarła do oparcia krzesła.

Nell zauważyła to i spojrzała na przyjaciółkę zaniepokojona.

- Co się stało, Rosie?

- Ci wszyscy ludzie ... jak oni się zachowują? Mogłybyśmy zostać stratowane na śmierć, gdyby ruszyli na scenę.

- Wiem, o co ci chodzi. Właśnie dlatego tutaj siedzimy. Mamy niedaleko do drzwi na korytarz, tak więc nie martw się. Butch jest tutaj po to, żeby się nami opiekować. Na piętnaście minut przed końcem koncertu wyprowadzi nas przez tamte drzwi.

Rosie pokiwała głową, patrząc wprost przed siebie.

Johnny stał teraz na środku sceny. Za moment jednak zbliżył się do rampy i machając ręką, pozdrawiał swoich wielbicieli. Potem spojrzał w kierunku Rosie i przesłał jej pocałunek.

Ruszył znowu w głąb sceny, zatrzymał się i przez jakiś czas stał tyłem do publiczności.

Ludzie uspokoili się w końcu i usiedli na miejscach. Hałas ucichł.

Orkiestra przestała grać.

Po chwili Kenny Crossland zaczął grać na syntezatorze pierwsze akordy piosenki *My Heart Belongs to Me*.

Johnny odwrócił się z pochyloną głową. Podniósł ją powoli i zaczął śpiewać. Rosie patrzyła na niego jak zahipnotyzowana. Podobnie reagowała publiczność. Szczupła postać na olbrzymiej scenie wyglądała dziwnie bezradnie, a także niezmiernie pociągająco. Uroda Johnny'ego, podkreślona jeszcze makijażem, zniewalała Rosie. Zdała sobie sprawę, jak wielką charyzmę ma Johnny. Ubrany w czarny garnitur i białą koszulę elektryzował wszystkich. Jego głos brzmiał anielsko. Zauroczył nim całą publiczność. Wzbudzał uwielbienie. Jego nieruchoma postać całkowicie pochłaniała uwagę. Nie obracał się. Stał cały czas w jednym miejscu. Nieznacznie tylko poruszał biodrami. Zdawało się, że niemal nie napina przy tym mięśni. Momentami kołysał się w rytm muzyki, nie przesuwał stóp. Jego atuty stanowiły niezwykle głos i wygląd. Gdy skończył piosenkę, rozległy się ogłuszające oklaski. Pochylając głowę, z wdziękiem przyjął aplauz. Potem podniósł wysoko ręce, prosząc, by wszyscy się uciszeli, i zaczął następny utwór. Po dwóch kolejnych, zaśpiewanych z towarzyszeniem chóru, Johnny wziął mikrofon i podszedł do rampy.

- Dziękuję - powiedział do publiczności, gdy ucichły oklaski. - Wspaniale jest być z wami tutaj dziś wieczór - przerwał na chwilę. Przeszedł szybkim krokiem wzdłuż sceny i Izatrzymał się dokładnie naprzeciwko Rosie i Nell. - Tę piosenkę, którą teraz zaśpiewam, dedykuję mojej ukochanej - rzekł do mikrofonu i przesłał Rosie pocałunek. Uśmiechnęła się do niego. Publiczność oszalała na parę minut. W końcu Johnny podniósł dłoń. Zapadła cisza. Zespół znowu zaczął grać. Johnny, kołysząc się w takt melodii, pochylił głowę. Wreszcie uniósł wzrok i utkwiał go w Rosie. Rozległ się jego czysty, jasny głos, gdy rozpoczął pierwszą zwrotkę *Lost inside of You*. Tę balladę śpiewał dla Rosie i tylko dla niej. Patrzyła i słuchała go z wielkim podziwem. Dotarło do niej w owej chwili, jak bardzo Johnny jej pragnie. Serce Rosie zamarło nagle. Poczuli strach. Uświadomiła sobie, że Johnny ma obsesję na jej punkcie, a każdy rodzaj obsesji przerażał ją.

37

Poranne promienie słońca wpadały przez ogromne okna. Odbijały się od olśniewająco białych ścian i mebli ze stali i szkła. Oświetlały także kolekcję miniaturowych marmurowych obelisków stojących na etażerce. Wszystkie przedmioty w wielkiej jadalni w apartamencie wynajętym w Tromp Tower zdawały się błyszczeć i świecić. Gavina powoli zaczynało to irytować. Wstał z krzesła i podszedł do szerokich okien w końcu pokoju, by zasunąć zasłony. Jednak porzucił swój zamiar. Spojrzał z góry na Manhattan i przez chwilę zaparło mu dech. Widok był naprawdę imponujący. Nigdzie na świecie nie widział czegoś podobnego. Architektura Manhattanu robiła wrażenie. Urzekła swym pięknem Gavina, który tutaj się przecież wychował. Okna jadalni wychodziły na Piątą Aleję. Gavin zerkał na sąsiednie ulice wiodące na West Side i nad Hudson. Rzeka wijąca się za drapaczami chmur, połyskującymi na tle błękitnego nieba, wyglądała jak długa srebrna wstęga. Gavin zmrugał powieki, pociągnął w końcu za metalowy pręt i opuścił żaluzje. Pokój od razu pograżył się w przyjemnym półmroku. Wróciwszy do stołu, przejrzał pospiesznie *The New York Times*. Przeczytał artykuł Franka Richa o nowej sztuce wystawianej na Broadwayu, rzucił okiem na recenzje filmów. Odłożył gazetę, słysząc dzwonek telefonu. Wstał, podszedł do białego kredensu i podniósł słuchawkę.

- Halo?
- Gavin?
- Tak.
- To ja, Louise.
- Wiem - zerknął na zegarek i zmarszczył czoło. Minęła dziewiąta. - Słyszać cię tak, jakbyś była tuż za rogiem.
- Bo jestem.
- Gdzie?
- W hotelu "Pierre".
- A gdzie David?
- W domu. W Kalifornii ...
- Louise, wiesz, że nie lubię, kiedy oboje wyjeżdżamy i zostawiamy go samego - przerwał. - Myślałem, że co do tego jesteśmy zgodni. - Ależ, oczywiście. Wszystko w porządku. Moja siostra

została z Davidem na parę dni. I nie zapominaj, że jest z nim także jego niania. W domu została też gosposia i kucharka. Nie musisz się martwić.

Gavin westchnął.

- Co robisz w Nowym Jorku?
- Przyjechałam, żeby się z tobą zobaczyć.
- Tak?
- Chciałam z tobą porozmawiać.
- Przecież mogłaś zadzwonić do mnie z Kalifornii.
- Niezupełnie ... Przyjechałam dziś rano i wyjeżdżam wieczorem.
- Pewnie wybierasz się do Waszyngtonu?
- Wyobraź sobie, że nie. Wracam na wybrzeże. Nie lubisz przecież, jak zostawiamy Davida - powiedziała załamującym się głosem.
- Kiedy chcesz się spotkać? - spytał Gavin.
- Może za godzinę?
- Dobrze. Przyjdiesz tutaj?
- Tak. Zobaczymy się o dziesiątej.

Gavin stał jeszcze przez chwilę z słuchawką przy uchu i słuchał monotonnego sygnału. Potem wrócił do stołu, dopił kawę i poszedł do sypialni. Podobnie jak reszta mieszkania, sypialnia została umeblowana w nowoczesny sposób. Gavin nie znosił takiego stylu. Zbyt szafowano tu bielą. Powoli nabierał odrazy do tego koloru.

Rozglądając się wokół, mruknął do siebie pod nosem:

- To miejsce doprowadza mnie do szału - i wszedł do wyłożonej kafelkami łazienki.

Ogolił się. Potem, zdjawszy szlafrok, wziął prysznic i umył włosy. Wsunął się z kabiny i po omacku szukał ręcznika.

Piętnaście minut później, ubrany w ciemnoszare spodnie, białą koszulę i granatową marynarkę wszedł do niewielkiej biblioteki. Usiadł za biurkiem, zadzwonił w parę miejsc w sprawie swojej podróży do Francji, a następnie wykręcił numer do swojego prawnika, Bena Stanleya z Bel-Air.

- O, już jesteś na nogach, Ben - rzekł, gdy prawnik po drugim dzwonku podniósł słuchawkę. - Wstajesz razem ze słońcem.
- Cześć, Gavinie, jak ci leci w moim ukochanym mieście?
- Całkiem nieźle, Ben. Skończyliśmy już *Twórcę Królów*. Wszedł z tego wspaniały film. Spodoba ci się. Moja ekipa wyjechała parę dni temu do Londynu. za jakiś tydzień wchodzimy do studia "Billancourt".
- Kiedy lecisz do Paryża?
- Jutro. Ben, posłuchaj, dzwonię do ciebie, ponieważ Louise jest w Nowym Jorku. Właśnie telefonowała do mnie. Ma tu przyjść niedługo. Chce ze mną porozmawiać. założę się, że chodzi jej o rozwód.
- Rozumiem. Uważaj więc na to, co powiesz, Gavinie, i nie obiecuj jej niczego. Jeśli ma swojego prawnika, a raczej na pewno ma, każ mu skontaktować się ze mną. Pamiętaj, że trwałeś w tym małżeństwie tylko ze względu na syna. Nie wygadaj się z tym teraz.
- Dobrze. zadzwonię do ciebie, jak tylko Louise wyjdzie. A przy okazji... W Paryżu zatrzymam się w "Ritzu", tak jak zwykle. Wiesz, jak mnie tam złapać.
- Mam też numer do studia. Twoja sekretarka przełaxowała mi wczoraj wszystko do biura.
- O, dzwoni domofon. Muszę iść, Ben. Wkrótce się usłyszymy.
- Bądź ostrożny, Gavinie.
- Dobrze.

Pożegnali się i Gavin chwycił słuchawkę domofonu. Poleciał swoim ochroniarzom wpuścić panią Ambrose.

Louise najwyraźniej przybrała na wadze. Mimo że wyglądała teraz znacznie lepiej, nadal była blada i miała ciemne kręgi pod oczami. Skłoniło to Gavina do zastanowienia, co dzieje się w jej życiu prywatnym. Wziąwszy od żony płaszcz, bez słowa położył go na ławie w korytarzu. Louise także milczała.

zaprowadził ją do salonu i spytał w końcu:

- Napijesz się czegoś? Mam zaparzoną kawę w kuchni.

Pokręciła głową przecząco i usiadła na kanapie. Gavin zajął krzesło naprzeciwko niej.

- O czym chciałaś ze mną porozmawiać, Louise?

Zawahała się przez chwilę, odchrząknęła nerwowo, wyprostowała się i obciągnęła spódnice.

Gavin widział, że jest zdenerwowana.

- No, Louise - powiedział. - Przecież cię nie ugryzę. Nie jestem takim potworem, jakiego usiłowałaś ze mnie zrobić przez te wszystkie lata.

- Chcę się rozwieść - wyrzuciła z siebie, spoglądając na Gavina i ściskając dłonie.

- Dobrze. Zgadzam się.

- Tak po prostu? Bez żadnych pytań? - spytała zdziwiona.

Uśmiechając się do niej, Gavin odparł:

- Owszem, ale pod pewnymi warunkami.

- Jakimi? Pewnie chodzi o pieniądze?

- Nie, nie zamierzam rozmawiać z tobą o pieniądzach czy podziale majątku. Zajmą się tym nasi prawnicy. Chodzi mi o dziecko.

- Spodziewałam się, że to powiesz.

- W takim razie nie zdziwi cię, że chcę Davida.

- Nie możesz go dostać! - wykrzyknęła przerażona krzywiąc się.

- Chcę się nim opiekować. I to w dodatku za twoim przyzwoleniem. W innym wypadku nie zgadzam się na rozwód.

- Czy byłeś już takim łajdakiem, kiedy za ciebie wychodziłam, czy zostałeś nim dopiero wtedy, gdy zrobili cię wielką gwiazdą?

- Och, Louise, nie zaczynaj znowu! Na miłość boską, przestań się na mnie wściekać. Chcesz rozwodu. Specjalnie po to przyjechałaś do Nowego Jorku. I zamierzasz teraz urządzać mi awanturę? To nie najlepszy sposób, żeby dostać to, czego się chce.

Westchnęła, oparła się na kanapie i przyglądała się Gavinowi chłodnymi niebieskimi oczami. Była przepelniona nienawiścią.

Gavin spojrział na nią i roześmiał się cicho.

- Wiem, że masz romans z Allanem Turnerem i że chcesz wyjść za niego. No więc, zdobądź się na rozsądek.

Nie odpowiedziała.

- Przypuszczam - ciągnął dalej - że przeprowadzisz się do Waszyngtonu. To dobrze, ponieważ właśnie zamierzałem przenieść się na Wschodnie Wybrzeże. Nie będę więc miał trudności, aby kontaktować się z Davidem. Kiedy chcesz się spakować i ruszyć do stolicy?

_ Nigdy nie mówiłam, że przeprowadzam się do Waszyngtonu! - krzyknęła Louise.

- Ale przecież tak chcesz zrobić - rzekł Gavin.

Przygryzła usta, uświadamiając sobie, że nie ma sensu kłamać ani niczego zatajać.

- Tak - przyznała - ale jeszcze nie teraz.

- Czy rozglądałaś się za szkołą dla Davida?

- Nie.

- Nie szkodzi. Sam się tym zajmę. Znam parę dobrych prywatnych szkół.

_ Poza sprawowaniem opieki nad Davidem, jakie są inne twoje warunki?

- A czy zgadzasz się na ten pierwszy?

Louise nie odpowiedziała od razu. Odwróciła wzrok, a potem znowu spojrzała Gavinowi w oczy.

- Tak - odparła pospiesznie. Gavin odetchnął z ulgą.

- Co do innych kwestii. Chcę, żeby David spędził ze mną wakacje i ferie zimowe. Chciałbym, abyś nie stawiała żadnych przeszkód i nie próbowała wywozić go wtedy za granicę.

Louise skinęła głową.

_ Czy to znaczy, że się zgadzasz? - spytał Gavin, pragnąc, by wszystko zostało wyjaśnione już na samym początku.

- Tak, zgadzam się.

- Świetnie.

_ Wspólna własność zostanie podzielona na połowę - powiedziała . Louise. - Takie jest prawo. Co jeszcze od ciebie dostanę?

_ Oczywiście alimenty na dziecko. Ale mówiłem ci już, o finansach musisz porozmawiać z Benem Stanleyem lub raczej powinien to zrobić twój prawnik. Masz prawnika, prawda?

- Tak.

_ Doskonale. A więc wszystko uzgodnione - powiedział Gavin.

- Owszem.

Gavin wstał.

_ Wciąż nie rozumiem, dlaczego tu przyjechałaś. Przecież o tym wszystkim mogliśmy

porozmawiać przez telefon.

Louise wzruszyła ramionami i podniosła się.

- Zawsze uważałam, że takie sprawy lepiej załatwiać osobiście. Gavin ruszył do drzwi, postanawiając tego nie komentować. Nie miał ochoty się z nią sprzeczać. Chciał tylko, żeby już wyszła, skoro omówili zasadnicze sprawy.

Louise podążyła za nim sztywnym krokiem. W korytarzu spytała:

- A więc kiedy lecisz do Paryża?

- Jutro.

- Zdażyłam w ostatniej chwili, co?

Gavin bez słowa podał Louise sobolowe futro. Przyglądał się jej uważnie. Po chwili rzekł uprzejmym tonem:

- W młodości oboje przeżyliśmy silne stresy. Wiele razem przeszliśmy, naprawdę. Przykro mi, Louise, że nam nie wyszło. - Westchnął i dodał głosem pełnym prawdziwego żalu: - Tak, rzeczywiście mi przykro. Straciliśmy wiele lat naszego życia, które powinniśmy byli lepiej wykorzystać. Ale przynajmniej David nie cierpiał. I chciałbym mieć gwarancję, że ominą go napięcia związane z rozwodem. Proszę, spróbujmy odnosić się do siebie przyjaźnie, Louise. Dla dobra Davida.

- Dobrze - odparła i otworzyła frontowe drzwi. Ruszyła w stronę windy. Po chwili odwróciła się jednak i oznajmiła cicho: - Kocham cię, wiesz o tym. Ale nasze małżeństwo nie miało szansy przetrwać, ponieważ ty mnie nie kochałeś, Gavinie. Ożeniłeś się ze mną tylko dlatego, że byłam w ciąży.

- Louise, ja ...

- Proszę, nie zaprzeczaj. Zawsze wiedziałam, już od tamtej strasznej tragedii z naszym pierwszym dzieckiem, że nigdy nie będziesz mój. Gdzie indziej ulokowałeś swoją miłość.

- Co masz na myśli? - spytał zdumiony. - Czy chodzi ci o moje filmy?

- Jeśli nie wiesz, o co mi chodzi, 10 lepiej nie będę o tym wspominać - Louise, sama zaskoczona swoim odruchem, zrobiła krok do przodu i pocałował Gavina w policzek. - Do widzenia - rzekła zwyczajnie i dodała: - Zobaczymy się w sądzie.

Drzwi windy otworzyły się i Louise weszła do środka. Gavin zauważył jeszcze, że jego żona wygląda na o wiele pulchniejszą niż ostatnimi laty. Gdy wracał do mieszkania nagle go olśniło. Louise była w ciąży. Nie miał co do tego wątpliwości. Choć jej nie kochał, znał ją bardzo dobrze. Z pewnością przepadała za Allanem Turnerem. Miał pieniądze. Nic dziwnego, że Louise tak łatwo zgadzała się na wszystkie warunki Gavina, zwłaszcza dotyczące Davida. Najwyraźniej spieszyło się jej, by wyjść za senatora.

A więc załatwione - pomyślał Gavin. Potrzebował teraz swobody. Tak samo jak Louise.

38

Henri de Montfleury nigdy nie sądził, że uda mu się zrozumieć kobiety. Uważał, że są zbyt skomplikowane. Był jednak człowiekiem mądrym, o wyrozumiałym sercu. Potrafił dostrzec, kiedy ktoś obojętnie, czy to mężczyzna czy kobieta, miał jakieś zmartwienie.

Tego wieczora zauważył, że Rosie, którą kochał jak rodzoną córkę, najwyraźniej coś trapi. Twarz miała niezwykle bladą. Była cicha i zamyślona. Kilka razy prosiła go, aby powtórzył coś, co mówił parę sekund wcześniej. Wiedział, że Rosie nie może się skupić i błądzi myślami gdzieś daleko.

Henri siedział razem z nią w małej bibliotece w jej mieszkaniu.

Popijali aperitif przed kolacją. Hrabia przyjechał do Paryża na kilka dni razem z !Grą, by załatwić parę spraw. Tego popołudnia Kira wybrała się z wizytą do swojej ciotki. Henri i Rosie mieli się spotkać z Kirą o wpół do dziewiątej w "Le Vieux Bistro" przy rue Cloitre-Notre-Dame.

Rozmawiali teraz o Montfleury. Rosie dopytywała się o Lisette i Yvonne i resztę mieszkańców zamku.

- Herve mówił mi, że twoja sprawa rozwodowa zakończy się we wrześniu - rzekł nagle Henri.

- Mam nadzieję.

- Tak się cieszę, Rosie. Nadszedł już czas, żebyś rozpoczęła nowe życie. Żal mnie ogarnia, kiedy pomyślę o tych wszystkich latach, które straciłaś ... - przerwał, słysząc dzwonek telefonu.

- Przepraszam - rzekła Rosie i poszła odebrać. - Och, cześć, Fanny - powiedziała do słuchawki. -

Nie, w porządku. Tylko opowiedz mi o wszystkim w miarę szybko. Może coś poradzę. Chyba, że chcesz zaczekać do jutra.

Oparła się o szafkę i uważnie słuchała swojej asystentki.

Henri nalał sobie jeszcze whisky, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Był prawie koniec marca. Nagły podmuch wiatru uderzył w szyby i gdzieś w oddali rozległ się huk pioruna, który zabrzmiał jak wystrzał armatni. Zanosiło się na burzę. Gdy tylko Henri o tym pomyślał, w okno zaczęły uderzać krople deszczu. Odwrócił się, zadrżał lekko i wrócił do ciepłego miejsca przy kominku.

Usiadł w fotelu, napił się whisky i zaczął myśleć o Rosie.

Zawsze pragnął, żeby była szczęśliwa tak jak on z Kirą. Chciał coś zrobić dla Rosie, obdarzyć ją radością, ale nie potrafił. Tylko jeden człowiek mógł dać jej to, na co zasłużyła. Niestety, Rosie nie wiedziała o tym, a mężczyzna, którego Henri miał na myśli, także prawdopodobnie nie zdawał sobie z tego sprawy. Hrabia westchnął. Rosie była tak ślepa na swoje uczucia. Gdyby bardziej je sobie uświadamiała, już parę lat temu mogłaby zrobić krok we właściwym kierunku.

Ludzie bywają tacy skomplikowani - pomyślał Henri.

- Przepraszam - powiedziała Rosie, odkładając słuchawkę. - Zawsze są jakieś kłopoty z kostiumami.

- Chodź i usiądź tutaj, Rosie. Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać. O czymś ważnym.

Rosie podeszła bliżej i Henri ucieszył się, że w końcu zdecydowała się poświęcić mu całą uwagę.

- Czy stało się coś złego? Wyglądasz na zaniepokojonego.

- Owszem.

- Czym się tak martwisz?

- Tobą.

Rosie siedziała na krześle, trzymając w dłoni kieliszek. Jednak teraz odstawiła go na stół.

Pochyliła się, oparła łokcie na kolanach i spojrzała uważnie na Henri.

- Dlaczego martwisz się o mnie?

- Ponieważ kocham cię jak własne dziecko. Nie wyglądasz dobrze, Rosie. Bardzo schudłaś, masz wymizеровaną, prawie szarą twarz. Ale to jeszcze nie wszystko. Od chwili kiedy tu przyszedłem, jesteś cały czas roztargniona i pogrążona w myślach. Wyglądasz na przygnębioną. To zupełnie do ciebie niepodobne. Zawsze byłaś taka wesoła. Mówiąc krótko, wydaje mi się, że masz jakieś problemy, moja droga.

Rosie nie odpowiedziała. Z poważnym wyrazem twarzy patrzyła na obraz wiszący między oknami.

Po chwili jakby się otrząsnęła i spojrzawszy na Hemi, powiedziała:

- Popełniłam okropny błąd.

Hrabia skinął głową i czekał na dalsze wyjaśnienia. Gdy Rosie milczała, spytał łagodnym głosem:

- Czy ma on związek z jakimś mężczyzną?

- Tak.

- Z Johnnym Fortune?

- Skąd wiesz?

- Sam na to wpadłem. Mówił mi w czasie świąt, że Johnny dzwonił do ciebie z Las Vegas.

Pamiętam, jak Collie się cieszyła, że jesteś z nim w kontakcie. Potem sama wyjawiała, że Johnny po Nowym Roku przyjeżdża do Paryża, żeby się z tobą zobaczyć. Jakies półtora miesiąca temu Kira wspomniała, iż Johnny jest w Paryżu. Parę dni później oznajmiła, że pojechała do Anglii, prawdopodobnie w trasę koncertową razem z Johnnym. Przypuszczałem, że związałaś się z nim.

Nie zapominaj, że jestem Francuzem i mam romantyczną duszę.

Na ustach Rosie pojawił się uśmiech, lecz zaraz zniknął.

- Tak, Hemi, masz rację. Związałam się z Johnnym, ale nie powinnam była tego robić. Naprawdę. - Dlaczego?

- Ponieważ nie pasujemy do siebie.

- Jesteś pewna?

- O, tak. Johnny wydaje się taki dziwny ... zupełnie inny od reszty ludzi. Nie przypomina ciebie ani mnie; nikogo normalnego ...

Hemi ściągnął brwi.

- Nie wiem, czy cię dobrze rozumiem, Rosie.

- Johnny to wielka gwiazda, jeden z największych piosenkarzy naszych czasów. Żyje w zupełnie innym świecie ... - Rosie umilkła i zapatrzyła się w ogień.

- Znam cię, Rosie. Musisz czuć coś do niego, inaczej nie pojechałabyś do Londynu na jego

koncerty.

- To prawda! Johnny jest bardzo atrakcyjny, czuły, kochający i szczodry aż do przesady. Poza tym ... ciągnie nas do siebie - Rosie odchrząknęła. - Chciałam być z nim, związać się na dłużej. Dlatego pojechałam do Anglii. Czułam się potem jak nowo narodzona.

- Nie dziwię się. Po tylu latach bez mężczyzny ... nareszcie poczułaś się wolna. Dobrze, że postanowiłaś uwolnić się w końcu od mojego syna. Naprawdę rozumiem cię, Rosie. Mówiłem parę miesięcy temu, że jesteś zbyt młoda, by żyć samotnie.

- Jednak wydaje mi się, że nie pasujemy z Johnnym do siebie. Pojechał teraz na występy do Australii. Chociaż myślę, że gdyby był tutaj, znowu ja i on ... mielibyśmy się ku sobie.

- Jak to rozumieć?

Spuściwszy wzrok, Rosie zaczęła bawić się rąbkiem spódnicy. W końcu jednak uniosła głowę i wyjaśniła:

- Johnny jest bardzo zaborczy.

- Nie wydaje ci się, że po prostu może być w tobie zakochany?

- Och, doskonale wiem, że jest! Gdy tylko przyjechałam do Londynu, poprosił mnie, bym wyszła za niego, kupił już nawet pieczonek zaręczynowy. Oczywiście, nie zgodziłam się na zaręczyny.

Oprócz tego, że nie mam jeszcze rozwodu, czułam, że wszystko dzieje się zbyt szybko. Wyjaśniłam delikatnie Johnny'emu, iż chcę, byśmy oboje lepiej się poznali i nie spieszyli się tak bardzo.

Przyznał mi rację. Ale po pięciu minutach zaczął planować nasz ślub na dzień po moim rozwodzie - Rosie westchnęła. - Johnny jest bardzo ... despotyczny. Zupełnie lekceważy moją karierę. Chce, żebym zrezygnowała z własnych planów. In szybciej, tym lepiej. Pragnie, bym była z nim przez cały czas i jeździła na wszystkie trasy koncertowe.

- A ty tego nie chcesz? Nie chcesz wyjść za Johnny'ego?

- Właśnie. Nie mogę prowadzić nocnego życia tak jak on. Kiedy wyjeżdża na koncerty, je obiady wtedy, gdy ja chcę iść spać, a chcę dodać, że w drodze spędza co najmniej połowę roku. Przez te parę dni w Anglii próbowałam jakoś dostosować się do jego wymagań i potrzeb ... ale, szczerze mówiąc, czułam się czasami jak w kieracie.

- Nie próbowałaś porozmawiać z nim, wyjaśnić, co czujesz?

- Nie. Kiedy jeździliśmy po Anglii i Szkocji, byłam tak zauroczona Johnnym, ujęta jego miłością i oddaniem. Jest taki uwodzicielski - Rosie przygryzła wargi i pokręciła głową. - Jednak na koncercie w Londynie uświadomiłam sobie, że Johnny ma obsesję na moim punkcie i przestraszyłam się tego.

- Każda obsesja może niepokoić. To nie jest... - Henri przerwał, szukając właściwego słowa.

- Normalne - dokończyła Rosie.

- Wyglądana to, że jedynym sposobem naprawienia tego ... strasznego błędu, jak to sama nazwałaś, jest zerwanie z Johnnym.

Rosie spojrzała na Henrl tak przerażonym wzrokiem, że aż się zdziwił.

- Chyba, że chcesz kontynuować ten związek, traktując Johnny'ego wyłącznie jak kochanka. Czy nie jest to możliwe?

- Johnny się nie zgodzi. To znaczy przystanie na taki układ na jakiś czas. Gdy tylko się rozwiodę, będzie nalegał, abyśmy natychmiast wzięli ślub. A poza tym istnieje jeszcze jeden problem.

- Jaki? - Henri uważnie popatrzyła na Rosie. Wytrzymała jego badawcze spojrzenie. Po chwili jednak jej oczy napełniły się łzami. Odwróciła głowę, zakryła twarz dłonią i próbowała się uspokoić. Przełknęła ślinę i wydusiła:

- Wydaje mi się, że coś ze mną nie tak, Henri.

- Jak to? - spytał z troską.

- Ja ... już nie czuję tego samego do Johnny'ego.

- Kiedy doszłaś do takiego wniosku?

- Jakies dwa tygodnie temu, może trochę wcześniej. Oczywiście, jego zachowanie zaniepokoiło mnie już wtedy, kiedy byliśmy w Szkocji w ostatnim tygodniu lutego. Był taki dziwny, tak strasznie zaborczy. Nie spuszczał mnie z oka i to mnie przerażało. Uświadomiłam sobie ostatnio, że tak naprawdę wcale za nim nie tęsknię. Nie pragnę go już tak bardzo ...

- Nie wydaje mi się, Rosie, żeby działało się z tobą coś złego. Moim zdaniem, jesteś zupełnie normalną kobietą. Jednak czasami silna namiętność może wypalić się bardzo szybko. Wiem to z własnego doświadczenia. Było to tylko zwykłe fizyczne zauroczenie, które szybko znika.

- Pewnie masz rację.

Jego słowa ujęły Rosie głęboko. Czuła się taka wdzięczna.

- Nie płacz - powiedział łagodnie. - Wszystko będzie dobrze.

39

Vito Cannello był tak zadowolony, że wciąż się uśmiechał. Tryskał wręcz radością. Poczul się co najmniej o dziesięć lat młodszy, a wszystko dlatego, że tego ranka zadzwonił do niego Johnny. Telefonował z Perth i to, co powiedział, przywróciło Vito optymizm. Vito wiedział, że wiadomości zrobią podobne wrażenie na Salvatore, który nie czuł się ostatnio najlepiej. Dlatego postanowił wybrać się tego dnia na Staten Island. Chciał podzielić się z Salvatore dobrą nowiną. Jego stary druh zdziwi się i z pewnością także ucieszy.

Dwóch ludzi z organizacji stało przed frontowymi drzwiami. Obaj przywitali Vito wylewnie, gdy wszedł na schody. Nie miał zbyt dużo czasu na pogawędkę z nimi.

- *Gintaloons* - mruknął pod nosem w dialekcie sycylijskim. Uśmiechnął się do nich i wkroczył do przedpokoju.

Pierwszą osobą, jaką zobaczył, był Joey Fingers, który kręcił się przy wejściu do kuchni. Joey rzadko bywał w domu i Vito zastanawiał się, co się stało.

- Cześć, Vito, jak leci? - zawołał Joey, wyciągając ręce i próbując wziąć Vito w objęcia.

- Dobrze, Joey, zupełnie dobrze - odparł Vito, odsuwając go na bok.

- Idiota - pomyślał o Joeym, idąc korytarzem w stronę gabinetu Salvatore.

Salvatore siedział za biurkiem i rozmawiał z Anthonym, który zajmował krzesło naprzeciw niego.

Obaj spojrzeli na Vito, gdy podszedł, by przywitać się z nimi. Uścisnęli się serdecznie.

- Siadaj - powiedział Salvatore, wskazując fotel przy kominku. - Rzadko zjawiasz się tutaj w ciągu dnia, Vito. Powiedziałem Teresie, że zostaniesz na lunch. Właśnie przygotowuje twoją ulubioną mozzarellę, pomidory w oliwie i bolońskie spaghetti. Nie ma nic lepszego od włoskiego jedzenia.

- Dzięki, Salvatore, zostanę. Nie mam dzisiaj nic specjalnego do roboty. Do klubu wybiorę się później. Co robi tutaj Joey Fingers?

- Anthony chciał z nim pogadać - Salvatore potrząsnął głową. - Joey jest szalony. Nie ma ochoty nikogo słuchać. Może Anthony przemówi mu do rozumu. Postraszy go trochę.

- Nic do niego nie dociera - rzekł Anthony, spoglądając to na Salvatore, to na Vito. - Ten dureń robi się coraz gorszy. Jeśli jeszcze raz coś spieprzy, pozbędziemy się go, bo inaczej wpędzi nas w kłopoty. Gada za dużo. To działa mi na nerwy. Myślę, że on coś bierze.

- Masz na myśli heroinę? - spytał Salvatore, odwracając głowę i spoglądając na Anthony'ego.

- Może - Anthony wzruszył ramionami.

- On mnie także denerwuje - rzekł Salvatore - ale zostawmy na razie tę sprawę - wyciągnął dłonie w stronę ognia. - Chcę teraz pogadać ze starym przyjacielem i napić się wina. Weźmiemy się do pracy dziś wieczorem, kiedy Frankie wróci z New Jersey - Salvatore poczuł dreszcz i stanął naprzeciwko kominka, żeby się ogrzać. - Zimno jak na marzec, prawda, Vito? Stare kości potrzebują ciepła. Vito przytaknął.

Anthony skinął głową i rzekł do Salvatore:

- Zobaczymy się później.

- Zjedz z nami lunch, Anthony.

- Dobrze, dziękuję - odparł i wyszedł z pokoju.

Gdy tylko zostali sami, Salvatore spojrzął na Vito uważnie. W pokoju panował półmrok.

- No więc, powiedz, co cię sprowadza, Vito? I z czego tak się cieszysz?

Vito roześmiał się. !

- Mam dobre wieści. Cudowne. Johnny zadzwonił do mnie dziś rano. Z Australii. Znalazł sobie dziewczynę. Taką jak trzeba.

Salvatore zmarszczył czoło.

- Australijka?

_ Nie, Salvatore. Amerykanka. Podobno bardzo sympatyczna. Mieszka w Paryżu.

_ I z tego tak bardzo się cieszysz, stary? Johnny spotkał miłą dziewczynę i zamierza ją tutaj sprowadzić. Świetnie! Nie dziwię się, że sprawiło ci to radość. Mnie także. Jak ona się nazywa?

_ Rosalinda. Johnny mówi na nią Rosie.

Salvatore ściągnął brwi.

_ Nie wygląda mi to na włoskie imię. Jak brzmi jej nazwisko?

- Madigan.

- Madigan? Czy to Irlandka?

_ Możliwe, jest katoliczką, porządną katolicką dziewczyną. Johnny mi mówił.

- Skąd pochodzi?
- Wychowała się w Queens.
- A co robi w Paryżu? - Salvatore przysiadł na krześle.
- Projektuje ubrania.
- Aha.
- To znaczy kostiumy. Do filmów.
- Więc Johnny telefonował, żeby powiedzieć ci o tym wszystkim?
- Vito rozpromieniony skinął parę razy głową.
- Johnny chciał, żebyś wiedział, że ta Rosie przyjedzie tutaj niedługo. W kwietniu. Nie wiadomo dokładnie kiedy, ale na pewno się zjawi. Johnny chciał nas z nią poznać. Iść razem do jakiejś eleganckiej restauracji na Manhattanie. bleżało mu na tym.
- Jest szczęśliwy?
- Tak, bardzo. Powiedział mi, że dawno tak się nie czuł. Występy także idą dobrze.
- Kiedy się kończą?
- Pod koniec miesiąca. Potem Johnny leci z Sydney do Los Angeles. W połowie kwietnia przybędzie do Nowego Jorku.
- Pewnie na święta wielkanocne. A dziewczyna?
- Wygląda na to, że przybędzie w tym samym czasie. Mówiłem ci już. Salvatore kiwnął głową i wstał. Podeszedł do małej szafki, stojącej po drugiej stronie pokoju, i wyciągnął stamtąd butelkę czerwonego wina. Otworzył ją, napełnił dwa kieliszki, wrócił na miejsce i podał jeden Vito.
- Za braterstwo! - powiedzieli jednocześnie tak jak zwykle i stuknęli się kieliszkami.
- Johnny jest moim synem. To moja krew - rzekł Salvatore. - Chciałbym, żeby był szczęśliwy, ożenił się, miał dzieci. Doczekałbym się wnuków.
- Johnny to syn mojej siostry, Giny. Boże, świeć nad jej duszą. Ja też pragnę jego szczęścia.
- Co wiesz o tej dziewczynie ... tej Rosalindzie Madigan? Opowiedz mi.
- Niczego więcej nie wiem, Salvatore. Powtórzyłem ci już wszystko, co powiedział mi Johnny. Salvatore napił się wina i zamyślił się. Pnymknął na chwilę swoje wyblakłe, niebieskie oczy. Po paru minutach podniósł głowę i spojrzał na starego pnyjaciela, jedyne go człowieka, któremu naprawdę ufał.
- A co z tej rodziną? Co to za ludzie? Gdzie mieszkają? Wciąż w Queens?
- Nie wiem - mruknął Vito. - Johnny tego nie powiedział. Ma jednak zamiar się z nią ożenić. Podobno kupił jej brylantowy pierścionek zaręczynowy.
- Musimy się czegoś o niej dowiedzieć, Vito. Weźmiemy jednego z naszych chłopców. Niech trochę powęszy i dowie się, co za kobietę chce poślubić mój syn.

40

Rosie poczuła falę mdłości i wstała nagle. Aida, Fanny i Gavin spojrzeli na nią przestraszeni. Siedzieli wszyscy w biurowym studiu "Billancourt" i naradzali się nad filmem.

- Czy znowu źle się poczułaś? - zawołała Fanny.
- Wszystko w porządku, tylko trochę mnie mdli - odparła, wychodząc z pokoju. Przy drzwiach doznała nagłego zawrotu głowy. Zatrzymała się i dodała. - Pnępraszam, wrócę za chwilę. Pospieszyła korytanem, weszła do damskiej łazienki i pochyliła się nad zlewem, czekając, aż pnestanie jej się zbierać na wymioty. Nie miała najmniejszego pojęcia, co się z nią dzieje. Od paru dni nie czuła się dobrze. Może złapała grype? Naraz pnyusza jej do głowy inna myśl. Strwożona zeszywniała i chwyciła się krawędzi zlewu. Może była w ciąży?

Nie, to niemożliwe - pomyślała. Natychmiast odegnała od siebie tę myśl, pnyominając sobie, że Johnny zawsze się zabezpieczał. Poza tym nie widziała się z nim od lutego. A dokładnie od niedzieli, dwudziestego tneiego. Teraz był pierwszy kwietnia. Rosie miała już miesiąckę, po tym jak ostatni raz spała z Johnnym.

Nie myślę jasno, bo jestem wyczerpana - pomyślała Rosie i spojrzała w lustro. Jej wygląd to potwierdzał. Miała podkrążone oczy i zmęczoną twarz. Niemal wynędzniała. - Brakuje mi snu - powiedziała w duchu, pnyominając sobie ostatnie pracowite dni. - Za mało wypoczywam.

Nie mogła tak siedzieć tu, w łazience, w nieskończoność. Musiała wrócić na zebranie. Zebrała się w sobie, spryskała twarz zimną wodą, wytarła papierowym ręcznikiem i ruszyła do drzwi. Gdy weszła z powrotem do gabinetu, uświadomiła sobie, że czuje się już lepiej, a nudności minęły. Otworzyła drzwi i zajęła swoje miejsce.

- Na czym skończyliśmy? - spytała. - Co mnie ominęło?
- Nic takiego - odparł Gavin. - Rozmawialiśmy o tobie.

- To nieładnie! - wykrzyknęła i roześmiała się z trudem.
- Aida sądzi, że każę ci za dużo pracować, a Fanny najwyraźniej się z nią zgadza. Obie uważają, że potrzebujesz paru wolnych dni. Rzeczywiście, Rosie, najlepiej będzie, jak trochę odpoczniesz. I przepraszam, że zawałem cię taką masą roboty.
- Nie masz za co przepraszać, Gavinie - zaprotestowała Rosie. - Ze mną wszystko w porządku - odwróciła się do Aidy. - To nie praca mnie męczy. Brakuje mi po prostu snu. Właśnie to sobie uzmysłowiłam. Ostatnio cietpię na bezsenność - zerknęła na Fanny. - Wiesz przecież, że wcale nie zapracowywuję się na śmierć.
- No ... trochę - wymamrotała Fanny.
- Weź parę wolnych dni - wtrąciła Aida. - Prace nad kostiumami są wystarczająco zaawansowane. Sama wiesz o tym dobrze. W ostatnim tygodniu śleczalaś nad nimi całymi godzinami. Zasłużyłaś na odpoczynek. Fanny i Val przez kilka dni dadzą sobie radę bez ciebie.
- Ale ...
- żadnych ale - przerwał jej Gavin. - Sam zawiozę cię do domu. I to natychmiast - podciągnął rękaw swetra i spojrzął na zegarek. - Już czwarta. A ty, Aido, dopilnujesz tu wszystkiego.
- Jedź - odparła Aida. - Muszę zostać jeszcze parę godzin i popracować nad budżetem. Te sceny batalistyczne, które dodałeś, mogą okazać się dosyć kosztowne. W każdym razie, powinnam dokonać wstępnych wyliczeń. Powiem ci potem, co wyszło. A teraz, Gavinie, odwieź Rosie do domu. Zadzwońię po twojego kierowcę - mówiąc to, Aida sięgnęła po słuchawkę.

Piętnaście minut później Rosie i Gavin siedzieli w wielkim mercedesie jadącym ze studia w kierunku dzielnicy, gdzie mieszkała Rosie.

- Aida miała rację. Nie wyglądasz dobrze - rzekł Gavin, zerkając na Rosie. - Schudłaś. Masz bladą twarz i cienie pod oczami - zacisnął usta i pokręcił głową. - To moja wina. Nie powinienem dawać ci tak dużo pracy. A może dobrze by było, gdybyś poszła do lekarza w studio. Szkoda, że nie pomyślałem o tym, zanim wyjechaliśmy.

_ Nie bądź śmieszny! Nie jestem chora, tylko trochę zmęczona.

_ A więc w końcu sama się do tego przyznałaś. Wydaje mi się, że jesteś wykończona i czuję się za to odpowiedzialny. Jako producent tego filmu każę ci wziąć parę dni urlopu, moja kochana.

_ Gavinie przecież to dopiero połowa tygodnia. Nie mogę pozwolić sobie na leniuchowanie. Przy naszym rozkładzie zajęć!

_ Dzisiaj mamy już czwartek. Zbliża się koniec tygodnia. Zrobię to, co ci powiedziałem.

_ Zawsze byłeś taki apodyktyczny.

Roześmiał się.

_ Zafunduj sobie długi weekend. W poniedziałek poczujesz się jak nowo narodzona.

_ Dobrze - zgodziła się w końcu, nie mając już siły na spory.

Kołysanie samochodu usypiało ją. Przymknęła powieki. Parę minut później zasnęła z głową opartą na ramieniu Gavina. Drzemała przez całą drogę do domu. Gavin obudził ją dopiero wtedy, gdy samochód zatrzymał się przed budynkiem przy rue l'Universite. Kiedy znaleźli się w mieszkaniu, kazał Rosie wziąć gorącą kąpiel, połknąć trzy aspiryny i wypić wielki kubek herbaty z cytryną, którą sam przygotował. Potem wysłał Rosie do łóżka.

_ Prześpij się parę godzin - powiedział, wyłączając nocną lampkę. _ Później wyjdziemy razem coś zjeść. Jakiś porządny posiłek. To ci dobrze zrobi. Pewnie nie jesz wystarczająco dużo ... Zgadzasz się?

_ Na wszystko, co tylko chcesz - wymamrotała i przymknęła powieki, gdy tylko Gavin wyszedł z sypialni.

Nie mogła jednak zasnąć.

Szeroko otwartymi oczami patrzyła w ciemność. Myślała o Johnnym. Nie dawał jej spokoju. Dla niej romans z nim już się skończył. Wiedziała, że bezpowrotnie. Henri miał rację we wszystkim, co powiedział w zeszłym tygodniu. Uważał, że Rosie po wielu latach samotnego życia stała się wyjątkowo czuła na męskie wdzięki, dlatego Johnny tak bardzo ją zauroczył.

To była prawda. Johnny sprawił, że Rosie znowu poczuła się kobietą. Jej krew zaczęła płynąć szybciej. Przywrócił ją do życia. Wydawał się jej ogromnie podniecający. Jednak związał ich tylko krótki romans.

Pożądanie. Seks. Wielka namiętność. Wszystko to się wypaliło. Pozostały tylko popioły.

Tak brzmiały słowa Henri. Trafnie to ujął. Był takim mądrym i doświadczonym człowiekiem. Znał życie, czerpał z niego garściami. Potrafił poddać się wielkiej namiętności. Rosie wiedziała o tym od Collie. Zdawała sobie także sprawę z tego, że Henri ma na uwadze jej własne dobro. Dlatego tak bardzo się ucieszył, że mogła z nim porozmawiać, zwierzyć mu się, gdy odwiedził ją ostatnio. I jak zwykle, Henri de Montfleurie dał jej dobrą radę.

- Posłuchaj swojego serca, przyjrzyj się uczuciom - powiedział jej. - Spytaj siebie, czego chcesz, jakie życie pragniesz wieść. Sama musisz o tym zdecydować, nikt inny tego za ciebie nie zrobi. Bądź re sobą szczerą - dodał. - Wtedy odkryjesz, co dla ciebie najlepsze.

Rosie analizowała swoje uczucia. Przez całe dni. I doszła do paru ciekawych wniosków. Zniknęło wszystko, o czym myślała parę tygodni wcześniej. Nie kochała Johnny'ego Fortune. Była nim tylko zauroczona. Nie mogłaby spędzić z nim reszty życia. Johnny nie wydawał się złym człowiekiem, tylko trochę dziwnym, innym od niej samej. Mieli tak niewiele wspólnego.

Powinna spotkać się z Johnnym tak szybko, jak to możliwe, i powiedzieć mu, że wszystko między nimi skończone. Najlepiej, gdyby pojechała do Nowego Jorku i wyznała mu to osobiście. Nie widziała innego sposobu. Zachowywał się wobec niej przyzwoicie, więc ona winna odplacić mu się tym samym.

Wiedziała, że podjęła właściwą decyzję. Jednak drżała na samą myśl zerwania z Johnnym.

Przypuszczała, że bardzo go zrani. Kochał ją i chciał się z nią ożenić. Rosie obawiała się, że jej decyzja złamie Johnny'emu serce. Nigdy wcześniej przecież nie znalazł się w takiej sytuacji.

Johnny miał wyjechać z Australii za tydzień i polecieć prosto do Los Angeles. Drugą połowę kwietnia i cały maj planował spędzić w Nowym Jorku. Zamierzał nagrywać nową płytę w "Hit Factory", jednym z bardziej znanych studiów na Manhattanie. Wspomnił jej o tym któregoś dnia, kiedy dzwoniła z Perth.

- Tak bardzo za tobą tęsknię, kochanie - żalił się. Słysząc go było tak dobrze, jakby siedział w sąsiednim pokoju. - Już nigdy nie będziemy się rozstawać na tak długo. Nie mogę tego znieść, Rosie. Strasznie mi się żyje bez ciebie - powtarzał. wciąż.

Rosie uspokajała go i pocieszała, aż w końcu udało jej się jakoś zakończyć tę rozmowę. Jednak słowa Johnny'ego martwiły ją. Jego uczucia do niej najwyraźniej nie zmieniły się, a jeżeli już, to stały się silniejsze.

Zadrżała, myśląc o decyzji, jaką podjęła, by rozwiązać tę sprawę: Wtuliła się w poduszkę, podciągnęła kołdrę pod brodę i zamknęła oczy. Wreszcie, po długim czasie, zmęczona zapadła w głęboki sen.

Śniła o swojej matce i o czasach, kiedy była małą dziewczynką i mieszkała w Queens.

__ Dlaczego mnie nie obudziłeś? - spytała Rosie, stając w drzwiach salonu.

Gavin aż podskoczył i obejrzał się przez ramię.

__ O Boże, ależ mnie wystraszyłaś. Nie słyszałem, jak wstałaś.

__ Przepraszam - powiedziała i spojrzała na skrypt scenariusza leżący na podłodze obok krzesła. -

Widzę, że znowu pracujesz. Jesteś jeszcze gorszy niż ja.

__ Może. W każdym razie ty wyglądasz już lepiej. Trzy godziny snu dobrze ci zrobiły.

__ Rzeczywiście czuję się wypoczęta - odparła. Przeszła przez pokój i usiadła na kanapie. Spojrzała na butelkę białego wina, którą Gavin otworzył już wcześniej. - Chętnie napiłabym się trochę.

Gavin wziął wino i nalał jej kieliszek.

__ Dziękuję - powiedziała. - Twoje zdrowie, Gavinie. Dzięki za opiekę.

__ Cała przyjemność po mojej stronie. Ty zrobiłabyś to samo dla mnie. A poza tym to wszystko moja wina - uniósł swój kieliszek i dodał. __ Twoje zdrowie - napił się trochę i podniósł skrypt z podłogi. - Wciąż zastanawiam się, kto mógłby zagrać Jórefmę, i żaden dobry pomysł nie przychodzi mi do głowy.

- Może Sara Somnerfield?

Gavin wyprostował się i zmierzył Rosie spojrzeniem.

__ Sara Somnerfield? - powtórzył. - Przecież jej twarz niczego nie wyraża. Nie poradzi sobie w zbliżeniach.

- Ale jest bardzo ładna.

__ Jak lalka. Potrzebujemy kogoś o silnej osobowości - poprawił luźne kartki scenariusza i odłożył go na stolik. - Myślałem o Jennifer Onslow, ale jest teraz zajęta. Zawsze coś stoi na przeszkodzie.

- Na pewno znajdziesz odpowiednią aktorkę, Gavinie. Zawsze ci się to udawało. Mamy jeszcze czas. Zdjęcia zaczniemy dopiero za cztery miesiące.

- Tak, to prawda - Gavin na chwilę pograżył się w myślach, po czym zerknął na Rosie i rzekł: - A

może Miranda English?

Rosie skrzywiła się.

- Nie wydaje mi się, żeby się nadawała. Jest trochę ... dziwna. Ale to dobra aktorka.

- Co to znaczy "dziwna"? Bierze jakieś prochy?

- Nic takiego nie słyszałam - Rosie pokręciła głową. - Po prostu zdaje mi się, że ona jest trochę przerażająca.

- Myślisz czasami o Sunny? - spytał nagle Gavin. - O tym, co zrobili z niej narkotyki?

Rosie przytaknęła. Jej twarz spochmurniała.

Gavin wstał i podszedł do małego stolika, na którym Rosie trzymała fotografie. Wziął do ręki oprawione w ramkę zdjęcie całej paczki przyjaciół i przyglądał mu się przez jakiś czas. Potem odłożył je na miejsce. Popatrzył na Rosie i rzekł, uśmiechając się słabo:

- To dziwne, że wszyscy zawsze wozimy ze sobą tę fotografię: ty, ja, Nell i Kevin.

Rosie nie odpowiedziała od razu. Dopiero po długim namyśle rzekła: - Zastanawiam się, czy Sunny miała przy sobie to zdjęcie, gdy była w zakładzie dla psychicznie chorych. I czy Mikey zabrał je ze sobą, kiedy zniknął?

Gavin odwrócił się nagle. Jakaś osobliwa nuta zabrzmiała w głosie Rosie. Jej wzrok był nieruchomy.

- Nie bardzo rozumiem, co miałaś na myśli. I dlaczego tak dziwnie na mnie patrzysz? Co się stało? - spytał.

- Och, nic takiego, Gavinie. Któregoś dnia przyszło mi do głowy, że nikt z nas nie zachowywał się, tak jak trzeba.

- Jak to?

- Chodzi mi o sposób, w jaki traktowaliśmy siebie nawzajem. Kiedy byliśmy dziećmi, przyrzekliśmy sobie, że będziemy jak rodzina. Jednak nie dotrzyaliśmy obietnicy i w tym cały problem. Wszyscy jesteśmy winni.

Gavin milczał. Upił trochę wina i usiadł w fotelu. - Winni czego?

- Zanedbania. Byliśmy tacy samolubni i zajęci sobą. Dumni. Ambitni.

W pewnym momencie pozostawiliśmy Sunny na pastwę losu. Wtedy gdy nas najbardziej potrzebowała. Opuściliśmy ją i Mikeya także.

_ Zgadzam się z tobą, jeśli chodzi o Sunny. Powinniśmy byli zauważyć, że zaczyna uzależniać się od narkotyków. Ale nie rozumiem, dlaczego tak mówisz o Mikeyu.

_ Nie pomogliśmy mu, kiedy wpadł w kłopoty po rozstaniu z Nell i nie mógł się pozbierać - Rosie lekko wzruszyła ramionami i pokiwała głową. - Czasami myślę, że Mikey zniknął dlatego, żeby się od nas uwolnić.

Jej słowa zaskoczyły Gavina.

_ Nie wierzę w to, Rosie! - wykrzyknął. - Zawsze byłaś wspaniała, więc nie wini siebie.

_ Nie dotrzymałam obietnicy także względem ciebie.

- Och, Rosie, przestań ...

_ Nie, proszę, wysłuchaj mnie - przerwała. - Kiedy byliśmy nastolatkami, przyrzekłam zrozumieć twoje zamiłowanie do aktorstwa i całe to szalone życie, jakie wiodłeś, pracując jako kelner, grywający w podrzędnych sztukach na Broadwayu i ucząc się u Lee Strasberga. Jednak nigdy tego nie pojęłam, w każdym razie nie do końca. Nie dotrzymałam słowa. Po tamtej strasznej kłótni, która wynikła z mojej winy, byłam zbyt dumna, by przyjść do ciebie i cię przeprosić.

_ A ja poznałem wtedy Louise i zacząłem z nią romansować. A potem się z nią ożeniłem - Gavin przerwał i spojrzał na Rosie. - Spójrzmy prawdzie w oczy, Rosie. To ja nie dotrzymałem obietnicy. Powiedziałem, że weźmiemy ślub i będziemy pracować razem w filmie lub teatrze i że stworzymy zgrany zespół.

_ Nie maluj wszystkiego w tak czarnych kolorach - uśmiechnęła się Rosie. - Przecież udało się, pracujemy razem.

- No ... tak.

_ Ja w każdym razie byłam strasznie niemądra. Okropnie niedojrzała. Pojechałam do Paryża i wyszłam za pierwszego faceta, który poprosił mnie o rękę.

Gavin obdarzył ją uśmiechem.

_ Moja matka powtarzała często "Żeń się szybko, a żałować będziesz później" .

Rosie uniosła kieliszek i upiła solidny łyk wina.

_ Wiesz ... pewnie złamałam także obietnicę daną Kevinowi. Zawsze mu mówiłam, że powstrzymam go, kiedy zobaczę, iż robi jakieś głupstwo, a pozwoliłam na to, by poszedł w ślady ojca i został glina.

- Dobry Boże, Rosie, nigdy nie powstrzymałabyś go przed wstąpieniem do policji! Był strasznie uparty!

- To prawda ... - Rosie powoli obracała w dłoni kieliszek. Miała nieobecny wzrok i zastanawiała się nad czymś głęboko. - Jednak w pewnym okresie był niezdecydowany. Mogłam wtedy wybić mu to z głowy. Zawsze interesował się prawem, nawet wspominał kiedyś, że chciałby zostać adwokatem.

- Pamiętam ...

- No i jeszcze Nell ...

- W jaki sposób jej sprawiliśmy zawód?

Przez twarz Rosie przebiegł słaby uśmiech.

- Rzeczywiście, nie wydaje mi się, żebyśmy ją zawiedli czy złamali jakieś przyrzeczenie wobec niej, ale ...

- Ale co? Dokończ ...

- Myślę, że Kevin ją zawiódł.

- W jaki sposób?

- Zostając w policji i pracując jako tajniak. To ją dobija. Żyje cała w nerwach. Cieszyliśmy się, że są razem, ale teraz wcale nie jestem taka pewna, czy powinni związać się ze sobą na dłużej. W każdym razie, jeśli Kevin nie zmieni pracy ... Uważam, że powinien zrezygnować ze swojego zajęcia dla własnego dobra, a także z uwagi na Nell.

- Ale wiesz, że tego nie zrobi.

- Tak przypuszczam. Ciągłe powtarza, że należy do czwartego pokolenia gliniarzy.

- Nic nie wskóramy, Rosie. Każdy człowiek jest kowalem swego losu i postępuje według własnych zasad.

- Zgadzam się. A więc dlaczego oże ... - Rosie urwała w pół słowa, zaczerwieniła się i zaczęła nerwowo poprawiać fotografie stojące na stoliku. - No, dokończ - powiedział Gavin.

Zapadła cisza. W końcu Rosie spojrzała mu prosto w twarz i spytała: - Czemu ożeniłeś się z Louise?

- Ponieważ zaszła w ciążę. Czulem się za nią odpowiedzialny. Moim obowiązkiem było zostać z nią.

- Nigdy mi tego nie powiedziałeś.

- Bo nie pytałaś.

_ Ale tamto dziecko zmarło... - Rosie nie mogła dalej mówić. Poczuła się nagle zakłopotana.

_ I zastanawiałaś się, dlaczego zostałem z Louise, kiedy to się stało? _ Gdy Rosie nie odpowiedziała, Gavin rzekł powoli smutnym głosem: _ Powiem ci, Rosie, co tak naprawdę się wtedy wydarzyło. Dziecko nie zmarło przy porodzie, takjak mówiliśmy. Umarło w brzuchu Louise na dwa tygodnie przed porodem. Musiała donosić je do końca. Przez czternaście dni chodziła z martwym płodem. Oboje omal sami się nie wykończyliśmy z tego powodu.

_ Och, Boże, Gavinie, to straszne! Co za koszarne doświadczenie! Biedna Louise. To musiała być dla was okropna tragedia.

_ I owszem. Zostałem z Louise, żeby pomóc jej znieść to wszystko i jakoś dojść do siebie. Zresztą, sarn czulem się lepiej, mając świadomość, że podtrzymuję jąna duchu - Gavin westchnął i sięgnął po kieliszek. - Ale to wszystko miało miejsce tak dawno temu.

_ Ogromnie mi przykro. Nie powinnam zadawać ci takich pytań. Naprawdę.

_ Wszystko w porządku, nie przejmuj się. Może zjemy teraz jakąś kolację? Trochę za późno, żeby wychodzić, nie uważasz? - Zanim Rosie zdążyła odpowiedzieć, dodał szybko: - Wiem. Zrobię wspaniałe włoskie danie. Masz w kuchni makaron?

_ Tak ... jest w szafce. Może z ciebie dobry aktor, ale za to okropny kucharz.

- Zawsze mówiłaś, że wspaniale gotuję.

_ Byłam wtedy młoda i nie znałam lepszego jedzenia - roześmiała się Rosie. - Może lepiej chodźmy do tej restauracji za rogiem. Weź płaszcz. Musimy zdążyć, zanim zamkną.

41

Gavin Ambrose siedział na kanapie w salonie swojego apartamentu w hotelu "Ritz" . Popijając kawę, przeglądał listę sławnych aktorek.

Szukał jakiejś wyróżniającej się aktorki, która zagrałaby Józefmę, jego filmową żonę. Sam miał przecież odegrać Napoleona.

Rosie miała rację, kiedy powiedziała w zeszły czwartek, że zostało im jeszcze mnóstwo czasu. Z drugiej strony, kręcono ostatnio dużo filmów i większość wybitnych aktorek była zajęta. Kevin Costner robił swój kolejny film, podobnie jak Dustin Hoffman. Sean Connery szykował się do nakręcenia dzieła o tematyce podróżniczej. Wszystko to sprawiało, że Gavin denerwował się coraz bardziej. Zawsze bowiem bardzo starannie dobierał obsadę. W zeszłym tygodniu z różnych powodów odrzucił kandydatury trzech aktorek, o których rozmawiał z Rosie.

Dopił kawę, odstawił filiżankę na tacę i podszedł do okna, by wyjrzeć na plac Vendfune. Było słoneczne, sobotnie popołudnie. Do świąt wielkanocnych został jeszcze tydzień. Gavin postanowił zatelefonować do Rosie i przekonać się, co porabia w tak piękny kwietniowy dzień.

Podniosła słuchawkę zaraz po pierwszym dzwonku.

- Czyżbyś siedziała na telefonie? - spytał śmiejąc się.

- Coś w tym rodzaju. Prawdę mówiąc, właśnie miałam do ciebie dzwonić.

- A więc jestem, mój aniele! Zaoszczędziłaś parę centów.

- Parę minut temu przyszło mi coś do głowy. Pomyślałam, że możemy przecież zaangażować jakąś aktorką francuską lub angielską. Po co się upierać przy amerykańskich gwiazdach. Pamiętasz Annick Thompson? To Francuzka, ale dobrze mówi po angielsku. Mieszka w Londynie od lat, od czasu kiedy wyszła za reżysera, Philipa Thomasa. Wydaje mi się, że jest bardzo utalentowana. Nadawałaby się na JÓzefinę.

- Masz rację, Rosie. Ciekawe, czemu do tej pory o niej nie pomyślałem. Och, już wiem dlaczego. Ona jest bardzo wysoka.

- Mogłaby stać w jakimś dołku, a ty na podwyższeniu - zażartowała Rosie.

- Dziękuję bardzo.

- Wiesz, dobrze, że tylko żartuję. Annick nie jest wcale tak dużo od ciebie wyższa. Najwyżej o jakieś dwa centymetry. Poza tym nie będzie chodzić w szpilkach. Wtedy nosiło się płaskie pantofle.

- Muszę się zastanowić - rzekł Gavin. - Dowiedzieć się, co Aida myśli o tym wszystkim.

- Dlaczego do mnie zadzwoniłaś, Gavinie?

- Interesowało mnie, czy masz na dzisiaj jakieś plany. Taki ładny dzień. Pomyślałem, że moglibyśmy się gdzieś wybrać.

- Masz jakieś propozycje?

- Jeszcze nie. Ty jesteś Paryżanką. Wymyśl coś.

- Moglibyśmy iść na długi spacer do Łasku Bulońskiego, ale jest chłodniej, niż ci się wydaje. I wieje silny wiatr.

- Chodziło mi o to, żeby wyjść z hotelu. Nie musimy koniecznie spacerować. Może wybierzemy się do kina?

- To bardzo oryginalny pomysł. Zgadza się - roześmiała się Rosie.

- A potem zabiorę cię na kolację. Ta restauracja na rogu była całkiem w porządku.

- Tak. To moje ulubione miejsce.

- O której mogę przyjechać po ciebie, mój aniele?

- Lepiej spotkajmy się w "Fouquet" na Polach Elizejskich, powiedzmy za pół godziny.

- Świetnie.

Nie poszli jednak do żadnego z kin na Polach Elizejskich. W niektórych wyprzedano już wszystkie bilety, przy innych ustawiły się długie kolejki. Zdawało się, że wszyscy mieszkańcy Paryża wybrali się tego dnia do kina. Gavin i Rosie złapali taksówkę i pojechali na lewy brzeg Sekwany. Rosie знаła tam pewne miejsce.

- Grają tu tylko stare filmy - powiedziała, gdy wsiadali do samochodu. - I nie mam pojęcia, co mają dzisiaj w programie. Zwykle jednak wyświetlają coś dobrego. - spojrzała na Gavina. - Czy musisz koniecznie nosić ten kapelusz? Nie wyglądasz w nim najlepiej.

Gavin uśmiechnął się.

- To moje przebranie.

- Chyba żartujesz! Rozpoznałabym cię wszędzie. Parę kobiet w "Fouquet" z pewnością cię poznało. Widziałam, jak na ciebie patrzyły. O mało im oczy nie wyszły z orbit.

- Wątpię, Rosie. Nikt nie wie, kim jestem, kiedy noszę ten kapelusz. Wygląda sztywnie, prawda?

- Moim zdaniem trochę staroświecko.

Gavin roześmiał się i zaczął żartować z peleryny Rosie. W czasie drogi przekomarzali się przyjacielsko. Dwadzieścia minut później siedzieli już na krzesłach i oglądali "Casablanke". Spóźnili się dziesięć minut, ale nie przejęli się tym zbyt. Zнали każdą scenę tego filmu. W pewnej chwili Gavin szepnął:

- Nie mogę się doczekać, kiedy Bogart podniesie kołnierz i popatrzy tak smutno na Ingrid Bergman. To moja ulubiona scena.

Po filmie poszli do restauracji znajdującej się niedaleko mieszkania Rosie. Panował tam dość duży tłok, ale kelnerzy znali Rosie i znaleźli dla niej stolik.

- Musisz zdjąć kapelusz - powiedziała Rosie, gdy zajęli miejsca. - Nie zamierzam siedzieć tutaj z tobą, jeśli nadal będziesz go miał na

głowie. To nie wypada. Wszyscy na ciebie patrzą.

- Jeszcze bardziej będą się przyglądać, jeśli go zdejmę.

- Tutaj nikt nie ma zwyczaju się narzucać - rzekła Rosie i uśmiechnęła się do znajomego kelnera, który właśnie podszedł do stolika. - *Vodka avec glacons, s'il vous plait, Marcel* - powiedziała i zwróciła się do Gavina. - Czy chcesz to samo?

Skinął głową.

Kelner przyglądał mu się z zaciekawieniem, po czym odwrócił się do Rosie, rzekł:

_ *Oui, madame de Montfleurie* - i pospieszył, by spełnić ich zamówienie.

_ Poznał mnie - Gavin puścił oko do Rosie. - Ale zdejmę kapelusz, żeby ci zrobić przyjemność - mówiąc to, odłożył nakrycie głowy na krzesło.

_ O wiele lepiej. Zapewniam cię, że nikt nie będzie cię niepokoił. To przecież Francja.

Ledwie Rosie wypowiedziała te słowa, gdy do stolika podszedł młody człowiek, przeprosił grzecznie i podał Gavinowi kartkę.

_ Panie Ambrose, czy mógłbym prosić o autograf?

Gavin skłonił wdzięcznie głowę, złożył podpis i błysnął zębami w czarującym uśmiechu.

Młody Francuz odszedł zadowolony, uśmiechając się od ucha do ucha.

_ No, widzisz ... - powiedział Gavin.

_ Niczego mi nie wypominaj, bo zaraz wyjdę.

Patrzyli na siebie dłuższą chwilę. Rosie przechyliła głowę. Właśnie miała spytać o coś Gavina, gdy kelner przyniósł drinki.

Widząc Gavina bez kapelusza wykrzyknął:

_ *Ah, oui, monsieur Ambrose! Bien sur!* - i dodał: - Domyśliłem się, że to pan.

Gavin skinął głową i słabo uśmiechnął się do kelnera. Potem spojrział na Rosie groźnie.

_ Ale masz wycucie - powiedział, po czym roześmiał się, trącił się z Rosie kieliszkiem i popatrzył na nią ponuro, naśladując Bogarta.

Gdy popijali kawę po kolacji, Rosie powiedziała bardzo cichym głosem:

_ Gavinie, czy mogę cię o coś zapytać?

- Jasne.

_ Czemu byłeś z Louise przez tyle lat? Przecież doszła w końcu do siebie po stracie dziecka. Oboje odzyskaliście równowagę. Tak więc dlaczego nie odszedłeś od niej, skoro nie byłeś szczęśliwy?

_ Z kilku powodów, Rosie. Najważniejszym z nich był mój syn. Sarn wychowałem się bez ojca.

Dziadek oczywiście kochał mnie, ale to nie to sarno. Chciałem, żeby David miał ojca. Wiedziałem, że mój syn mnie potrzebuje. Poza tym zajmowałem się swoją karierą. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli rzeczywiście chcę coś osiągnąć, muszę poświęcić się całkowicie pracy. Skupiłem się więc na filmach. Nie miałem czasu na zajmowanie się małżeńskimi problemami, zdradzaniem żony czy rozwodem. Nie mogłem się rozpraszać. Tak brzmiała moja zasada.

- Chcesz powiedzieć, że nie było innych kobiet w twoim życiu? - spytała cicho Rosie, spoglądając na niego z zaciekawieniem.

- Niezbyt dużo, Rosie. Zawsze utrzymywałem pozory, że żyję w szczęśliwym małżeństwie. Jak

myślisz, udało mi się to?

- Owszem. Dopiero niedawno zdałam sobie sprawę z tego, jak bardzo nieszczęśliwy byłeś przez te wszystkie lata. Jeszcze w listopadzie, kiedy kończyliśmy *Twórcę Królów*, sądziłam, że twoje małżeństwo jest udane. Mówiłam nawet o tym Nell.

- I co ona na to?

- Nie zgodziła się ze mną. Powiedziała, że nie powinnam zapominać, że jesteś świetnym aktorem.

- Ale z tej Nell spryciara.

- Miała rację, co?

- Rosie ...

- Tak, Gavinie ...

- Istnieje jeszcze jeden powód, dla którego nie rzuciłem Louise - Gavin zamilkł na chwilę. Spojrzał na Rosie szarymi, spokojnymi oczami. - Nie miało sensu, żebym od niej odchodził, dopóki ty byłaś zamężna.

Rosie popatrzyła mu prosto w twarz i powiedziała powoli:

- A ja dlatego właśnie nie rozwodziłam się z Guy ... ponieważ ty byłeś żonaty.

Była chłodna, jasna noc. Na granatowym, bezchmurnym niebie widniał księżyc w pełni.

Rosie i Gavin nie odzywali się do siebie ani nie dotykali, gdy szli ulicą w kierunku jej mieszkania.

Kiedy znaleźli się w środku, Rosie zdjęła pelerynę i położyła ją na małym drewnianym stolku w przedpokoju. Gavin zrobił to samo ze swoim płaszczem.

Rosie bez słowa weszła do salonu i stanęła bokiem do Gavina, który zatrzymał się w drzwiach i bacznie się jej przyglądał. Paliła się tylko jedna lampa. W pokoju panował półmrok i Gavin nie mógł dostrzec wyrazu twarzy przyjaciółki. Chciał do niej podejść, lecz nie mógł. Z jakichś nie znanych sobie powodów nie ruszał się z miejsca.

W końcu Rosie odwróciła się do niego. Stali tak przez moment, patrząc na siebie w milczeniu.

Rosie zrobiła krok do przodu. Gavin także zbliżył się do niej.

Gdy tak powoli podchodzili do siebie, wiedzieli z całą pewnością, że teraz ich życie ulegnie zmianie. Całkowicie i nieodwołalnie. Zrozumieli nagle, że odtąd już nic nie będzie takie samo jak kiedyś.

Rosie padła w jego ramiona, a Gavin przytulił ją mocno do siebie. Zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła pieścić palcami kark. Gavin gładził ją po plecach.

Całowali się namiętnie, spragnieni siebie od lat, ciągle uświadamiając sobie, że mogliby to robić bez końca. Wpili się w swoje usta i przylgnęli do siebie, jakby obawiając się, że coś może ich rozdzielić.

Gavin przypomniał sobie słodycz ust Rosie, którą przecież tak dobrze kiedyś znał. Jednocześnie poczuł słony smak jej łez spływających po policzkach. Oderwał się wreszcie od Rosie i pogłaskał ją po mokrej twarzy. Zajrzał w jej oczy, a ona patrzyła na niego uważnie.

- Gavinie. Och, Gavinie. Tak bardzo cię kocham.

- Ja także cię kocham, Rosie. Nigdy nie przestałem, nawet na moment. Wyznali to sobie nareszcie. Po tylu latach milczenia.

Patrzyli na siebie wzrokiem pełnym zrozumienia. Gavin bez słowa wziął Rosie za rękę i pociągnął za sobą.

Parę minut później zastanawiała się, jak to się stało, że tak szybko znaleźli się w łóżku. Potem wszystkie myśli rozpierzchły się, gdy Gavin przytulił ją do siebie i zaczął znowu całować.

Rosie z równą namiętnością odwzajemniała jego pocałunki. Czuli się tak, jakby zawsze byli ze sobą. Lata rozstania przestały się liczyć. Oboje znaleźli się z powrotem w miejscu, w którym się niegdyś zatrzymali.

Chociaż Gavin nie kochał się z Rosie prawie przez jedenaście lat, wciąż pamiętał każdą cząstkę jej ciała.

Pieścili się nawzajem, aż znaleźli się na granicy ekstazy. Rosie była pierwszą miłością Gavina, on także jej pierwszym kochankiem.

Teraz, kiedy wreszcie znowu postanowili być razem, mieli wrażenie, jakby kochali się pierwszy raz w życiu.

Coś się jednak zmieniło. Oboje zmadrzeli, wiele przecierpieli i to sprawiło, że stali się dla siebie jeszcze bardziej czuli.

Ta noc wydawała im się snem.

Zasnęli po tym, jak pierwszy raz kochali się ze sobą. Parę godzin później jednak obudzili się. Przywarli do siebie na nowo, jakby nie wierząc, że to wszystko jest prawdą. Gavin poczuł, że znowu pragnie Rosie. Kochał się z nią, a ona oddawała mu się cała. Czują to samo, co on. Przez całą noc kochali się, potem zasypiali, by obudzić się znowu. Wreszcie zapadli w najgłębszy sen, jaki zdarzył im się od lat.

Rosie odwróciła się w łóżku, wyciągnęła ręce, by dotknąć Gavina, i zobaczyła, że miejsce obok jest puste.

U siadła, zmrużyła oczy przed promieniami porannego słońca i rozejrzała się po pokoju, zastanawiając się, czy to, co wydarzyło się ostatniej nocy, nie było przypadkiem złudą. Jednak nie. Czują to. Pamiętała jeszcze dotyk Gavina. Uśmiechając się, odrzuciła kołdrę i wstała. Znalazła szlafrok i poszła szukać swojego kochanka.

Gavin siedział za biurkiem w jej pracowni, ubrany w spodnie i sweter, z okularami w rogowej oprawie na nosie. Przed nim leżał otwarty notatnik. - Gavinie, to mój skrypt scenariusza! Pełno w nim prywatnych notatek! Uniósł głowę i uśmiechnął się.

- Czy w taki sposób po upojonej nocy wita się kochanka?

- Och, ty ... ! - zawołała śmiejąc się. - Jesteś niemożliwy, Ambrosini!

- Mimo to kocham cię.

- Ja także cię kocham.

Rosie okrążyła biurko, pochyliła się nad Gavinem i pocałowała go w policzek. Przekreślił lekko głowę, aby pocałować ją w usta, a potem posadził ją sobie na kolanach i oparł głowę o jej ramię.

- O, Boże, jak ja cię uwielbiam, Rosie. Zupełnie nie wiesz _ trzymał ją jeszcze przez chwilę i w końcu puścił. - Nie martw się o skrypt. Wyjąłem tylko jedną kartkę, żeby zrobić kilka zmian w jednym z dialogów. Włożę ją jutro z powrotem.

Rosie przeszła przez pokój i obejrzała się przez ramię.

- Pachnie kawą. To miło z twojej strony, że zaparzyłeś. Chcesz jeszcze jedną filiżankę?

- Nie, dziękuję, mój aniele.

Zadzwoił telefon. Oboje poderwali się, by odebrać.

- Mam nadzieję, że to nie Johnny - rzekła Rosie cicho.

Gavin wstał.

_ Zostawię cię samą - powiedział, obchodząc biurko.

Pokręciła przecząco głową.

_ Nie trzeba. Proszę, zostań. Nie mam przed tobą żadnych tajemnic. Poza tym włączona jest automatyczna sekretarka.

Telefon dzwonił nadal.

- Chyba jednak zapomniałaś ją włączyć. Rosie podniosła słuchawkę.

_ Halo? - powiedziała i nagle się rozpromieniła. - Nell, jak się masz? Gdzie jesteś? - Chwilę później uśmiech zniknął z twarzy Rosie. _ Och, Nell, nie! O, Boże - Rosie zacisnęła dłoń na słuchawce i usiadła ciężko na krześle. - O mój Boże! - wykrzyknęła znowu i zbladła. - Tak, tak, przyjadę. Tak szybko, jak tylko będę mogła - spojrzała na Gavina stojącego przy biurku. Miała wielkie, przestraszone oczy i drżała. - Tak, zostawię ci wiadomość - odłożyła słuchawkę.

_ Co się stało, Rosie? - spytał zaniepokojony Gavin. Rosie potrząsnęła głową i odparła trzęsącym się głosem:

_ Kevin został postrzelony. Jest bardzo ciężko ranny. Lekarze z Bellevue powiedzieli Nell, że jego szanse są niewielkie - Rosie zaczęła płakać. - Myślę, że Kevin umrze.

42

W poniedziałkowy poniedziałek Rosie i Gavin pojechali prosto z lotniska do szpitala Bellevue, gdzie z niepokojem oczekiwała na nich Nell.

Była blada i kompletnie wyczerpana i na ich widok natychmiast zalała się łzami. Rosie zaczęła ją pocieszać, lecz sama także nie potrafiła powstrzymać się od płaczu. Gavin objął zrozpaczoną Nell, usiłując podtrzymać w niej cień nadziei.

- Kevin przetrzyma najgorsze. Jest mocny jak byk - powiedział, prowadząc Nell w kierunku rzędu krzeseł stojących na końcu poczekalni. - Zobaczysz, wyjdzie z tego.

- Nie rozumiesz ... - odparła przez łzy Nell. - Tu nie chodzi o zwyczajną ranę od kuli. Oni go po prostu poszatkowali jak sito. Kevin odniósł obrażenia wewnętrzne i stracił mnóstwo krwi.

Rosie, choć sama wytracona z równowagi, rzekła:

- Gavin ma rację. Kev da sobie radę. Musi. Nie może umrzeć ... Nie podzieli losu taty - usiadła obok Nell i spytała: - Kiedy będziemy mogli go zobaczyć? Gdzie są lekarze?

- Pójdę i porozmawiam z przełożoną pielęgniarek. .. Ona zawiadomi doktora Morrisa ...

Rosie pokiwała głową i Nell wybiegła z poczekalni. Wtedy Gavin ujął dłoń Rosie i uścisnął ją mocno.

- Jeżeli potrzebna jest krew dla Kevina, to z chęcią oddam swoją ... I wiem, że ty nie zawahasz się uczynić tak samo.

Spojrzała na niego.

- Chyba w szpitalu mają odpowiedni zapas ... ?

- Tak. Jednak chcę, żebyś wiedziała, iż gotów jestem oddać mu krew. Kev z pewnością postąpiłby podobnie na moim miejscu.

- Nie wątpię w to... Poczekamy i przekonamy się, co mają do powiedzenia lekarze.

Po paru minutach wróciła Nell razem z człowiekiem w białym kitlu, który przedstawił się jako lekarz zajmujący się Kevinem. Rosie zapytała, kiedy będzie można zobaczyć pacjenta.

- Wciąż nie odzyskał przytomności, pani Madigan - stwierdził doktor Morris. - Jest na oddziale intensywnej terapii... Ale sądzę, że możecie państwo rzucić na niego okiem.

- Bardzo byśmy tego chcieli... - powiedziała Rosie i spytała jeszcze: - Jak pan ocenia szanse mojego brata, doktorze? Czy jest nadzieja, że z tego wyjdzie?

- COŻ... Ma się odrobinę lepiej niż wczoraj. Rano przeprowadziliśmy następną operację, usunęliśmy z ciała cztery kule ... On jest młody, silny, to przemawia na jego korzyść.

Rosie przytłknęła na znak, że rozumie. Łzy na nowo napłynęły jej do oczu. Odwróciła głowę i zaczęła szperać w torebce, szukając chusteczki.

Gavin rzekł:

- Jeżeli potrzebni są dawcy krwi, to ja i panna Madigan jesteśmy do dyspozycji.

- Na razie to zbyteczne ... Dobrze jednak wiedzieć, że można na państwa liczyć. Dziękuję.

Idziemy?

Cała trójka ruszyła za doktorem Morrisem korytarzem. Kierowali się ku oddziałowi intensywnej terapii. Wreszcie doktor otworzył jakieś drzwi. Rosie i Gavin weszli do środka, a Nell pozostała na zewnątrz. Kevin leżał podłączony przewodami do licznych aparatów. Twarz miał bladą niczym płótno, a oczy zamknięte. Oddychał szybko i nierówno.

Rosie podeszła do łóżka, dotknęła jego dłoni, pochyliła się i pocałowała go w policzek.

- To ja, kochany - powiedziała cicho, ocierając łzy. - Rosie ... Gavin też tu jest... I Nell również. Kochamy cię, Kev.

Kevin leżał bez ruchu. Nie mrugnął nawet powieką. Rosie uścisnęła jego rękę i odwróciła się.

Strugi łez spłynęły jej po twarzy. Bolało ją serce na widok Kevina, którego zdawało się opuszczać życie. Zdała sobie w pełni sprawę, że sytuacja jest naprawdę dramatyczna.

Gavin znalazł się u jej boku i także wziął Kevina za rękę.

- Trzymaj się, Kev. Zostaniemy przy tobie, póki nie dojdiesz do siebie. I zrobił to, co wcześniej uczyniła Rosie: pocałował nieprzytomnego

Kevina.

Potem oboje wyszli na korytarz i tam spotkali Neila O'Connora, który też przyszedł odwiedzić Kevina. Nell przedstawiła detektywa Rosie i Gavinowi. Doktor Morris przeprosił ich i odszedł, a reszta przeszła do poczekalni.

- Co się właściwie stało? - spytała Rosie. Neil pokręcił głową.

- Przykro mi, Rosie, ale nie wiem. Mam nadzieję, że coś się wyjaśni, gdy tylko Kev odzyska przytomność.

- Nell twierdziła wczoraj, że partner Keva również został ranny. Nie rozmawiałaś z nim jeszcze?

Czy z nim też tak źle?

Neil skrzywił się boleśnie. Nie odpowiadał przez chwilę, a w końcu rzekł cichym, drżącym głosem:

- Niestety ... Tony nie żyje.

- Och, nie! - krzyknęła Nell.

Zakryła usta dłonią i znów wybuchła płaczem. Rosie chwyciła się ramienia Gavina. Była trupio blada.

Trójka przyjaciół czuwała w szpitalu już od czterech dni.

Wreszcie w piątek, 17 kwietnia, Kevin Madigan odzyskał świadomość i otworzył oczy. Stało się to tuż przed świętami Wielkiejnocy.

Pierwszą osobą, którą ujrzał, była Nell, pełniąca akurat dyżur przy jego łóżku. Kevin uśmiechnął się do niej słabo i powiedział:

- Cześć, kochanie.

- Och, Kev! Bogu dzięki! - wykrzyknęła, ściskając jego dłonie. Potem pocałowała go czule i wyszeptała mu wprost do ucha: - Kocham cię. .

- Ja też cię kocham, Nell - odparł zachrypłym głosem.

Nell usiadła i wpatrywała się w niego z przejęciem. Jej oczy błyszczały od łez.

- Przykro mi, Nellie ...

- Już dobrze, nic nie mów. Wciąż jesteś osłabiony, przeszedłeś istne piekło. Ale wiedziałam, że uda ci się przetrwać.

Chciała cofnąć dłoń, lecz on przytrzymał ją w swojej. Powiedziała więc:

_ Puść mnie, Kev. Tylko na chwilę. Sprowadzę tu Rosie i Gavina. Oboje są za drzwiami, w poczekalni.

43

Rosie wiedziała, że Johnny jest na Manhattanie. Zostawił szereg wiadomości na jej sekretarce automatycznej w Paryżu i dzwonił do "Jeffrey Associates" wiele razy, dopytując się o Nell. Jej asystenci cierpliwie wyjaśniali, że Nell udała się na wakacje i nie sposób obecnie się z nią skontaktować.

Jednak tego piątkowego popołudnia Rosie, wiedząc, iż Kevinowi już nic nie grozi, postanowiła zobaczyć się z Johnnym. Chciała powiedzieć mu wprost, że nie ma sensu, by ciągnęli swój związek.

Dodzwoniła się do hotelu "Waldorf Astoria", lecz dowiedziała się, iż nie ma tam piosenkarza.

Szybko odłożyła słuchawkę - nie miała zamiaru zostawiać w recepcji "Astorii" numeru apartamentu Gavina w Trump Tower. Po dłuższej chwili namysłu zdecydowała się zatelefonować do "Hit Factory", gdzie Johnny najprawdopodobniej pracował nad nową płytą. Niegdyś wyznał, że zwykle zaczyna sesje nagraniowe wcześniej, około jedenastej, i kończy je dopiero o szóstej albo siódmej wieczorem. Zerknęła na zegarek. Właśnie dochodziła trzecia. Mogła tam pojechać taksówką.

Wróciła do lokum Gavina w Trump Tower dopiero przed godziną i zdążyła już wziąć prysznic.

Teraz zrobiła makijaż i przeczesła włosy, ubrała się w szarą garsonkę i narzuciła na ramiona długi płaszcz.

Gavin pozostał w szpitalu Bellevue z Kevinem i Nell. Rosie położyła na stole karteczkę z informacją, że wróci za kilka godzin. W książce telefonicznej wyszukała adres "Hit Factory" - koncern miał siedzibę przy Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy.

Po upływie zaledwie dziesięciu minut dotarła już na miejsce. Zapłaciła taksówkarzowi i kątem oka dostrzegła Kenny'ego Crosslanda, pianistę Johnny'ego, jak wchodzi do budynku, gdzie mieściły się studia.

On zobaczył ją również. Uśmiechnął się i zawołał:

_ Cześć, Rosie! A to się Johnny ucieszy. Doprowadza już nas wszystkich do szau. Gdy nie ma cię w pobliżu, dostaje naprawdę kota. _ Próbowałam się z nim skontaktować - odpowiedziała. - W końcu wzięłam samolot i oto jestem - odwzajemniła jego uśmiech i wzruszyła niewinnie ramionami.

Kenny objął ją i razem weszli do budynku. W windzie wytłumaczył: _ Dzisiaj nagrywamy tylko podkłady instrumentalne, ale Johnny też tu siedzi. Lubi mieć na wszystko oko. Pewnie teraz ćwiczy albo rejestruje chórki.

Skinęła głową. Nie miała ochoty wdawać się w dłuższą pogawędkę z Kennym. Ostatecznie przybyła tu wyłącznie z powodu Johnny'ego. Poza tym w trakcie trasy po Wielkiej Brytanii, nie umknęło jej uwagi, że obaj zwykle opowiadają sobie o wszystkim.

Po co rozsiewać plotki? - pomyślała. W jakimś sensie było jej żal Johnny'ego. Kenny pozostawił ją w holu, mówiąc, iż za moment ściągnie tu Johnny'ego. Podziękowała mu, on zaś uśmiechnął się i zniknął.

Usiadła na jednym z krzeseł i wbiła wzrok w ścianę. Naraz poczuła się bardzo wyczerpana.

Wszędzie wisiały oprawione w ramki platynowe i złote płyty takich wykonawców jak Billy Joe!, Michael Bolton, Paul Simon ... Nie brakło i trofeów Johnny'ego Fortune.

Zaczęła się zastanawiać, dlaczego Johnny jeszcze się nie zjawił, aż wreszcie doszła do przekonania, że nie może tak nagle przerwać pracy. Być może akurat rejestrował jakiś ważny fragment nowego przeboju?

Po mniej więcej kwadransie wyszedł do holu młody mężczyzna i przedstawił się jako producent Johnny'ego. Powiedział Rosie parę konwencjonalnych uprzejmości i poprowadził ją w kierunku

windy. W końcu przywiódł ją do reżyserki. Tam przez wielką szybę ujrzała Johnny'ego trzymającego w ręku mikrofon. Miał zamknięte oczy, a na uszach słuchawki.

Producent stwierdził:

_ To nie zajmie Johnny'emu zbyt wiele czasu. Podkłada teraz głos na jedną ze ścieżek - po chwili dorzucił jeszcze: - jednocześnie odsłuchuje nagrane już podkłady instrumentalne.

- Fascynujące - odezwała się Rosie, nie spuszczając wzroku z Johnny'ego. Reżyser dźwięku uśmiechnął się na to, a producent wyszedł z pomieszczenia.

Gdy tylko Johnny skończył, otworzył oczy i spojrzał przez grubą szybę.

Reżyser z uznaniem pokiwał głową i uniół kciuk w konwencjonalnym geście, dając do zrozumienia, że wszystko poszło, jak trzeba.

Wtedy właśnie Johnny spostrzegł Rosie.

Przez ułamek sekundy zdawał się kompletnie zdumiony. Potem uśmiechnął się i pomachał jej ręką. Odłożył mikrofon i zdjął z głowy słuchawki.

Rosie przeszła do dźwiękoszczelnego studia, żeby się z nim przywitać.

Johnny wziął ją w ramiona i natychmiast zaczął całować.

Po chwili zdołała jakoś wyzwolić się z jego namiętnych objęć. Zaśmiała się nerwowo i powiedziała:

- Johnny, reżyser na nas patrzy.

- I co z tego? Och, kochanie, tak dobrze, że cię znowu widzę! Tak mi Ciebie brakowało!

Uczył krok do tyłu i przyjrzał się jej uważnie, uśmiechając się od ucha do ucha. Jednak w jego jasnych, błękitnych oczach było napięcie, może nawet iskra złości. Rzecz nieco zmienionym głosem:

- Hej, Rosie, przez tyle dni próbowałem się z tobą skontaktować! Bez przerwy do Ciebie wydzwaniałem. Już prawie dostawałem świra. Dlaczego nie dałaś mi znać, gdzie jesteś? Gdzie ty, u licha, się podziewałaś?

Patrzyła na niego bez słowa. Wyczerpana z powodu zdarzeń, które niedawno miały miejsce, czuwaniem w szpitalu i bojąc się nieuchronnej konfrontacji, czuła, że nerwy odmawiają jej posłuszeństwa. Usiłowała wziąć się w garść.

Nie słysząc odpowiedzi, Johnny zaczął mówić dalej:

- To się musi zmienić, najdroższa. Nie mogę żyć w ten sposób. Musisz być ze mną przez cały czas! - niemal wykrzyknął, wbijając w nią zaborcze spojrzenie. - Czemu nie dałaś mi znać, że przyjeżdżasz? Od jak dawna tu jesteś?

Jego ostry ton wyprowadził ją z równowagi. Pomyślała o bracie walczącym o życie w szpitalu i łzy popłynęły jej ciurkiem po twarzy.

Przerażony i zmieszany Johnny objął ją znów ramieniem i wyprowadził ze studia.

- Och, kochanie, nie płacz - powiedział. - Chyba jestem trochę przepracowany ... Ale naprawdę strasznie się o Ciebie niepokoiłem.

Weszli do jakiegoś pomieszczenia. Johnny Fortune zamknął za sobą drzwi. Nie była w stanie powstrzymać strumienia łez. Usiadła w fotelu i pochyliła się, starając się znaleźć w torebce chusteczkę. Jednak napięcie kumulowane przez tyle dni musiało wreszcie znaleźć upust. Szlochała więc dalej.

Zdezorientowany nieco Johnny usiadł naprzeciw niej. Wreszcie zwrócił się do Rosie znacznie łagodniejszym głosem:

- Nie powinienem się tak zachowywać, Rosie. Nie chciałem Cię tak zdenerwować.

Westchnęła głośno i powiedziała przez łzy:

- Nie chodzi o Ciebie, Johnny ... tylko o mojego brata, Kevina! Został postrzelony. Walczy ze śmiercią. To dlatego nie odzywałam się przez ostatnie dni ... Czuwałam przy nim w szpitalu.

I znowu stanęła jej przed oczami poszarzała twarz brata. Po jej policzkach popłynął nowy strumień łez.

- Postrzelony? Jak to? Co się stało? Napadnięto go czy co? - spytał Johnny, ściągając brwi.

- Nie ... Strzelali do niego ludzie z mafii ... Jestem tego pewna. Chcieli go zabić, tak jak kiedyś mojego ojca ...

- Mafia ... ? Nie rozumiem ...

- Mój brat pracuje w policji. Nie powinnam tego nikomu mówić, ale ...

- Gliniarz ... - odezwał się cicho Johnny, wpatrując się w Rosie.

- Tak - odpowiedziała, przytakując głową. - Działał w tutejszej policji od lat. Ostatnio zajmował się

rozpracowywaniem rodzin z Nowego Jorku ... Zwłaszcza rodziny Rudolfo ... Pewnie o nich słyszałeś. Każdy o nich słyszał. Strzelali do Kevina... Chcieli zabić mojego brata! - krzyknęła i przycisnęła chusteczkę do oczu.

Johnny pobladł i zeszywniał. Wciąż z niedowierzaniem gapił się na Rosie, usiłując przetrwać nowinę, którą się z nim właśnie podzieliła. Wcześniej, w Paryżu, mówiła, że jej brat to księgowy ... a teraz wyznała, że pracował dla policji. A więc Rudolfowie ciężko zranili policjanta ...

Cały świat Johnny'ego stanął nagle na głowie.

- Ale nie przyszłam tu po to, żeby opowiadać ci o Kevinie - rzekła powoli Rosie. - Chciałam się z tobą spotkać, żeby ci coś wyjaśnić, Johnny ... Chciałam porozmawiać o nas ...

- Nie rozumiem - powiedział cicho.

Spojrzała mu w oczy i zdobyła się na wątpliwy uśmiech. Możliwie łagodnym tonem stwierdziła:

- Johnny, nic z tego nie będzie.

- Z czego?

- Z naszego związku ...

Już wcześniej podświadomie wyczuwał, że może usłyszeć coś podobnego, mimo to nie chciał się z tym pogodzić. Czuł się tak, jakby krew zakrzepła mu w żyłach. Przebiegł go dreszcz. W końcu powiedział:

- Dlaczego? Kocham cię, Rosie. Wiesz, że tak: jest. Ujęła jego dłoń i rzekła z westchnieniem:

- Ale ja nie kocham ciebie, Johnny. W każdym razie nie w sposób, jakiego ode mnie oczekujesz.

- Przecież było nam tak: wspaniale! Pasujemy do siebie... Sama przecież tak: stwierdziłaś w Londynie.

- Och, Johnny ... jesteś nadzwyczajny, taki kochający i szczodry. Jednak nie mogę za ciebie wyjść. Różnię się od ciebie pod tyloma względami ... - Pod jakimi? No, powiedz!

- Prowadzimy zupełnie odmienne życie.

- Nie pojmuję ...

- Posłuchaj mnie, Johnny. Jesteś jednym z największych piosenkarzy na świecie, supergwiazdorem. Musisz robić pewne rzeczy, bo tego wymaga twoja pozycja. Musisz się popisywać ... Ponadto potrzebna ci kobieta, która przez cały czas będzie u twego boku. Dzień i noc. Podczas każdej trasy. Zawsze i wszędzie. Ja tak: nie mogę, Johnny. Mam swoje własne sprawy ... karierę, ambicje. Uwielbiam swoją pracę i nie zrezygnuję z niej. Ty jesteś zaborczy, władczy ... a ja kocham niezależność. Bez przerwy dochodziłoby między nami do sprzeczek i kłótni.

- Ale przecież tak: dobrze nam razem w łóżku. Tam nic nas nie dzieliło, prawda?

- Zgadza się. Jesteś bardzo zmysłowym mężczyzną i naprawdę mnie podniecałeś, tylko że seks to nie wszystko. Małżonków musi łączyć coś więcej. - Nie dajesz mi szansy ... nie dajesz jej nam - powiedział, gdy otrząsnął się nieco z szoku. - Byłem w Australii ponad miesiąc ... nie widziałem cię przez siedem tygodni. Musimy zostać ze sobą, Rosie. Spędź ze mną kilka dni i wszystko będzie tak jak dawniej. Tak jak wtedy ... w Paryżu i Londynie. Wiem, że wszystko się ułoży.

Pokręciła przecząco głową, puściła jego rękę i wstała. - Nie, Johnny.

_ Rosie! - krzyknął, zrywając się na równe nogi. - Nie twierdzisz chyba, że niczego do mnie nie czujesz, że mnie nie kochasz? Nie wolno ci burzyć wszystkiego tak brutalnie! Pamiętam każdą chwilę, którą spędziliśmy razem ... Przecież nie grałaś komedii, byłaś wobec mnie szczerą.

_ Owszem, Johnny, niczego nie udawałam. Było mi z tobą nadzwyczajnie. Zawróciłeś mi w głowie, ale to nie przerodziło się w prawdziwą miłość. Nie kocham cię, Johnny. I dlatego nie widzę dla nas przyszłości.

Patrzył na nią w milczeniu. Był tak: wstrząśnięty, że nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

Współczuła mu. Postąpiła wbrew swej naturze. Nie lubiła stawiać spraw na ostrzu noża. Dotknęła jego ramienia i dodała smutnym szeptem:

- Przykro mi, Johnny. Naprawdę ...

- Daj mi choć cień szansy! - błagał.

Rosie przygryzła dolną wargę. Było jej żal Johnny'ego, lecz nie mogła uciszyć jego bólu. W oczach Johnny'ego pojawiły się łzy.

_ Kocham cię, Rosie ... Co ja pocznę bez ciebie? Proszę, zostań ze mną chociaż kilka dni ...

Spróbujmy, może się nam jednak uda.

_ Nie, Johnny, mój drogi. Lecę w niedzielę do Paryża. Muszę na powrót zająć się pracą - podeszła do drzwi i dodała: - żegnaj, Johnny.

Johnny był zdruzgotany.

Rosie porzuciła go. Całe jego życie nagle się rozpadło. Nie potrafił bez niej żyć. Pragnął, by wróciła. Musiał znaleźć jakiś sposób, aby znowu z nią była.

Siedział w wielkiej limuzynie, zmierzając na Staten Island. Rozpamiętywał wszystko na nowo. Nie mógł przyjąć do wiadomości powodów, którymi Rosie umotywowała rozstanie z nim. To, co mówiła, nie miało dlań sensu - wiedział, że kłamie. Uważał, iż w rzeczywistości rzuciła go, ponieważ jej brat wyjawiał, że Johnny należy do rodziny Rudolfo. A Rosie była przekonana, iż właśnie Rudolfowie próbowali zastrzelić Kevina.

Tego popołudnia, gdy rozmawiał z Rosie w studio, zadzwonił też do wuja Salvatore, a teraz jechał spotkać się z nim. Pragnął poprosić go o specjalną przysługę. Nigdy dotąd nie domagał się niczego od swego potężnego protektora, choć czuł, że Salvatore nie odmówiłby mu. Podczas wspomnianej rozmowy telefonicznej wuj sam zaklinał go, by zjawił się na uroczystym obiedzie.

Johnny jednak wówczas wykręcił się pracą. Stwierdził, że będzie zajęty w studiu do siódmej. Nie odpowiadało to prawdzie. W rzeczywistości opuścił studio zaraz po telefonie do wuja. Nie potrafił się skoncentrować na śpiewaniu. Był zdenerwowany. Wrócił do hotelu, by tam wziąć się w garść. Potem zdecydował się jednak pojechać do Salvatore. Nie chciał jednak przed wujem sprawić wrażenia mięczaka.

Obecnie myśli Johnny'ego skoncentrowane były na Rosie i jej bracie, Kevinie. 6

Wszystko zdawało się jasne. Kevin prowadził śledztwo i zapewne wpadł na trop powiązań Johnny'ego z Vito i Salvatore, szefami mafii. Potem ostrzegł swą siostrę, żeby trzymała się z dala od słynnego piosenkarza.

Tak - pomyślał Johnny - właśnie w ten sposób wszystko musiało wyglądać.

Wykluczał możliwość, że Rosie przestała go kochać. Uważał, że to niemożliwe. Ostatecznie był przecież gwiazdorem. Kobiety szalały za nim. Sama Rosie przyznała, iż jest pociągającym, zmysłowym mężczyzną. Ten komplement, który padł z jej ust, nadal rozbrzmiewał mu w uszach. Jommy przyknał oczy i w wyobraźni znów ujrzał jej twarz. Była taka piękna.

Kochał ją. Rosie to jedyna kobieta, jaką kiedykolwiek kochał. A ona kochała jego. Był tego pewien. Stanowili cudowną parę.

Postanowił zmusić ją do powrotu. I pomoże mu w tym wuj Salvatore.

Weszli obaj do gabinetu Salvatore.

Wuj sączył czerwone wino, a Johnny białe. Porozmawiali chwilkę o australijskim tournée Johnny'ego, o nowej płycie, nad którą pracował, o karierze piosenkarzy w ogóle.

Wtedy Salvatore usiadł w fotelu i uśmiechnął się do Johnny'ego.

Moja krew - pomyślał. - Mój syn.

Tyle tylko, że Johnny nie wiedział, kto naprawdę jest jego ojcem. Ostatnio Salvatore często zastanawiał się, czy przypadkiem nie popełnił błędu, ukrywając przed synem prawdę. Być może Vito ma rację. Cóż teraz mogłoby zaszkodzić Johnny'emu? Wyrósł przecież na supergwiazdę. Poza tym tylko Johnny dowiedziałby się o tym. Nikt więcej. żadne pismaki z prasy. Salvatore postanowił przemyśleć ten problem jeszcze raz i podjąć decyzję w najbliższym czasie. W każdym razie, gdyby Johnny miał się przekonać, kto jest jego ojcem, musiałby zachować to wyłącznie dla siebie.

Wuj wbił w Johnny'ego przenikliwe spojrzenie i powiedział:

„Cieszę się, że przyszedłeś zobaczyć się ze mną, Johnny. Teraz mogę ci osobiście pogratulować. Vito wyjawiał mi, że nareszcie znalazłeś sobie odpowiednią kobietę, dobrą katolicką dziewczynę, która zostanie twoją żoną. Kiedy ją poznam?”

Johnny westchnął głęboko.

- Właśnie w tej sprawie chciałem z tobą porozmawiać, wuju Salvatore. Porozmawiać na temat Rosie. Mam pewien problem.

- Tak? Jakiego rodzaju?

- Rosie zerwała ze mną.

W Salvatore jakby uderzył piorun.

- To niemożliwe. Kobiety szaleją za tobą, Johnny.

- Wiem, że Rosie nadal mnie kocha.

- W takim razie, o co chodzi? - Salvatore uniósł siwą brew.
- Brat Rosie jest gliną. Został ranny, dosyć poważnie ...
- Gliną, Johnny? Jej brat to gliniarz? I zaręczyłeś się z taką kobietą?!
- Nie wiedziałem, *..e* tak się sprawy mają. Przekonałem się o wszystkim dopiero dzisiaj. Rosie twierdzi, iż do jej brata strzelali ludzie z rodziny Rudolfo. Myślę, że ten facet wie coś o wuju Vito, o moich związkach z ... No i wyśpiewał o tym Rosie.
- Możliwe. Tylko że tego gliniarza nie trafiła kulka od nas: Rudolfowie nigdy nie strzelali do policjantów. Dla własnego dobra. Rozumiesz?
- Johnny skinął głową i odetchnął z ulgą.
- Tak właśnie sądziłem, wuju Salvatore, pragnąłem się jedynie upewnić. Chciałem być przekonany, że Rosie się myli.
- O tak, Johnny, bardzo się myli.
- Johnny zawahał się na ułamek sekundy, a potem rzekł:
- Chciałbym, żebyś mi dopomógł. Sprawić, by do mnie wróciła.
- Jak to możliwe?
- Porozmawiaj z szefami innych rodzin. Niech odszukają tego, który strzelał do jej brata. Pragnę jej udowodnić, że to nie Rudolfowie.
- Salvatore spojrział na syna, ściągając nieznacznie brwi. Po chwili namysłu odezwał się, kiwając głową.
- Pogadam z Anthonym. On dowie się wszystkiego, co potrzeba. A my wrócimy do sprawy pod koniec tygodnia.

Po upływie pięciu minut od wyjścia Johnny'ego, w gabinecie zjawił się Anthony. Nie bawiąc się w zawile wstępy, stwierdził:

- Szefie, zawitał akurat Joey Fingers. Chce złożyć osobiście wyrazy szacunku głowie rodziny. Wpuścić go?
- Nie. Nie chcę go widzieć.
- Udzieliłem mu już ostrzeżenia. Powiedziałem, że jeśli nie przestanie trzepać jęzorem, to wypadnie zgry.
- Joey Fingers już wystarczająco zalał nam za skórę. Pozbądź się go, Anthony.
- Anthony zerknął na szefa.
- To znaczy ... Mam go załatwić?
- Tak. Wyeliminuj go.
- Załatwione, szefie.

Johnny przeciągnął się w limuzynie pędzącej właśnie w kierunku mostu Verazzano Narrows. Kłopoty z Rosie wkrótce się skończą. Salvatore Rudolfo to przecież *capo do tutti capi*, najpotężniejszy człowiek na Wschodnim Wybrzeżu. Inni mafiosi z pewnością szybko dostarczą mu wszelkich informacji na każdy temat. Najdalej w niedzielę Salvatore dowie się, kto strzelał do brata Rosie, a wtedy Johnny podąży za nią do Paryża i wyjawি jej prawdę. Rudolfowie zostaną oczyszczeni z zarzutów.

Po raz pierwszy od kilku godzin Johnny rozluźnił się nieco. Uśmiechnął się do siebie. Wszystko skończy się dobrze - pomyślał. - Rosie wyjdzie za mnie, kiedy tylko zakończy formalności rozwodowe.

Naraz wóz zahamował na moście. Johnny nachylił się i krzyknął do szofera: - Hej, Eddie, co jest grane?

Eddie zerknął przez ramię.

- Pojęcia nie mam, panie Fortune. Zdaje się, że siadła opona. Już raz tak było.
- Jezu! - jęknął Johnny - Tego tylko brakowało. I co teraz zrobimy?
- Wezwę przez radio firmowych mechaników. Bezwzględnie przyślą nowe auto, panie Fortune.
- Dobra, rób, jak uważasz. Chcę jak najszybciej dostać się do "Waldoña" .

Pięć minut później Joey Fingers znalazł się na tym samym moście. Zobaczył duże auto przechylone nieco na bok. Po chwili poznał wóz - należał do Johnny'ego Fortune. Widział tę limuzynę parokrotnie przed posesją Salvatore Rudolfo.

Joey nacisnął hamulec i wysiadł. Podeszedł i zastukał w szybę. Johnny poznał Joeya i odezwał się do Eddiego:

- Znam go. Przekonajmy się, czego chce.

Szofer opuścił szybę. Joey zajrzał do wnętrza samochodu i zawołał: - Czołem, Johnny. Co jest? Dlaczego tu stoicie?

- Wóz się rozkraczył - wyjaśnił Johnny. - Czekamy na inny.

Joey zarechotał.

- O, firma przyśle chyba brykę zapakowaną panienkami; co? - cmoknął i mrugnął do Eddiego, który zmierzył go zimnym spojrzeniem. - Joey dodał: -Serio chcesz tak tu siedzieć i czekać, Johnny? Chodź, podrzucę cię na Manhattan. Gdzie się zatrzymałeś?

- W "Waldorfie" - odparł Johnny i otworzył drzwi. - Na razie, Eddie. Johnny podążył za Joeyem do jego auta i usiadł na przednim siedzeniu.

Już po chwili zjechali z mostu, kierując się na magistralę łączącą Brooklyn z Queens, która częściowo przebiegała podziemnym tunelem. Joey gadał bez przerwy, głównie o kobietach. Johnny szybko poczuł się znudzony, oparł kark o podglówek i przymknął powieki.

Joey włączył radio i mrucał coś do siebie, nie zdejmując stopy z pedału gazu. Wkrótce znaleźli się już na magistrali. Wjazd do tunelu zamajaczył przed nimi. Po pokonaniu go, znaleźliby się już niemal w samym sercu miasta.

Joey przymknął się wreszcie, koncentrując uwagę na prowadzeniu pojazdu, a Johnny zapadł w drzemkę.

żaden z nich nie dostrzegł czarnej furgonetki, siedzącej Joeyowi na ogonie od wjazdu do tunelu.

Teraz furgonetka wjechała na pas obok i wyrównała swą prędkość z szybkością wozu Joeya.

Joey Fingers zdał sobie w końcu sprawę, że coś tu nie gra i odwrócił głowę w lewo. I wtedy seria kul z kałasznikowa dosłownie go poszatkowała. Opadł bezwładnie na kierownicę. Zamachowcy wpakowali w jego wóz jeszcze jeden magazynek i oddalili się, zwiększając jeszcze prędkość.

Trzy pociski trafiły Johnny'ego Fortune. Jedna z kul utkwiała w głowie, a dwie pozostałe przeszły na wylot klatkę piersiową, zabijając na miejscu.

Samochód Joeya zatańczył jeszcze na asfalcie i uderzył w kamienną ścianę tunelu.

CZĘŚĆ CZWARTA NAJPRAWDZIWSZA Z MIŁOŚCI

45

Kiedy tylko się wyliżę, to pojedziemy wreszcie na wakacje, Nell - powiedział Kevin uśmiechając się.

Nell bez słowa poprawiła poduszki pod jego głową.

- Dokąd chciałabyś się wybrać? - spytał, chwytając jej dłoń, gdy wygładzała prześcieradło.

Nell usiadła na krześle przy łóżku i w końcu odpowiedziała:

- Naprawdę nie wiem, Kevinie. Najpierw musisz wydobrzeć. Czekaj cię jeszcze parę tygodni w szpitalu, a potem rekonwalescencja. Wyzdrowiej, to wtedy porozmawiamy o wspólnych wakacjach.

- Jakoś nie słyszę entuzjazmu w twoim głosie - rzekł i odchrząknął. Głos miał nadal zachrypnięty, lecz znacznie pewniejszy niż poprzedniego dnia, kiedy to odzyskał przytomność.

Nell obdarzyła go uśmiechem.

- Może polecimy do Francji? - podsunęła. - Gdy już Gavin zacznie robić film.

- Plan filmowy to nie idealne miejsce na miesiąc miodowy. Kręci się tam zbyt wielu ludzi.

- A kto tu mówi o miodowym miesiącu?

- Ja. I to całkiem serio.

Popatrzyła na Kevina, zdumiona jego słowami. - Nie chcesz wziąć ze mną ślubu? - zapytał.

Nell nie odrywała wzroku od jego twarzy. Kevin był wciąż blady, ale z każdym dniem wyglądał lepiej. Właściwie dochodził do siebie w zdumiewającym tempie. Wcześniej przez kilka dni balansował przecież na krawędzi życia i śmierci. Nell cierpiała sama widząc go zmagającego się ze śmiercią. Wiedziała, że gdyby przyszło jej przejść coś podobnego raz jeszcze --...-- nie dałaby rady. Powtórnie, równie koszmarnie doświadczenie zabiłoby ją.

- Chodzi o moją pracę, prawda Nell? To dlatego za mnie nie wyjdiesz ... Nie potrafiła wydobyć z gardła jednego słowa. Kochała Kevina tak bardzo i pragnęła zostać jego żoną. Jednak знаła dobrze samą siebie i wiedziała, iż umierałaby ze strachu, czekając każdego dnia na męża, który pracuje

jako tajniak. Westchnęła cichutko.

- Nie wytrzymałabym tego, Kev. Naprawdę ...

- Niepotrzebnie się obawiasz, Nell.

- Jak to? - zapytała. Serce zaczęło jej bić nagle prędeż.

- Powiedziałem dziś rano Neillowi O'Connorowi, że rezygnuję z tej roboty. W przyszłym tygodniu złożę wymówienie.

- Och, Kev, to cudownie! - wykrzyknęła i roześmiała się promiennie. Lecz po chwili uśmiech zamarł na jej twarzy. - Ale czy robisz to z mojego powodu ... ? Dla mnie? Bo jeśli tak, to pewnego dnia możesz mnie znienawidzić ...

- Nigdy. I nie postąpiłem tak wyłącznie ze względu na ciebie. Myślałem o nas obojgu. Popełniłem jakiś błąd ... Dotąd nie wiem jaki. Jednak fakt faktem, że podwinęła mi się noga, Nellie. A przecież zawsze powtarzałem, że ...

Uniosła dłoń.

- Nie mów tyle. To cię wyczerpuje. Poza tym i tak wiem, co chcesz powiedzieć. Obiecałeś sobie kiedyś, że rezygnujesz z tej pracy w dniu, kiedy popełnisz pierwszą pomyłkę.

Kevin nieznacznie skinął głową.

- No i Tony nie żyje ... - nie był w stanie dokończyć zdania. Oczy zaszyły mu mgłą.

- Tak, Kev - powiedziała. Chcąc rozproszyć jego smutek, wzięła jego rękę i rzekła: - Tak ... Wyjdę za ciebie. Wstała, pochyliła się nad nim i pocałowała go w usta, a następnie dodała: - Pobierzemy się tak szybko, jak to będzie możliwe.

Wtedy rozległo się pukanie do drzwi i w progu stanęła Rosie. Weszła do środka, a za nią wkroczył Gavin.

- Wiecie - zawołała do nich Nell- że zjawiliście się w samą porę, żeby złożyć nam gratulacje?!

Rosie spoglądała to na Nell, to na Kevina. Dostrzegła radość emanującą z obojga i sama uśmiechnęła się promiennie.

- Pobieracie się - odgadła.

Kevin potwierdził to i poruszył się na poduszce. Poczł się nagle bardzo zmęczony. Nie miał już siły mówić.

_ Oczywiście - Nell uściskała najpierw Rosie, a potem Gavina.

_ A wy będziecie świadkami na naszym ślubie. No jak? Nie sprawicie nam chyba zawodu?

_ Nie rezygnujemy z takiego zaszczytu - stwierdził Gavin i usiadł koło Kevina. - Gratulacje dla was obojga.

_ Kevin postanowił też wystąpić z policji - obwieściła Nell.

_ Bogu dzięki! - Rosie zerknęła na brata. - To dwie najlepsze decyzje w twoim życiu, Kevin.

Będziesz teraz bezpieczny, mając u boku za żonę najcudowniejszą dziewczynę na świecie.

_ Zgadza się - odezwał się na to Kev. - Masz rację. Rosie przyjrzała mu się uważnie.

_ Jak się czujesz? Wyglądasz na zmęczonego, Kevinie. Rozmawialiśmy wcześniej z Gavinem, czy należy ci akurat dzisiaj zwracać głowę. Może powinniśmy byli wstrzymać się z wizytą kilka dni...

_ Rosie, nie przesadzaj. Szybko wracam do sił ... Przecież mam swoją ... małą Nell.

_ O tak - wtrąciła Nell. - I nie pozbędziesz się mnie do końca życia.

46

Rosie początkowo wcale nie zauważyła, że minęli Trump Tower. Zorientowała się dopiero gdy znaleźli się na rogu Dwudziestej Drugiej i Madison.

- Gavinie, dokąd jedziemy? Muszę jeszcze dokończyć pakowania.

- Masz mnóstwo czasu. Opuścimy apartament dopiero jutro przed południem. Samolot będzie o pierwszej. Chcę cię gdzieś zabrać i coś ci pokazać.

- Co takiego mi pokażesz?

Objął ją ramieniem i pocałował w czubek nosa.

- Będziesz musiała trochę poczekać, aniele, zanim się przekonasz.

Po chwili samochód skręcił w stronę Piątej Alei. Tam zatrzymał się przed wysokim budynkiem.

Rosie rzuciła Gavinowi szybkie spojrzenie i spytała:

- Mamy się z kimś spotkać?

- Nie pytaj, to nie usłyszysz kłamstw.

Kierowca wysiadł, otworzył drzwiczki i pomógł Rosie wydostać się z auta. Gavin wziął ją

następnie pod rękę. Portier skłonił im się grzecznie, gdy wchodzili do środka. Kiedy stanęli przed windą, Rosie odezwała się:

- No, powiedz mi wreszcie, komu złożymy wizytę.

- To niespodzianka - odparł.

Wjechali na ostatnie piętro. Rosie ze zdumieniem zobaczyła, że Gavin wyciągnął z kieszeni klucz i włożył do zamka, a następnie otworzywszy szeroko drzwi, szerokim gestem zaprosił ją do środka. W mig zdała sobie sprawę, że mieszkanie należy do niego. Upewniła się tylko:

- Czy to twoje, Gavinie?

- Jasne jak słońce, aniołku - przytaknął.

- Od jak dawna je masz?

- Wyszukałem to gniazdko parę miesięcy temu, ale sfinalizowałem kupno całkiem niedawno.

Wiesz, jak ci kamienicznicy potrafią się targować ... Tak czy owak, teraz już należy do mnie. Wejdz więc i się rozejrzyj.

Wziął ją za rękę i wprowadził do obszernego przedpokoju i dalej do wielkiego salonu z przylegającą doń kuchnią.

- Okna wychodzą na Piątą Aleję, z czego się bardzo cieszę - stwierdził. _ Uwielbiam patrzeć na wierzchołki drzew Central Parku. A ty?

_ Ja także - odpowiedziała. - A co jest tam? - spytała, wskazując kolejne drzwi.

_ Chodź, pokażę ci - zrobili kilka kroków. - Sądzę, że ten pokój idealnie będzie się nadawał dla Davida. Jest spory i nieco odosobniony od reszty mieszkania. A tu ... biblioteka.

Gavin pchnął podwójne drzwi i wprowadził ją do środka. - Gustowny kominek oraz piękny widok z okna.

Przystanąła na środku pokoju i obróciła się wokół. Patrząc na nią, Gavin stwierdził:

- A to doskonale miejsce dla nas, Rosie. Nie sądzisz?

_ Dla nas? - powtórzyła i zdała sobie sprawę, że się zająknęła. - O czym ty mówisz, Gavinie?

Gavin podszedł do Rosie i dotknął jej policzka.

_ Pragnę, by ta sypialnia - tu skinął w stronę kolejnych drzwi - stała się naszą wspólną sypialnią.

- Ach ... - to było wszystko, co zdołała odrzec. Gavin pocałował ją w usta i dodał:

_ Zmarnowaliśmy oboje zbyt wiele lat. Nie sądzisz, że czas się wreszcie pobrać? Tak szybko, jak tylko będziemy wolni.

Uśmiechnęła się do niego olśniewająco. Jej zielone oczy błyszczały. _ Tak, Gavinie, mój kochany ...

Tak ... - odpowiedziała bez wahania. Wziął ją w ramiona i jeszcze raz namiętnie pocałował. Potem puścił ją i rzekł:

_ Rosie, przeczytałem coś ostatnio ... Chciałbym żebyś tego posłuchała.

Zgodziła się.

Gavin zaczął recytować:

- "Anioły kryją się w starożytnych ruinach ... Niby z kamienia, lecz zrywają się do lotu! Zwróćcie ku nim swe chłodne oblicza, ślepe na tyle cudowności..." - Mówił, nie spuszczając z niej oczu, a potem obdarował ją kolejnym pocałunkiem. - Tak się cieszę, że my oboje nie okazaliśmy się jednak ślepi, Rosie.